PODRÓŻNICZKA

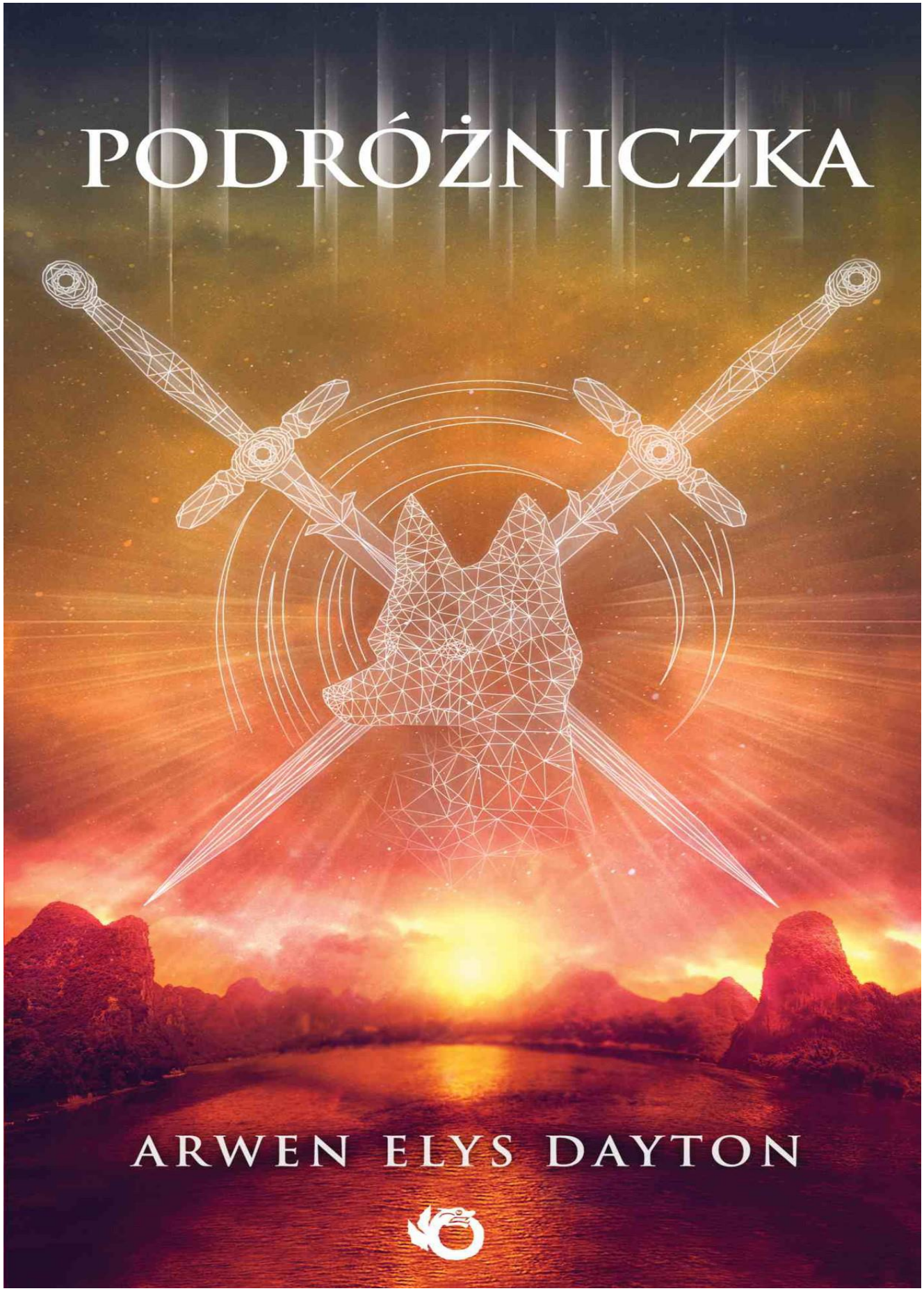

ARWEN ELYS DAYTON

Arwen Elys Dayton

PODRÓŻNICZKA

Przekład
Janusz Maćczak

Dla moich uwielbiających Tolkiena Rodziców, którzy przed laty traktowali mnie jak dorosłą, a zarazem dawali swobodę i czas na bycie dzieckiem.

Rozdział 1
Quin

Shinobu? – odezwała się Quin, gdy zobaczyła, że się poruszył. – Obudziłeś się?

– Chyba tak – odrzekł powoli.

Shinobu MacBain mówił głosem ochrypłym i półprzytomnym, ale uniósł głowę i spojrzał na Quin. Poruszył się po raz pierwszy od kilku godzin i dziewczyna poczuła ulgę, widząc, że odzyskał przytomność.

Ostrożnie wsunęła do kieszeni kurtki oprawiony w skórę tom, który dotąd ściskała w dłoniach, i przeszła przez pogrążony w półmroku pokój szpitalny do Shinobu leżącego na łóżku, które wydawało się za krótkie dla kogoś tak wysokiego.

Nawet w przyćmionym świetle dostrzegała poparzenia na jego obydwu policzkach. Niemal już się zagoiły, a gęste, ciemnorude włosy chłopca odrosły – ale Quin wciąż pamiętała, jak były popalone i zlepione zaschniętą krwią, gdy pielęgniarka goliła Shinobu głowę przed operacją.

– Cześć – powiedziała, kucając przy łóżku. – Dobrze widzieć cię przytomnego.

Spróbował się uśmiechnąć, lecz skończyło się to grymasem bólu.

– Dobrze być przytomnym… tyle tylko, że boli mnie każda część ciała.

– No cóż, niczego nie robisz na pół gwizdka, co? – powiedziała, opierając podbródek na poręczy łóżka. – Pomożesz mi, nawet gdyby to wymagało skoku z budynku, rozbicia statku powietrznego i rozerwania się na dwoje.

– Skoczyłaś razem ze mną z wieżowca – przypomniał głosem wciąż jeszcze nieco zaspanym.

– Byliśmy ze sobą związani, więc nie miałam wyboru – odparła, zdobywając się na uśmiech, chociaż wspomnienie tamtego skoku nadal budziło w niej przerażenie.

Shinobu spędził w londyńskim szpitalu dwa tygodnie. Trafił tam bliski śmierci – Quin przywiozła go karetką po tym, jak stoczyli walkę na Obieżyświacie, a później statek rozbił się w Hyde Parku. Odtąd nie opuszczała jego szpitalnego pokoju, przechadzając się nerwowo, siedząc na niewygodnym fotelu i sypiając w nim. Kilka dni temu o północy były jej siedemnaste urodziny. A akurat krążyła pomiędzy łóżkiem Shinobu a oknem.

Za wezgłowiem popiskiwały i warkotały szpitalne monitory kontrolujące stan organizmu chłopca; przez ich ekrany nieustannie wędrowały świetlne wykresy. W ciągu minionych dni Quin przywykła do tych widoków i dźwięków.

Podciągnęła koszulę chłopca i popatrzyła na głęboką szramę biegnącą wzdłuż prawej strony brzucha. Ta niemal śmiertelna rana, którą zadał mu ojciec Quin, Briac Kincaid, zagoiła się w bolesną bliznę długości kilkunastu centymetrów. Lekarze starannie zszyli ranę i powiedzieli, że z czasem może całkowicie zniknąć, ale teraz była nadal zaogniona i jak wskazywał wyraz twarzy Shinobu, sprawiała mu straszliwy ból przy każdym ruchu.

Oprócz tej rany i poparzeń na twarzy Shinobu trafił do szpitala z paskudnym złamaniem nogi i kilkoma pękniętymi żebrami. Lekarze przemyli obrażenia płynem powodującym rekonstrukcję komórek tkankowych, co przyspieszyło proces gojenia, który jednak miał jedną wadę: był dość bolesny.

Dziewczyna delikatnie musnęła palcami nabrzmiałą skórę w okolicy rany od miecza, a Shinobu chwycił jej dłoń.

– Quin, nie rób tego, bo to mnie przymula. Chcę, żeby doktor przestał mi dawać środki usypiające. Nie chcę stale spać.

Aby wspomóc szybkie gojenie się ran, chłopcu wszczepiono pod skórę w okolicy najcięższych obrażeń zbiorniczki ze środkiem przeciwbólowym. Jeżeli ból stawał się zbyt silny, jeżeli Shinobu zbyt gwałtownie się poruszył albo gdy ktoś przycisnął zbiorniczki, uwalniały płynny narkotyk sprawiający zazwyczaj, że chłopiec tracił świadomość. Właśnie wskutek tego Shinobu przez minione dwa tygodnie był przeważnie nieprzytomny. Ta krótka rozmowa była jednym z najdłuższych ostatnio okresów, w jakich chłopiec zachowywał świadomość, i Quin uznała to za dobry znak. Lekarze uprzedzili ją, że proces rekonwalescencji Shinobu będzie przebiegał właśnie w taki sposób – początkowo powoli, a potem gwałtownie przyspieszy.

– Teraz nagle masz coś przeciwko narkotykom? – spytała żartobliwym tonem. W trakcie pobytu w Hongkongu Shinobu chętnie brał zakazane substancje odurzające i dopiero całkiem niedawno zerwał z nałogiem. – Dzisiejszej nocy wciąż mnie zaskakujesz, Shinobu MacBain.

Nie roześmiał się, zapewne dlatego, że to sprawiłoby mu ból, ale przyciągnął ją bliżej do siebie tą ręką, w której nie miał wkłutej kroplówki dożylnej. Quin położyła się ostrożnie na wąskim łóżku i odruchowo omiotła wzrokiem pokój. Pomieszczenie było obszerne, ale skąpo umeblowane – znajdowały się tu tylko łóżko, aparatura medyczna i fotel, w którym Quin spędziła dwa tygodnie. Spojrzenie dziewczyny zatrzymało się na wielkim oknie nad fotelem. Pokój mieścił się na jednym z górnych pięter szpitala i za szklaną szybą rozpościerała się nocna panorama Londynu. W oddali widniał Hyde Park; nad pękniętym kadłubem Obieżyświata paliły się światła awaryjne.

Shinobu przycisnął ramię do ramienia Quin i znowu ją przytulił. Przypomniała sobie o dzienniku w swojej kieszeni. Być może chłopiec był już na tyle przytomny, by go obejrzeć.

Szepnął:

– Skoro się ocknąłem, chcę pomówić o kilku sprawach. Tam na statku mnie pocałowałaś.

– Sądziłam, że to ty pocałowałeś mnie – odrzekła nieco przekornie.

– To prawda – wyszeptał z powagą.

Tamten pocałunek… Quin setki razy odtwarzała go w pamięci. Gdy Obieżyświat spadał, koszmarnie wirując, pocałowali się i objęli, i to wydawało się *właściwe*. W dzieciństwie byli ze sobą tak blisko. Nie zmieniło się to także później, w trakcie szkolenia na Poszukiwaczy, nawet kiedy w szkockiej posiadłości zjawił się John i dramatycznie wpłynął na bieg ich losów. Jednak dopiero gdy spotkali się ponownie w Hongkongu, starsi i odmienieni, Quin ujrzała Shinobu takiego, jakim naprawdę był – nie tylko jako najlepszego przyjaciela, ale jej drugą połowę.

– Czyż to nie nazbyt dziwne, my dwoje razem? – spytała, zanim zdołała się powstrzymać; nie czuła się pewnie na tym nowym, nieznanym terytorium ich wzajemnej intymności.

– Rzeczywiście to bardzo dziwne – odrzekł bez wahania. Quin zupełnie nie spodobała się ta odpowiedź, ale zanim zdążyła zareagować, Shinobu przyciągnął jej rękę do swojej piersi, ucałował i szepnął: – Od tak dawna pragnąłem być z tobą, a teraz to się spełniło.

Te słowa i dotyk jego dłoni napełniły Quin ciepłem.

– Ale… te wszystkie dziewczyny w Corrickmore… – zaczęła.

W życiu Shinobu było mnóstwo dziewczyn. Nigdy nie sprawiał wrażenia, że czeka właśnie na nią.

– Miałem nadzieję, że będziesz o nie zazdrosna, lecz nigdy nie zwracałaś na te sprawy uwagi – odparł. Nie powiedział tego z goryczą, po prostu otwierał przed nią serce. – Zależało ci tylko na Johnie.

– Ale ty i tak troszczyłeś się o mnie – odrzekła łagodnie. – Kiedy John zaatakował posiadłość… i w Hongkongu… i na Obieżyświacie. Zawsze się mną opiekowałeś.

– Ponieważ jesteś moja – wyszeptał w odpowiedzi.

Zerknęła na jego twarz i ujrzała zakwitający na niej senny uśmiech. Shinobu przysunął jej rękę bliżej do swego serca i przytrzymał ją tam. Quin odwróciła się ku niemu na łóżku i pomyślała, że być może pora znów go pocałować…

– Au! – jęknął cicho.

– Co się stało? Czy ja…?

– To coś… przy twoim biodrze.

– Przepraszam! To athamen.

Odsunęła się szybko od Shinobu i wyjęła z ukrytego schowka przy wszywanym pasku kamienny sztylet, który przed chwilą mocno uciskał kość biodrową chłopca.

– Och, a więc jest tutaj – powiedział Shinobu i wyjął jej z rąk to starożytne narzędzie. – Kiedy leżałem tu na wpół przytomny, często o nim myślałem… albo może śniłem.

Athamen miał długość niemal przedramienia Quin i pomimo swego kształtu sztyletu był całkiem tępy. Jego cylindryczna rękojeść składała się z licznych pierścieni ułożonych płasko jeden na drugim, wykonanych z tego samego jasnego kamienia. Ten szczególny athamen należał do Sędziów. Młoda Sędzia wręczyła go Quin po katastrofie Obieżyświata. Różnił się w pewien sposób od innych athamenów, jakie Quin i Shinobu widywali w trakcie szkolenia na Poszukiwaczy – był delikatniejszy, a także bardziej skomplikowany.

Shinobu z wyćwiczoną łatwością obrócił pierścienie sztyletu; rurka jego kroplówki zakołysała się i zsunęła z ręki.

– On ma więcej pokręteł, więc czy nie sądzisz, że umożliwia dotarcie do większej liczby specyficznych miejsc niż inne athameny?

Quin przytaknęła skinieniem głowy. Spędziła wiele godzin w ciszy szpitalnego pokoju na dokładnych oględzinach tego athamenu. Podobnie jak inne miał wyryte na każdym pierścieniu szeregi symboli. Obracając pierścieniami, można było ustawić niemal nieskończoną liczbę kombinacji. Każda wyznaczała zestaw współrzędnych miejsca, do którego Poszukiwacz mógł dotrzeć za pomocą tego starożytnego przyrządu. Dodatkowe pierścienie w tym szczególnym athamenie umożliwiały znacznie precyzyjniejszy wybór

lokalizacji. Podczas walki na Obieżyświacie Sędziowie użyli tego athamenu, by dostać się do wnętrza poruszającego się statku powietrznego. Dokonanie takiego wyczynu byłoby niemożliwe z żadnym innym athamenem. Jedynie athamen Sędziów pozwalał uzyskać dostęp do ruchomego miejsca docelowego.

Obserwując Shinobu, który uważnie oglądał sztylet i wprawnie obracał pokrętłami, Quin zdecydowała, że nie ma powodu dłużej zwlekać, chłopiec w wystarczającym stopniu odzyskał sprawność umysłową, by móc usłyszeć więcej. Wyjęła zza pazuchy kurtki oprawiony w skórę dziennik i podała Shinobu.

– Czy to…? – zapytał.

– Nadeszło pocztą dzisiejszego popołudnia.

Była to kopia dziennika należącego niegdyś do matki Johna, Catherine. Tamtej szalonej nocy przed dwoma tygodniami, kiedy Quin i Shinobu wylądowali na spadochronie na kadłubie Obieżyświata, dziewczyna miała przy sobie oryginał dziennika, lecz go straciła – a ściśle biorąc, John znalazł go i zabrał podczas zaciekłego starcia na statku powietrznym.

Teraz Quin trzymała w ręku kopię, którą sporządziła kilka tygodni temu jeszcze w Hongkongu, przed przybyciem do Londynu. Jej matka Fiona była z nimi na Obieżyświacie w trakcie katastrofy i później w szpitalu. Przed kilkoma dniami Fiona wróciła do Hongkongu i natychmiast wysłała Quin kopię dziennika. Oprawiła nawet stronice w skórzaną okładkę, tworząc z nich poniekąd nowy dziennik, wierną co do kształtu i wielkości kopię oryginalnego dziennika Catherine.

Quin kartkowała tom, a Shinobu zaglądał jej przez ramię.

– Część dziennika jest tak stara, że nie umiem dokładnie go odczytać, ale fragmenty, które potrafię w pełni zrozumieć, dotyczą innych rodów Poszukiwaczy.

– Rodów innych niż nasze?

– Tak, ale także naszych – odpowiedziała.

Quin i Shinobu dorastający w szkockiej posiadłości wiedzieli – teoretycznie – że niegdyś istniało wiele rodów Poszukiwaczy. Jednak oboje zetknęli się tylko z członkami swoich klanów – klanu Quin, którego godłem był baran, i klanu Shinobu z godłem orła. Wiedzieli wprawdzie, że John pochodzi z innego klanu Poszukiwaczy, ale rodzina Johna już się rozpadła i niemal całkiem zniknęła w poprzednim pokoleniu, a Quin i Shinobu nie rozmyślali zbyt wiele ani o swoich przodkach, ani o niczyich innych. Ojciec Quin, Briac, usunął nawet z posiadłości emblematy innych klanów.

Inne rody Poszukiwaczy wydawały się odległą, minioną historią. Stanowiły część dawnych opowieści, jakie Shinobu słyszał z ust swojego ojca – opowieści o Poszukiwaczach, którzy obalali królów tyranów, ścigali zabójców, wypędzali zbrodniarzy ze średniowiecznych krain i stanowili siłę, która zdziałała w dziejach wiele dobra. „O ile – pomyślała gniewnie Quin – cokolwiek z tego było prawdą". Oboje dorastali w przekonaniu, że Poszukiwacze są szlachetni, jednak Briac odmienił ich obraz świata. Używał starodawnych przyrządów i niegdyś szlachetnych umiejętności, by przekształcić Poszukiwaczy w niewiele więcej niż płatnych zabójców gromadzących pieniądze i kupczących władzą. Quin zastanawiała się mimo woli: „Od jak dawna tak się działo?".

– Wiemy, że Catherine i John należeli do klanu lisa – powiedziała, przewracając kartki, aż dotarła do stronicy, na której u góry widniał prosty, zgrabny rysunek przedstawiający owo zwierzę. – Te notatki traktują o starszych członkach klanu lisa – wyjaśniła, przesuwając palcem w dół listy nazwisk, dat i miejsc. – Catherine pisała o swoich dziadkach i wcześniejszych przodkach. Próbowała ustalić, gdzie niegdyś mieszkał każdy z nich i dokąd się udał.

– Mówisz o Catherine, matce Johna? – spytał Shinobu.

Quin przytaknęła.

To jej charakter pisma. Widzisz?

Powróciła do początku dziennika. Pod frontową okładką na pustej stronie widniało kilka wyrazów nakreślonych tym samym charakterem pisma:

Catherine Renart, podróżniczka

– Podróżniczka?

– Tak siebie nazywa. W dzienniku jest pełno notatek zrobionych jej charakterem pisma. Chociaż wcześniejsze wpisy są dokonane przez wielu ludzi.

– A więc… otrzymałaś ten tom dopiero przed kilkoma godzinami i pierwsze, co sprawdziłaś, to rodzinę Johna? – spytał Shinobu, żartobliwie trącając głowę Quin, by osłabić ostrość swoich słów.

Dziewczyna przewróciła oczami i delikatnie szturchnęła go łokciem.

– To oczywiście dlatego, że wciąż go kocham.

– Wiedziałem – wyszeptał Shinobu.

Przyciągnął ją bliżej. Quin pomyślała, żeby zamknąć książkę, ale Shinobu intensywnie wpatrywał się w stronice i dziewczyna chciała, żeby obejrzał dziennik, dopóki ma trzeźwy i bystry umysł, zanim znów zapadnie w sen.

– Przeczytałam najpierw o rodzie Johna, ponieważ jego matka zamieściła najciekawsze notki o swoim klanie – wyjaśniła, starając się przez chwilę nie zważać na to, w ilu miejscach jej ręka i ramię dotykają ręki i ramienia Shinobu. – Wygląda na to, że Catherine od dawna starała się wytropić wszystkie rody Poszukiwaczy. Chciała się dowiedzieć, dokąd oni wszyscy odeszli.

– A dokąd odeszli? – spytał Shinobu.

– To wciąż pozostaje nierozstrzygniętą kwestią. – Quin przekartkowała dziennik. – Może kiedy przeczytam całość, znajdziemy jakieś wyjaśnienie.

– Quin.

Shinobu usiłował unieść się odrobinę, a potem dał za wygraną i opadł z powrotem na łóżko. Znowu ujął jej rękę i z powagą spojrzał na dziewczynę.

– Quin, co ty kombinujesz? – zapytał.

Spuściła wzrok na dziennik i go zamknęła.

– Pomyślałam, że powinniśmy prześledzić...

– Nie jesteśmy już uczniami szkolącymi się na Poszukiwaczy – powiedział. – Uciekliśmy od twojego ojca i od Johna. Kiedy opuszczę szpital, niczego już nie będziemy musieli. Moglibyśmy wyjechać gdzieś razem i po prostu żyć.

Quin milczała przez chwilę, zastanawiając się nad tym, co usłyszała. Taka prosta

wspólna przyszłość zaproponowana przez Shinobu brzmiała kusząco. Chłopiec położył sobie athamen na piersi i czułym gestem osłonił go lewą ręką. Quin też położyła dłoń na sztylecie; poczuła chłód kamienia i ciepło dłoni Shinobu. Dlaczego nie mogliby wyjechać gdzieś i po prostu żyć – wieść życie zwykłych ludzi? Ich życie jako Poszukiwaczy nigdy nie będzie takie, jakiego spodziewali się w dzieciństwie; tamta oczekiwana przyszłość była kłamstwem. Dlaczego więc nie mieliby stać się całkiem innymi osobami?

Ale już znała odpowiedź.

– Młoda Sędzia powierzyła mi ten athamen… przynajmniej na pewien czas – odpowiedziała chłopcu. – Chciała, żebym ja go miała.

– To nie znaczy, że musimy go użyć – odrzekł łagodnie.

– Myślę, że może właśnie to znaczyć.

Shinobu przyglądał się jej długo, a potem zapytał:

– Co chcesz zrobić, Quin?

Wydawał się zmęczony, ale jego spojrzenie miało charakterystyczną dla niego intensywność. Quin rozumiała, że cokolwiek odpowie, może być pewna jego niezachwianej lojalności, jak zawsze.

Wyszeptała:

– Wychowano mnie na Poszukiwaczkę. Prawdziwą Poszukiwaczkę. Taką, która odnajduje ukryte pośrednie ścieżki, wybiera właściwą drogę i czyni to, co słuszne.

– Tyrani i złoczyńcy, strzeżcie się – wymamrotał Shinobu. To było niegdyś motto Poszukiwaczy i stanowiło mantrę Quin i Shinobu w trakcie ich szkolenia. – Chciałem, żeby to była prawda – powiedział.

Dziewczyna przekartkowała dziennik do ostatniej stronicy, na której Catherine zamieściła trzy prawa Poszukiwaczy:

Poszukiwaczowi nie wolno zawłaszczyć athamenu innej rodziny.

Poszukiwaczowi nie wolno zabić innego Poszukiwacza, chyba że w samoobronie.

Poszukiwaczowi nie wolno krzywdzić ludzi.

Były to reguły, których ojciec nawet nie raczył jej nauczyć; usłyszała o nich dopiero później, od Młodej Sędzi. Stanowiły pierwotny kodeks Poszukiwaczy. Ich złamanie było karane śmiercią.

– Niegdyś byliśmy prawdziwi – wyszeptała Quin, czyniąc dłonią gest, jakby szukała właściwych słów. Przypomniała sobie tamto popołudnie przy ognisku, kiedy Młoda Sędzia – Maud – rozmawiała z nią o historii. – Było wówczas bardzo wielu prawych, szlachetnych Poszukiwaczy. Teraz mój ojciec zabija, kogo zechce – robi to dla pieniędzy. John myśli, że walczy o honor swojego rodu, ale w rzeczywistości chce zostać zabójcą jak Briac.

– Tak – zgodził się Shinobu.

– A więc kiedy Poszukiwacze stali się tacy jak Briac? A jeżeli było nas więcej, to dokąd tamci odeszli?

Przewróciła kartki dziennika do pierwszej strony. Pismo było tu dość starodawne,

a kartki pełne kleksów, że niewiele potrafiła odczytać – z wyjątkiem pojawiającego się często słowa „Sędzia”. Te wczesne stronice były najwidoczniej listami i notatkami z odległej przeszłości, które Catherine wkleiła do dziennika.

– Pierwsza połowa, jak się wydaje, dotyczy Sędziów i początków historii Poszukiwaczy. A potem pojawiają się własne wpisy Catherine, która szuka innych klanów Poszukiwaczy i stara się wytropić, dokąd mogli odejść.

– Myślisz, że ten dziennik wskaże ci, kiedy zbłądziliśmy? – zapytał Shinobu, odgadując myśli Quin.

– Tak, chcę odkryć, gdzie i kiedy pojawili się ci niegodziwi Poszukiwacze.

Shinobu przesunął palcem wzdłuż kamiennego sztyletu, jakby go mierzył albo może rozważał, co symbolizuje. Potem szepnął:

– Więc potrafisz naprawić świat?

– Tak – odpowiedziała. – O ile da się go naprawić.

Poczuła, że Shinobu przytaknął, bo jego głowa poruszyła się przy jej głowie, ale wyczuła też, że przypływ energii chłopca słabnie.

– Ja też tego chcę – oświadczył.

Zamknęła dziennik i położyła go na jego klatce piersiowej. Shinobu przykrył dłonią dłoń Quin spoczywającą na okładce tomu. Skórę miał rozpaloną. Ich długa rozmowa go wyczerpała.

– Pamiętasz, od czego zaczęło się między nami? – wyszeptał z ustami przy jej uchu.

– Tak – odrzekła łagodnie. – To było na łące posiadłości. Pocałowałeś mnie. Mieliśmy wtedy po dziewięć lat.

– Wtedy uznałem, że całowanie się jest odrażające.

– A co myślisz teraz? – spytała z uśmiechem.

– Mógłbym dać mu jeszcze jedną szansę – odparł Shinobu.

Wsunął rękę pod jej plecy i przytulił dziewczynę do siebie. Ich usta się spotkały i Quin zdała sobie sprawę, że czekała na to od dwóch tygodni. Chłopiec odwrócił się i objął ją drugą ręką, lecz tylko cicho jęknął.

– Shinobu?

Jego ręce zwiotczały, a głowa opadła z powrotem na poduszkę. Quin dopiero po chwili uświadomiła sobie, że kiedy chłopiec odwrócił się ku niej, zbiorniczek wszczepiony pod skórę jego brzucha uwolnił środek przeciwbólowy.

Shinobu leżał obok niej z zamkniętymi oczami, uśmiechem na ustach i z jedną ręką wciąż pod jej plecami.

Quin oparła głowę o jego głowę i zaśmiała się cicho.

– Przepraszam – powiedziała.

Było już późno, a ona od bardzo dawna nie spała. Wsadziła dziennik do kieszeni kurtki, athamen za pasek spodni, przysunęła się bliżej do Shinobu i pozwoliła, by jej powieki też opadły.

Rozdział 2
Quin

W jej śnie pojawił się John. Quin widziała go wyraźnie, stojącego naprzeciw niej. W istocie to nie mógł być sen, prawda? W blasku księżyca dostrzegała każdy szczegół twarzy i sylwetki Johna.

Było zimno. Znajdowali się na dworze. Wydech chłopca rozchodził się w powietrzu obłoczkami pary. Quin czuła ostry chłód wnikający głęboko w każdy mięsień. Jednak z jakiegoś powodu mogła zignorować to niemiłe doznanie, zdystansować się od niego, udawać, że nie czuje zimna, jakby to nie miało wielkiego znaczenia. John też nie zważał na zimno; miał na sobie tylko podkoszulek i szorty, ale nie drżał z chłodu.

Stał w sporej odległości od Quin, lecz widziała niewielką ranę w okolicy jego barku, jakby w tym śnie jej wzrok mógł sięgać dalej niż w rzeczywistym życiu. „Briac postrzelił go na statku powietrznym – przypomniała sobie. – I kula weszła właśnie tam". Quin miała bardzo podobną ranę, którą zadał jej John, kiedy zaatakował szkocką posiadłość i wszystkich jej mieszkańców.

Zastanawiała się, dlaczego widok Johna nie budzi w niej nienawiści. Przecież napadł na nią, wiele razy skrzywdził ją i ludzi, których kochała, aby zdobyć to, czego pragnął. Ale w tym śnie – jeśli to był sen – nie czuła ani nienawiści, ani miłości, po prostu wyrozumiałość.

John zaczął biec, a ona ciskała w niego rozmaitymi przedmiotami, jej ręce poruszały się zbyt szybko, by mózg mógł za tym nadążyć. Czuła, że mięśnie reagują błyskawicznie na polecenia umysłu, ręce rzucają przedmiotami bez końca z szybkością i siłą, jakich nie miała w życiu na jawie…

– On nas okłamał – powiedział gdzieś w pobliżu dziecięcy głos. – Naszego mistrza tu nie ma.

– Jest tutaj jego athamen! – szepnął inny głos tuż przy twarzy Quin. – Spójrz! Jak to możliwe?

– Zamierzasz go odebrać?

Nozdrza Quin wypełnił smród jakby rozkładających się ciał.

Gwałtownie otworzyła oczy. Leżała na szpitalnym łóżku obok Shinobu i ktoś się nad nią pochylał. Brudne ręce sięgały do wszytego paska jej spodni.

Gdy tylko pojęła, co się dzieje, gwałtownie odepchnęła intruza. Zatoczył się do tyłu, lecz natychmiast rzucił się na nią. Kiedy szarpnął jej pasek, Quin chwyciła go za ramiona i powstrzymała.

– Oddaj mi to! – syknął napastnik.

Był tak blisko, że znów poczuła nieznośny odór zwłok.

Chciał zdobyć athamen. Quin ukryła go za wszywanym paskiem, zanim zasnęła u boku Shinobu, ale rękojeść sztyletu wystawała i napastnik już niemal ją chwycił.

Pchnęła go mocniej za ramiona, trzymając na dystans.

– Przestań! – rzucił wściekle.

Okazał siłę. Zmienił taktykę i sięgnął dłońmi do gardła Quin.

Był młodszy, niż jej się wydało, miał jakieś piętnaście lat, błyszczące, okrutne,

smoliście czarne oczy i zmierzwione włosy, które mogły być ciemnobrązowe, lecz były tak brudne, że wydawały się szare. Starał się objąć palcami szyję Quin, gdy usiłowała go odepchnąć.

Omiotła wzrokiem pokój pogrążony w przyćmionym blasku nocnego oświetlenia, chcąc rozeznać się w sytuacji. Był tu ktoś jeszcze. Piegowaty chłopiec – młodszy, może dwunastoletni – przestępował nerwowo z nogi na nogę, czekając na okazję, by pomóc. Wyglądał na porządnego, ale był równie brudny jak jego towarzysz.

Starszy chłopiec przygniótł swoim ciężarem ręce Quin i zdołał otoczyć dłońmi jej szyję. Popatrzył na dziewczynę ze złośliwą euforią, jakby duszenie ludzi należało do jego ulubionych rozrywek i nie mógł się ich doczekać. Ściągnął wargi, odsłaniając brudne, czarne zęby.

Dziewczyna wyślizgnęła mu się, starając się nie uderzyć Shinobu, który nadal spał głęboko odurzony środkiem przeciwbólowym. Wysunęła nogi poza łóżko, podniosła je i trafiła w klatkę piersiową nastolatka. Kopnęła go tak gwałtownie, że uderzył w stojak kroplówki i upadł wraz z nim na podłogę.

– Shinobu! – syknęła Quin.

Jednym ruchem wyszarpnęła zza koszuli swój morfer przypominający bicz i strzeliła nim. Obróciła nadgarstkiem, zmuszając broń do przeobrażenia się w długi, szeroki miecz, a oleiście czarna substancja przybrała pożądany kształt i stwardniała.

Młodszy chłopiec, ten piegowaty, rzucił się na Quin, lecz zaraz odskoczył, gdy machnęła mieczem w stronę jego twarzy. Żaden z napastników nie wydawał się zaskoczony widokiem jej morfera.

– Co się dzieje? – wymamrotał Shinobu, trąc miejsce na ręku, z którego podczas upadku stojaka został wyszarpnięty przewód kroplówki.

Młodszy chłopiec dobył broni i zszokowana Quin spostrzegła o chwilę za późno, że ma on swój morfer. Uniosła miecz, lecz nie zdążyła odeprzeć ataku dzieciaka. Oręż chłopca jakimś sposobem ominął jej miecz i ciął ją w rękę poniżej łokcia. Quin zatoczyła się.

– Ha, ha – zaśmiał się chłopiec, odskakując zręcznie od nacierającej na niego Quin.

Starszy chłopak stanął chwiejnie na nogach.

Mieli morfery, więc byli Poszukiwaczami? Quin powątpiewała w to. Walczyli śmiało, ale chaotycznie. Byli niechlujni i brudni. Ale co ona mogła wiedzieć o innych Poszukiwaczach? Ojciec ukrył przed nią nawet fakt ich istnienia.

Kimkolwiek byli ci chłopcy, posiadali zaskakująco duże umiejętności walki. Quin, dokonawszy pospiesznej oceny, uznała jednak, że nie są lepsi od niej i że pokona ich obydwu. Na razie jednak Shinobu leżał bezbronny na szpitalnym łóżku i tamci, gdyby zechcieli, mogliby go zranić. Musiała więc szybko zakończyć to starcie.

– Pomocy! – zawołała, ruszając do drzwi. – Pomocy!

Shinobu wsparty na łokciu mrugał gwałtownie, usiłując pojąć, co się dzieje. Quin miała nadzieję, że chłopcy go nie zauważą.

Gdy zbliżyła się do drzwi, obydwaj napastnicy ją zaatakowali. Zrozumiała wtedy, dlaczego przed chwilą ich morfery prześliznęły się obok jej broni – były o połowę krótsze niż zwykłe. Nawet teraz, w postaci wąskich mieczy rozwiniętych na pełną długość, były

nie dłuższe od przedramienia Quin, a czubki miały mniej ostre, niż powinny. Morfery wyglądały, jakby topornie odrąbano ich połowy.

– Macie razem jeden morfer? – zapytała, robiąc swoim mieczem szybki i szeroki zamach, aby sparować cięcia obydwu. – Wasze miecze są połówkami jednego? Czy zatem każdy z was też jest tylko połową osoby? – Pytała głośno, jakby przywykła podczas walki prowokować przeciwników, choć w rzeczywistości starała się w ten sposób rozbudzić Shinobu, zaalarmować personel szpitala oraz skupić na sobie wzrok chłopców. – Jeżeli jesteście połówkami jednej osoby, to czy chociaż jeden z was mógłby nauczyć się myć?

Smród chłopców wypełnił pokój.

– Przynajmniej nie kradniemy tak jak ty – odparł młodszy, odsłaniając w złośliwym uśmiechu brudne zęby, które podobnie jak u jego towarzysza wydawały się wysmarowane sadzą. – Oddaj nam athamen naszego mistrza!

Starszy chłopak wściekle zamachnął się mieczem, ale Quin swoim większym orężem sparowała cios z taką siłą, że napastnik wpadł na swojego towarzysza.

Odwróciła się do drzwi i ujrzała wpatrującego się w nią ojca.

Briac Kincaid krył się w ciemnym przedsionku pokoju, zagradzając dobytym przez siebie morferem dostęp do zamkniętych drzwi. Wokół jego głowy wirowało kilka wielobarwnych iskier.

Iskry.

Zanim Quin zdołała zebrać myśli, Briac gwałtownym ruchem wzniósł miecz.

Dziewczyna się zawahała.

I wtedy dwaj chłopcy zaatakowali ją od tyłu. Chwila wahania mogła okazać się dla Quin zgubna…

Wtem metalowa taca tak trzasnęła w głowę starszego chłopca, że aż się zachwiał. Do akcji wkroczył Shinobu. Z jego lewej ręki wystawała igła kroplówki. Ponownie zamachnął się tacą, rąbnął nią w skroń starszego chłopca, a ten runął na podłogę. Młodszy zaatakował Shinobu, który użył tacy jako tarczy, odbijając nią kolejne ciosy zadawane o połowę krótszym mieczem. Quin mogła się jedynie domyślić, jak wiele narkotyku zostało wpompowane do krwi Shinobu przy każdym uderzeniu.

Dostrzegła, że ojciec zamierzył się na nią mieczem, i odwróciła się, by sparować cios. Briac nadal blokował drogę do drzwi. Dobiegały zza nich stłumione krzyki – to personel szpitala usiłował dostać się do pokoju.

– Głupia żono! Fiono! – rzucił wściekle Briac. – Oddaj athamen!

Quin czuła się dziwnie, spotykając tutaj ojca, a jeszcze dziwniej, słysząc, jak zwraca się do niej, myląc ją z matką.

Shinobu trzasnął młodszego chłopca tacą prosto w twarz, przewracając go, lecz sam też osunął się bezwładnie na podłogę.

Quin szybko podjęła decyzję. Odskoczyła od ojca, który zdawał się przyklejony do drzwi, i chwyciła Shinobu za koszulę. Przeciągnęła go przez pokój tak, że łóżko znalazło się pomiędzy nimi a napastnikami. Za sobą mieli okno.

– Postaraj się ich powstrzymać – poleciła Shinobu, który usiłował ustać wyprostowany.

Członkowie personelu szpitalnego walili w drzwi, lecz Briacowi udawało się

utrzymać je zamknięte.

Quin wyjęła athamen z pochwy przy pasku.

– Nie waż się! – wrzasnął starszy chłopak na widok athamenu. Zdołał już podźwignąć się na kolana i potrząsał głową, jakby chciał sobie w niej rozjaśnić. – Nie używaj jego athamenu! Nie wolno ci.

– Nie mogę ustać na nogach – oznajmił Shinobu dziewczynie, kiwając się na bok.

– Oszałamia cię twój implant – wydyszała. – Ale adrenalina zdoła przezwyciężyć jego działanie. Pomyśl o walce z naszymi przeciwnikami.

Pierścienie athamenu różniły się od tych, do jakich przywykła. Ustawiła je, na ile potrafiła.

Tymczasem obydwaj chłopcy już się podnieśli. Shinobu stał chwiejnie i zataczając się, kopnięciem zwolnił hamulce kółek u szczytu łóżka. Potem pchnął łóżko prosto na chłopców.

Quin machnęła morferem, nadając mu krótki, gruby kształt, po czym odwróciła się i rozbiła nim szybę okna. Szkło roztrzaskało się i do pokoju wpadł podmuch zimnego nocnego powietrza.

Dziewczyna nacisnęła kciukiem bok ostrza athamenu. Z ostrza wysunął się z cichym trzaskiem długi, wąski kawałek kamienia. Było to krzesiwo athamenu, jego towarzysz i niezbędne dopełnienie, przedmiot budzący starożytny sztylet do życia.

Uderzyła krzesiwem o athamen i powietrze wypełniła niska, przenikliwa wibracja. Walenie w drzwi ustało, gdy wibracja rozprzestrzeniła się także poza szpitalny pokój.

– Przestań! – krzyknął młodszy chłopiec. Uchwycił się łóżka i wstał. – On nie należy do ciebie! Jesteś złodziejką!

Quin wysunęła wibrujący athamen przez rozbite okno i zatoczyła nim szeroki krąg poniżej parapetu. W miejscu, gdzie kreśliła krąg, athamen rozcinał tkankę świata tak łatwo, jak płetwa rozcina wodę oceanu. Na granicy kręgu odsłoniły się pasma ciemności i światła, po czym oddzieliły się od siebie nawzajem, tworząc przejście, anomalię pulsującą energią. Za tym przejściem widniała czarna otchłań.

– Właź na parapet! – poleciła dziewczyna Shinobu.

Popchnęła go ku otwartemu oknu, chociaż sama odwracała wzrok od widoku za nim. Czterdziestopiętrowa przepaść przyprawiała ją o zawrót głowy.

Za plecami Briaca zatrzęsły się drzwi, gdy od zewnątrz znów na nie naparto. Quin zobaczyła, że ojciec usiłuje utrzymać je zamknięte.

Shinobu z trudem wszedł na framugę okna, podtrzymywany od dołu przez Quin.

– Zachowasz równowagę? – spytała, starając się nie myśleć o tym, że mógłby runąć na ziemię.

– Tak, nic mi nie jest – wydyszał.

Zatoczył się do przodu i wpadł prosto w anomalię. Przyglądająca się temu Quin poczuła mdlący skurcz w żołądku. Wskoczyła na parapet rozbitego okna. Daleko w dole ulice Londynu zdawały się przechylać i kołysać.

„Boję się wysokości – uświadomiła sobie. – Nie, jestem przerażona!”.

Był to nowy dla niej lęk i w tym momencie całkiem niedogodny.

Starszy chłopak, zataczając się, ruszył przez pokój w jej kierunku; w jego czarnych

oczach płonęła wściekłość.

– Dam ci nauczkę! – wykrzyknął.

Rozległ się głośny huk i obydwaj chłopcy odwrócili się w kierunku drzwi szpitalnego pokoju. Briac został odrzucony na bok i do środka wbiegali umundurowani strażnicy.

Quin odwróciła się ku nocnej ciemności, przelotnie dostrzegając niezliczone światła Londynu, rozpościerające się przed nią i pod nią. Potem ten widok zafalował i żołądek podjechał jej do gardła. Spadała przez zimną przestrzeń, przez anomalię, którą wyryła stąd do Tam.

Rozdział 3
Shinobu

Działanie środków odurzających Shinobu ustępowało. Chłopiec wyśliznął się za okno, zdołał spaść prosto we właściwe miejsce i przeleciał przez anomalię. Teraz był Tam, poza dobrze oświetloną ciemnością nocnego Londynu, otoczony przez tę inną ciemność.

Powinien wyrecytować hymn czasu, by zachować koncentrację.

– „Tu jestem ja, tam…" – zaczął. Nie pamiętał, co dalej. – Quin? – wychrypiał.

– Jestem tutaj – odpowiedziała, chwytając go za ramię. Jej dotyk trochę pomógł. – Trzymaj się mnie – wyszeptała. – Czuję się trochę oszołomiona.

Shinobu czuł się bardziej niż trochę oszołomiony, ale przesunął po omacku rękami w górę, do ramion Quin, i przytrzymał się ich. Ta pozycja przypomniała mu ostatnią chwilę na szczycie londyńskiego drapacza chmur, kiedy byli związani ze sobą uprzężą, tuż przedtem, zanim skoczyli i wylądowali na spadochronie na kadłubie Obieżyświata. Shinobu pozostawił na dachu wieżowca swojego kumpla Briana. Wyobraził go sobie teraz, jak tkwi samotnie na dachu budynku kołyszącym się lekko pod jego stopami i zastanawia się, co u licha stało się z Shinobu po tym skoku.

W ciemności niemal usłyszał Briana mówiącego: „Gdzie się podziałeś, Barakudo? Musiałem sam odnaleźć drogę powrotną do Hongkongu".

Mrugając, aby przezwyciężyć otępiające działanie środków uśmierzających ból, Shinobu zapragnął odpowiedzieć: „Nie wiem, gdzie właściwie jestem, Sandaczu".

Ale przecież w istocie wiedział. W ciemności dostrzegał zarys twarzy Quin w nikłej poświacie athamenu, który trzymała w ręce. Ten athamen – athamen Sędziów – jarzył się jaśniej niż inne, które Shinobu widywał, a jego wibracje były znacznie silniejsze, jakby przechowywał i emitował więcej energii niż jakikolwiek inny.

„Recytuj hymn – rzekł do siebie Shinobu. – Zanim będzie za późno".

– „Tu jestem ja" – spróbował jeszcze raz.

– „Tu jestem ja – wyszeptała obok niego Quin – tam gniazdo me. Dobrze wiem, gdzie początek mej drogi, gdzie znajdę jej kres. Pęd rzeczy wpośród tych miejsc bezpieczny da mi powrót. Tu jestem ja…".

Shinobu miał nadzieję, że te słowa pomogą Quin skupić umysł na strumieniu czasu, który pozostawili za sobą, tak aby nie zagubiła się Tam, gdzie czas właściwie nie istnieje, i mogła wyprowadzić stąd ich oboje – ponieważ Shinobu tym razem nie mógł jej w niczym pomóc.

Miał wrażenie, że z przestrzenią wokół niego coś jest nie w porządku, jakby znajdował się zarazem w dźwiękoszczelnej kabinie i w olbrzymiej jaskini. Quin puściła jego ramię, a Shinobu czuł się już tak zagubiony, że zaczął się niepokoić, czy nie porzuciła go tu na zawsze. Po chwili jednak zobaczył jej palce przesuwające się po pokrętłach athamenu. Stała tuż przy nim.

– Dokąd się udamy? – spytał.

Głos miał cienki i napięty. Jak długo tu przebywali? Kilka chwil? Godzin?

– Do Hongkongu – odpowiedziała szeptem. – A przynajmniej mam nadzieję, że

wybieram Hongkong.

„Powinienem oddychać – pomyślał. – Czy oddycham?”. Gwałtownie wciągnął w płuca powietrze. Usłyszał nikłe trzaski ustawianych pierścieni athamenu, ale te ostre, ciche dźwięki dobiegały do jego uszu jako odległe, powolne, głuche łomoty. Czas spowalniał bieg. Znów rozległa się niska, dudniąca wibracja.

Dziewczyna ujęła go pod ramię. „Quin, dotykasz mnie”, pomyślał. W tym momencie to wystarczało, by opanował wszelki strach. Jej bliskość była kotwicą w ciemności, pozwalającą Shinobu powrócić do samego siebie. Czas teraz przyspieszył, gdy Quin kreśliła w powietrzu kolejną anomalię. Ciemność się rozstąpiła, wijące się wężowo pasma światła i czerni splatały się ze sobą, tworząc nowe owalne przejście, ich energia wypływała na zewnątrz, z mroku otaczającego Shinobu i Quin do świata poza nim.

Tam, po drugiej stronie, były drzewa i poranne niebo. Shinobu natychmiast ujrzał wyraźnie Quin, jej czarne włosy i oczy, jej uroczą, szczerą twarz i usta, które pocałowały go niedawno, tuż zanim zasnął.

– Możesz iść? – spytała dziewczyna, przeciągając go przez pulsujące przejście.

– Oczywiście – odpowiedział i w tej samej chwili upadł.

Rozdział 4
John

Z zamkowego dziedzińca uprzątnięto nieco śmieci i teraz John stał na jego skraju, naprzeciwko Młodej Sędzi. Ona stała pośrodku placu całkowicie bez ruchu i też spoglądała na niego.

Było już dobrze po północy. Księżyc wisiał nisko na częściowo zachmurzonym niebie, rzucając na ziemię długie, ciemne cienie i oświetlając kontury potrzaskanych ruin zamku.

I było zimno, niemal mroźnie.

Młoda Sędzia – albo Maud, jak obecnie pozwalała Johnowi się nazywać – kazała mu rozebrać się do bielizny i zdjąć buty. Ilekroć zaczynał czuć się odrobinę swobodniej w swoim reżimie treningowym, Maud wynajdywała jakiś sposób, by znów wprawić go w zakłopotanie. John czekał teraz na jej pierwsze polecenie, a jego oddech rozchodził się w powietrzu obłoczkami pary. Jednak chłopiec nie drżał z zimna. W ciągu minionych tygodni nauczył się na tyle dobrze koncentrować, by móc powstrzymywać swoje ciało przed dygotaniem z wychłodzenia – przynajmniej przez pewien czas.

Wbrew wszelkim oczekiwaniom Johna Młoda Sędzia odszukała go po walce stoczonej na Obieżyświacie i oznajmiła mu, że dokończy jego trening Poszukiwacza. Kiedy Briac odmówił dalszego szkolenia Johna, chłopiec próbował zmusić do tego Quin, lecz osiągnął jedynie tyle, że skrzywdził ją i innych. Zdecydowany był zadawać rany czy nawet śmierć, gdyby to okazało się absolutnie konieczne. „Nie możesz bać się działania – powiedziała mu przed laty matka, kiedy konała na jego oczach. – Bądź gotów zabijać". Jednak oczywiście lepiej było nie musieć ścigać Quin. Młoda Sędzia zaproponowała mu alternatywne rozwiązanie.

W zamian zażądała, aby w pełni poświęcił się treningowi. Zamierzał dać z siebie wszystko i okazać się wzorowym uczniem. Miał już osiemnaście lat, był starszy, niż zazwyczaj bywają uczniowie szkolący się na Poszukiwaczy. W końcu jednak zyskał szansę, aby nauczyć się posługiwania athamenem i spełnić oczekiwania matki i babki.

Rana pod lewym obojczykiem, w miejscu gdzie Briac postrzelił go na pokładzie Obieżyświata, pulsowała boleśnie, ale była już w połowie zagojona dzięki najświetniejszej kuracji medycznej, jaką mogła Johnowi zapewnić fortuna jego dziadka. Cieszyło go to, gdyż Maud nie akceptowała bólu jako usprawiedliwienia źle wykonanych ćwiczeń.

Młoda Sędzia była ubrana podobnie jak on, miała na szczupłym, żylastym ciele luźny podkoszulek i zwyczajne krótkie spodnie. Jakkolwiek wiele wymagała od Johna, była nie mniej wymagająca wobec siebie. Widział jej sprężyste mięśnie uwydatnione cieniami rzucanymi przez księżycową poświatę. Oczywiście ona też nie drżała. Poddawała swoje ciało tak surowej kontroli, że John podejrzewał, iż prędzej zamarzłaby na śmierć, niż pozwoliłaby sobie zadygotać z zimna. Zrozumiał, że wolała niewygody, gdyż pozwalały jej zachować szczytową formę fizyczną i umysłową.

Maud miała włosy związane z tyłu głowy. Rysy jej młodej twarzy były w świetle księżyca groźne, a zarazem imponujące. Przypominała posąg mściwej bogini, który lada

moment ożyje.

U jej nóg leżała sterta rozmaitych rzeczy – kamienie, zardzewiałe podkowy, grudy ziemi, połamane kawałki starej broni. Przez minione dni, odkąd rozpoczęło się szkolenie Johna, oboje zbierali te przedmioty, przeczesując teren posiadłości. A teraz Młoda Sędzia nieustannie używała ich przeciwko niemu.

Obok tej sterty leżał na ziemi rozrywacz Johna. Maud wystawiła go na cały dzień na działanie światła słonecznego, aby zgromadził energię. Teraz opalizujący metalowy korpus lśnił w blasku księżyca i wyglądał niemal ładnie, chociaż w rzeczywistości rozrywacz był bronią stworzoną po to, aby siać grozę. Przypominał niewielkie szerokie działko z lufą o średnicy dwudziestu pięciu centymetrów, składającą się z setek maleńkich otworów. Kiedy ktoś, mając rozrywacz przymocowany skórzanymi paskami do klatki piersiowej, wystrzelił z niego, z otworów wylatywała błyskawicznie chmara elektrycznych iskier, aby otoczyć głowę ofiary stanowiącej cel. I jeśli nie zdołała ona uniknąć tych iskier i ją trafiły, rozrywały tok myśli i niszczyły umysł. Stawała się *zakłócona*.

John wiedział, że tej nocy Młoda Sędzia nie strzeli do niego z rozrywacza. Zapowiedziała mu, że zrobi to dopiero na późniejszym etapie szkolenia. A jednak przyniosła tę broń tutaj, na teren zamkowy, i położyła obok siebie, żeby John mógł ją dobrze widzieć. W trakcie szkolenia przez Briaca Kincaida John nie potrafił opanować strachu przed rozrywaczem, więc Maud chciała, żeby chłopiec oswoił się z widokiem tej broni. John starał się nie patrzeć na rozrywacz, lecz ilekroć jego spojrzenie przypadkiem zatrzymywało się na nim, serce zaczynało bić mu szybciej. Przypominał sobie słowa matki: „Zrób, co należy". Pomyślał, że jakoś zdoła przezwyciężyć ten lęk.

– Zaczynaj! – zawołała Młoda Sędzia.

John błyskawicznie wprawił mięśnie w ruch i puścił się biegiem na ukos przez dziedziniec z kamieniami, suchymi gałęziami i odłamkami cegieł zrujnowanego zamku. Patrzył na wprost, obserwując wszystko przed sobą i na skraju pola widzenia bez poruszania gałkami oczu. Posługiwał się umiejętnością skupiania nieruchomego wzroku, której nauczyła go Maud. Widział kątem prawego oka, jak Młoda Sędzia obraca się, śledząc jego bieg. Obracała się tak powoli i płynnie, że jej stopy zdawały się nie przesuwać.

– Teraz! – krzyknęła ostrzegawczo.

I zaczęła rzucać rzeczami ze sterty. Jej ręce poruszyły się tak szybko, że John dostrzegł tylko rozmazaną smugę, gdy cisnęła w niego jakimś ciemnym przedmiotem. Chłopiec zrobił unik w lewo, obracając się błyskawicznie o trzysta sześćdziesiąt stopni, a kamień świsnął mu koło głowy i uderzył w głaz na skraju dziedzińca.

– Teraz! – ostrzegła go ponownie i ku Johnowi pomknął drugi czarny kształt.

Chłopak wskoczył na szczyt sterty gruzu i wysoko się wybił. To coś, czym rzuciła Maud – może podkowa? – trafiło go w łydkę. Wylądował ciężko i poczuł impet uderzenia dopiero w chwili, gdy jego stopy dotknęły gruntu. Nogę przeszył w górę palący ból. John jednak nadal biegł.

„Ból to nic – powiedział sobie, wpatrując się przed siebie nieruchomym wzrokiem. – Ból nie ma znaczenia. Moja matka przeszła przez o wiele gorsze rzeczy. Moja babka

pokazała mi o wiele gorsze rzeczy…”.

Tym razem Maud nie krzyknęła i kolejny przedmiot nadleciał bez ostrzeżenia. John właśnie skręcał przy południowym końcu dziedzińca, gdy spostrzegł jej następny ruch. Przez powietrze poszybował wielki kamień. Chłopak rzucił się na ziemię i przetoczył na bok. Ledwie zdążył znów wstać, nadleciał kolejny kamień. John podskoczył i w ostatniej chwili zdołał cofnąć przed nim nogi. A potem w jego stronę poszybował jeszcze jeden przedmiot i po chwili następny.

– Świetnie! – krzyknęła Maud. – Duży postęp!

John miał dość rozsądku, by nie zwolnić biegu ani na nią nie spojrzeć. Nadlatywał ku niemu nowy grad kamieni.

– Gdyby szło ci tak dobrze podczas treningu z Briakiem, nie musiałbyś zdradzić Quin – zauważyła Maud.

Powiedziała to tak, jak mówiła wszystko inne – spokojnym, opanowanym głosem – a jednak te słowa zabolały Johna, jakby uderzyła go w twarz. Próbowała rozproszyć jego uwagę i to się jej udało. „Nie chciałem jej zdradzić. Kochałem ją. Ale ona nie chciała mi pomóc”.

Jakiś przedmiot trafił go w żebra. Był to mały kamyk, ale Maud rzuciła nim tak mocno, że John przez chwilę miał wrażenie, jakby otrzymał postrzał. Zatoczył się na bok, lecz zdołał utrzymać kierunek biegu.

– Skup się! – zawołała Młoda Sędzia. – Nie patrz na mnie.

Znowu w niego rzucała, obiema rękami równocześnie. Kątem oka John zobaczył, że pochyliła się nad rozrywaczem, jakby zamierzała podnieść go i wycelować w niego.

„Nie zrobi tego”.

– Twoja matka chciała wychować zdrajcę – powiedziała, gdy uchylał się przed ciskanymi przez nią pociskami. – Chciała, żebyś był bezlitosny.

– Nie jestem zdrajcą…! – krzyknął, dając się sprowokować i odwracając ku Maud.

Seria kamieni trafiła go i natychmiast zbiła z nóg. Upadł na żwirowy grunt.

„Nie jestem zdrajcą – pomyślał gniewnie. – A matka chciała tylko tego, co dla mnie najlepsze”. Wstał i potarł klatkę piersiową, która bolała go, jakby walnięto w nią młotem.

Młoda Sędzia przyglądała mu się ze środka dziedzińca.

– Pozwoliłeś, żebym odwróciła twoją uwagę – powiedziała cicho, podchodząc do niego. – Moje słowa cię rozproszyły. I myśli o rozrywaczu.

John przytaknął, z trudem odzyskując opanowanie. Dlaczego tak zareagował na jej prowokację?

– Przepraszam. Pozwól mi spróbować jeszcze raz.

– Wystarczy na dzisiejszą noc. Jesteś ranny?

Cofnął dłoń od posiniaczonej piersi.

– Ból niewiele znaczy – odpowiedział, powtarzając słowa, jakie zawsze mu mówiła.

Skinęła potwierdzająco głową.

– To tylko ból.

Niemniej jednak obejrzała go uważnie od głowy do stóp. Poświęciła kilka chwil na

zbadanie gojącej się rany po kuli pod obojczykiem, widocznej przez luźny kołnierzyk podkoszulka. Z bliska John dostrzegał dziewczęcość ciała i rysów twarzy Maud, cechy, które stały się dla niego oczywiste, odkąd zaczęli treningi w skąpych ubraniach. Gdy jednak Maud mu się przyglądała, nie miał wrażenia, jakby patrzyła na niego dziewczyna, lecz raczej jakby prześwietlał go szpitalny aparat rentgenowski.

– Jesteś dobrym wojownikiem, John – rzekła do niego – kiedy nie pozwalasz sobie na rozkojarzenie.

– Wszyscy tak mówią: Briac, Alistair, Quin – wymamrotał tonem pełnym irytacji, która dręczyła go przez lata szkolenia w posiadłości.

Dyszał ciężko po biegu i starał się uspokoić oddech. Rzeczywiście dobrze się spisał podczas dzisiejszego ćwiczenia.

– Łatwo wyprowadzić cię z równowagi. Wystarczy kilka słów, gest w kierunku rozrywacza i jesteś zgubiony.

Nadal poddawała go oględzinom, dotykając delikatnie miejsc przy żebrach, gdzie posiniaczyły go kamienie. Jej bliskość działała mu na nerwy.

Nagle skończyła i od niego odeszła.

– Weź rozrywacz – poleciła.

John skrył niechęć. Poszedł na środek dziedzińca i podniósł broń z ziemi. Była ciężka, wykonana niemal wyłącznie z metalu, a gruba skórzana uprząż jeszcze zwiększała jej wagę.

– Włóż go – powiedziała Młoda Sędzia.

Nadal stała na skraju dziedzińca i patrzyła. Wyraz twarzy miała obojętny, ale ton głosu rozkazujący.

John narzucił uprząż na ramiona i umieścił rozrywacz przy ciele. Podstawa broni zakrywała mu niemal całą klatkę piersiową. Otwory u wylotu lufy były nieregularnie rozmieszczone i miały rozmaite rozmiary, jakby ktoś roztargniony wyżłobił je gwałtownie i na chybił trafił.

„Kiedy iskry otoczą czyjąś głowę, utworzą zakłócające pole. To pole rozrywa tok myśli. Ilekroć w głowie zakiełkuje myśl, pole rozrywacza wypacza ją i odsyła z powrotem odmienioną". Minęły lata, odkąd usłyszał te słowa od ojca Shinobu, Alistaira MacBaina, gdy Alistair po raz pierwszy wyjaśniał w posiadłości uczniom działanie rozrywacza, ale John doskonale je pamiętał. „Umysł skręca się w supeł, zwija, zapada w sobie. Człowiek chciałby się zabić, ale nie może. Nawet ten zamiar wnet ulatuje i przekształca się w coś zupełnie innego".

John miał na sobie rozrywacz ostatnio podczas walki na Obieżyświacie, kiedy wystrzelił z niego do Briaca Kincaida. Poczuł wtedy okrutną satysfakcję, ale kiedy teraz przypomniał sobie strzelanie z rozrywacza, wspomnieniu towarzyszył przypływ lęku. Przed tamtym starciem z Briakiem John widział ludzi zakłóconych polem rozrywacza – Alistaira MacBaina oraz swojego sługę Fletchera. Do tych incydentów doszło przypadkiem, lecz to nie rozwiewało poczucia winy Johna. A jeszcze wcześniej widział, jak pole rozrywacza zakłóciło jego matkę, którą Briac utrzymywał przy życiu przez lata jako na wpół martwy, udręczony szkielet. Doświadczenia Johna z tą bronią bardziej potęgowały jego lęk, niż go zmniejszały. Czując na piersi ciężar rozrywacza, chłopak

wiedział, że ma władzę doprowadzenia kolejnej istoty ludzkiej do obłędu.

– Uruchom go – poleciła Maud, wyrywając Johna z rozmyślań.

– Po co? – zapytał.

Zmierzyła go ciężkim, niewzruszonym spojrzeniem i nie powiedziała nic więcej; wydała mu rozkaz i oczekiwała, że go wypełni.

Powiódł dłonią w dół boku korpusu broni. Z wnętrza rozrywacza wydobył się wysoki, przenikliwy, narastający pisk. Potem rozległ się trzask wyładowań elektrycznych i John zobaczył, jak w górę jego ręki pełznie czerwona rozwidlona błyskawica i zaraz znika.

Młoda Sędzia poszła w kierunku chłopca, lecz zatrzymała się w połowie drogi przez dziedziniec.

– Wystrzel z niego we mnie – rzekła.

– Dlaczego? – spytał.

Poczuł wzbierające w żołądku mdłości. Nie chciał strzelać do Maud.

– Wystrzel do mnie – powtórzyła.

Jej twarz wyglądała młodo i zarazem staro, miała stanowczy wyraz. John wiedział, że albo zrobi to, czego żąda Maud, albo przestanie być jej uczniem.

Przesunął rękę jeszcze niżej, ku podstawie rozrywacza, a wycie stało się jeszcze wyższe i głośniejsze. Wycelował broń w Maud i strzelił.

Z rozrywacza wyleciało z groźnym brzęczeniem tysiąc różnobarwnych iskier i pomknęło w kierunku Młodej Sędzi. Gdyby do niej dotarły, otoczyłyby rojem jej głowę i już nigdy by się od nich nie uwolniła.

– Rusz się! – krzyknął do Maud, czując panikę chwytającą go za gardło.

Ale Maud obróciła się błyskawicznie w bok i z łatwością usunęła się z toru lotu iskier, zanim mogłyby ją trafić. Poszybowały dalej i uderzyły w wielki odłam skalny na skraju dziedzińca. Nie znalazłszy ludzkiego celu, zniknęły w tęczowych, świetlnych rozbłyskach.

Młoda Sędzia podeszła do Johna, spokojna i opanowana jak zawsze.

– Rozrywacz cię przeraża, nawet gdy nim władasz.

– Tak – wyszeptał chłopak, zawstydzony prawdziwością jej uwagi.

– Do tego jest przeznaczony – powiedziała. – Ale to broń jak każda inna. Dzięki praktyce można sobie z nią poradzić. Ze wszystkim można sobie poradzić.

John skinął głową, pragnąc w to uwierzyć.

– Gdybyśmy mieli fokal – rzekła w zamyśleniu – to usunęłoby twój niepokój i strach.

– Co to jest… – zaczął, ale przerwała mu, unosząc rękę.

Nasłuchiwała czegoś, chociaż John nie słyszał niczego oprócz cichego szumu drzew otaczających ruiny zamku, poruszanych lekkim zimnym wietrzykiem.

– Co takiego? – spytał.

– Coś się dzieje – powiedziała. – Chodź.

Rozdział 5
Quin

Shinobu osunął się na ziemię przy Quin w chwili, gdy wyszli z anomalii z powrotem do zwykłego świata. Złapała go za ramiona, powstrzymując przed upadkiem.

– Nic ci nie jest?

– Chyba nie… chyba nie – wymamrotał, usiłując utrzymać się na nogach.

Quin ustawiła pokrętła athamenu najdokładniej, jak potrafiła, na współrzędne Hongkongu, które zapamiętała przed laty, jednak odmienność pierścieni tego athamenu sprawiła, że trafili w inny rejon miasta. Z zapachów unoszących się w powietrzu i z odcienia światła wywnioskowała, że są na wyspie Hongkong, gdzieś nieopodal Wzgórza Wiktorii. Athamen z wyrytym na gałce lisem – ten, na którym się szkoliła – sprowadzał ją zawsze bliżej wzgórza. Teraz ona i Shinobu stali na gąbczastym gruncie, nieco dalej w dół zbocza.

Patrzyła przez ramię, jak anomalia traci swój kształt, jak pasma czerni i bieli oddzielają się od huczącego basowo obrzeża kręgu, rozciągają się ku centrum otworu i zarastają przejście, które wycięła w tkance świata. Po chwili anomalia zapadła się w siebie i zniknęła.

– Proszę, przestań się ruszać – wyszeptał Shinobu w ramię Quin. – Przez ciebie ziemia się trzęsie.

– Daję słowo, że stoję nieruchomo.

– Na pewno? – zapytał, jego powieki zatrzepotały i opadły.

– Na pewno. Uchwyć się mnie.

Najwyraźniej jego implanty wydzielające środek przeciwbólowy działały na najwyższych obrotach. Quin nie sądziła, by dawka była śmiertelna, jednak musiała szybko zaprowadzić Shinobu do lekarza. Jego rana od miecza była ledwie zagojona, a niewątpliwie nadwerężył ją podczas niedawnej szaleńczej walki w szpitalu. Inna, ważniejsza kwestia – kim byli ci chłopcy, którzy ich zaatakowali – będzie musiała zaczekać, dopóki Quin nie zapewni Shinobu opieki medycznej.

Poczuła, że po jej nadgarstku ścieka strużka, i zobaczyła, że krwawi na Shinobu z rozcięcia na przedramieniu w miejscu, w którym młodszy z napastników dosięgnął ją swoim dziwacznym, odrąbanym w połowie morferem. Obróciła się, tak aby Shinobu opierał się o jej plecy i aby mieć wolne obie ręce. Oderwała od koszuli pasek materiału i przewiązała ranę.

– Chodź – powiedziała, odwracając się z powrotem do Shinobu i otaczając go ramieniem. – Pójdziemy do szpitala.

– Ale do innego szpitala, prawda? – Roześmiał się sennie. – Chyba nie powinniśmy wracać do tamtego.

Quin się uśmiechnęła. To dobry znak, że chłopiec nadal żartował.

– Tak. Jesteśmy teraz na drugim końcu świata.

W odległości kilku metrów las kończył się przy wąskiej ścieżce, jednej z wielu otaczających Wzgórze Wiktorii. Quin ostrożnie poprowadziła Shinobu w tamtym kierunku.

– Mogliśmy pokonać tamtych chłopaków – wymamrotał niewyraźnie. – Nie musieliśmy uciekać.

– Bałam się, że jeśli będziemy dalej walczyć, zostaniesz ranny… to znaczy jeszcze ciężej.

– Jak myślisz, kim oni byli?

– Nasłał ich mój ojciec – odrzekła, prowadząc Shinobu między drzewami. – I może uważali, że ten athamen należy do niego.

Poprzednio widziała ojca na miejscu katastrofy Obieżyświata, jak rzucał się wściekle i opierał się ratownikom medycznym usiłującym wsadzić go do karetki. W szpitalu zobaczyła iskierki wokół jego głowy i zrozumiała jego wcześniejsze szaleńcze zachowanie – podczas walki na statku powietrznym został zakłócony przez strzał z rozrywacza, przynajmniej częściowo.

– Został zakłócony – powiedział Shinobu, wtórując jej myślom. – Ale nie zachowywał się jak kompletnie zaburzony.

Shinobu widział zakłóconego swojego ojca i wcześniej opisał Quin ten stan dzikiego otępienia. Briac nie zachowywał się aż tak, chociaż wyglądał dziwacznie.

– Jego widok… trochę mną wstrząsnął – wyznała Quin.

– Współczujesz mu? – spytał Shinobu.

Nie współczuła ojcu, który okłamywał ją przez lata, zmusił do robienia potwornych rzeczy i całkowicie by ją zdominował, gdyby mu na to pozwoliła. Podczas walki na Obieżyświacie gotowa była zabić Briaca Kincaida. Ale w szpitalu się zawahała – ponieważ wydawał się taki bezradny.

– Nie współczuję mu – odpowiedziała – ale rzeczywiście ogarnęły mnie wątpliwości.

Shinobu przechylił głowę ku niej i wymamrotał:

– To dobrze, że znowu mnie dotykasz. Nie potrafisz się powstrzymać, prawda? – Spróbował spleść palce z palcami jej dłoni, którą ściskała mu ramię. Tracił przytomność. Zatoczył się na Quin, kiedy wyszli z lasu i ruszyli w dół skarpy. – *Powinnaś* chcieć mnie dotykać – mówił dalej niewyraźnie, zlewając słowa. – Miałem wiele zadowolonych klientek. Uwierz mi, naprawdę.

Quin nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Wiele zadowolonych klientek? Ile dokładnie? – zapytała, ostrożnie prowadząc go brukowaną dróżką. Starała się nakłonić go, by nie przestawał mówić. – Czy którakolwiek z tych dziewczyn musiała aż dwukrotnie prowadzić cię do szpitala i…

Urwała. Stała twarzą w twarz ze swoim ojcem. Znowu.

Briac Kincaid stał pośrodku ścieżki i patrzył na nią dzikim wzrokiem. Otworzył usta.

Dziewczynę na moment sparaliżowało. Przyglądała się, jak Briac kręci głową na boki, jakby próbował kogoś wypatrzyć. Jego wargi się poruszyły.

„On zamierza krzyknąć – pomyślała Quin. – Zbiera się do krzyknięcia”.

Usłyszała szelest pośród gałęzi nad głową. Ktoś był wysoko na drzewie rosnącym po drugiej stronie ścieżki. I ten ktoś najwyraźniej towarzyszył Briacowi Kincaidowi. Podążyli za nią albo może dotarli tutaj przed nią.

Uważając, by nie puścić Shinobu, podniosła ze skraju ścieżki kamień i rzuciła go tuż przy twarzy Briaca. Ojciec obrócił głową w ślad za kamieniem zataczającym w powietrzu łuk. Quin mocniej chwyciła Shinobu i pognała ścieżką w dół zbocza wzgórza. Chłopiec był ledwie przytomny i nadal ranny – wykluczone, by oboje wdali się w kolejną walkę.

– Ach! – wykrzyknął Briac, którego w końcu odetkało. – Aaaach! Aaaach!

– Co? – spytał spomiędzy gałęzi w górze młody, zirytowany głos.

Quin, na poły pchając Shinobu, a na poły go wlokąc, pobiegła głębiej w zarośla i padła na kolana. Chłopiec osunął się na ziemię przed nią.

– Au – wymamrotał.

Quin wciągnęła go w ukrycie pod gałęziami wielkiego, gęstego krzewu i ostrożnie ułożyła na wilgotnej ziemi. Potem wychyliła się ponad pierś Shinobu i zerknęła w górę przez gałęzie. Obydwaj chłopcy, którzy zaatakowali ich w szpitalu, siedzieli na drzewach i spoglądali na północ, w kierunku portu, który jak przypuszczała, był dobrze widoczny z ich punktu obserwacyjnego.

– Muszą mieć własny athamen – szepnęła. – Ci chłopcy, którzy na nas napadli, są tutaj – razem z moim ojcem.

Zastanawiała się, czy razem z Shinobu spędzili Tam więcej czasu, niż sądziła. To było ryzyko używania athamenu. Człowiek może odłączyć się od strumienia czasu realnego świata i zagubić. Jeśli nie zachowa się ostrożności, można zgubić się aż tak, że już nigdy się nie wróci.

– On znów coś zmyśla! – mówił młodszy chłopiec, ten piegowaty, który wyglądał na jedenaście czy dwanaście lat.

– To moja matka! – wrzasnął Briac. – Zejdźcie na dół i ją znajdźcie!

– Twoja matka byłaby teraz bardzo stara – rzekł do niego starszy chłopiec. – A to miasto jest olbrzymie. Wystawiłeś nas do wiatru.

– Spójrz na te statki – powiedział młodszy z nutą podziwu w głosie. – Tak ich dużo.

– Ale ona tu była. Miałem rację – rzekł z uporem Briac, odzyskując na moment precyzję wysławiania się. – A jeśli ona jest tutaj, jest tu też athamen Sędziów.

Quin mogła dostrzec nogi ojca, który nadal był na ścieżce i wciąż się obracał.

– Fiono! – zawołał. – Fiono MacBain!

– Nott, zrób coś, żeby się przymknął! – polecił starszy chłopak.

Quin patrzyła, jak gałęzie się zatrzęsły i młodszy chłopiec – Nott – zeskoczył.

Poruszał się z niewymuszoną zręcznością. Najpierw powoli, a potem gwałtownie przyspieszył. Pomyślała, że trochę przypomina… trochę przypomina Młodą Sędzię.

– Fiono MacBain? – wymamrotał Shinobu, reagując z opóźnieniem na słowa Briaca.

„MacBain” było panieńskim nazwiskiem matki Quin, którego nie używała od niemal dwudziestu lat.

– Umysł mu się pomieszał. Stale myli mnie z kimś innym.

Kiedy chłopiec nazwany Nottem znalazł się na ziemi, Quin zobaczyła, jak bardzo jest poturbowany – miał wielkiego guza na czole, opuchnięte nos i policzek, kilkanaście rozcięć i zadrapań po walce w szpitalu oraz liczne dawniejsze blizny. Nott ściągnął Briaca

ze ścieżki, zaprowadził w zarośla i pchnął na kolana, a potem zatkał mu dłonią usta. Briac zmarszczył nos i Quin przypomniała sobie, że chłopiec okropnie śmierdzi; czuła to nawet z tej odległości.

Teraz starszy chłopak schodził z drzewa. Poruszał się jeszcze zręczniej, jakby czas płynął dla niego równym, łatwym rytmem. Przy pasku miał athamen. Zeskoczył na leśną ściółkę i uderzył Briaca pięścią w szyję. Briac z cichym jękiem upadł na ziemię. Chłopcy się roześmiali, odsłaniając brudne, porysowane zęby. Rozejrzeli się wokoło po lesie, jakby chcieli się upewnić, że mężczyzna rzeczywiście nikogo nie wypatrzył. Quin przywarła płasko do ziemi obok leżącego Shinobu.

Pomyślała, że chłopcy przypominają trochę Młodą Sędzię sposobem poruszania się, lecz całkowicie różnią się od niej złośliwą satysfakcją z zadawania bólu. I traktowali jej ojca jak swoją własność. Kim byli i w jaki sposób pojmali Briaca? Athamen i morfery wskazywały, że są Poszukiwaczami, jednak Quin nie całkiem potrafiła w to uwierzyć. A jeżeli uważali, że mają prawo odebrać jej athamen Sędziów, to co łączyło ich z Sędziami? Czy Młoda Sędzia dała Quin athamen, wiedząc, że ci chłopcy będą ją ścigać? Dziewczyna popatrzyła poprzez zwisające gałęzie na ich brudne, okrutne twarze. Nie, nie potrafiła sobie wyobrazić, by Młoda Sędzia miała coś wspólnego z tymi chłopakami.

Jedno było pewne: jeśli Quin sądziła, że ona i Shinobu będą mieli czas i sposobność, żeby na własną rękę zbadać tajemnice Poszukiwaczy, bardzo się pomyliła. Z jakiegoś powodu oboje natknęli się na nowy, niebezpieczny element tej zagadkowej sytuacji.

– Jak mamy ją tutaj znaleźć? – zapytał starszy chłopak, kucając i pochylając się nad Briakiem.

– Możemy… możemy odnaleźć ją… i athamen – wyjąkał Briac.

Wydawał się z wielkim wysiłkiem zbierać myśli, ale jego starania były godne uwagi.

– W ogóle nie powinniśmy byli tu trafić – utyskiwał młodszy chłopiec. – Trzeba ściągnąć pozostałych i gruntownie przeczesać teren. Myślałem, że szukamy jego, a nie ścigamy jakąś dziewczynę. Wilkinie, on nas okłamał, aby nakłonić do tego, żebyśmy mu pomogli.

Na te słowa starszy chłopak – Wilkin – trzepnął młodszego w bok głowy.

– Ja decyduję, co robimy! Widzieliśmy ten athamen, Nott, prawda? A więc powinniśmy go teraz odzyskać. On będzie z nas zadowolony. Wiesz o tym.

– Albo wpadnie we wściekłość! – odparł Nott. – A co będzie, Wilkinie, jeśli wylądujemy w naszej pieczarze? Jeżeli do tego dojdzie, obwinię ciebie.

– A ja ciebie – zripostował Wilkin. – A więc ustalone.

Quin zastanawiała się, kim jest ten „on”. Czy rozmawiali o Briacu? Jeśli tak, mówili o nim, jakby był nieobecny – chociaż odkąd został zakłócony, to poniekąd była prawda. Czy to Briac chciał zdobyć athamen Sędziów? Ale chłopcy traktowali jej ojca pogardliwie, a nie jak kogoś, kto budzi ich szacunek czy lęk.

Briac podźwignął się na kolana, twarz mu zastygła. Desperacko usiłował się skupić.

– Quin – szepnął cicho Shinobu – chyba krwawisz.

Nadal pochylała się nad jego klatką piersiową. Odsunęła się na bok i zobaczyła, że

dół koszuli Shinobu jest przesiąknięty krwią. Bardzo ostrożnie podciągnęła wilgotny materiał.

– Och – westchnęła.

Rana na jego brzuchu otworzyła się i krew wyciekała z niej gęstym, ciemnym strumykiem.

– Dobrze się czujesz? – spytał Shinobu tak cicho, że ledwie go usłyszała.

Myślał, że to jej krew.

– Tak – odrzekła szeptem i delikatnie zasłoniła mu dłonią usta. Nie mogli pozwolić, by ich usłyszano. – Nie odzywaj się, dobrze?

Dotąd planowała, że pozostaną w ukryciu, póki tamci chłopcy nie odejdą, lecz teraz nie mogła czekać. Starając się narobić możliwie jak najmniej hałasu, odsunęła rękę od ust Shinobu, wycięła ze spodni od dresu kawałek materiału, złożyła go kilkakrotnie i przycisnęła mocno do rany chłopca. Potem wycięła dłuższy pasek, by umocować nim prowizoryczny opatrunek.

W trakcie tych czynności zerknęła przez gałęzie na chłopców. Młodszy podniósł z ziemi niewielki plecak i wyjął z niego coś w rodzaju metalowego kasku. Starszy wyrwał mu go z rąk.

– Jeżeli nie chcesz, żebyśmy zrobili, co należy, powinniśmy przynajmniej ponownie użyć hełmu, żeby się dowiedzieć, gdzie ona jest – jęknął z pretensją w głosie Nott. – Jak inaczej mamy ją znaleźć?

– Nie bądź idiotą! – odparł Wilkin, znów uderzając Notta. – Nie wiemy, gdzie ona jest. Nigdy nie wiedzieliśmy, gdzie ona jest ani niczego o tym mieście. Ten hełm nam nie pomoże!

– Ale on wie – rzekł Nott. Jedną ręką trzymał się za ucho, w które trzepnął go starszy chłopak, a drugą wskazywał na Briaca. – Zamierzałem włożyć hełm jemu, nie sobie. Uporządkować j e g o myśli. Tak jak zrobiliśmy w tamtym domu wariatów.

Starszy chłopiec zamilkł, jakby istotnie uznał propozycję użycia kasku wobec Briaca za dobry pomysł.

– Oni mają jakiś hełm – szepnęła Quin. Sięgnęła pod plecy Shinobu, żeby obwiązać paskami materiału jego tułów. To nie było łatwe i miała nadzieję, że jej ciche słowa odwrócą jego uwagę od bólu. – W dzienniku Catherine jest rysunek takiego samego.

Zawiązała paski nad prowizorycznym opatrunkiem, przez który już przesączała się krew. Oderwała i złożyła następny gruby kawałek materiału i umieściła go na ranie, jednak to niewiele pomogło.

Znowu zerknęła w górę i zobaczyła, że jej ojciec wpatruje się z szokującą intensywnością w kask. Nawet w cieniu drzew ten przedmiot odbijał przyćmione światło, połyskując zmiennymi kolorami. Metal, z którego był wykonany, opalizował – tak jak metal rozrywacza.

Obaj chłopcy przysunęli się blisko do siebie i poszeptywali, a tymczasem Quin obserwowała, jak ojciec ukradkiem chwycił kask z ziemi i włożył sobie na głowę. Potem sięgnął po ich athamen.

Quin wykorzystała ten moment, żeby się ruszyć.

– Pociągnę cię – szepnęła do Shinobu.

Chwyciła go za kostki nóg i wywlekła spod krzaka. Jęknął, uchylił nieco powieki i popatrzył na nią.

Kiedy dotarli do niewielkiej polanki pośród drzew, wyjęła swój athamen. Miała nadzieję, że zdoła nieznacznie przesunąć jedno pokrętło i sprowadzić ich w inne miejsce w obrębie Hongkongu – z dala od tych chłopców, a bliżej szpitala. Jeśli im obojgu uda się znaleźć jakieś bezpieczne schronienie, choćby na kilka godzin, być może będzie mogła ustalić, co właściwie się dzieje.

Gdzieś spomiędzy drzew dobiegł mrożący krew w żyłach wrzask i Quin zamarła.

– On go zabrał! – krzyknął młodszy chłopiec. – Zabrał go, Wilkinie! I athamen!

Quin, najszybciej jak potrafiła, ustawiła pierścienie swojego athamenu, żeby sprowadzić siebie i Shinobu Tam, po czym uderzyła nim o krzesiwo. Rozległ się wibrujący dźwięk, a chwilę później dziewczyna poczuła drżenie identycznej wibracji. Widocznie ojciec uruchomił athamen chłopców. Chociaż Quin nie widziała Briaca, domyśliła się, że próbuje uciec z ich kaskiem i kamiennym sztyletem. Chłopcy wpadli we wściekłość.

Wyrysowała w powietrzu anomalię, największą, jaką zdołała.

Gałęzie dwóch pobliskich drzew zaczęły się trząść – to Briac i dwaj chłopcy szarpali się ze sobą w odległości zaledwie kilku metrów.

– Przechodź! – szepnęła nagląco.

Szarpnięciem podniosła Shinobu na nogi; miała nadzieję, że opatrunek nie spadnie i że nie uśmierca chłopca, zmuszając go, by się ruszył. Zdołał stanąć prosto, a potem zatoczył się w stronę twardniejącego otworu, który wyryła w tym świecie.

– Pozwólcie mi go użyć! – wydyszał Briac z gęstwiny drzew. – Mój umysł zacznie działać, znajdziemy ją, znajdziemy tamten athamen. Zdobędziemy go.

– Zdejmij mu ten hełm! – polecił starszy chłopak.

– On uciekł! – odrzekł młodszy.

– Goń za nim! Goń za nim!

Quin zrozumiała: kask w jakiś sposób neutralizował działanie zakłócających iskier.

„A kiedy Briac będzie w stanie jasno myśleć, znów zacznie mnie ścigać – rozważała – w Hongkongu albo posiadłości, czy gdziekolwiek indziej, żeby dostać w ręce athamen Sędziów". Przez lata jej ojciec miał athamen z wyrytym wizerunkiem lisa, należący prawnie do Johna. Teraz John go odzyskał, a Briac desperacko usiłował zdobyć inny. Chłopcy najwyraźniej nie zamierzali dać mu swojego – jednak Briac jakoś sprzymierzył się z nimi, by odszukać athamen Sędziów.

Spośród drzew wytoczył się jakiś przedmiot i uderzył Quin w nogę. Wkraczając w mroczną anomalię, podniosła go i poczuła, że jest gładki i zimny.

Chłopcy strącili Briacowi z głowy metalowy kask i teraz Quin trzymała go w rękach.

Rozdział 6
Maud

Ze swojego miejsca wysoko na dębie rosnącym na skraju lasu Młoda Sędzia popatrzyła poprzez nocny mrok na błonia, czyli rozległą łąkę w centrum szkockiej posiadłości. Na obrzeżach błoni rozrzucone były kamienne chaty, z których pozostały przeważnie tylko wypalone sterty gruzu – niewyraźne plamy czerni widniejące w blasku księżyca. Zaledwie kilka budynków zachowało się w stanie nienaruszonym, między innymi warsztat i obora.

Posiadłość nawiedziło trzech gości, którzy przebiegali pomiędzy zrujnowanymi budynkami, prowadząc gorączkowe poszukiwania. Dwaj z nich, młodzi chłopcy, podążali w ślad za trzecim… którym był Briac Kincaid.

Maud ostatnio widziała Briaca, gdy wpychano go siłą do karetki, a on dziko opierał się sanitariuszom usiłującym mu pomóc. Teraz Młoda Sędzia zrozumiała, dlaczego tak się zachowywał. Wysłała swój wzrok w dal, żeby dokładniej przyjrzeć się Briacowi, który gnał przez szczyt łąki, od opuszczonych chat Sędziów w kierunku obory. Wokół jego głowy tańczyło kilka iskier rozbłyskujących w nocnym powietrzu. Widocznie został trafiony strzałem z rozrywacza – zapewne przez Johna podczas walki na Obieżyświacie. Zdołał jakoś uniknąć niemal wszystkich iskier z wyjątkiem kilku. Niemniej jednak był teraz niewątpliwie zakłócony i obłąkany.

– Fiono! – usłyszała Maud jego wołanie, gdy dotarł do obory i zajrzał do środka. – Matko? – Potem potrząsnął głową i powiedział: – Quin, na litość boską! Gdzie jesteś?

Wcześniej zachowywał się prawie tak samo przy każdej z pustych czy zrujnowanych chat, które mijał.

Nie znalazłszy nikogo w oborze, przeszedł ciężkim krokiem do stajni, którą pożar strawił tylko częściowo. Zniknął wewnątrz, ale Młoda Sędzia wysłała za nim swój słuch i dzięki temu mogła śledzić jego ruchy, gdy gwałtownie rozrzucał przedmioty i znowu wołał Fionę, swoją matkę i Quin – chociaż wyglądało na to, że w gruncie rzeczy szuka tej ostatniej.

Kiedy Maud stała z Johnem przy ruinach zamku po ich sesji treningowej, nie tylko usłyszała hałas powodowany przez Briaca. Wiedziała, że ten mężczyzna nadchodzi, jeszcze zanim się zjawił, gdyż do jej głowy wniknęła myśl: „Znów zacznie mnie ścigać – w Hongkongu albo w posiadłości…”.

Maud była pewna, że ta myśl pochodziła od Quin. Od miesiąca wyczuwała co jakiś czas mentalną łączność z tą dziewczyną. Zaczęło się to w dniu, gdy Quin walczyła z Johnem na dachu niewielkiej obory, nad urwiskiem na skraju posiadłości. W trakcie walki Młoda Sędzia zdecydowała się pomóc Quin, rzucając jej krzesiwo. Wyglądało na to, że w tym momencie mimowolnie wytworzyła stałą więź pomiędzy sobą i nią; od tamtego czasu myśli Quin z łatwością przybywały do Maud tym kanałem w nieoczekiwanych chwilach. Młoda Sędzia wyczuwała nawet, że dziewczyna niekiedy spogląda jej własnymi oczami. Nie była pewna, czy Quin jest świadoma istnienia tej tak silnej więzi.

– Nie ma jej tutaj! – powiedział młodszy z chłopców. Obaj stali przed stajnią,

czekając, aż Briac z niej wyjdzie. – Wilkinie, on znowu zachowuje się jak wariat. Jeżeli mamy nadal za nim iść, może powinieneś pozwolić mu na pewien czas włożyć hełm…

– Nie może go teraz nosić, Nott! Próbował go ukraść – odparł Wilkin. A potem spytał: – Ty płaczesz?

– Chcę włożyć hełm! – rzekł młodszy chłopiec nazwany Nottem.

Briac wyłonił się z bramy częściowo spalonej stajni i ruszył w kierunku starej obory.

Ze swojego miejsca na konarze dębu Młoda Sędzia usłyszała zbliżającego się poniżej Johna. Został dłużej w ruinach zamku, żeby włożyć pelerynę i zabrać ich broń, a teraz pędził między drzewami ku Maud, rozwiewając poły peleryny. Noc była ciemna, ale oczy Maud wchłaniały wszelkie dostępne światło, co pozwalało jej wyraźnie widzieć Johna pośród drzew i cieni.

W trakcie krótkiego okresu, kiedy trenowała Johna, styl jego biegu się zmienił, stał się płynniejszy, pewniejszy i szybszy. Chłopak ściągnął z głowy kaptur i zaczął się wspinać na drzewo. Młodej Sędzi jego ruchy wydawały się hałaśliwe i niezdarne, niemniej jednak poruszał się sprawniej niż większość Poszukiwaczy, jakich w życiu spotkała. Uczył się koncentrowania umysłu, a jego ciało dostosowywało się do tego.

Maud przywykła doskonalić jasność swoich myśli. Kiedy jako mała dziewczynka szkoliła się u swojego ukochanego mistrza, Starego Sędziego, wpoił jej pewność zamiarów i łatwość podejmowania decyzji. Każdy Sędzia powinien trzymać się na dystans od zwykłych ludzi, a także od Poszukiwaczy, żeby zachować czystość osądu. A jednak lata, które Maud spędziła w towarzystwie Średniego Sędziego, nadwątliły jej wiarę w tę prostą zasadę. Średni Sędzia dokonał nieuprawnionej ingerencji w życie Poszukiwaczki – Catherine Renart, matki Johna. Przyczynił się do zakłócenia tej kobiety. Znacznie wcześniej Średni popełnił też inne nieprawości, ale ten ostatni przypadek zdarzył się niedawno i Średni zmusił Maud, by w nim uczestniczyła, co uczyniło ją w osobliwy sposób odpowiedzialną za konsekwencje. Maud zastanawiała się więc, czy rzeczywiście postąpiła źle, ingerując w życie syna Catherine, Johna, aby wynagrodzić mu tamtą krzywdę.

Po walce na Obieżyświacie jej mistrz odszedł Tam, by pozostać w stanie rozciągnięcia przez lata, może nawet dekady. Zatem Stary Sędzia nie mógł odpowiedzieć na to pytanie. Młoda zdecydowała się więc wyszkolić Johna, uczynić z niego Poszukiwacza. Sędziemu nie wolno stawać po niczyjej stronie, lecz tu nie zachodził taki przypadek; to było przywrócenie równowagi, która wcześniej została naruszona. Maud nie była pewna, czy John wykaże się poczuciem honoru ani na ile będzie respektował trzy reguły Poszukiwaczy, jednak posiadanie dobrej nauczycielki z pewnością było jego jedyną szansą.

– Kto tam jest? – spytał szeptem John, wciągając się na grubą gałąź obok Maud.

Dyszał ciężko, ale widziała, że kontroluje się, zmusza ciało, by robiło wdechy w miarowym rytmie. Traktował swoje szkolenie poważnie.

– Zobaczysz za chwilę. – Wskazała głową w kierunku odległej starej obory. Trzej przybysze zniknęli w jej wnętrzu. – Słyszysz, jak rozmawiają?

John na moment zamknął oczy, a potem pokręcił głową.

– Ledwie.

– Wyobraź sobie, że te słowa brzmią wyraźnie – szepnęła Maud – że dobiegają wprost do twoich uszu i nic cię od nich nie oddziela. Spróbuj.

Spojrzał na oborę, znieruchomiał i skoncentrował się na tych odległych dźwiękach. Maud wiedziała, że potrzeba czegoś więcej niż tych prostych instrukcji, by nauczyć Johna wysyłania słuchu na odległość, ale to był pierwszy krok. Od Poszukiwaczy nie wymagano posiadania tej umiejętności, jednak Młoda Sędzia nie widziała powodu, by nie miał jej opanować.

W oddali młodszy chłopiec, Nott, wyłonił się z obory; w ciemności zamajaczyła jego blada twarz.

– Dlaczego nie możemy zrobić tego, co przyrzekliśmy? – zapytał. – On nie chce, żebyśmy szukali tej dziewczyny ani athamenu. Chce, żebyśmy szukali *jego*. To on jest ważny. Inaczej wyśle nas…

– Przestań powtarzać mi bez przerwy to samo, Nott. I przestań wciąż marudzić. Zrobimy, co przyrzekliśmy! Odszukamy naszego mistrza, zaraz po tym jak znajdziemy ją – powiedział Wilkin, też wychodząc z obory.

– Dzieciaki? – zapytał John będący w stanie dostrzec tylko ich wzrost.

– Dziwne dzieciaki – odrzekła Maud.

W sposobie poruszania się chłopców było coś przypominającego Sędziów, chociaż ich hałaśliwe zachowanie całkowicie burzyło to podobieństwo. Mówili o swoim mistrzu. Kim on mógł być?

Z obory wyszedł chwiejnym krokiem Briac i wszyscy trzej ruszyli ku wypalonej stodole, służącej dawniej za salę treningową, co oznaczało, że zmierzali w kierunku Maud i Johna, którzy mogli teraz lepiej im się przyjrzeć.

– Czy to jest…? – zapytał John, wytężając wzrok, by dostrzec szczegóły wyglądu zbliżających się postaci.

– Briac Kincaid – odpowiedziała mu spokojnym tonem Maud.

Wiedziała, jak bardzo John nienawidzi tego mężczyzny, jak bardzo pragnie pokonać Briaca w walce i ukarać go za to, co zrobił jego matce – a także jemu, odmawiając szkolenia. Ale John był teraz jej uczniem i nie mogła pozwolić, by rozpraszały go tego rodzaju emocje.

– Będziemy musieli zaczekać i zobaczyć… – zaczęła.

Lecz John już się ruszył, z wypisaną na twarzy żądzą mordu. Przeskakiwał z konaru na konar najszybciej, jak potrafił, ledwie chwytając jedną gałąź, zanim zeskoczył na następną. Maud zobaczyła, jak pośliznął się niebezpiecznie w pośpiechu, by jak najprędzej zejść na ziemię, ale uratował się w ostatniej chwili, łapiąc się mocno niższej gałęzi.

„Nieskoncentrowany i nieposłuszny”, pomyślała.

Odwróciła się, by podążyć za nim, lecz po chwili się zatrzymała. Dostrzegła, że starszy chłopiec ma przy sobie athamen. Rękojeść kamiennego sztyletu wystawała zza paska spodni. Młoda Sędzia zastygła w bezruchu, skupiając umysł, by wysłać swój wzrok dalej, niż zazwyczaj potrafiła. Zażądała od swoich oczu, żeby zebrały z nocnego nieba całe dostępne światło. Poczuła z dreszczem satysfakcji, że zmysły jej usłuchały.

Zobaczyła athamen tak wyraźnie, jakby trzymała go w dłoniach. Spostrzegła szczegół, którego wypatrywała – u podstawy rękojeści był wyryty mały dzik.

„Dzik – pomyślała Młoda Sędzia. – Jakie to dziwne".

Zeszła z drzewa, przeskakując bez wysiłku z gałęzi na gałąź. Gdy tylko jej stopy dotknęły leśnej ściółki, puściła się biegiem.

John pędził w stronę trzech intruzów.

„John! – zawołała w myślach. – Stój!".

Ale chłopiec nie zatrzymał się ani nawet nie zwolnił. W okresie, gdy go szkoliła, nie zdołała nawiązać z nim żadnej mentalnej więzi, i zaczynała wątpić, czy w ogóle jest do tego zdolny.

Był już niemal na skraju lasu.

– Nott, wyjmij broń! – dobiegł ją krzyk starszego chłopaka.

Spostrzegli Johna i wydawali się zachwyceni perspektywą walki. Obydwaj wyciągnęli morfery i trzasnęli nimi, nadając im utwardzone kształty.

„To jeszcze dziwniejsze – pomyślała Maud. – Mają morfery i athamen, ale czy są Poszukiwaczami?", zastanowiła się.

Wątpiła w to. Coś z tymi chłopcami było nie w porządku. I chwilę później uświadomiła sobie co: ich miecze były nieodpowiednie.

Napłynęło do niej wspomnienie: trenowała ze Średnim Sędzią, dawno temu. Tamtego popołudnia kiepsko jej poszło w ćwiczebnym pojedynku.

„Popraw się szybko – rzucił szyderczo – albo odrąbię pół twojego morfera". Wyglądało, jakby ktoś zrobił właśnie to z mieczami chłopców. Czy to powszechna kara wśród Poszukiwaczy? Nigdy wcześniej nie widziała czegoś takiego.

Dogoniła Johna i biegła teraz obok niego.

– Stój! – powiedziała.

W czasie gdy go szkoliła, Johnowi nie wolno było atakować innych Poszukiwaczy ani w ogóle kogokolwiek. To pierwsza obietnica, jaką na nim wymogła.

Zignorował jednak jej polecenie. W dłoni dzierżył morfer, a wzrok miał utkwiony w Briacu.

Briac w końcu zauważył zbliżające się szybko postacie. Zastygł w bezruchu, mięśnie mu drgały, poruszał ustami, nie wydając żadnego dźwięku, a wokół jego twarzy wirowały iskry. Po chwili odzyskał głos i krzyknął:

– Uruchomcie athamen! Natychmiast!

Kiedy chłopcy nie usłuchali od razu, Briac gwałtownym ruchem wyciągnął athamen zza paska Wilkina. Chłopak wyrwał mu go z powrotem i zaczęli o niego walczyć. Nagle Briac puścił athamen i wyciągnął krzesiwo z pochwy na drugim biodrze Wilkina. Jednym szybkim ruchem uderzył krzesiwem w athamen, który Wilkin wciąż mocno ściskał w rękach. Wibracja rozprzestrzeniła się od sztyletu, docierając do Maud poprzez powietrze i leśną ściółkę.

– Stój, Johnie! – powtórzyła Maud.

Oczywiście mogła go zatrzymać, ale nie o to chodziło. Musiał nauczyć się skupiać na niej, odsuwać na bok inne sprawy – zwłaszcza gdy był najbardziej rozkojarzony. Jeżeli nie będzie tego potrafił, nigdy nie stanie się Poszukiwaczem.

Obydwaj chłopcy wrzeszczeli na Briaca, lecz on na to nie zważał. Złapał Wilkina za rękę – tę, w której trzymał athamen – i używając całej siły, zmusił go, by zakreślił nią krąg. Tym samym wyrył w przestrzeni anomalię, chociaż chłopak szamotał się, starając się go odepchnąć.

– Uciekajcie! – krzyknął Briac. – Bo ona was zabije, ona was zabije. Zginiecie, ja zginę!

– Ona jest taka szybka! – powiedział młodszy chłopiec, wskazując na Młodą Sędzię, która wysforowała się przed Johna i biegła ku nim z największą prędkością, na jaką potrafiła się zdobyć. – Jest jak…

– Jest śmiertelnie groźna! – rzucił gniewnie Briac.

Jego słowa odniosły skutek. On i Wilkin chwycili młodszego chłopca, Notta, i we trzech szybko przeszli przez anomalię.

Gdy Maud pędziła w kierunku ziejącego przejścia, obok jej głowy śmignął nóż ciśnięty przez Johna. Dotarła na próg mrocznego otworu i zatrzymała się. Nie zamierzała przeskoczyć na drugą stronę ani walczyć z Briakiem czy chłopcami. Teraz, kiedy zobaczyła ich athamen – z wyrytym na nim dzikiem – chciała tylko przyjrzeć się im z bliższej odległości, zanim znikną.

Z wnętrza anomalii starszy chłopak odpowiedział jej spojrzeniem. Wydawał się przestraszony; miał otwarte usta, które odsłaniały poczerniałe zęby. Na policzkach młodszego chłopca wysychały łzy, a w jego oczach malowało się zdumienie. Briac kurczowo przyciskał dłoń do pleców w miejscu, gdzie zranił go nóż rzucony przez Johna. Gdy przejście zaczęło tracić kształt i zapadać się do wewnątrz, Maud przyjrzała się uważnie twarzom całej trójki, szukając w pamięci jakichś dotyczących ich wspomnień.

Zanim John dobiegł do niej, anomalia się zamknęła. Chłopak stanął obok Maud, zdyszany i wściekły.

– Dlaczego ich nie zatrzymałaś? – zapytał z wyrzutem. – Z łatwością mogłaś to zrobić!

Maud odwróciła się do niego, pozwalając sobie na przypływ gniewu. Chwyciła Johna za pelerynę i przyciągnęła do siebie, a potem przycisnęła go mocno do kamiennego muru treningowej stodoły.

– On dręczył moją matkę – powiedział John, jego oddech wydobywał się parą w mroźnym powietrzu, a blask księżyca oświetlał jego przejrzyste oczy, w których płonęła wściekłość. – Przez wiele lat. Powinnaś pozwolić mi go zabić. Zasługuje na śmierć.

– Posłuchaj uważnie, Johnie. – Maud mówiła powoli i spokojnie, ale wiedziała, że chłopiec zdaje sobie sprawę z jej ukrytej furii. – Jeżeli mam cię szkolić, musisz wypełniać moje polecenia.

Patrzył na nią, wciąż oddychając ciężko, ale nie próbował się wyrwać.

– To nie moje zmartwienie, że Briac Kincaid pojawia się na terenie posiadłości. A ty w obecnej sytuacji nie możesz podjąć walki. Nie, kiedy cię trenuję. Nie pomagam ci po to, żebyś mógł atakować innych. Zapewniam ci tylko edukację, której Briac nie dokończył. Nic więcej. – Zaczekała, aż John spojrzy jej w oczy. – Będziesz mi posłuszny – rzekła – albo moja pomoc się skończy.

Aby podkreślić wagę swoich słów, przyciskała go nadal mocno do kamiennej ściany stodoły. Wreszcie John skinął głową.

– Przepraszam – powiedział. – Masz rację.

Rozdział 7
Nott

Wypadli przez mroczne przejście do zimnej, płytkiej wody. Nott wylądował na czworakach, twarz zbryzgały mu drobne fale jeziora, ale i tak najpierw uderzył go zapach. Woń martwych zwierząt. Kiedy z Wilkinem opuszczali to miejsce, pozostawili za sobą wielką stertę padliny przed wejściem do fortu i ona nadal leżała tu na brzegu, gnijąc w świetle księżyca.

Nott miał przy sobie w woreczku u boku pasek suszonego mięsa jelenia, więc część tego zapachu stale mu towarzyszyła. Tutaj jednak odór unosił się w powietrzu, charakterystyczny dla tej zrujnowanej fortecy Dun Tarm, miejsca zamieszkania Notta, Wilkina i innych Obserwatorów.

Nieopodal Notta Wilkin i Briac szamotali się ze sobą, rozchlapując wodę. Starszy chłopiec trzymał mężczyznę za szyję i wrzeszczał:

– Wytłumacz się!

Kiedy byli jeszcze w lesie, w okolicy tego dziwacznego odległego miasta – „czy ono nazywa się Kong Kong?" – Briacowi niemal udało się ukraść ich hełm i athamen. Zrzucili mu hełm z głowy, ale mężczyzna skoczył z athamenem w ciemność Tam i musieli podążyć za nim. Przywlókł ich do zrujnowanej posiadłości w Szkocji, żeby odszukać Quin i wyjątkowy athamen ich mistrza. Lecz oczywiście nie było tam ani dziewczyny, ani kamiennego sztyletu, tak samo jak w Hongkongu.

Wilkin wepchnął Briaca pod wodę i mężczyzna rozpaczliwie młócił rękami, zanim w końcu natrafił stopami na dno. Było oczywiste, że znowu popadł w obłęd. W lesie w pobliżu Hongkongu, gdy miał na głowie hełm, na moment odzyskał zmysły, podobnie jak na pewien czas, kiedy włożyli mu hełm w domu wariatów, w którym go odszukali – odzyskał rozum na tyle długo, by pomóc im odnaleźć Quin w londyńskim szpitalu. Teraz jednak znów postradał zmysły.

Gdzie się podział ten hełm? Czy nosi go Wilkin? Nott obejrzał się na swojego towarzysza. Księżyc świecił wystarczająco jasno, by Nott zobaczył włosy starszego chłopca, co oznaczało, że Wilkin nie miał na głowie hełmu. Widocznie był bezpiecznie schowany w jego plecaku. Nott poczuł ulgę.

Wilkin zapowiedział, że już nigdy więcej nie pozwoli Briacowi użyć hełmu. Nott miał nadzieję, że tym samym nie będą już dłużej podążali za Briakiem. Nie powinni szukać tej dziewczyny i Wilkin dobrze o tym wiedział.

„Ale jest idiotą", pomyślał Nott, brodząc przez lodowatą wodę w stronę brzegu.

Nott uwielbiał w nocy policzkować Wilkina. Starszy chłopiec spał jak zabity i po obudzeniu się często się dziwił, skąd ma sińce na twarzy. „To dlatego, że rzucałeś się przez sen i uderzałeś głową o kamienie", mówił mu Nott, a Wilkin w to wierzył.

– Dajcie mi spokój! – ryknął Briac, przedzierając się z trudem do brzegu. – Poszczuję was psami! Skopię was, zadźgam, nabiję na pal…

Nott wyszedł na brzeg, ociekając wodą. Dun Tarm popadł w ruinę i stał się poniekąd podwodnym fortem. Połowę fortecy zbudowano nad jeziorem i ta część znajdowała się teraz niemal w całości pod wodą. Dawno temu jezioro wkradło się

w zniszczone resztki fortu i zagarnęło wszystkie niżej położone miejsca swoimi zimnymi, wilgotnymi, omszałymi odmętami.

Usytuowany w stromym wąwozie fort odbijał się wyraźnie w wodach jeziora. W blasku księżyca Nott widział w oddali za jeziorem zalesione zbocza, przechodzące wyżej w granie nagich skał wznoszących się nad linią drzew niczym starożytni giganci.

– Właź do środka! – polecił Wilkin Briacowi, popychając go w kierunku ziejącego otworu wejściowego.

Nott przeszedł przez poszarpaną dziurę w resztkach fortecznych murów. Znalazł się bliżej zwłok zwierząt i widział muchy polatujące z bzyczeniem wszędzie wokoło pomimo chłodu nocy. Na szczycie sterty leżał martwy jeleń, jego ciało było prawie nienaruszone – z wyjątkiem szeregu ciętych ran wzdłuż brzucha. Szkliste oczy patrzyły w górę, w ciemne niebo. Nie zabili tego jelenia, żeby go zjeść, lecz dlatego, że zabijanie było ważne. Trzeba zachowywać bystrość umysłu. I utrzymywać sprawy w należytym porządku. Te zasady wpoił im ich mistrz.

Hełm pomagał zachowywać bystry umysł, a także utrzymywać porządek spraw. Pomagał w większości rzeczy. Spojrzenie Notta powędrowało ku tobołkowi na plecach Wilkina. Korciło go, by wyjąć hełm i włożyć na głowę. Ale Wilkin nie pozwoli mu tej nocy użyć hełmu. Od wielu dni nie pozwalał mu go nosić.

– Wilkin zachowuje się jak tyran – wyszeptał Nott do martwego jelenia, gdy go mijał; wyobraził sobie, że zwierzę zareagowało współczującym mrugnięciem.

Woń zgnilizny nie była tak silna wewnątrz fortu, gdzie rozbili obóz i gdzie zostawili większość swojego ekwipunku. Wielka sala fortecy Dun Tarm dawno się rozpadła. Jej połowa zatonęła w jeziorze, ale większość drugiej połowy pozostała w zasadzie nietknięta, o ile potrafiło się zignorować strumyki wody pośród kamiennych płyt podłogi. Trzy ściany runęły i pozostała tylko niewielka wnęka pod dachem, jednak wystarczająco obszerna, by zapewnić schronienie podczas snu. Z popękanej podłogi wyrastało kilka karłowatych drzewek, które chroniły przed wiatrem wiejącym od odległych górskich szczytów.

Wilkin gestem nakazał Briacowi usiąść na podłodze. Mężczyzna pojękiwał i usiłował przyciskać dłonią ranę na plecach, krwawiącą na wszystko wokoło. Został trafiony nożem, gdy uciekali ze spalonej posiadłości, lecz zdawało się, że dopiero teraz to zauważył.

– Nott, zszyj mu tę ranę! – polecił Wilkin. – A on niech w tym czasie się wytłumaczy. – Potem zwrócił się do Briaca: – Próbowałeś nas okraść.

– Nie usiądę! – oświadczył Briac i wyrwał się Nottowi, zapominając o swojej ranie. Walnął pięścią w nogę, usiłując sformułować spójną myśl. – Nie możemy… siedzieć! Musimy… musimy ją znaleźć. Zdobyć tamten athamen.

Te słowa Briaca brzmiały sensowniej niż większość z tego, co Nott wcześniej od niego słyszał. Teraz, gdy mężczyzna stał w cieniu, iskry unoszące się wokół jego głowy były wyraźnie widoczne, ale wirowały wolniej niż poprzednio. Być może to, że Briac niedawno przez kilka chwil nosił hełm, wywarło na niego jakiś trwały wpływ – co nie znaczy, że Notta cokolwiek to obchodziło.

Odszukał w swoim plecaku pudełko z zestawem do szycia i wyjął z niego grubą

czarną nić oraz tępą igłę, której używali do zszywania sobie ran po wyjątkowo zaciekłych starciach.

– Zabierasz nas, żebyśmy odszukali jedną dziewczynę, a potem uciekasz przed inną – rzekł Wilkin do Briaca. – Dlaczego?

– Ona jest, ona jest, ona jest… ona jest niebezpieczna, tamta. Młoda Sędzia…

– Co to znaczy „Młoda Sędzia”? – zapytał Wilkin. – Słyszałem wcześniej, jak nazwałeś naszego mistrza „Średnim Sędzią”.

Gdy Briac nie odpowiedział, Wilkin uderzył go dłonią w twarz, żeby pomóc mu się skupić.

– Tak – odrzekł mężczyzna, unosząc rękę, aby zasłonić się przed ewentualnym następnym ciosem. – Ona jest pod pewnymi względami podobna do niego. Niebezpieczna.

Briac wrzasnął, gdy Nott wbił mu igłę pod skórę i przeciągnął nitkę. Rana od noża mocno krwawiła, lecz w istocie była tylko płytkim rozcięciem. Nott widywał gorsze.

– Wilkinie, nie powinniśmy szukać żadnych dziewczyn ani athamenów – powiedział Nott po raz już chyba setny; jednak starał się nie narzekać. Pochylił się nad Briakiem i znowu wbił igłę, chociaż szło mu to kiepsko. – Powinniśmy postąpić zgodnie z rozkazami naszego mistrza, obudzić innych i poszukać…

– Cicho, Nott. Zrobimy… – Wilkin urwał, a przez jego twarz przebiegła seria grymasów, gdy rozważał rozmaite możliwości.

Kiedy ich mistrz przybył do nich ostatnim razem, powiedział im, żeby odszukali go za dwadzieścia cztery godziny, jeżeli wcześniej nie dostaną od niego wiadomości. Dobę później udali się do swego zwykłego miejsca spotkań w Londynie, lecz zastali chyba wszystkich mieszkańców miasta rojących się w parku wokół rozbitego statku powietrznego. I tam, pośród całego tego zamieszania, ujrzeli Briaca Kincaida. Rozpoznali go, gdyż wcześniej widzieli go kilka razy w towarzystwie swego mistrza. Tamtej nocy włożyli mu na głowę hełm w zakładzie dla umysłowo chorych, do którego go przywieziono, i w końcu zaczął mówić z niejakim sensem – chociaż niezbyt wielkim.

Jeżeli ich mistrz – człowiek, którego Briac nazywał Średnim Sędzią – zaginął, wiedzieli dokładnie, jak go odnaleźć. Cała ich rola jako Obserwatorów polegała właśnie na tym, żeby odszukać swego mistrza, gdyby się zagubił. To była racja ich istnienia i powód, dla którego mistrz budził ich kolejno do życia w świecie. Mieli chronić go przed zniknięciem Tam, na czym zależało jego wrogom. Ale Briac oświadczył, że już wie, gdzie jest ich mistrz, więc nie ma potrzeby go szukać. A Wilkin – idiota! – wpadł w zachwyt na myśl, że odnajdą go szybko i na własną rękę. „On nas pochwali, Nott. Zrozumie, że jesteśmy najlepsi ze wszystkich jego Obserwatorów”.

Kiedy przybyli do tamtego londyńskiego szpitala, stało się oczywiste, że Briac zabrał ich tam, żeby odnaleźć athamen ich mistrza, a nie jego samego. Ale gdy Wilkin ujrzał tamten athamen, zapragnął za wszelką cenę go zdobyć. „Nott, nasz mistrz będzie chciał odzyskać ten athamen. Jeśli się dowie, że widzieliśmy go i nie zabraliśmy, wtrąci nas za to do naszych pieczar, nieprawdaż?”.

Podczas gdy Nott zszywał Briacowi ranę, mężczyzna rzekł błagalnym tonem:

– Nie potrafię jasno myśleć. Włóżcie mi znowu kask…

Nott mocno ściągnął nić i związał ostatni szew, a potem szepnął do Wilkina:

– On chce dostać w ręce athamen naszego mistrza i zabrać go dla siebie. Powinniśmy…

– Wiem, co powinniśmy! – warknął Wilkin. – Powinniśmy zrobić to, co ja mówię, bo ja tu dowodzę.

Podniósł z ziemi swój plecak i zaczął w nim grzebać. Nott uświadomił sobie, że jego towarzysz zamierza znów włożyć hełm temu wariatowi, a potem postępować według jego szalonych rad. Nieoczekiwanie w oczach Notta zakręciły się gorące łzy i pociekły po policzkach. Zapragnął poczuć chłód hełmu na swojej głowie i pęd swych myśli, gdy hełm zacznie działać, ale Wilkin nie pozwalał mu go nosić. Wilkin nie słuchał głosu rozsądku, a to on, Nott, poniesie za to karę. Jako najmłodszego najczęściej właśnie jego to spotykało.

Wilkin odwrócił się do niego.

– Nie będziemy trzymać hełmu w twoim plecaku, Nott, tylko w moim.

– Wiem. Nigdy nie mówiłem inaczej. Ale sam niedawno powiedziałeś, że już nigdy nie pozwolisz temu mężczyźnie go włożyć.

– Zmieniłem zdanie. Bez hełmu on nie będzie w stanie nam pomóc.

– On w ogóle nam nie pomaga!

– Daj mi ten hełm, Nott!

Nott odwrócił się powoli do Wilkina, pojmując w końcu, o co chodzi towarzyszowi. Czarne oczy starszego chłopca błysnęły niecierpliwie w świetle sączącym się przez karłowate drzewa rosnące w fortecy. Nott poczuł przypływ mdłości.

– To ty masz hełm – powiedział powoli. – Zdjąłeś mu go w tamtym mieście… w Kong Kongu.

Starszy chłopiec wydawał się zaskoczony.

– Nie mam hełmu. Ty go masz! Gdzie on jest?

Przeszedł przez popękaną podłogę, chwycił Notta i przyjrzał się jego głowie, a potem obszukał jego płaszcz i mały plecak, jak gdyby młodszy chłopiec kłamał i gdzieś ukrył hełm.

– Zgubiłeś go? Zgubiłeś nasz hełm? – pytał Nott.

Jego mdłości zmieniły się w uczucie jawnego przerażenia. Hełm był jedyną rzeczą, co do której ich mistrz wymagał, żeby uważnie jej pilnowali.

– Nie zgubiłem! – zaprzeczył Wilkin.

– Więc gdzie się podział?

Nott przypomniał sobie, jak przed kilku laty polowali ze swoim mistrzem w pobliżu fortu Dun Tarm. Weszli w las i zabili jelenia – w sposób, w jaki ich mistrz lubił zabijać jelenie, czyli bardzo powoli. „Nie ma niczego złego w tym, że sprawia nam to przyjemność – wyjaśnił. – Pokazywanie stworzeniom, gdzie jest ich miejsce, ma nam dawać radość”.

Polowanie i zabijanie zawsze wprawiało ich mistrza w dobry nastrój, ale kiedy tamtego dnia wrócili do fortu, zastali jednego ze starszych Obserwatorów, czekającego na nich nerwowo przy wejściu. Chłopak trzęsący się tak bardzo, że ledwie mógł mówić, wyznał, że zapodział gdzieś swój hełm. Ich mistrz wpadł w taką wściekłość, że na samo

wspomnienie Nottowi serce zaczęło szaleńczo walić w piersi. „Jak możesz mi się na cokolwiek przydać bez swojego kasku?!” – ryknął mistrz.

Ostatecznie obudzono wszystkich Obserwatorów i udało się odnaleźć hełm. Lecz to nie miało znaczenia. Ich mistrz i tak odesłał tamtego roztargnionego Obserwatora do jego pieczary i taki był jego koniec.

Wilkin przerzucał teraz swoje rzeczy, jakby mógł przeoczyć hełm podczas pierwszego szukania. Kiedy hełm nie pojawił się cudownym sposobem, starszy chłopiec odwrócił się do Notta.

– Zostawiłeś go Tam, co? – rzekł oskarżycielskim tonem. – W ciemności? Gdzie nigdy go nie odnajdziemy!

– Ty go miałeś!

– Nie…

Wilkin urwał i przez jego twarz przebiegł inny wyraz. Jak domyślał się Nott, starszy chłopiec przypomniał sobie, że rzeczywiście to on ostatnio miał przy sobie hełm, kiedy obydwaj pośród drzew szamotali się z Briakiem, tuż przed skokiem w anomalię.

Chwilę później Wilkin wyglądał równie niedobrze, jak Nott się czuł.

– To nadal twoja wina, Nott – powiedział słabym głosem. – To ty w Hongkongu wyjąłeś go z plecaka.

– Ale to ty chciałeś podążyć za n i m – odparł Nott, wskazując palcem na Briaca – zamiast wypełnić nasze rozkazy. – Siedzieli, spoglądając na siebie gniewnie. Wilkin gwałtownie tracił pewność siebie i Nott wykorzystał swoją przewagę. – Czy zgubiłeś hełm w lesie? – zapytał. – Albo upuściłeś go Tam?

Niezależnie od perspektywy wściekłości mistrza i niemożności wypełnienia jego poleceń myśl o hełmie leżącym gdzieś, gdzie być może już nigdy go nie znajdą, ogromnie zdenerwowała Notta. Minęło już tyle czasu, odkąd nosił ten hełm.

– Chyba… chyba zgubiłem go w lesie – powiedział Wilkin. – W Hongkongu.

– No, to już przynajmniej coś.

Rozdział 8
Quin

Quin weszła do piwnicy, pozwalając, by zatrzasnęły się za nią drzwi. Przesunęła dłonią po najbliższej szafie, w miejscu gdzie znajdowały się wykonane z macicy perłowej wizerunki smoków, splecione z przedstawieniami lasów i rzek. Piwnicę wypełniały szafki i kufry ozdobione podobnymi wzorami: samurajów, jezior, wiosek, orłów.

Odwróciła się do tyłu i ujrzała Mariko MacBain stojącą przy drzwiach piwnicy i przyglądającą się jej uważnie. Na jej delikatnej twarzy o japońskich rysach malował się wyraz głębokiego zatroskania. Mariko była matką Shinobu i mieszkała w tym uroczym domku wciśniętym w jedną z najdroższych dzielnic Hongkongu. Chociaż Mariko wyrzuciła syna z domu – kiedy nałóg narkotykowy stał się nie do zniesienia – to wciąż miała jego morfer, gdyż Shinobu zostawił go tutaj w nadziei, że uda mu się całkiem o nim zapomnieć. To było przed niemal dwoma laty, kiedy usiłował wymazać Poszukiwaczy ze swojego życia, tak jak uczyniła Quin.

Teraz Shinobu, leżąc w łóżku w Hongkongu i kurując swoje rany, poprosił Quin, żeby przyniosła mu jego morfer. Postanowili, że nadal będą Poszukiwaczami, a ponieważ ścigali ich Briac i dwaj dziwaczni chłopcy, potrzebowali całego swojego ekwipunku Poszukiwaczy.

Od starcia w Londynie minęło kilka dni i chociaż Quin nieustannie miała się na baczności przed tymi chłopcami, zaczynała żywić nadzieję, że nie zdołają jej odnaleźć. Niemniej jednak dokonywała krótkich wypadów poza Most. Zjawiła się w domu Mariko całkiem nieoczekiwanie, opowiedziała pokrótce o obrażeniach Shinobu i poprosiła o jego morfer.

Quin była już kiedyś w tej piwnicy, lecz dopiero teraz pojmowała znaczenie wszystkich tutejszych intarsjowanych wzorów. Najczęstszą ozdobą mebli był orzeł, który oczywiście stanowił godło rodu Alistaira i widniał na jego athamenie zniszczonym podczas napaści na szkocką posiadłość. Zauważyła teraz drugi najczęściej występujący motyw: smoka. Przy poprzedniej wizycie tutaj uznała, że smoki są po prostu tradycyjnym japońskim motywem, takim jak rzeki i wioski, ale teraz wiedziała już z dziennika Catherine, że smok, podobnie jak orzeł, jest jednym z dziesięciu godeł rodów Poszukiwaczy. A tutejsze smoki wyglądały dziwnie podobnie do rysunków w dzienniku.

Kiedy Quin była mała, Mariko mieszkała w szkockiej posiadłości, jednak dziewczyna zawsze uważała ją za osobę z zewnątrz, za kobietę, która znalazła się tam tylko dlatego, że poślubiła ojca Shinobu. Biegunowa różnica między małżonkami – Mariko: drobną, delikatną, wyrafinowaną Japonką, i Alistairem: wysokim, barczystym, rudowłosym Szkotem – jeszcze bardziej potęgowała wrażenie obcości matki Shinobu. A co, jeśli Mariko w istocie nie była kimś obcym? To otwierało przed Quin szereg możliwości.

– Ty także pochodzisz z rodu Poszukiwaczy? – spytała dziewczyna.

Mariko nie odpowiedziała od razu, w końcu jednak skinęła głową.

– Z rodu smoka. Jednego z pierwszych.

– Ty… szkoliłaś się, żeby zostać Poszukiwaczką? Razem z Alistairem i moimi

rodzicami? – Ta prawda w jednej chwili spłynęła na Quin. – Byłaś uczennicą tak jak oni?

Mariko ponownie potwierdziła krótkim, niechętnym skinieniem głową.

– Czy złożyłaś przysięgę? – zapytała Quin.

Wiedziała, że jej matka, Fiona, odbyła część szkolenia na Poszukiwaczy, jednak nigdy nie złożyła przysięgi. Ale ta kobieta…

Mariko nie odpowiedziała, tylko weszła głębiej do piwnicy. Zatrzymała się obok szafki stojącej przy ścianie naprzeciwko drzwi. Quin podeszła do niej i obserwowała, jak matka Shinobu wstukała kod, a potem otworzyła drewniane drzwi szafki. Wewnątrz wisiało kilka peleryn z kapturami, piętrzyła się sterta ciemnych dresów podobnych do noszonych przez kandydatów na Poszukiwaczy w trakcie sesji treningowych, a na półce leżały trzy zwinięte morfery.

Mariko przesunęła dłońmi po rękojeściach morferów.

– Shinobu sądził, że postąpił bardzo sprytnie, gdy po przyjeździe do Hongkongu ukrył swoją broń pod chodnikiem w swoim pokoju. – Chociaż odseparowała się od syna, w jej głosie słychać było niewątpliwą miłość, gdy o nim mówiła. – Znalazłam ją, zniosłam tutaj na dół i umieściłam razem z innymi rodzinnymi morferami – moim i mojego ojca, który przechowuję dla Akio, chociaż nie wiem, czy kiedykolwiek pozwolę mu go użyć.

Mariko uciekła z posiadłości, kiedy miała urodzić Akio, znacznie młodszego brata Shinobu. Quin przed chwilą, zanim obie zeszły do piwnicy, widziała tego chłopczyka bawiącego się na podwórku domu Mariko. Miał osiem lub dziewięć lat i jedynie lekki odcień rudych włosów, jakie Shinobu odziedziczył po ich ojcu. Chłopczyk prawdopodobnie nic nie wiedział o tych orężach ani Poszukiwaczach. Mariko porzuciła swoje poprzednie życie i nawet Shinobu sądził do niedawna, że umarła, dopóki nie spotkał jej ponownie w Hongkongu.

Mariko zdjęła z półki morfer Shinobu i podała go Quin. Potem wzięła z półki jeden z pozostałych morferów, piękną broń o rękojeści inkrustowanej macicą perłową. Quin cofnęła się o krok, domyślając się zamiaru kobiety. Mariko płynnym, wprawnym ruchem strzeliła morferem, formując go w solidny miecz. Później serią machnięć nadawała klindze rozmaite kształty, aż wreszcie obróciła rękę w nadgarstku, sprawiając, że morfer zwiotczał i ponownie się zwinął.

Quin uważała elegancką matkę Shinobu, noszącą szyte na miarę kostiumy i drogie pantofle na wysokich obcasach, za kogoś w rodzaju bogatej, rozpieszczonej bizneswoman. Teraz jednak zobaczyła Mariko taką, jaka naprawdę była – wyszkoloną wojowniczkę, która porzuciła dawne życie, lecz nigdy nie zapomniała o swoich korzeniach.

Mariko spojrzała na trzymany w ręce, zwinięty morfer. Proste czarne włosy miała upięte w wymyślny kok z tyłu głowy, który teraz dziwnie nie pasował do jej surowego wyrazu twarzy.

– Złożyłam przysięgę – powiedziała cicho. – Trenowałam z twoimi rodzicami. A także z Alistairem. I z innymi.

– Ale ty…

– Złożyłam ślubowanie, jestem zaprzysiężoną Poszukiwaczką – kontynuowała Mariko. – Ale postanowiłam przeżyć moje życie jako matka, a nie… inaczej.

Quin skinęła głową. Doskonale rozumiała tę decyzję, po tym jakie życie ukazał jej Briac Kincaid.

– A twój athamen, ten z wyrytym smokiem… – dopytywała Quin.

Niedawno przeglądała dziennik Catherine i przestudiowała fragmenty dotyczące każdego klanu Poszukiwaczy. Z zapisków Catherine wynikało, że w ciągu minionych kilku dekad widywano tylko dwa athameny – z wizerunkiem lisa i orła. Catherine nie wiedziała jednak wszystkiego, na przykład nie opisała athamenu Sędziów – będącego obecnie w posiadaniu Quin – o emblemacie w kształcie trzech splecionych okręgów, przypominającym model atomu.

– Zniknął – odparła Mariko i przeniosła spojrzenie z morfera na Quin. – Nasz athamen zaginął przed stu laty albo jeszcze dawniej. Moja rodzina nadal wysyłała dzieci do posiadłości na szkolenie – w nadziei, że pewnego dnia może odzyskamy nasz athamen i znów staniemy się wielkim rodem.

– Nie tylko wasz athamen zaginął.

– Owszem – przyznała Mariko. – Nie nas jednych to spotkało.

– Czy wiesz, gdzie zniknęły i dlaczego?

Kobieta przecząco pokręciła głową.

– Nie. A ponieważ widzę w twoich oczach pytanie, powiem ci, że nie znam odpowiedzi dotyczących wielu kwestii. Moja rodzina przez wiele pokoleń żyła z dala od innych Poszukiwaczy. Nie wiem, dlaczego Poszukiwacze w ciągu minionych stu lat stali się tym, kim są obecnie. Wiem tylko, że nie chciałam być jedną z nich.

Quin przytaknęła skinieniem głowy, a potem zapytała:

– Mariko… czy kiedykolwiek widziałaś coś w rodzaju dziwnego metalowego kasku? Takiego, jaki być może mógł być używany podczas treningów?

Kobieta patrzyła na Quin, ale jej spojrzenie uległo zmianie, stało się ostrożniejsze.

– Po złożeniu przysięgi opuściłam posiadłość, ale później tam wróciłam – powiedziała po chwili zadumy. – Ponieważ kochałam Alistaira MacBaina.

Quin pamiętała Mariko i Alistaira jako szczęśliwe małżeństwo, chociaż musiała przyznać, że w dzieciństwie niewiele zwracała uwagi na relacje pomiędzy dorosłymi – do tego stopnia, że na przykład nie dostrzegała, w jak okropny sposób jej ojciec traktował matkę.

– Może nie powinnam była wrócić – mówiła dalej powoli Mariko. – Gdybym tego nie zrobiła, życie Alistaira i moje byłoby łatwiejsze. Ale i tak nie wyglądałoby zbyt różowo. – Westchnęła i odwróciła wzrok od Quin. – Wiesz, że Shinobu od zawsze cię kochał.

– Wiem – szepnęła dziewczyna. – Ja też go kocham.

– Ale może byłoby lepiej dla was obojga, gdybyście nie kochali się nawzajem… albo gdybyście nie chcieli zostać Poszukiwaczami.

Głos kobiety był tak nabrzmiały żalem, że Quin nie potrafiła nic na to odpowiedzieć. Pomyślała o Mariko i Alistairze, którzy kochali się przez wszystkie te lata, lecz zostali zmuszeni do życia osobno z powodu tego, kim stali się Poszukiwacze – a zwłaszcza z powodu tego, kim stał się ojciec Quin, Briac Kincaid.

W końcu wyjąkała:

– Mam… mam nadzieję, że spróbujemy odnaleźć prawdę.

Zabrzmiało to słabo, jednak wierzyła w swoje słowa.

Mariko po chwili namysłu kiwnęła głową, jakby w głębi duszy podjęła decyzję.

– Zadałaś mi pytanie. Odpowiedź brzmi: nie, nigdy nie widziałam metalowego kasku, jaki opisałaś. Ale…

Sięgnęła do wnętrza szafy i przesunęła na jedną stronę wszystkie wiszące w niej ubrania. Tylna ściana szafy była biała. Na tym tle ktoś namalował ciemnoczerwoną farbą szczegółowy wizerunek właśnie takiego metalowego kasku, jaki Quin odebrała Briacowi i tamtym dziwnym chłopcom. Pod obrazkiem widniało kilka linijek japońskiego tekstu – ponumerowana lista.

– Ten kask nosi nazwę fokal. Jak widzisz, moja rodzina posiadała kiedyś taki – wyjaśniła Mariko, wskazując obrazek. – Któryś mój uczynny przodek zapisał tu instrukcję jego użycia.

Quin przebiegła wzrokiem japońskie pismo.

– Możesz mi ją przetłumaczyć?

– Masz taki kask? – zapytała Mariko. – W posiadłości nigdy żadnego nie widziałam.

Dziewczyna nie od razu odpowiedziała. Mariko porzuciła świat Poszukiwaczy. Czy rzeczywiście chciała poznać odpowiedź? Może byłoby dla niej lepiej, gdyby pozostała w niewiedzy, wiodąc bezpieczne życie ze swoim młodszym synem Akio?

– A co, jeśli mam? – rzuciła wreszcie.

– W takim razie powinnaś zachować wobec niego ostrożność – powiedziała Mariko. – Przyrządy Poszukiwaczy to nie zabawki. Nie można ich traktować lekkomyślnie.

– Nie traktuję lekkomyślnie żadnego z nich.

– Przypuszczam, że ty nie – rzekła w zamyśleniu Mariko. Spoglądała w dół na zwinięty morfer, który nadal trzymała w ręce. – Ale Shinobu mógłby. Nigdy nie był tak poważny, jak powinien być.

– Kilka razy uratował mi życie – oświadczyła Quin. – To było dla mnie wystarczająco poważne.

Te ciche słowa zabrzmiały niemal jak wyznanie, którego nie powinno się wypowiadać na głos.

Mariko uśmiechnęła się niewesoło.

– Może dorósł – powiedziała. – W każdym razie, jeżeli masz fokal, powinnaś się dowiedzieć, jak się nim posługiwać.

Otworzyła dolne drzwi szafy i wyjęła niewielką kartkę, kilkakrotnie złożoną. Uroczystym gestem wręczyła ją Quin.

Dziewczyna ostrożnie rozpostarła delikatny zwitek i ujrzała listę nakreśloną pięknym, niespotykanym charakterem pisma. Był to przekład tekstu z wewnętrznej ściany szafy:

1. Miej mocne, zdrowe ciało.

2. Oczyść swoje myśli, poczynając od uspokojenia umysłu.

3. Skoncentruj się na aktualnej kwestii.

4. Włóż kask na głowę.

5. Przestrzegaj ściśle tych reguł, aby fokal cię nie spustoszył.

– Przełożyłam ten tekst przed wielu laty dla przyjaciółki, która także weszła w posiadanie fokala – wyjaśniła Mariko.

– Kim ona była?

– Ty masz swoje sekrety, Quin, pozwól i mnie zachować moje. Nie wiem, do czego użyła fokala, podobnie jak nie wiem wielu innych rzeczy. Ale mogę ci powiedzieć, że nieodwracalnie się zmieniła.

Ton głosu Mariko jasno sugerował, że zmiana, jakiej uległa jej przyjaciółka, nie była korzystna.

Quin znów spojrzała na przetłumaczoną listę.

– Czy miało to jakiś związek ze słowem „spustoszyć”? Wiesz, co to oznacza?

Mariko przecząco pokręciła głową.

– Moja rodzina już od tak dawna nie posiada fokala. Niczego mnie o nim nie nauczono. Ale można z pewnością założyć, że chodzi o jakieś zagrożenie. Ojciec przypominał mi stale, że wysyła mnie do posiadłości na szkolenie pomimo wiążącego się z tym niebezpieczeństwa.

– Czy miał na myśli niebezpieczeństwo treningu? A może… niebezpieczeństwo zadań Poszukiwaczki, które zostaną ci przydzielone po złożeniu przysięgi?

Mariko uniosła w górę swój morfer i uważnie przyjrzała się mistrzowsko wykonanej intarsji na rękojeści, a potem odłożyła broń z powrotem na półkę.

– Być może mówił o niebezpieczeństwie treningu – przyrządów takich jak morfer czy fokal – albo może chodziło mu o niebezpieczeństwo przydzielanych później zadań – odpowiedziała. Odwróciła się ponownie do Quin. – Sądzę jednak, że miał też na myśli inne niebezpieczeństwo. – Mariko zapewne dostrzegła wyraz konsternacji na twarzy dziewczyny, gdyż dodała: – Zniknęły nie tylko athameny. Znikali także Poszukiwacze, Quin, i to od dawna. I nikt nigdy nie potrafił mi wyjaśnić, dlaczego. – Jej słowa pokrywały się z tym, co Catherine napisała w dzienniku. – Zatem… jeżeli zamierzasz nadal być Poszukiwaczką i zdecydujesz się użyć fokala, proszę, bądź ostrożna.

Rozdział 9
Quin

Most Tranzytowy przerzucony nad Zatoką Wiktorii i łączący wyspę Hongkong z regionem Koulun na stałym lądzie stanowił osobny świat. Miał dziesięć pięter wysokości i był zwieńczony efektownym baldachimem przypominającym gąszcz żagli statków. Komuś przyglądającemu się mostowi z dużej odległości mógłby się wydać szeregiem olbrzymich, wysokich żaglowców przemierzających dostojnie zatokę. Dla Quin most symbolizował zawsze nowe życie, wiedzione z dala od ojca i Szkocji, które mogła sama wybrać. Mieszkała z matką w domu przy głównej ulicy mostu i od przybycia tutaj przed niemal dwoma laty pracowała jako uzdrowicielka.

Weszła teraz na most, mając schowany pod kurtką morfer Shinobu. Jako stała mieszkanka nie podlegała przeszukaniom przez strażników i minęła ich posterunek tak, że nikt nie zauważył tej broni.

W Hongkongu było jeszcze jasne popołudnie, jednak pod baldachimem mostu stale panował półmrok. Quin przywykła już do takiego stanu, uważała go za przyjazny i dogodny. Lawirowała teraz w gęstym tłumie przechodniów, oświetlonym ciepłym, żółtym blaskiem padającym z wnętrz restauracji oraz zewnętrznymi lampami gabinetów uzdrowicieli, mieszczących się na górnym poziomie mostu.

Dom Quin znajdował się w pobliżu środka mostu, nieopodal domu Mistrza Tan, jej mentora w kwestiach uzdrawiania. Dotarła tam, wydostała się z tłumu i weszła frontowymi drzwiami, które zamknęły się za nią z brzękiem dzwonków, odcinając ją od zgiełku mostu. W poczekalni swojego gabinetu uzdrowicielskiego zastała zaaferowaną Fionę sprawiającą wrażenie, jakby już od jakiegoś czasu czekała tu niecierpliwie.

– Cześć, mamo. Czy Shinobu jest na górze?

– Czy jest? – powtórzyła Fiona. Odstawiła puszkę z ziołami i poirytowanym gestem upięła swoje długie rude włosy, wyraźnie czymś zdenerwowana. – Chyba tak.

Quin zauważyła, że matka nie ma mętnego wzroku, mówi wyraźnie – jedno i drugie stanowiło dobry znak – i wygląda równie pięknie jak zawsze. Od czasu walki na pokładzie Obieżyświata Fiona nie tykała alkoholu i nie pracowała już jako dama do towarzystwa. W istocie Quin i Mistrz Tan szkolili ją jako początkującą uzdrowicielkę. Być może zachowywanie trzeźwości czyniło Fionę rozdrażnioną, jednak wyglądała teraz o tyle zdrowiej, że Quin jej chwilowe wybuchy gniewu wydawały się tylko scenami z filmu, w którym aktorka odgrywa złość.

– To dobrze, że on jest tam na górze – ciągnęła matka – bo w przeciwnym razie doprowadziłby mnie do szału.

– Czy dobrze się czuje? – spytała Quin.

Poczuła ukłucie niepokoju. Shinobu spędził trzy dni w szpitalu w Hongkongu, a potem przez kolejne dni był poddawany intensywnej kuracji przez Mistrza Tan, który oprócz tego, że pełnił funkcję mentora Quin, był też jednym z najbardziej szanowanych uzdrowicieli na moście Tranzytowym. W szpitalu usunięto Shinobu podskórne implanty wydzielające środek przeciwbólowy i przemyto mu rany opracowanym w Azji specyfikiem powodującym rekonstrukcję tkanek, skuteczniejszym, jak zapewnili ją

lekarze, od wersji stosowanych w świecie Zachodu. Później Mistrz Tan użył swojej starodawnej magii ziół. Shinobu w tym krótkim okresie od powrotu do Azji zdrowiał szybciej niż podczas wcześniejszego dwutygodniowego pobytu w londyńskim szpitalu. Niemniej jednak nie doszedł jeszcze w pełni do siebie.

– Trudno powiedzieć – odparła Fiona i energicznie ubiła poduszki na sofie. Potem, widząc niepokój córki, uniosła ręce i dodała: – Nie, nie, nic mu nie jest. Przez godzinę był u niego akupunkturzysta – dopóki Shinobu nie wyrzucił go z pokoju. Mnie też wyrzucił. – Fiona wskazała w górę schodów. – Wątpię, by wykopał ciebie, ale lepiej miej się na baczności… Przynajmniej czuje się już na tyle dobrze, że wstaje z łóżka.

W połowie tej enigmatycznej relacji Fiony Quin zaczęła wchodzić po schodach prowadzących do swojej sypialni. Zobaczyła, że matka odprowadza ją wzrokiem, i dostrzegła w tym spojrzeniu surowy matczyny osąd. „Nie mogę cię powstrzymać przed tym, żebyś gościła go w swoim pokoju – zdawała się mówić – ale on jest teraz kimś całkiem innym niż tamten młody chłopiec, z którym dorastałaś".

Ponieważ Fiona nie powiedziała tego na głos, Quin nie mogła jej wyjaśnić, że pomiędzy nią i Shinobu nie zaszło wiele więcej oprócz snu. Z nich dwojga tylko on miał doświadczenie erotyczne, a skoro przez minione tygodnie był przeważnie nieprzytomny, Quin bardziej zajmowała się utrzymaniem go przy życiu niż romansowaniem.

Zastała drzwi swojej sypialni zamknięte. Pchnęła je i otworzyła, czując ulgę, że nie są zaryglowane. Shinobu, na wpół kucając u szczytu łóżka, wyglądał przez owalne okno na Zatokę Wiktorii. Był tylko w bieliźnie i miał wkłute w całe ciało igły akupunktury. Nie mógł jednak mieć żadnej igły wkłutej w głowę, gdyż jak Quin spostrzegła z niepokojem, nosił na niej kask z opalizującego metalu. Zobaczyła zużyte igły rozrzucone na podłodze. Widocznie wyrwał je sobie ze skóry głowy, zanim włożył fokal.

– Cześć – powiedziała ostrożnie.

Na dźwięk jej głosu odwrócił się. Wzrok miał żywszy i bystrzejszy niż przed jej wyjściem do domu Mariko, lecz także odrobinę dziki. Stanął na łóżku niczym kobra gotowa zaatakować.

– Cześć – odrzekł, zeskakując na podłogę.

Próbowała go chwycić, ale wylądował gładko bez jej pomocy.

– Naprawdę nie powinieneś jeszcze tak skakać – powiedziała.

– Nie, wszystko w porządku. Teraz już nic mnie nie boli. – Stanął tuż przy Quin i uśmiechnął się do niej. – Wszystko wydaje się dobrze.

Z kasku wydobył się nikły skwierczący dźwięk i wokół jego krawędzi popełzła niewielka czerwona elektryczna błyskawica, przebiegając przez czoło chłopca. Quin dotknęła jej delikatnie.

– Światło słońca – powiedział Shinobu. – Zostawiłem ten kask na słońcu, żeby się naładował. Dokładnie tak samo jak rozrywacz.

– Kiedy go założyłeś? – spytała, choć w istocie chciała zapytać: „Dlaczego?".

– Nie jestem pewien – odrzekł, jakby ta niepewność była czymś jak najbardziej naturalnym. – Przed kilkoma minutami? A może wczoraj?

– Jak to „nie jesteś pewien"?

Poczuła się jeszcze bardziej zaniepokojona. Czy nosił ten kask od tak dawna, że

stracił poczucie czasu? Czy miał na myśli kilka godzin? Pomyślała o instrukcji obsługi fokala, którą miała w kieszeni. Shinobu nie zastosował się do żadnej z jej reguł. A jednak nie sądziła, by nieoczekiwane zerwanie mu kasku z głowy było najlepszym pomysłem.

– To, jak długo go noszę, nie wydaje się ważne – wyjaśnił.

Chwycił Quin obiema rękami za ramiona, jakby chciał ją pocałować – albo może pożreć żywcem. Gdy się poruszył, zakołysały się igły wkłute w grzbiety jego dłoni.

– Quin, musisz tego spróbować. To… to… to rzeczywiście coś robi. Coś niezwykłego. Człowiek zaczyna być… Ten kask pozwala *widzieć wszystko*.

– Zamierzam ci go już zdjąć – oznajmiła.

– Już? Dlaczego? – zapytał.

Wydawał się zdenerwowany. Chwycił oburącz boki kasku i go przytrzymał.

– Nosisz go już wystarczająco długo – powiedziała stanowczo Quin.

Odsunęła jego ręce od kasku wdzięczna, że nie próbował się opierać, i zdjęła mu go z głowy.

Shinobu natychmiast jęknął i zachwiał się bezwładnie.

– Czekaj! – rzuciła i złapała go pod ramiona, żeby nie osunął się na podłogę i nie wbił sobie jeszcze głębiej igieł akupunktury. – Nie siadaj. Postaraj się ustać.

Chłopak ścisnął dłońmi głowę, jakby poczuł w niej potworny ból, i znowu jęknął, ale zdołał utrzymać się na nogach. Quin jak najszybciej wyjęła z jego ciała igły, a potem pomogła mu podejść do łóżka. Usiadł ciężko na materacu, przycisnął dłonią brzuch i zamknął oczy.

– Kręci mi się w głowie… – wymamrotał.

– Połóż się – poprosiła Quin.

Ostrożnie ułożyła go na łóżku. Co mu strzeliło do głowy, żeby wypróbowywać fokal przed jej powrotem? Czy powodowała nim żyłka ryzyka, czy zwykła ciekawość? Miał wypieki na twarzy, a serce biło mu szybko, jednak zwolniło, gdy badała mu puls na szyi.

Otworzył oczy i spojrzał na nią.

– Już mi przeszło – wyszeptał. – Przez chwilę poczułem mdłości… ale minęły. – Widząc, że Quin pochyla się nad nim, uśmiechnął się leniwie. – Jak to dobrze, że ułożyłaś mnie w swoim łóżku.

– Idiota! – rzuciła i pchnęła go w ramię.

– Uff – sapnął i pociągnął ją na siebie. – Jak możesz mnie bić, skoro jestem cały obolały?

– Idiota – powtórzyła, jednak łagodniej. Shinobu otoczył ją ramionami, ale odsunęła go tak, aby musiał na nią spojrzeć. – Nie możesz ot tak sobie wkładać tego kasku. To nie zabawka. Może wyrządzić ci krzywdę, jeśli nie użyjesz go właściwie.

– Rzeczywiście wyrządził mi krzywdę – wymamrotał. – Zakręciło mi się w głowie, a teraz znowu wszystko mnie boli. Pocałuj mnie, a poczuję się lepiej.

– Shinobu – rzekła surowo. Nie miała ochoty na flirtowanie ani na żarty. Nie wiedziała, ile jeszcze razy zdoła znieść widok Shinobu osuwającego się bezwładnie na ziemię. – Dlaczego włożyłeś kask?

Popatrzył na nią z powagą i wyglądało na to, że w końcu doszedł do siebie.

– Znudziło mnie leżenie cały dzień w łóżku – wyjaśnił. – Postąpiłem głupio. Przepraszam.

– Twoja matka dała mi instrukcję używania tego kasku.

– Naprawdę?

– Tak, ale wrócimy do tego później – kiedy poczujesz się lepiej i kiedy będziemy mogli bezpiecznie się nim posłużyć.

– Dobrze. Oczywiście – zgodził się.

Quin westchnęła i poczuła, że jej napięcie powoli mija.

– Przykro mi, że stale przysparzam ci tyle kłopotów – szepnął do niej. Usłyszała w jego głosie, że oddziaływanie fokala, jakiekolwiek było, całkowicie ustąpiło. – Wybaczysz mi?

– Prawdopodobnie – odrzekła z ociąganiem.

Przyciągnął ją bliżej. Teraz gdy nic mu już bezpośrednio nie zagrażało, uświadomiła sobie, że leżą razem w łóżku, i spostrzegła, że jego uśmiech jest nieznacznie asymetryczny. Shinobu przyglądał się jej spod przymkniętych powiek.

– Teraz już mnie pocałujesz, co? – spytał.

– Być może – szepnęła.

I rzeczywiście go pocałowała, gdyż kochała go pomimo jego lekkomyślności. Tyle razy ta lekkomyślność ocaliła jej życie.

Pocałunek był miły, ale odniosła wrażenie, że chłopiec go nie odwzajemnia.

– Zasypiasz, kiedy cię całuję? – spytała, uświadomiwszy sobie, że tak właśnie się dzieje.

Shinobu z wysiłkiem otworzył oczy, a potem znowu zamknął. Usunięto mu już implanty wydzielające odurzający środek przeciwbólowy, więc przyczyną jego senności było rzeczywiste wyczerpanie.

– Oczywiście, że nie – wyszeptał. – Pocałuj mnie jeszcze.

Po kilku chwilach spał jednak tak głęboko, że nie zareagował, nawet gdy Quin potrząsnęła go za ramię. Spojrzała przez pokój na fokal, który wcześniej odłożyła na swoje biurko. Zastanawiała się, jak w istocie ten kask wpływa na tego, kto go nosi.

Rozdział 10
John

John zajął się rozpaleniem ognia i przyrządzeniem kolacji, a Młoda Sędzia chodziła po pomieszczeniu. Byli w swojej skromnej kwaterze, którą urządzili w warsztacie w posiad łości – tym samym, w którym odwiedził przed rokiem Maud, gdy po raz pierwszy zgodziła się mu pomóc. Teraz mieszkał tutaj z nią, śpiąc niespokojnie każdej nocy na stercie słomy w jednym kącie warsztatu, owinięty w swoją pelerynę, podczas gdy Młoda Sędzia spała spokojnym, głębokim snem po drugiej stronie pomieszczenia, otulona własnym płaszczem, wyglądająca jak mały czarny anioł wyrzeźbiony na płycie nagrobnej.

Ich palenisko znajdowało się przy otwartych drzwiach warsztatu; tworzył je wielki krąg kamieni wypełniony popiołem z wszystkich wcześniejszych ognisk, na których gotowali. Teraz płonął w nim jaskrawopomarańczowym płomieniem nowy ogień, na którym John piekł mięso na kolację.

Na prętach umieszczonych na ścianie w pobliżu paleniska suszyli skóry zwierząt, które upolowali. Teraz też wisiało tam kilka rozpiętych skór, a Maud i John mieli na sobie kamizelki z lisiego futra chroniące ich przed wieczornym chłodem.

Wzdłuż tylnej ściany warsztatu stały stare regały i półki ze sztyletami i mieczami uratowanymi ze zniszczonych budynków posiadłości. Oboje używali ich wszystkich w trakcie treningów.

Młoda Sędzia, która zazwyczaj pozostawała w idealnym bezruchu, z wyjątkiem sytuacji wymagających podjęcia działania, teraz chodziła tam i z powrotem przed ogniem w palenisku, niezdolna usiedzieć na miejscu. John nigdy nie widział jej zachowującej się w taki sposób, jednak nie zdecydowała się wyjaśnić mu swego stanu ducha. Czekał więc, aż w końcu się do niego odezwie. Miał nadzieję, że nie jest nadal zła z powodu jego nieposłuszeństwa, kiedy pogonił za Briakiem Kincaidem. Nie wiedział, co by zrobił, gdyby postanowiła już go dalej nie szkolić.

Zmusił się, by odwrócić od niej wzrok. Trzymał na kolanach dziennik matki i przeglądał go uważnie w blasku ogniska. Czynił to każdego wieczoru, odkąd wydobył dziennik z kieszeni peleryny Quin, gdy spadali na ziemię na pokładzie Obieżyświata. Quin zwróciła mu ten dziennik. Pomogła, nawet jeśli nie miała takiego zamiaru.

Maud zatrzymała się przy drzwiach warsztatu i wyjrzała w kompletną ciemność. Było około trzeciej w nocy i wyszła gęsta mgła.

– Chcesz porozmawiać? – spytał John.

Odwróciła się ku niemu. Jej twarz oświetlona blaskiem ognia była spokojna jak zawsze, tylko coś w jej oczach odpowiadało niepokojowi ciała. Nie odezwała się.

John nadział na rożen kawałki mięsa królika i obrócił je nad metalowym rusztem. Rana od kuli w pobliżu barku pulsowała boleśnie, chociaż ból zmniejszył się znacznie w ciągu ostatnich dni. Przeniósł spojrzenie na karty dziennika.

Zapiski w notatniku matki były jasne, a zarazem trudne do odczytania. Pierwsza połowa wyglądała na szczegółowy opis występków Średniego Sędziego oraz kar, jakie wymierzał krnąbrnym Poszukiwaczom. Te stronice zapisano staromodnym pismem i bardzo trudno było je odczytać. W przeszłości babka Johna, Maggie, nakłaniała go, żeby

czytał jej na głos z bardzo starych ksiąg, z których wiele było rękopisami, zyskał więc wprawę w obcowaniu z archaicznym angielskim pismem i teraz mógł odczytać wiele z wczesnych wpisów w dzienniku. Poprosił raz Maud o pomoc w przetłumaczeniu tego, czego nie zdołał zrozumieć, lecz odmówiła. W istocie odmówiła poświęcenia dziennikowi jakiejkolwiek uwagi oprócz przelotnego spojrzenia.

– Porzuciłam na zawsze świat Średniego – powiedziała Johnowi, gdy pierwszy raz spróbował pokazać jej ten tom i wyjaśnić, co jego zdaniem zawiera. – Nie chcę czytać relacji o jego występkach. Popełnił liczne zbrodnie, chociaż większość dawno temu. Powinnam była wcześniej go zabić.

Johna nie ciekawiły zbytnio zbrodnie Średniego ani wymierzana przez niego sprawiedliwość, toteż nie poprosił więcej Maud o pomoc. Jego zainteresowanie budziła druga połowa dziennika, w której matka oraz inni zestawili ostatnie znane pojawienia się Poszukiwaczy i athamenów z rozmaitych klanów.

Według zapisków w dzienniku pierwotnie istniało dziesięć rodów Poszukiwaczy i każdy posiadał athamen. Większości z tych athamenów nie widziano jednak od dwudziestu, pięćdziesięciu, nawet stu lat przed narodzinami Johna. To, gdzie teraz były, a także dlaczego zniknęły, pozostawało zagadką – przynajmniej dla Catherine piszącej w dzienniku. Jednak szukała ich. Albo może szukała przynajmniej niektórych z nich – z klanów, które skrzywdziły jej rodzinę.

Od wielu pokoleń Poszukiwacze z innych rodów atakowali i mordowali członków jego rodziny. „Pewnego dnia zniszczysz rody, które nas krzywdziły – powiedziała mu babka po śmierci mamy. – Staniesz się kimś, kim byli członkowie naszej rodziny na samym początku, człowiekiem potężnym, ale prawym". Jej słowa były odbiciem słów umierającej matki: „Nasz ród podźwignie się, a inne upadną".

Gdy dotykał stronic dziennika, myślał o dłoniach matki dotykających tych samych kartek, zapełniających je wyraźnym, kobiecym pismem. I wbrew woli myślał też o Quin. Ona miała ten dziennik, jej dłonie też go dotykały. Kiedy przebiegał wzrokiem linijkę tekstu, czuł, że ona robiła to samo.

„Co myślała o tych zapiskach? – zastanawiał się. – I co myśli teraz?".

Nagle Maud odwróciła się od drzwi, usiadła po drugiej stronie paleniska, naprzeciwko Johna, i wbiła w niego wzrok. Pod jej spojrzeniem zawsze czuł się nieswojo, jakby obserwowała go pantera. Długie, jasne włosy Maud spadały jej na ramiona, jeszcze potęgując wrażenie dzikości.

– Nie znam tamtych chłopców – oznajmiła po prostu. – Jestem pewna, że wcześniej ich nie widziałam. Nie są żadnymi z Poszukiwaczy, których kiedykolwiek spotkałam.

Królik był już upieczony. John w milczeniu zdjął mięso z rusztu i podał Maud porcję na jednej z nieoheblowanych deseczek, których używali zamiast talerzy. Młoda Sędzia przyjęła od niego tackę, lecz nie zabrała się do jedzenia, tylko w roztargnieniu trzymała ją przed sobą.

– Czy znasz wszystkich Poszukiwaczy? – zapytał.

– Powinnam umieć ich zidentyfikować po wyglądzie. Powinnam móc wyczuć, do którego rodu należą.

– Jak mogłabyś znać wszystkich? – pytał John.

Maud nie mogła być wiele starsza od niego, a wyglądała wręcz na młodszą. Nawet jeśli okres jej życia rozpościerał się na kilkaset lat, a większość tego czasu, jak wyjaśniła, spędziła Tam – w stanie hibernacji, snu czy „rozciągnięcia", jak lubiła to nazywać – rzeczywisty czas jej świadomego przebywania w realnym świecie nie mógł być dużo dłuższy od wieku Johna, prawda?

Odrzekła po prostu:

– Gdyby byli Poszukiwaczami, znałabym ich, a nie znam.

Zauważyła wreszcie, że trzyma deseczkę z upieczonym mięsem królika, i zaczęła jeść. Wydawało się, że po kilku chwilach namysłu podjęła jakąś decyzję. Zapytała Johna:

– Co ta twoja książka mówi o rodzie dzika?

John usiłował ukryć zaskoczenie jej zainteresowaniem dziennikiem.

– Dzika? Dlaczego pytasz akurat o ten ród?

– Tamci chłopcy mieli athamen z dzikiem wyrytym na rękojeści.

– A więc… czy nie mogli być Poszukiwaczami z rodu dzika?

– Nie – odparła Maud – nie byli.

Kiedy nie dodała żadnego wyjaśnienia, John odłożył swoją tackę, starannie wytarł ręce i przekartkował dziennik. W drugiej połowie tomu była stronica z naszkicowanym u góry dzikiem. Podsunął ją Maud pod oczy i wyjaśnił:

– Catherine sporządziła rejestr miejsc, w których widziano Poszukiwaczy z klanu dzika, oraz miejsc, w których widziano ich athameny. – Wskazał jeden z najwcześniejszych wpisów pod rysunkiem dzika. – Rok 1779, Hiszpania, okolice miasta Walencja.

– Jakie jest ostatnie miejsce na tej liście? To, w którym ostatnio widziano athamen z wyrytym dzikiem?

John przebiegł wzrokiem kilka następnych stron.

– Tutaj. Norwegia, przed osiemnastu laty; athamen był w posiadaniu Emila Perneta z rodu dzika. – Pokazał Maud linijkę tekstu. – Od tamtego czasu chyba już nikt nie widział athamenu z dzikiem – aż do teraz.

– Emil Pernet – powtórzyła Młoda Sędzia.

– Znasz go?

– Słyszałam kiedyś to nazwisko – odrzekła. – A co jest tu, pod wpisem?

Przysunęła się bliżej, żeby popatrzeć na dziennik, tak że siedzieli teraz ramię w ramię.

– Szkic jakiegoś miejsca.

Catherine wkleiła do dziennika rysunek przedstawiający surowy krajobraz z rozrzuconymi tu i ówdzie ostrymi skałami oraz widniejącą w oddali niską, ciemną grotą. W dzienniku było kilka takich rysunków. Maud wzięła od Johna tom i uważnie przyjrzała się obrazkowi.

– Są tu współrzędne, które Catherine spisała z athamenu – powiedział chłopiec. – Rozpoznajesz to miejsce?

Pod rysunkiem były symbole z pierścieni athamenu – niewątpliwie stanowiły instrukcję odnalezienia tej groty. Młoda Sędzia zaczęła już uczyć Johna o jego athamenie i znajdujących się na nim symbolach. Nawet użyli tego przyrządu, żeby przenieść się

z Londynu do posiadłości i innych pobliskich miejsc, chociaż Maud nie pozwoliła, żeby John sam obsługiwał to starożytne narzędzie, i w istocie na czas podróży zawiązywała chłopcu oczy. Nie mógł władać athamenem, dopóki nie złoży przysięgi. Ale John planował, że kiedy już zostanie pełnoprawnym Poszukiwaczem, ustawi w swoim athamenie te współrzędne, podąży śladami matki i odnajdzie klany, które unicestwiły jego ród.

Młoda Sędzia nadal studiowała rysunek. W końcu powiedziała:

– Jeżeli to grota, być może rozpoznaję to miejsce, tylko że niewiele w tym sensu. Jeśli to jest tam, gdzie podejrzewam, powinna być dla Emila bezpiecznym miejscem, a nie ostatnim, w którym widziano jego athamen, zanim zniknął. – Postukała palcem w trzymany w dłoni dziennik. – Czy mogę popatrzeć na to trochę dłużej? – spytała.

John doświadczał niemal fizycznego bólu, gdy tracił dziennik z rąk – bo był to tak cenny przedmiot i zaginiony przez długi czas – ale opanował niepokój i odpowiedział:

– Tak, oczywiście.

Potraktował zainteresowanie Maud notatkami jego matki jako dobry znak, dający nadzieję. Od pewnego czasu myślał o kabinie swojej babki na Obieżyświacie. Statek powietrzny nadal był w Hyde Parku. Zanim można będzie bezpiecznie przetransportować go poza granice Londynu i naprawić, należało wymontować na miejscu jego niebezpieczne silniki. To zadanie niemal już ukończono i statek miał zostać przeniesiony za kilka dni. Na czas remontu Obieżyświata jego wnętrze zostanie opróżnione, w tym także kabina Maggie. W tym pomieszczeniu znajdowały się rzeczy, których John potrzebował, i nie chciał, żeby znaleźli je jego kuzyni walczący już o przejęcie kontroli nad rodzinnym majątkiem.

Nie chciał mówić o tym Młodej Sędzi. Nie lubiła, kiedy wspominał o swojej rodzinie, a zwłaszcza o matce. Chciała, żeby skupiał umysł na teraźniejszości, na swoim treningu. Lecz tej nocy, po spotkaniu z chłopcami, zachowywała się inaczej. Przyglądał się, jak ostrożnie trzymała dziennik i w zamyśleniu wpatrywała się w ogień. Skoro zainteresowała się zapiskami jego matki, pomyślał, być może zdoła ją przekonać, by mu pomogła.

– Ja… muszę wrócić do Obieżyświata – oznajmił, zanim mógłby stracić odwagę. – Tylko na krótko. Ale muszę to zrobić niebawem.

Maud podniosła na niego wzrok.

– Po co?

– Mam dziennik matki, ale w sypialni na statku są inne rzeczy należące do niej. Nie chcę, żeby dostały się w cudze ręce.

Młoda Sędzia czekała na lepsze wyjaśnienie. John nerwowo poklepał się dłonią po nodze. Maud zawsze była wobec niego szczera, a on nigdy jej nie okłamał, odkąd zgodziła się go szkolić. Był jej uczniem i wysoko sobie cenił ten układ.

– W dzienniku matka zapisała informacje o rodach, które zabijały naszych krewnych – wyjaśnił cicho.

– W tym, co pokazałeś mi w dzienniku, nie ma niczego o śmierci krewnych – powiedziała Maud. – Widzę tylko listę miejsc i dat.

– Być może nie pisała wyłącznie o wrogach, ale są tam wzmianki o nich – odparł.

– Kiedy zobaczysz, co jest w kabinie mojej babki, nabierze to dla ciebie sensu. Bez względu na to, cokolwiek jeszcze robiła moja matka, tropiła tych, którzy nas skrzywdzili.

– Chcesz zgromadzić dowody, żeby się zemścić? – spytała Młoda Sędzia powoli, lecz ostro.

– Rozmawiałem z tobą szczerze o przyrzeczeniu, które złożyłem – rzekł do Maud, zmuszając się, by wytrzymać jej spojrzenie. – W okresie, kiedy mnie szkolisz, nie podejmę żadnego działania bez twojej zgody. Ale… ale muszę odzyskać te przedmioty, zanim zaginą.

Wydawało się, że Maud przez pewien czas rozważała jego odpowiedź. Wreszcie powiedziała:

– Możemy złożyć wizytę na tym statku. – Spojrzała chłopcu w oczy. – Wiesz, twojej matce nie chodziło tylko o zemstę.

John nic nie odpowiedział i odwrócił się. Można było jasno odczytać jego myśli: „Nie wiesz, czego chciała moja matka”.

Rozdział 11
Maud

21 LAT WCZEŚNIEJ

– Co ty tu robisz? – spomiędzy drzew dobiegł głos dziewczyny.

– A jak myślisz? – odrzekł męski głos.

Młoda Sędzia usłyszała trzaśnięcie gwałtownie zamykanych drzwi starej chaty, a potem odgłos kroków dwóch osób na leśnej ściółce.

– Przestań za mną łazić!

To był znowu głos tej dziewczyny, tym razem wyraźniejszy. Maud przystanęła w pół kroku, z uniesioną jedną nogą, i nasłuchiwała.

Młoda Sędzia ćwiczyła samotnie w ruinach zamku w szkockiej posiadłości, zastanawiając się, gdzie dzisiaj przebywa Średni Sędzia. Właśnie schodziła zalesionym gęsto zboczem ku rzece, gdzie często polowała, aby zapewnić im obojgu posiłki.

– Odejdź! – rzuciła po chwili dziewczyna.

Coś w jej głosie zaniepokoiło Maud. Młoda Sędzia stała, balansując na jednej nodze, a potem po szybkim namyśle zawróciła i ruszyła z powrotem w górę wzgórza.

– Chcę zostać sama! – powiedziała dziewczyna.

Była zdyszana i sądząc z tupotu jej kroków, biegła. Młoda Sędzia rozpoznała głos Catherine Renart, jednej z uczennic, która wkrótce miała złożyć przysięgę i zostać Poszukiwaczką. Gdy Maud dotarła na szczyt wzgórza, zobaczyła w dole Catherine biegnącą szybko między drzewami. Dziewczyna niewątpliwie odwiedziła pobliskie niewielkie skupisko opuszczonych chat w głębi lasu.

Ścigał ją inny uczeń – chłopiec, Briac Kincaid, jakkolwiek trudno było myśleć o nim jako o chłopcu. Chociaż miał dopiero piętnaście lat, tak jak Catherine, był już wysoki niczym mężczyzna, a jego twarz miała twardy, bezlitosny wyraz.

Catherine dotarła do rzadziej zarośniętego fragmentu lasu i tam dogonił ją Briac. Złapał dziewczynę za ramię i obrócił ku sobie. Maud zobaczyła rumieniec na jego twarzy. Miał jasną cerę, ostro kontrastującą z kruczoczarnymi włosami.

– Co robiłaś w tych chatach? – zapytał.

– Dlaczego mnie śledzisz? – odpowiedziała pytaniem Catherine, wyrywając rękę z jego chwytu.

Briac z uśmiechem złapał ją za ramiona. Dziewczyna cofnęła się o krok i oparła plecami o pień drzewa.

– Dobrze wiesz, dlaczego cię śledzę – wyszeptał Briac.

Catherine wydawała się raczej zaskoczona niż zaniepokojona.

„Ale dlaczego ja ich podglądam?" – zadała sobie pytanie Młoda Sędzia.

To było coś w rodzaju sprzeczki kochanków, co nie powinno przyciągnąć jej uwagi. A jednak pewne cechy Catherine przypominały Młodej Sędzi jej własne i dlatego się nią interesowała. Przez minionych kilka dni obserwowała trening uczniów, co ona i Średni robili zawsze, ilekroć przybywali do posiadłości. Podczas gdy większość uczniów była pochłonięta wyłącznie jak najlepszym zaprezentowaniem się swoim

instruktorom, tak aby mogli zostać dopuszczeni do złożenia przysięgi, Catherine zachowywała się inaczej. Sprawiała wrażenie, jakby już sięgała myślą dalej, poza szkolenie, ku swojemu późniejszemu życiu, i chciała się nauczyć rzeczy naprawdę istotnych. Młoda Sędzia była kiedyś taka sama, zadawała swojemu mistrzowi, Staremu Sędziemu, setki pytań dotyczących jej przyszłości, chociaż odpowiadał tylko na nieliczne.

– Chciałaś, żebym tu za tobą przyszedł – szepnął Briac.

– Nie – zaprzeczyła Catherine.

– Daj spokój. Wybrałaś się samotnie do tych pustych chat? – rzekł miękko. – Wróćmy razem i wejdźmy do którejś z nich…

– Oglądałam rzeczy Emila – wyjaśniła i szarpnięciem wyswobodziła rękę.

– Emila? – powtórzył. – Dlaczego miałabyś marnować czas na zajmowanie się nim? Uczniem, który oblał, został usunięty i stąd wyjechał.

Catherine uwolniła drugą rękę i popatrzyła gniewnie na Briaca.

– On był naszym przyjacielem – powiedziała. – Trenował z nami.

– To mały chłopiec.

– Ma czternaście lat. Jest młodszy od nas tylko o kilka miesięcy. I podobało mi się to, co zamierzał robić po złożeniu przysięgi.

– Niby co? Usuwać skorumpowanych polityków? Pomagać ubogim? – Briac mówił takim tonem, jakby uważał to za naiwność.

– Dlaczego mówisz o tym w taki sposób? – spytała Catherine. – Mamy robić właśnie tego rodzaju rzeczy. To nasze zadanie.

– Czyżby?

– Mój dziadek obalił afgańskiego watażkę, uwolnił niewinnych…

– Brawo, Catherine. Musisz mieć idealną rodzinę. Ale Emil nie dotarłby do etapu złożenia przysięgi.

– Dlaczego tak mówisz?

– Wybrał sobie niewłaściwe towarzystwo – rzekł Briac.

– Kogo masz na myśli?

Briac wzruszył ramionami.

– Właściwie nie wiem i w gruncie rzeczy nic mnie to nie obchodzi. – Znowu zniżył głos do ostrego szeptu: – Zapomnij o Emilu. Nie jesteśmy tutaj po to, żeby o nim rozmawiać.

– Ja właśnie dlatego… – zaczęła Catherine, ale Briac przerwał jej, przyciskając usta do jej ust.

Dziewczyna cofnęła się, a jej jasne włosy zahaczyły o szorstką korę drzewa, gdy odsunęła głowę do tyłu. Z niewielkiej odległości między nią a Briakiem przyjrzała mu się uważnie, jakby analizowała w laboratorium jakieś zaskakujące zjawisko przyrodnicze.

– Daj spokój – naciskał. – Od trzech lat walczymy ze sobą w stodole treningowej. Czy nie chciałabyś…?

Przez twarz Catherine przemknął wyraz zaskoczenia, a po chwili zastąpiło go łagodne zaciekawienie. Odepchnęła Briaca, a potem objęła dłonią tył jego głowy i przyciągnęła chłopca z powrotem do siebie. Znowu się pocałowali.

Maud się odwróciła. Nie miała żadnego powodu mieszać się w tę sytuację, a poza

tym musiała jeszcze upolować coś na kolację. Przeszła kilkadziesiąt kroków z powrotem, gdy znów dobiegły ją głosy tamtych dwojga. Uświadomiła sobie, że rozszerzyła swoje słyszenie, aby nadal ich nadzorować.

– To… zbyt wiele – powiedziała Catherine.

– Nie, to jest dobre, dobre.

– W trakcie treningów zachowujesz się okrutnie. Przez połowę czasu cię nienawidzę.

– Tylko dlatego, że cię pragnę – wyszeptał. – Ty mnie nie pragniesz?

Chwilę później Maud usłyszała odgłos szamotaniny i bez namysłu zawróciła. Kiedy dotarła na grzbiet wzgórza, zobaczyła, że Briac zdołał unieruchomić z tyłu ręce Catherine. Dziewczyna usiłowała się wyrwać, a on przyciskał ją do drzewa i całował, szarpiąc jedną ręką za jej pasek.

– Nie! – krzyknęła Catherine, gdy w końcu udało się jej cofnąć głowę.

– Wszystko w porządku – powiedział Briac tylko trochę głośniej od szeptu. – Pragnę cię już od roku…

Znów przycisnął usta do ust dziewczyny i wsunął dłoń za jej pasek. Maud jeszcze przyspieszyła, zbiegając ku nim ze wzgórza.

Catherine wykręciła głowę do tyłu, a potem gwałtownie obróciła ją do przodu, uderzając Briaca czołem w nos. Chłopak krzyknął i ją puścił.

– Odczep się ode mnie! – wrzasnęła, odpychając go.

Briaca oszołomiło to uderzenie z byka, ale tylko na moment. Po chwili z głośnym trzaskiem rąbnął Catherine na odlew otwartą dłonią w twarz.

Dziewczyna runęła na bok, lecz Maud zorientowała się, że to był tylko podstęp. W połowie upadku Catherine złapała Briaca oburącz za ramiona i kopnęła go kolanem w krocze tak mocno, że jęknął, cofnął się i skulił. Chwyciła go, pchnęła na ziemię i zamachnęła się, by uderzyć w głowę. Briac uniósł ręce, chcąc się zasłonić, a dziewczyna wykorzystała sposobność i znów kopnęła go w krocze.

Maud zatrzymała się, widząc, że Catherine walczy zręcznie i nie potrzebuje pomocy.

„Oczywiście, że nie – pomyślała. – Ta dziewczyna jest już niemal pełnoprawną Poszukiwaczką”.

Gdy Briac wił się na ziemi, Catherine wyciągnęła z tyłu zza pasa nóż i przecięła nim wszywany pasek jego spodni. Powiodła ostrzem w dół, rozrywając materiał i odsłaniając bieliznę.

– Jak ci się to podoba? – wyszeptała zdyszana.

Chłopak leżał na leśnej ściółce, przyciskając dłonie do krocza, i spoglądał na Catherine, która wstała i otrzepała się. Nie próbował się podnieść, gdy odbiegała truchtem.

Przemierzywszy kawałek drogi, dziewczyna spostrzegła Maud i zatrzymała się gwałtownie. Młoda Sędzia zdała sobie sprawę, że stoi na odkrytym terenie i w uniesionej do tyłu prawej ręce ściska ostrze noża, gotowa rzucić nim w Briaca Kincaida. Catherine wyglądała na zaskoczoną.

„Ja też zaskoczyłam samą siebie – pomyślała Młoda. – Uczniowie potrafią sami

sobie poradzić. A my, Sędziowie, musimy trzymać się na uboczu".

Jednym płynnym ruchem wetknęła nóż z powrotem na miejsce, odwróciła się i ruszyła na południe, tam gdzie pierwotnie zmierzała, by zapolować. Dobiegł ją z tyłu odgłos kroków Catherine. Kiedy nie odwróciła się ani nie zwolniła, usłyszała, że Catherine przyspieszyła, i po chwili znalazła się u jej boku.

– Zamierzałaś mi pomóc? – spytała ją Catherine, idąc obok niej. – Dlaczego?

Maud zerknęła na nią. Z bliska uderzyło ją podobieństwo dziewczyny do jednej z innych uczennic, Anny. Oczywiście to musiała być starsza siostra Catherine. Miały identyczne jasne włosy i niebieskie oczy. Tyle że Anna była z usposobienia bardziej podobna do wszystkich pozostałych uczniów – brakowało jej dociekliwości Catherine.

Catherine powiedziała:

– Myślałam, że nie powinniście ingerować w walki pomiędzy Poszukiwaczami.

– Jeszcze nie jesteś Poszukiwaczką – odparła spokojnie Maud.

– Potrafię sobie poradzić.

– Jestem pewna, że Briac Kincaid też to teraz wie.

– Nigdy go nie lubiłam – oświadczyła dziewczyna swobodnym tonem, niemal jakby prowadziła towarzyską rozmowę. Dotrzymywała kroku Maud. – Powinniśmy odłożyć na bok urazy i waśnie pomiędzy rodami w trakcie pobytu tutaj – no wiesz, na neutralnym terenie posiadłości. Ale źle zrobiłam, dopuszczając go do siebie tak blisko. – Catherine przyjrzała się swoim dłoniom. Kostki jednej krwawiły. Przycisnęła ją do ust, rozejrzała się po lesie, a potem parsknęła krótkim, niewesołym śmiechem. – Byłabyś zaskoczona, jak rozmaitych ludzi spotyka się w tym lesie.

– Wkrótce zostaniesz zaprzysiężona i będziesz mogła odejść swobodnie, dokąd zechcesz – powiedziała do niej Maud.

– Ale jak dobrą Poszukiwaczką się stanę?

Młodą Sędzię ciekawiło, co dziewczyna ma na myśli, ale nie chciała pytać. I tak już zanadto wtrąciła się w życie uczennicy i pozwoliła na zbyt bliski kontakt. Sędziowie muszą trzymać się na uboczu. Na tym polega przysięga Sędziów: mają stać na straży przestrzegania reguł przez Poszukiwaczy i nie ingerować w sprawy ludzi, tak aby móc zachować czyste umysły i dokonywać bezstronnych osądów.

– Athamen mojego rodu zaginął przed… mniej więcej stu laty – mówiła Catherine, jakby Maud zachęciła ją, by rozwinęła swoją myśl. – W posiadłości brakuje przyrządów, których powinniśmy używać w trakcie treningów. A zatem jak dobrą Poszukiwaczką zostanę po złożeniu przysięgi? Będę tylko w połowie tym, kim niegdyś byli Poszukiwacze. Nawet mniej niż w połowie, gdyż nie mam athamenu. Moja siostra i ja będziemy musiały sprzymierzyć się z inną rodziną, błagać, by pozwoliła nam posłużyć się jej athamenem – podobnie jak większość uczniów, w tym także Briac. Czy myślisz, że jakiś ród zaryzykuje użyczenie mi swojego athamenu, żebym mogła udać się do Ameryki Południowej czy gdzieś indziej i zlikwidować tamtejszych baronów narkotykowych? Członkowie takiego rodu tylko popatrzą na mnie ze zdumieniem, jak przed chwilą Briac.

Dziewczyna wyrzucała z siebie te słowa, jakby od miesięcy czekała, by móc komuś o tym powiedzieć. Być może czekała od miesięcy, by pomówić o tym właśnie z Maud.

– O jakich przyrządach do treningu mówisz? – zapytała wbrew sobie Młoda Sędzia.

Wiedziała, że niektóre athameny nie znajdują się już w posiadaniu klanów, do których pierwotnie należały, a wiele zaginęło, chociaż nie wiedziała dlaczego. Ale czego jeszcze brakowało?

– Nie jestem pewna – odparła Catherine. – Słyszałam wzmiankę o kasku treningowym – ale też o innych przyrządach. Powinnaś wiedzieć o tym więcej ode mnie.

Rola Maud wobec uczniów ograniczała się do nadzorowania przyjęcia od nich przysięgi i Młoda Sędzia już od bardzo dawna nie zwracała zbyt wielkiej uwagi na szczegóły ich szkolenia. Jednak teraz, gdy Catherine o tym wspomniała, Maud uświadomiła sobie, że nie widziała fokala od… od jak dawna? Kiedy ostatni raz widziała, jak używa go jakiś uczeń? Przed co najmniej piętnastoma przebudzeniami? I nawet wtedy był czymś nadzwyczaj rzadkim, podczas gdy niegdyś spotykało się je powszechnie. Istniały też inne narzędzia, niekoniecznie niezbędne do ukształtowania dobrego Poszukiwacza, ale z pewnością przydatne, których nie widziała wykorzystywanych do szkolenia w posiadłości od co najmniej kilku pokoleń.

Młoda Sędzia pokręciła głową, zaprzeczając słowom Catherine, lecz także, aby rozwiać swoje wątpliwości.

– Mówisz o problemach Poszukiwaczy. Jeżeli Poszukiwacze tracą należące do nich rzeczy, to nie jest to zmartwienie Sędziów.

– Ale przecież giną nie tylko nasze rzeczy, nieprawdaż? – spytała cicho Catherine, spoglądając za siebie, w kierunku opuszczonych chat, które znajdowały się teraz daleko z tyłu. – Mój przyjaciel Emil – Emil Pernet z klanu dzika – nie wrócił w tym roku. A wcześniej nie wrócili inni. Spójrz na wszystkie te puste chaty.

– Nie każdy kończy szkolenie – powiedziała Młoda Sędzia. – Ono jest trudne.

– Próbowałam wiele razy skontaktować się z Emilem, ale nie odpowiada – rzekła zdenerwowana Catherine. – Zniknął i wygląda na to, że nikt o to nie dba.

– Wielu uczniów porzuca szkolenie – rzekła Maud. – Dlaczego ty albo ja miałybyśmy się tym przejmować?

– Ty wydawałaś się przejmować. Przed chwilą. – Catherine wskazała głową w kierunku miejsca, w którym Briac ją napastował. – Nie jesteś taka jak drugi Sędzia, Średni. Jego zupełnie nie obchodzi życie Poszukiwaczy.

Młoda Sędzia nic nie odpowiedziała. Nie było sprawą Poszukiwacza – a tym bardziej ucznia dopiero szkolącego się na Poszukiwacza – wypowiadanie jakichkolwiek ocen dotyczących Sędziów. Gdyby Maud dopiero co nie widziała, jak napadnięto tę dziewczynę, udzieliłaby jej ostrej reprymendy. Ale w tej sytuacji po prostu szła dalej i przyspieszyła kroku.

– Czy to ci nie przeszkadza? – spytała ją Catherine, też przyspieszając, by nie zostać w tyle. Była albo nieświadoma tego, że Młoda nie ma ochoty na kontynuowanie tej rozmowy, albo zdecydowana, by mimo wszystko drążyć temat. – Czy nie przeszkadza ci ten brak zaangażowania? Bycie zawsze oddzieloną od nas?

– Na tym polega zadanie Sędziów.

– Czy kiedykolwiek żałowałaś tego… kim zostałaś?

W oczach Maud błysnęło ostrzeżenie i Catherine została krok z tyłu. Dziewczyna

wyjaśniła ciszej:

– Miałam tylko na myśli... czy to byłoby trudne dla kogoś takiego jak ja? Życie takie jak twoje?

– Jest już troje Sędziów, więc twoje pytanie nie ma sensu.

Dziewczyna milczała przez kilka kroków, lecz nadal szła obok Maud.

– Ale… ale przecież jest więcej niż jedna Młoda Sędzia.

Maud zatrzymała się i na nią spojrzała.

– Wyjaśnij, o czym mówisz – rzekła. – Nie ma innych Sędziów.

– Mój prapradziadek widział Średniego Sędziego szkolącego innych.

Maud wbrew sobie spytała:

– Twój prapradziadek?

– Napisał o tym. Mam jego list.

– Nie. Nie istnieją inni Sędziowie – powtórzyła Maud. Oczywiście, że nie istnieją. – Jedynie Stary Sędzia może powołać innego Sędziego, a nie uczynił tego, odkąd wyszkolił mnie.

– Naprawdę? Jesteś pewna? – Catherine wydawała się zawiedziona tą wiadomością. Spuściła wzrok na leśną ściółkę. Potem, jakby ledwie miała śmiałość przemówić, wyrzuciła z siebie: – Ale jeśli są tylko trzej Sędziowie, to czy… czy uważasz, że Średni Sędzia zasługuje na swoje stanowisko?

Maud odruchowo uniosła prawą rękę i z rozmachem uderzyła Catherine w policzek. Dziewczyna przycisnęła dłoń do twarzy. Maud szła dalej, teraz jeszcze szybciej, tak że Catherine musiałaby biec, aby dotrzymać jej kroku.

„Jak niezaprzysiężona uczennica śmiała mówić w taki sposób o Sędzi?”.

Catherine przystanęła, została w tyle i Maud usłyszała, jak pociera uderzone miejsce na policzku.

– On robił rzeczy, jakich nie powinien, i nie jest sprawiedliwym sędzią! – zawołała za nią dziewczyna.

Oczywiście obydwa te zarzuty były prawdziwe. Młoda Sędzia wiedziała o tym już od jakiegoś czasu. Uważała jednak, że Catherine nie ma prawa wysuwać tego rodzaju oskarżeń.

– Wielu Poszukiwaczy napisało o jego występkach – dodała Catherine, chociaż nadal nie podążała za Maud.

Na te słowa Młoda Sędzia zwolniła, przypomniawszy sobie coś z odległej przeszłości. Przed wiekami jako dziecko podejrzała starcie pomiędzy Średnim Sędzią a poprzednim Młodym Sędzią. Młody, konając, powiedział Średniemu, że zapisał wiele rzeczy o nim. A potem uśmiechnął się, jakby to on zwyciężył w tej walce, chociaż jasne było, że Średni Sędzia zaraz go zabije. Maud bardzo często zastanawiała się, co zapisał tamten chłopak, Młody Sędzia. I gdzie to jest.

Kilka lat później zdobyła się na odwagę i opowiedziała Staremu Sędziemu o tamtym zdarzeniu. Mistrz odpowiedział jej spokojnie: „Niewiele rzeczy, jakie usłyszałbym o Średnim Sędzi, mogłoby mnie zaskoczyć. On przyznał mi się do tamtego czynu. I zmienił swoje postępowanie. Jest teraz inny. Musisz zostawić jego sprawę mnie, ponieważ mam go w garści”.

Maud przyspieszyła i już niemal biegła cichym, miarowym, rytmicznym truchtem, prześlizgując się między drzewami. Mimo to usłyszała następne słowa Catherine.

– Moi rodzice nie chcą nic o tym wiedzieć – wyszeptała dziewczyna. – Nikt w posiadłości nie chce wiedzieć i ty też nie.

Młoda Sędzia przyciągnęła swoje słyszenie z powrotem do siebie, odcinając się od głosu Catherine.

O wiele później tego dnia, gdy wracała do posiadłości, niosąc dwie upolowane na kolację dzikie kaczki, zobaczyła Średniego. Stał w pobliżu chat Sędziów i rozmawiał z Briakiem Kincaidem, który miał spuchnięty nos i podbite oko.

Młoda Sędzia przypomniała sobie dziwną uwagę wygłoszoną przez Catherine: „Mój prapradziadek widział Średniego Sędziego szkolącego innych".

Sędziowie często spędzali czas Tam w stanie rozciągnięcia, ale Średni potrafił budzić się sam, a Maud nie. To oznaczało, że często bywał świadomy, podczas gdy ona spała. Co robił we wszystkich tych przypadkach, kiedy przebywał bez niej na zewnątrz, w realnym świecie?

Maud zobaczyła teraz, że Średni położył rękę na ramieniu Briaca Kincaida. Ten przyjazny gest ją zaniepokoił.

Rozdział 12
Quin

Czy kiedykolwiek rozmawiałaś z Młodą Sędzią? – zapytała Quin swoją matkę.

Obydwie siedziały na podłodze w sypialni dziewczyny. Przed kilkoma godzinami wyjęły jej kopię dziennika Catherine i rozłożyły kartki wokół siebie, żeby móc łatwiej studiować ich treść. Quin obudziła się niespokojnie w środku nocy i zorientowała, że matka jeszcze nie śpi, a potem obie nie zmrużyły oka aż do świtu i przez sporą część dnia, przepisując najstarsze notatki dziennika bardziej czytelnie i rozszyfrowując znaczenie trudniejszych słów.

Fiona siedząca ze skrzyżowanymi nogami metr od Quin przebiegła wzrokiem leżące przed nią stronice i dopiero potem odwróciła się do córki.

– Nie, nigdy – odpowiedziała. – Przerwałam moje szkolenie Poszukiwaczki w wieku czternastu lat. Wcześniej jako mała dziewczynka widziałam kilka razy Młodą Sędzię w posiadłości, gdy zjawiała się, aby nadzorować przysięgi starszych uczniów, ale nasze ścieżki nigdy się nie skrzyżowały.

– A Catherine? Czy ona znała Młodą Sędzię?

Na wzmiankę o matce Johna oczy Fiony pociemniały, jednak Quin nie potrafiła odczytać powodu tej zmiany.

– Słabo znałam Catherine – odrzekła Fiona szorstkim tonem ucinającym dalsze pytania. – Była o rok starsza ode mnie. Ona i jej przyjaciółki prawdopodobnie uważały mnie za słabą. Rzeczywiście porzuciłam szkolenie, więc może miały rację.

Quin nie drążyła dłużej tej kwestii i odwróciła się z powrotem ku kartkom na podłodze. Bardzo ją cieszyło, że stan zdrowia Fiony się poprawia, i nie chciała poruszać tematów, które mogłyby zdenerwować matkę, z obawy przed zakłóceniem jej rekonwalescencji.

– Z treści dziennika wynika, że Poszukiwaczy fascynowała liczba dwieście – wyszeptała Quin po chwili, przeglądając stronice. Ta liczba pojawiała się w dzienniku kilkakrotnie, chociaż w każdym przypadku Quin daremnie zastanawiała się, czego dotyczy, gdyż to nigdy nie bywało wyjaśnione. – W trakcie mojego szkolenia Briac ani Alistair nigdy o niej nie wspomnieli. Spójrz, ten wpis pochodzący sprzed mniej więcej stu pięćdziesięciu lat mówi o „koncentracji dwustu".

– Zauważyłam go – odrzekła Fiona. – Ale ja też nigdy nie słyszałam żadnej wzmianki o tej liczbie.

Od strony łóżka Quin dobiegło coś jakby westchnienie. Shinobu spał, niemal nie zmieniając pozycji przez całą ubiegłą noc i większość dzisiejszego popołudnia. Dziewczyna podniosła na niego wzrok i zobaczyła, że poruszył się pod kocami.

– Może wreszcie się obudzi – szepnęła.

Fiona skinęła głową i wstała.

– Pójdę do Mistrza Tan i przyniosę jego ziołową herbatę na dziś – powiedziała.

Mistrz Tan każdego ranka przyrządzał dla Shinobu leczniczy napar z ziół ze swoich słynnych zapasów. Ta herbata miała według Shinobu obrzydliwy smak, ale przyspieszała proces jego zdrowienia.

Fiona, mijając córkę, ścisnęła jej ramię i wyszła z sypialni. Quin pomyślała, że ten gest oznaczał coś więcej niż pocieszenie; zdawało się, jakby matka mówiła nim: „To ty sprowadziłaś go do domu i chwilowo do ciebie należy opiekowanie się nim".

Quin po wyjściu Fiony wstała z podłogi i usiadła na brzegu łóżka. Ugięcie się materaca obudziło chłopca.

– Quin? Co…? – wymamrotał.

– Żyjesz – powiedziała cicho, dotykając jego policzka. – Parę razy myślałam już, że umarłeś.

To nie było całkiem prawdą, jednak Shinobu pozostawał tak głęboko nieprzytomny, że Quin przez całą noc nie chciała opuścić pokoju i zostawić go samego. Teraz, widząc, że się ocknął i mówi do niej, poczuła większą ulgę, niż byłaby skłonna przyznać.

Shinobu rzucił okiem na zegarek i Quin zobaczyła, że usiłuje rozeznać się w czasie.

– Czy spałem od wczorajszego popołudnia? – zapytał.

– Tak.

Opuścił głowę z powrotem na poduszkę i wbił wzrok w sufit.

– Jak to?

Dziewczyna pogładziła go po włosach.

– Myślę, że to kask wyssał z ciebie całą energię, utrzymując cię w stanie najwyższego pobudzenia.

Shinobu kilkakrotnie zamrugał, a potem przesunął dłonią po czole i potarł oczy gestem tak chłopięcym i spontanicznym, że Quin zapragnęła wziąć go w ramiona.

– Ciekawie było w tym kasku, Quin. Miałem wrażenie, jakbym mógł widzieć i pojąć *wszystko*. Jakby cały świat stał się dla mnie całkiem zrozumiały. Jakby wszystkie moje myśli same układały się w sensowne ciągi.

Słysząc ten opis, dziewczyna potrafiła zrozumieć, dlaczego użycie kasku sprawiło mu tak wielką radość.

– To narzędzie nosi nazwę fokal, jego jedyną funkcją jest wspomaganie koncentracji – powiedziała. – Ale pierwsza zasada posługiwania się nim brzmi: „Miej mocne, zdrowe ciało". A ty jeszcze nie jesteś w takim stanie.

– Myślisz, że dlatego tak długo spałem?

Quin wzruszyła ramionami.

– Być może.

Uniósł się do pozycji siedzącej i koc zsunął się z jego nagiej piersi. Nadal miał na sobie tylko szorty, jak wtedy, gdy zastała go naszpikowanego igłami akupunktury. Quin spojrzała na bliznę po prawej stronie brzucha Shinobu. Wyglądała o wiele lepiej niż wcześniej, lecz ciągle była paskudną fioletową szramą długości kilkunastu centymetrów. Shinobu nadal był wychudzony.

– Quin, chcę znów go użyć – oznajmił.

– Fokala? – Roześmiała się, lecz zaraz spoważniała. On nie żartował. Spytała z lekką drwiną w głosie: – Chcesz użyć przyrządu, który sprawił, że leżałeś nieprzytomny przez niemal całą dobę?

– On coś mi zrobił. Moje myśli nadal są bardziej… bardziej logiczne niż wcześniej.

Na czymkolwiek polega jego działanie, przetrwało całą noc. Wciąż je czuję, Quin. I chcę, żeby ten kask doprowadził je do końca.

– To nie…

– Co z tego, że tyle spałem? I tak powinienem wypoczywać. Wczoraj czułem się taki obolały…

– Właśnie z powodu tego kasku. Poczułeś ból, kiedy ci go zdejmowałam.

– Chcę go użyć tylko przez chwilkę.

Położył dłoń na jej ramieniu i wpatrzył się w Quin z intensywnością, która przypomniała jej, jak wyglądał, nosząc fokal. To ją zaniepokoiło. W trakcie swojej praktyki uzdrowicielki leczyła wiele osób uzależnionych od narkotyków – które na moście Tranzytowym zawsze stanowiły problem – a Shinobu mówił teraz jak narkoman usiłujący przekonać siebie, że postępuje słusznie. Brzmiało to szczególnie niepokojąco dlatego, że dopiero niedawno przestał brać narkotyki. Po latach treningu Poszukiwacza był tak sprawnym, twardym wojownikiem, że Quin uświadomiła sobie nagle, że nie martwi się jego osłabieniem tak bardzo, jak powinna.

– Shinobu – rzekła łagodnie – nie myślmy teraz o fokalu. Schowałam go.

Chłopak wydawał się rozczarowany i rozejrzał się nerwowo po pokoju, jakby zamierzał natychmiast go odszukać. W istocie włożyła fokal pod ubrania na dnie szafy, ale teraz zdecydowała, że gdy tylko zostanie sama, znajdzie dla niego o wiele lepszą kryjówkę.

Objęła dłońmi głowę Shinobu i powiedziała:

– Pozwól, że popracuję teraz nad tobą jako uzdrowicielka.

Spojrzał na nią, ale wzrok miał dziwnie zamglony, mętny. Po kilku chwilach skinął głową i jego twarz zaczęła się wygładzać, jakby zdał sobie sprawę, jak nienormalnie się zachowywał.

– Dobrze, poproszę – szepnął.

Ułożyła go z powrotem na łóżku i ściągnęła z niego koce, żeby móc widzieć całe ciało. Większość sińców już zniknęła, połamane kości niemal się zrosły, jednak wciąż sprawiał wrażenie kruchego.

Tak jak nauczył ją Mistrz Tan, skupiła myśli i przestawiła umysł. To było jak uczenie swoich oczu, by straciły ostrość widzenia, dopóki nie dostrzegą czegoś znajdującego się gdzieś dalej. Po chwili zwykły świat stał się mniej wyraźny i zaczęła widzieć miedzianobrązowe linie energii otaczające ciało Shinobu.

Kiedy Quin rozpoczęła naukę u Mistrza Tan, był zaskoczony łatwością, z jaką uzyskiwała ten stan koncentracji. Dopiero później, gdy odzyskała wszystkie swoje wspomnienia, pojęła, jak bardzo jej wcześniejszy mentalny trening Poszukiwaczki przygotował ją do wchodzenia w ten stan podwyższonej wrażliwości.

Wokół ciała Shinobu przepływały linie jego energii, układające się w harmonijne wzory, ale te jasne linie łamały się w miejscach urazów. Nad ranami unosiły się ciemne plamy, zwłaszcza nad raną od morfera w prawym boku. Widziała też kilkanaście drobniejszych ciemnych plamek wokół jego głowy. Pole elektryczne otaczające ciało Shinobu zostało dodatkowo spotęgowane tym, że niedawno nosił fokal.

Quin wyłączyła wszystkie inne myśli, uspokoiła oddech i pogłębiła swoją

percepcję. Po chwili zobaczyła własne pole energii – jasne miedzianobrązowe strumienie spływające w dół jej rąk. Szeroko rozczapierzyła palce, przysunęła dłonie kilkanaście centymetrów nad klatkę piersiową Shinobu i pozwoliła, by energia spłynęła z niej przez ręce i palce na ciało chłopca niczym rzeka światła.

Metodycznie wodziła dłońmi przez wszystkie ciemnobrunatne plamy nad jego ranami, rozpraszając je i zmywając. W końcu dotarła do głowy Shinobu, przy której miedzianobrązowe linie tworzyły wiry wokół skupiska czarnych plamek. Z wolna te wiry się rozproszyły, a jasne strumienie energii przy twarzy Shinobu przybrały symetryczne kształty i zaczęły przepływać gładko, bez przeszkód.

Chłopiec westchnął głęboko z ulgą i Quin zobaczyła, że wyraźnie się odprężył. Pozwoliła, by jej wzrok powrócił do zwykłego stanu, wzory energii w jej polu widzenia zblakły i zniknęły. Gdy Shinobu otworzył oczy i spojrzał na nią, opuściła dłonie na łóżko.

– Lepiej? – spytała go cicho.

– Lepiej – odrzekł szeptem. – Jesteś dla mnie bardzo dobra.

Quin się uśmiechnęła. Shinobu nie wyglądał już tak krucho, przynajmniej na razie. Uniósł się w łóżku do pozycji siedzącej i delikatnie ją pocałował. Szybkim spojrzeniem omiótł pokój, a potem znów popatrzył na Quin.

– Naprawdę schowałaś fokal? – zapytał.

Nie podobało się jej, że znowu pyta o ten przyrząd; najwyraźniej zafiksował się na ów metalowy kask. Jednak wydawał się pogodzony z myślą, że nie może go mieć.

– Tak – odpowiedziała.

„I ukryję go jeszcze lepiej”, pomyślała.

Kiwnął głową.

– Czy możemy wyjść z tego pokoju? Wiem, że nie powinienem nosić kasku, ale muszę coś zrobić, żeby przestać o nim myśleć. Chciałbym powalczyć.

Dziewczyna się roześmiała. Shinobu od kilku dni prosił ją, żeby odbyli treningową walkę. Może już na to czas. O ile oboje będą uważać, chłopcu może się przydać rozruszanie mięśni.

– Przez większość ubiegłej nocy nie zmrużyłam oka, gdyż przeglądałam dziennik Catherine – oznajmiła. – Dlatego istnieje bardzo maleńka szansa, że zdołasz mnie pokonać.

Trącił ją ramieniem i znowu pocałował. Była szczęśliwa, widząc, jak szybko Shinobu odzyskuje dobry nastrój.

– Czy mam zawiązać sobie jedną rękę za plecami, żeby zrównać nasze szanse? – zapytał. – Albo przewiązać oczy opaską? A może potrzebujesz jeszcze większych forów?

– Złaź z mojego łóżka! – rzuciła.

Odepchnęła go żartobliwie i podeszła do biurka stojącego przy przeciwległej ścianie.

– Przyniosłam ci od twojej matki lepszy prezent niż fokal – oznajmiła.

Z jednej z dolnych szuflad biurka wyjęła morfer i rzuciła chłopcu. Shinobu złapał go i przez chwilę tulił w ramionach niczym niemowlę. Potem spojrzał na niego z miłością.

– Tęskniłem za tobą – rzekł do broni. Następnie odrzucił ją z powrotem Quin i zaczął wciągać ubranie. – Miej się na baczności, Quin Kincaid. Nie będę się z tobą

patyczkował.

W tym momencie do drzwi zapukała cicho Fiona, po czym weszła, niosąc herbatę od Mistrza Tan. Quin przyglądała się z satysfakcją, jak Shinobu wypił całą butelkę, zatykając sobie nos i krztusząc się. Potem weszli na dach, by odbyć walkę ćwiczebną.

Rozdział 13
Shinobu

Shinobu otworzył oczy i zorientował się, że znów jest noc. Leżał w łóżku Quin. Przez okrągłe okno do pokoju wpadał blask odległych miejskich świateł Hongkongu odbitych w ciemnej wodzie Zatoki Wiktorii. Blady owal tego blasku wędrował powoli przez sufit. W łóżku przy Shinobu leżała Quin, oddychając cicho przez sen. Jej ciepła ręka spoczywała przy jego ramieniu.

Quin po południu zaprowadziła go na dach domu i przez niemal godzinę walczyli treningowo. Wiedział, że dziewczyna go oszczędzała, ale odkrył z radością, że mięśnie zbytnio mu nie zwiotczały. Zdrowiał i szybko odzyskiwał siły.

Po sparingu legł wyczerpany na podłodze sypialni Quin. Całe ciało miał obolałe, a rana w boku pulsowała boleśnie w rytm bicia serca. Ale to nie miało znaczenia. Ta walka wprawiła go w świetny nastrój.

Ponieważ Quin ubiegłej nocy prawie nie zmrużyła oka, przeglądając dziennik, sparing całkowicie ją wyczerpał. Zasnęła głęboko, a Shinobu niemal równocześnie z nią. Teraz jednak się obudził.

Nadal odczuwał ból, ale inny. Obrócił się na bok i popatrzył na Quin. Twarz miała spokojną, a pasma jej czarnych włosów spadały na zamknięte powieki. Shinobu uśmiechnął się, widząc, jak ładnie wygląda. Pomyślał o tylu dziewczynach, do których łóżek trafił. Zazwyczaj te przygody były bardziej namiętne, a później rzadko spali obok siebie ubrani. Ale Quin widziała dwukrotnie, jak niemal zginął, i była wobec niego ostrożna. Shinobu, patrząc na nią teraz, nie pojmował, jak mógł kiedykolwiek być z inną dziewczyną. Pragnął tylko tej.

Przyciągnął Quin bliżej i przycisnął usta do jej ramienia.

– Kocham cię, Quin Kincaid – wyszeptał.

Przez sen odwróciła się do niego i objęła go ramionami za szyję.

– Kocham cię – powtórzył. Pocałował ją delikatnie i poczuł, że oddała pocałunek. – Kocham cię – szepnął. – Kocham cię. Kocham.

Obudziła się, przytuliła go i pocałowała już świadomie.

– Chcę cię rozebrać – wyszeptał.

Skinęła głową przy jego policzku.

Do sypialni dobiegł z dołu jakiś hałas.

Shinobu podniósł wzrok na drzwi i zobaczył, że są otwarte. Była pora nocna, lecz niezbyt późna. Widocznie Fiona na dole jeszcze nie spała.

– Zaraz wrócę – szepnął.

Wygramolił się z łóżka i podszedł do drzwi. Wyjrzał na korytarz u szczytu schodów. Usłyszał, jak matka Quin w gabinecie uzdrowicielki nuci coś do siebie.

Zaczął zamykać drzwi sypialni, lecz zastygł w pół ruchu. Dokładnie naprzeciwko były otwarte drzwi łazienki na piętrze. Docierało do niej słabe światło z parteru i Shinobu spostrzegł, że jeden z niewielkich paneli sufitu jest nieco przekrzywiony. Wprawdzie panel odstawał od sąsiednich o zaledwie pół centymetra, ale chłopca przez większość życia szkolono, by zauważał nawet drobne zmiany w swoim otoczeniu. Popatrzył na sufit

i natychmiast domyślił się, że właśnie tam Quin w pośpiechu schowała fokal.

Stał w drzwiach sypialni i wpatrywał się w odstający panel. Wiedział, że dziwny ból, jaki poczuł po przebudzeniu, był objawem tęsknoty za tym metalowym kaskiem. Obudził się, pragnąc go, tak jak dawniej budził się, łaknąc opium. Fokal nie był jednak narkotykiem, tylko narzędziem, którego Poszukiwacze używali od setek lat; narzędziem, jak przyznała Quin, przeznaczonym do tego, by wspomagać koncentrację umysłu. Było przydatne i sprawiło, że Shinobu dobrze się poczuł, gdy po raz pierwszy nosił kask. Dał mu przeczucie czegoś większego niż on, czegoś jak *wielki wzór,* którego on być może jest częścią. W czym fokal mógłby mu zaszkodzić?

Quin zdjęła Shinobu kask z głowy, zanim zdołał zrozumieć wszystko, co poczuł dzięki temu przyrządowi. Oczywiście dziewczyna miała rację – nie powinien był używać fokala, dopóki całkowicie nie wyzdrowieje. Pokazała mu instrukcję napisaną przez matkę. A jednak, zdejmując mu kask, zastopowała jego myśli akurat w momencie, gdy zyskiwały jasność. Kiedy nosił fokal, zaczął – zaledwie zaczął – odczuwać rodzaj więzi ze światem, jakiego nie zaznał od dzieciństwa. Teraz chciał tylko dopełnić doświadczenie tamtego uczucia.

Przyrzekł Quin, że nie włoży kasku. A jednak… Skończył z narkotykami i nie zamierzał do nich wrócić. Fokal to coś innego. Mógłby go teraz włożyć, tylko na chwilę, podczas gdy Quin śpi. A jeśli poczuje się nieswojo, zdejmie go i nic się nie stanie. Jest noc, a on będzie spał obok Quin.

Spojrzał za siebie w głąb sypialni. Dziewczyna spała. Widział zarys jej profilu w słabym świetle padającym od okna. Była piękna i nawet we śnie czekała, żeby wrócił do łóżka. Gdyby wśliznął się pod kołdrę, mogliby wreszcie być razem…

Wciąż mogą być. Za chwilkę. Quin nawet się nie dowie, że wstał.

Wyszedł z sypialni i zamknął za sobą drzwi. Zrobił trzy szybkie kroki i znalazł się w łazience. Dzięki swemu wzrostowi z łatwością odsunął panel sufitu. I zobaczył fokal leżący na sąsiednim panelu, lśniący nawet w tym nikłym świetle. Shinobu nogą zatrzasnął drzwi łazienki. Potem wyjął kask, zamknął drzwi na klucz i usiadł na podłodze.

Zanim mógł się rozmyślić, włożył fokal na głowę.

Rozdział 14
Catherine

DWADZIEŚCIA LAT WCZEŚNIEJ

– Jak cokolwiek mogłoby tam być? – spytała Mariko, zaglądając przez metalową kratę do ciemniejącego za nią tunelu. – To miejsce roi się od turystów niczym Disneyland. Przypuszczalnie na tej wyspie nie został ani jeden autentyczny przedmiot.

– Nie wiedziałam, że byłaś w Disneylandzie – odrzekła Catherine.

Pochylała się nad krawędzią kraty i palnikiem gazowym – była teraz bardzo zadowolona, że zabrała go ze sobą – przecinała ostatni mocujący ją bolec.

– Oczywiście, że nigdy nie byłam w Disneylandzie – odparła z oburzeniem Mariko, jakby słowo „Disneyland" oznaczało klub striptizowy albo więzienie.

– Ha, łap ją!

Metalowy bolec pękł na pół z cichym trzaskiem i kraty nic już nie trzymało. Catherine chwyciła ją za jeden koniec, Mariko ujęła drugi i razem położyły kratę na pokrytym piaskiem skalnym podłożu.

– Nic tam nie ma – odpowiedziała Catherine na wcześniejsze pytanie Mariko. – Jeżeli się nie mylę, znajdziemy puste pomieszczenie, rodzaj podziemnej groty. I dowiemy się czegoś o moim rodzie Poszukiwaczy.

Obydwie miały na sobie letnie sukienki i Catherine z trudem potrafiła przywyknąć do tego, jak w nich wyglądają. Po latach spędzonych razem w posiadłości w burych ubiorach treningowych dziewczęcy strój wydawał się jej jakby kostiumem teatralnym. W wieku szesnastu lat wyglądały w tych sukienkach ładnie i jak pomyślała Catherine, frywolnie. Przypominały turystki, którymi Mariko tak gardziła.

Czekały całe popołudnie, wędrując stromymi uliczkami, aż przypływ cofnie się na tyle, żeby mogły poszukać tunelu leżącego, czego Catherine była pewna, pod pasem nadmorskim. Do zachodu słońca opłynęły niemal wszystkie plaże tej maleńkiej wysepki, zanim w końcu znalazły wejście do tunelu poniżej starej kaplicy stojącej wysoko na południowo-zachodnim skraju wyspy.

Otwór wejściowy nie był zbyt dobrze ukryty, znajdował się zaledwie metr nad piaszczystym gruntem i przypominał wylot starożytnego lochu. Nie wyglądał ani trochę zachęcająco, jednak każdy ciekawski turysta dysponujący odpowiednimi narzędziami i nieobawiający się aresztowania mógłby zrobić to co one dwie – usunąć kratę i wejść do leżącego za nią kamiennego korytarza.

– Teraz sprawdź plażę – poleciła Catherine.

Dziewczęta były częściowo ukryte za wielkim skalnym głazem sterczącym z nadmorskiego wału aż do obszaru przypływu. Mariko zerknęła zza niego na kamienistą plażę. W oddali kłębiły się grupki turystów zwiedzających wyspę, którzy robili zdjęcia przy resztkach dziennego światła. Większość trzymała się z dala od mokrego piasku i stała na kamiennych schodach wiodących w górę ku ulicom miasteczka Mont Saint-Michel.

– Wszyscy odchodzą – oznajmiła Mariko.

– Gotowa?

Mariko wytarła dłonie o spódniczkę i odgarnęła z twarzy długie, czarne włosy. Popatrzyła sceptycznie w głąb ciemnego korytarza. Catherine poświeciła swoją latarką, ale korytarz skręcał i nie mogły sięgnąć wzrokiem zbyt daleko.

– On w końcu się rozszerzy – zapewniła przyjaciółkę i usłyszała w tunelu echo swojego głosu.

– Po jak długim dystansie? – spytała Mariko. – Czy w twojej książce jest coś o tym?

Mariko mówiła o dzienniku Catherine schowanym w jej niewielkim plecaku. Pierwotnie ten dziennik nie należał do Catherine. Był w posiadaniu jej pradziadka. Przed rokiem dziadek dał jej dziennik. Postanowił nie przekazywać go rodzicom wnuczki, których zdaniem dziadka i dziewczyny niewiele obchodziła jego treść, gdyż nie dostarczał wskazówek, jak szybko zdobyć władzę i majątek. Zamiast tego dziennik zawierał zapis historii Poszukiwaczy, chociaż w tamtym momencie bardzo niekompletny.

Pradziadek Catherine własnoręcznie dokonał w dzienniku kilku wpisów, jednak tom zawierał głównie listy i notatki innych osób, które mężczyzna zbierał przez wiele lat. Mimo to dziennik nie był obszerny. Catherine zamierzała go uzupełnić. W porzuconych posiadłościach Poszukiwaczy na całym świecie znajdowały się niezliczone ukryte listy i pamiętniki i dziewczyna zaczęła ich szukać.

Ostatnio z wielkim trudem i po licznych podróżach, których cel niełatwo przyszło jej wytłumaczyć rodzicom, odnalazła dwa listy. Obydwa napisano na starym papierze welinowym i obydwa dotyczyły Średniego Sędziego, który szczególnie interesował Catherine, gdyż bardzo wielu Poszukiwaczy było świadkami jego karygodnych postępków. Dziewczyna starannie wkleiła te drogocenne znaleziska na początku dziennika.

Gdyby udało się jej zgromadzić wystarczające dowody niegodziwych czynów, jakich Średni w przeszłości się dopuścił, i gdyby zdołała przedstawić te dowody Staremu Sędziemu, być może on znalazłby kogoś, kto lepiej od Średniego nadawałby się do osądzania Poszukiwaczy?

Znalazła też w kufrze w piwnicy swoich rodziców notkę sporządzoną przez pradziadka jej dziadka i właśnie z tego powodu trafiła tutaj, do Mont Saint-Michel. Ta notka opisywała zejście w dół na plażę małej wyspy, długą drogę przez kamienie i piasek, aż wreszcie wejście do szczególnej groty należącej do klanu lisa. Przodek Catherine zamieścił również współrzędne pozwalające dotrzeć tam za pomocą athamenu. Ponieważ dziewczyna nie miała tego przyrządu, zastosowała się do wskazówek i pokonała tę drogę pieszo. Chociaż szukała przede wszystkim informacji dotyczących Średniego Sędziego, byłaby szczęśliwa, mogąc posiąść cokolwiek z wiedzy dawnych Poszukiwaczy. Gdyby odkryła tutaj, w Mont Saint-Michel, coś interesującego, dołączyłaby to do swojego dziennika.

– Nie wiem, jak długi jest ten tunel, Mariko, ale nie wiedziałam, że obawiasz się ryzykownych wyzwań.

Przyjaciółka pociągnęła nosem.

– Twoje szczęście, że miałam bardzo nudne lato, Cat-chan.

Catherine schyliła się nisko i weszła do tunelu. Był wąski, a gdy nim szła,

chropowate kamienie po obu stronach ocierały jej ramiona. Wszystko tu było wilgotne i przesiąknięte wonią oceanu. Kępy gnijących morskich wodorostów leżały na podłodze i zwisały ze sterczących kamieni do połowy wysokości korytarza, co świadczyło o tym, że podczas wyjątkowo wysokich przypływów wypełnia go woda.

– Dlaczego pozwoliłaś mi włożyć sandałki? – poskarżyła się Mariko po kilku minutach.

Catherine tylko się roześmiała – mówiła przyjaciółce co najmniej pięć razy, żeby wzięła solidniejsze buty.

– Czy nie jest lepiej być tutaj nawet w sandałkach niż wysłuchiwać kazań mojej matki o tym, żebyśmy znalazły sobie odpowiednich mężów?

– Owszem – zgodziła się Mariko – od tego wszystko jest lepsze. – Potem dodała z irytacją: – Powiedz mi jeszcze raz, dlaczego chcesz odszukać tę grotę?

– Nie ufasz mi?

Mariko prychnęła. Catherine wielokrotnie pakowała swoją przyjaciółkę w kłopoty, najczęściej poprzez to, że zachęcała ją, by zadawała ich instruktorom setki pytań, na które już wcześniej odmówili odpowiedzi, gdy Catherine ich pytała.

– Właściwie chodzi o coś, co powiedział Briac – wyjaśniła. Mówiąc to, Catherine spostrzegła, że podłoże przed nimi się wznosi, a jedyne tutaj wodorosty są całkiem suche. – Oznajmił, że każdy klan miał niegdyś specjalne miejsce przeznaczone wyłącznie dla jego członków. Jak przypuszczam, było to coś w rodzaju miejsca zgromadzeń, ale ukrytego przed wszystkimi postronnymi. Czy twoja rodzina ma coś takiego?

– Nie jestem pewna – odparła Mariko po chwili namysłu. – Wydaje mi się, że dawniej mieliśmy jakąś górską kryjówkę w centralnej Japonii.

– No cóż, myślę, że odnajdziemy tę szczególną grotę należącą do klanu lisa. Uważaj, strop się obniża.

– Jak cudownie – rzekła zgryźliwie Mariko. – Robi się coraz wygodniej.

Catherine jeszcze bardziej się schyliła i poruszała się teraz na wpół przykucnięta. Było tu ciasno i cieszyło ją, że przyjaciółka nie cierpi na klaustrofobię.

– Czy kiedy Briac ci to mówił, byłaś ubrana? – spytała ją Mariko. – A może udało mu się całkiem cię rozebrać?

Tylko osoba również będąca Poszukiwaczem mogła tak żartobliwie potraktować napaść Briaca na Catherine. Dzięki nieustannemu brutalnemu treningowi Poszukiwacze potrafili podchodzić z humorem do spraw, które nie były ani trochę zabawne.

– Ha, ha – odrzekła Catherine. – Nie, powiedział mi o tym, zanim złamałam mu nos za to, że próbował wsadzić łapę w moje majtki.

– Mam nadzieję, że spróbuje ponownie, a ty szybkim, mocnym kopniakiem uszkodzisz mu na zawsze jego klejnoty. Ojciec nauczył mnie, jak kopnąć faceta tak, żeby już nigdy nie sprawił ci kłopotu. Może powinnam kupić ci buty z czubkami okutymi stalą, żebyś była przygotowana, co, Cat?

– Skoro aż tak nienawidzisz Briaca, jak możesz znosić towarzystwo Alistaira? Ci dwaj trzymają się razem – rzekła Catherine, wolną ręką pomagając sobie przepychać się przez teraz już naprawdę niski tunel.

– Czy pełzniemy do piekła? – rzuciła Mariko.

– Musimy być już niemal przy końcu. Czuję wietrzyk – oznajmiła Catherine.

Rzeczywiście czuła powiew powietrza, jednak w świetle swojej latarki widziała, że tunel ciągnie się dalej. A co, jeżeli na końcu niczego nie ma i będą musiały pokonać całą tę drogę z powrotem? A jeśli całkiem błędnie określiła miejsce?

Mariko przerwała jej te pesymistyczne rozmyślania, podejmując poprzedni temat rozmowy:

– Briac i Alistair przyjaźnią się od dzieciństwa. Alistair jest lojalnym przyjacielem, ale w niczym nie przypomina Briaca.

Catherine uśmiechnęła się z głębokiego oddania w głosie Mariko. Tymczasem przyjaciółka dodała:

– Alistair jest miły i taki przystojny. Nie uważasz?

Catherine mruknęła wymijająco. W jej mniemaniu przyjaźń Alistaira z Briakiem negatywnie równoważyła jego urodę.

– Jest prawdziwym dżentelmenem – ciągnęła Mariko z lekkim rozmarzeniem w głosie. – Chociaż potrafi być również stanowczy.

Catherine zatrzymała się i zwróciła na nią promień latarki. Oświetlona nim jej ładna przyjaciółka zamrugała niewinnie.

– Mariko, czy ty i on… j u ż…? – zapytała ją Catherine.

– No cóż, nie całkiem – odrzekła Mariko z zakłopotaną miną. – Moim rodzicom bardzo by się nie spodobało, gdybym to zrobiła.

– To jedno, co obydwie mamy wspólnego – przyznała Catherine.

Odwróciła się i podążyła dalej. Rodzice Mariko byli surowi w sposób przekraczający wszelkie standardy Zachodu, ale rodzice Catherine byli o wiele surowsi. W Anglii już od stuleci aranżowane małżeństwa wyszły z obiegu, jednak jej rodzice jakby nie całkiem to zauważyli.

– Matka i ojciec zdają się uważać, że stanowię ich własność – i ciało, i umysł – oznajmiła Catherine. – Chcą wybierać mi chłopców, a także decydować, które z moich pytań zasługują na ich odpowiedź. Zazwyczaj nie odpowiadają na żadne.

Mariko westchnęła.

– Moi rodzice nie znają odpowiedzi na żadne z interesujących pytań. Nasz ród już przed kilkoma pokoleniami zrezygnował z wiedzy Poszukiwaczy. – Mariko milczała przez chwilę, a potem dorzuciła: – Moja matka przez całe lato przedstawiała mnie japońskim chłopcom, żeby móc znaleźć mi odpowiedniego kandydata na męża. Na szczęście kilku z nich było naprawdę atrakcyjnych.

– Chłopcy z rodów Poszukiwaczy?

– Nie, nie. Wysłano mnie do posiadłości na szkolenie tylko z powodu rodzinnej tradycji. Ojciec chciał, żebym została wyszkolona i złożyła przysięgę. Ale poza tym nie oczekuje ode mnie żadnego zaangażowania w działalność Poszukiwaczy. Nasz rodzinny athamen zaginął wiele pokoleń temu. Jak przypuszczam, ojciec wyobraża sobie, że ten athamen pewnego dnia mógłby cudownym sposobem ponownie się pojawić, a ja powinnam być do tego przygotowana, po prostu na wszelki wypadek.

Zanim nastało lato, Catherine i Mariko złożyły swoje przysięgi Poszukiwaczy. Wykonały jedno zlecone zadanie – uwolnienie starego Poszukiwacza z więzienia

w Afryce – a potem zostały wezwane do swoich domów: Mariko do Hongkongu, a Catherine do Anglii. Przed kilkoma dniami Mariko odwiedziła Catherine w Londynie i wtedy spotkały się po raz pierwszy od opuszczenia szkockiej posiadłości.

– A więc… musisz poślubić jednego z tych chłopców, Mariko-chan? – zapytała ją Catherine.

– Prawdopodobnie – odpowiedziała Mariko z rezygnacją i tonem mniej poirytowanym, niż Catherine by się spodziewała. – Ale… ten Alistair. Jego włosy, Cat-chan, jego ręce! Kiedy mnie obejmuje, czuję, jakbym była w ramionach robota bitewnego.

Catherine roześmiała się z tego tak bardzo japońskiego porównania.

– Skoro tak to opisujesz, mogę zrozumieć, dlaczego cię pociąga – powiedziała.

W istocie jednak nie rozumiała. Obie znały Alistaira od lat; wydawało się jej głupie zadurzyć się tak w chłopcu, którego dorastanie oglądały.

– Proszę, powiedz mi, że to już koniec tego tunelu – rzekła błagalnie Mariko. – Potwornie boli mnie szyja i jestem podrapana.

W świetle promienia latarki mogły zobaczyć, że ciasny tunel się rozszerza, i po kilku chwilach Catherine wyszła z niego w dół do wielkiej skalnej komory. Komora miała kształt owalny o średnicy mniej więcej dziesięciu metrów, a jej strop znajdował się jakieś trzy metry nad ich głowami.

Catherine przeciągnęła się, a przyjaciółka wygramoliła się z tunelu, zeszła na dół i stanęła obok. Mariko wzięła latarkę i powoli omiotła jej promieniem wnętrze groty. Strop i ponad połowę ścian stanowiła lita skała. Tylko ściana po stronie, od której weszły, została w całości zbudowana rękami ludzkimi z ułożonych ciasno wielkich, nierównych kamieni. Resztę pomieszczenia wykuto w skalnym zboczu wzgórza.

Na ścianach widać było linie wodne, gdzieniegdzie sięgające dość wysoko. Podczas sztormu lub bardzo wysokiego przypływu grotę mogła wypełniać morska woda. Podłoże niżej położonej części groty zaścielały rzeczy naniesione przez ocean: kawałki drewna, żwir i stare wodorosty, wszystko powoli zmieniające się w pył. W kilku miejscach wodorosty były jeszcze zielone, chociaż gdy Catherine trąciła ich stertę butem, rozkruszyły się. Spojrzawszy w górę na strop, dostrzegła w nim niewielkie otwory, wpływały przez nie strużki świeżego powietrza, które muskały jej twarz.

Najdziwniejszym elementem groty była wykuta w skale półka wystająca ze ściany, mniej więcej na wysokości klatki piersiowej. Otaczała niemal całe wnętrze, wystarczająco szeroka, by ktoś mógł na niej usiąść, ale umieszczona zbyt wysoko, żeby się do tego nadawała. Dokładnie naprzeciwko wylotu tunelu wyrzeźbiono w skale nad półką głowę lisa.

Na widok tej płaskorzeźby Catherine westchnęła zaskoczona.

– Chyba nie ma wątpliwości, że ta grota należy do mojej rodziny.

– Wyżej jest wyryte coś jeszcze – zauważyła Mariko.

Podeszły bliżej i Mariko powiodła promieniem latarki po szeregu liczb wyciosanych w kamiennej ścianie. Zanim Catherine zdołała dobrze im się przyjrzeć, coś innego przyciągnęło jej uwagę.

– Daj mi latarkę – rzekła naglącym tonem do przyjaciółki. – Tutaj. – Skierowała promień światła na przedmiot widoczny częściowo na półce, dokładnie po drugiej stronie

groty. – Widzisz to?

Brodząc przez sterty kamyków i wodorostów naniesionych przez ocean, podeszły do przeciwległej ściany komory i Catherine sięgnęła ręką do półki. Uchwyciła palcami jakiś ciężki przedmiot wykonany z gładkiego kamienia. Zdjęła go, oświetliła latarką i obie dziewczyny wpatrzyły się w niego oniemiałe.

– To… athamen – wyjąkała Mariko.

Rzeczywiście to był athamen.

Catherine trzymała w ręku kamienny sztylet o idealnym kształcie, nienaruszony. Poruszyła pierścienie na rękojeści, które lekko się obróciły. Przekręciła sztylet ostrzem w dół i popatrzyła na gałkę głowicy.

Dziewczyny jednocześnie głęboko wciągnęły powietrze.

– To jest… to jest… – zaczęła Mariko.

– Athamen mojej rodziny – dokończyła Catherine.

Na kamiennej rękojeści sztyletu był wyrzeźbiony maleńki lis.

Catherine weszła szybko po kamiennych stopniach wiodących z plaży do miasteczka Mont Saint-Michel. Do piersi mocno przyciskała swój plecak. Wewnątrz był athamen oraz krzesiwo, które znalazły obok niego. Wzmógł się zimny wiatr wiejący od oceanu, jednak wokoło nadal kłębiło się mnóstwo ludzi. Robili sobie zdjęcia na tle budynku opactwa, nad którego iglicą wisiał księżyc w pełni.

Dziewczyny jak najszybciej opuściły podziemną komorę. Catherine nie chciała rozmawiać – i ledwie śmiała oddychać – dopóki nie wyszły z athamenem z tunelu. Gdyby ktoś je tam śledził, mogłyby z łatwością zostać schwytane w pułapkę. Teraz jednak Mariko złapała przyjaciółkę za ramię.

– Dlaczego się tak spieszymy, Cat? – spytała. Przyciągnęła Catherine bliżej, gdy lawirowały pomiędzy grupkami Niemców spierających się o ustawienia aparatów fotograficznych. – Athamen mógł leżeć w grocie od wielu lat. Z pewnością nikt go teraz nie szuka.

– Nie leżał tam od lat – zaprzeczyła Catherine. – Kiedy go podniosłam, był czysty, podobnie jak krzesiwo. Nie miały na sobie kurzu ani soli naniesionej przez wilgotne oceaniczne powietrze. Jakby dopiero co je tam umieszczono.

Mariko zastanowiła się nad tym.

– Grotę od czasu do czasu wypełnia woda – rozważała na głos. Doszedłszy do tego samego wniosku co Catherine, dodała: – To byłoby kiepskie miejsce na przechowywanie athamenu przez trochę dłuższy czas. Zostałby stamtąd zmyty. Sądzisz, że podrzucono go tam niedawno, żeby ktoś go znalazł.

Mariko prowadziła je, a Catherine była za to wdzięczna, gdyż umysł miała całkowicie pochłonięty starożytnym narzędziem, które niosła w plecaku. Athamen zaginął przed wiekiem, może jeszcze dawniej. A teraz miała go tutaj. Serce mocno biło jej w piersi. Odnalazła athamen z wyrytym lisem. Właśnie ona spośród wszystkich pokoleń swojego rodu. Jej rodzina stanie się znów prawdziwymi Poszukiwaczami.

„Athamen był w tamtej mrocznej grocie, która powinna należeć do mojej rodziny, i czekał na… kogo?”.

Mariko powiodła je w górę po kolejnych schodach, a potem ruszyły ulicą w cieniu

wielkiego gmachu opactwa. Catherine zapragnęła przyspieszyć.

– Ktokolwiek umieścił tam athamen, może nas teraz obserwować – szepnęła do Mariko. – Musimy się stąd szybko wydostać.

Przyjaciółka ujęła ją jednak za ramię i powstrzymała, zmuszając do spacerowego kroku turystek.

– Jeśli jesteśmy śledzone, Cat-chan, powinnyśmy iść wolniej i nie ściągać na siebie uwagi – przekonywała. – Ale nikt nas nie śledzi.

– Skąd wiesz?

– Byłby to nieprawdopodobny zbieg okoliczności – odparła szeptem Mariko. – Zgadzam się, że niewątpliwie ktoś umieścił athamen w grocie *niedawno*. Ale nie *teraz*. Pomyśl. Zjawiłaś się tu nieoczekiwanie, dopiero dziś…

Zatrzymała się nagle i zaprowadziła Catherine do niskiego kamiennego murku, skąd rozpościerał się widok na miasteczko oraz odległy francuski stały ląd.

– Spójrz bardzo uważnie – szepnęła Mariko. – Tam, przy stopniach wiodących do wrót kościoła. Ten człowiek schodzący na plażę.

Catherine popatrzyła. Pomiędzy nimi a opactwem znajdowało się co najmniej dwadzieścia osób, jednak spostrzegła natychmiast tego, o kim mówiła Mariko – mężczyznę przechodzącego przez cienie wysokiego, ciemnego gmachu kościoła i zmierzającego w kierunku, z którego one dwie przed chwilą przyszły. Miał zwykłe ubranie i kapelusz, którego rondo ocieniało twarz, ale coś w jego chodzie, w ściśle kontrolowanych ruchach wydało się Catherine znajome.

– Porusza się jak Poszukiwacz – powiedziała.

– Albo przynajmniej jak uczeń szkolący się na Poszukiwacza – uzupełniła Mariko.

– Rozpoznajesz go? Czy to może być Emil? – spytała Catherine. Przez chwilę poczuła nadzieję – jak cudownie byłoby, gdyby udało się jej odkryć, że Emil jest cały i zdrowy – lecz ta nadzieja szybko zgasła. – Nie, to nie on.

Mariko pokręciła głową.

– To z pewnością nie Emil. Jest mocniej zbudowany. Nie znam go.

Ścisnęła ramię Catherine i przyjrzała się jej uważnie.

– Co? – spytała ją Catherine.

– Catherine, powiedz mi dokładnie, skąd się dowiedziałaś, gdzie znajduje się ta podziemna komora.

Catherine usiłowała zebrać myśli, przyglądając się, jak mężczyzna znika w głębi alejki, którą obie niedawno przeszły. Wyglądało, jakby kierował się tymi samymi instrukcjami co wcześniej one.

– Mówiłam ci – odrzekła. – Znalazłam notkę pradziadka mojego dziadka… czy w każdym razie jakiegoś mojego przodka. W domu mam rysunek rodzinnego drzewa genealogicznego, który ukazuje…

– Daruj sobie ten nieistotny wtręt – przerwała jej Mariko.

– Dobrze – zreflektowała się Catherine. – Notka opisywała, jak odszukać to miejsce, tę skalną komorę.

– Twój przodek zapisał, że grota znajduje się pod Mont Saint-Michel?

– Nie. Tego fragmentu brakowało. Notka wspominała o grocie i zawierała

instrukcję, jak odszukać tunel na wyspie, ale nie mówiła, o którą wyspę chodzi. Domyśliłam się tego wczoraj.

– W jaki sposób? – dopytywała się Mariko.

– W herbie mojego rodu jest wizerunek niewielkiej góry, właściwie wzgórza. Przez całe życie ciekawiło mnie, gdzie ona się znajduje. Żaden z żyjących członków rodziny nie był tego pewien – podobnie jak w przypadku groty ta wiedza z upływem czasu została utracona. Ale nagle uświadomiłam sobie, że góra w naszym herbie to zarys Mont Saint-Michel, z wyjątkiem kilku bardziej współczesnych budynków, widziany od strony morza, a nie lądu. I zastanowiłam się, czy podane przez przodka współrzędne miały sprowadzić kogoś tutaj.

– Catherine, widywałaś herb twojej rodziny przez całe życie, a to uświadomiłaś sobie nagle wczoraj? – wyszeptała Mariko; im szybciej mówiła, tym jej japoński akcent stawał się wyraźniejszy.

– Przyznaję, że teraz, kiedy o tym opowiadam, brzmi to dziwnie. Nie wiem, jak to wyjaśnić, z wyjątkiem tego, że do głowy wpadła mi myśl: „Mont Saint-Michel, Mont Saint-Michel". Była tam, gdy się obudziłam, tak silna, że niemal niepokojąca. – Catherine zaśmiała się nerwowo na wspomnienie dziwnej mieszaniny podekscytowania i strachu, które owładnęły nią w tamtym momencie. Mówiła dalej: – Odszukałam i obejrzałam zdjęcia, porównałam je z moim rodowym herbem i stało się to dla mnie oczywiste.

– A więc pomyślałaś, że powinnyśmy pospieszyć natychmiast do Francji i odszukać tę grotę, która przed setkami lat należała do twojej rodziny?

– Ta myśl była tak wyraźna, że ogarnęło mnie nieodparte pragnienie przekonania się, czy mam rację – odrzekła szeptem Catherine. – Nie oczekiwałam, że we wnętrzu groty cokolwiek znajdę! W gruncie rzeczy nie spodziewałam się nawet, że odnajdę tę grotę.

Spojrzała ponownie w dół na brukowaną uliczkę, zastanawiając się, ile czasu zajmie tamtemu mężczyźnie odnalezienie wejścia do tunelu. Zasłoniły je z powrotem ciężką żelazną kratą, ale da się ją usunąć w kilka chwil. Co się stanie, kiedy on dotrze do końca tunelu i odkryje brak athamenu? Co będzie gotowy zrobić?

– Catherine, powiedziałaś, że nazwa Mont Saint-Michel „wpadła ci do głowy". Uznałaś, że musisz *natychmiast* tu przyjechać.

– Popatrzyłam na herb i domyśliłam się.

– Nie, nie „domyśliłaś się"! – wykrzyknęła Mariko. – Cat-chan, nie rozumiesz? Zajrzałaś do czyjegoś umysłu. Usłyszałaś czyjeś myśli. Czyjeś *ważne* myśli. Podsłuchałaś myśli tego kogoś – tego Poszukiwacza – kto umieścił tutaj athamen. Albo kogoś, kto przybył tu, by go zabrać.

Wskazała ręką w kierunku, w którym odszedł tajemniczy Poszukiwacz.

– Daj spokój! Mówisz serio? – rzuciła kpiącym tonem Catherine. – Chyba sama w to nie wierzysz, prawda?

Nauczono je, że w wyniku mentalnego treningu Poszukiwacze często rozwijają w sobie zdolność czytania cudzych myśli. Jednak zdaniem Catherine istniało wiele innych wyjaśnień tego, co Poszukiwacze uważali za telepatię.

– Nie musisz wierzyć w tę umiejętność, żeby ją mieć – zauważyła Mariko. – Dotarłyśmy do tej ukrytej komory kilka chwil przed przybyciem kogoś innego. Właśnie,

gdy mówiłam ci, że to nieprawdopodobny zbieg okoliczności, zobaczyłyśmy człowieka podążającego dokładnie po naszych śladach. Jak inaczej da się to wyjaśnić?

Catherine musiała niechętnie przyznać jej rację. Przypomniała sobie lodowaty strach, jaki początkowo ją przeszył, kiedy przyszła jej do głowy nazwa Mont Saint-Michel, jakby ta myśl pochodziła od kogoś groźnego. Być może właśnie od mężczyzny, który przed chwilą je minął. A jeśli tak, nie chciałaby stawić mu czoła nieprzygotowana.

– Może masz rację – powiedziała do Mariko.

– I on wkrótce odkryje, że athamen zabrano – wyszeptała przyjaciółka.

Catherine spojrzała na nią.

– Musimy ruszać – rzekła.

– Tak – zgodziła się Mariko. – I to szybko.

Rozdział 15
John

Wrak Obieżyświata był wysoką na sześć pięter bryłą potrzaskanego żelastwa, która kiedyś była pięknym statkiem powietrznym. Lustrzana metalowa powłoka kadłuba została w wielu miejscach wygięta i wgnieciona i teraz odbijała parkowe drzewa i miejskie budynki w zniekształcony sposób, niczym w gabinecie krzywych luster w wesołym miasteczku. Obieżyświata otaczały lampy alarmowe płonące przez całą noc, a za dnia ekipy ratownicze łaziły po nim i metodycznie odłączały wszystkie źródła energii, przygotowując statek do przetransportowania poza miasto, gdzie zostanie złożony z powrotem do kupy. I wkrótce, jeżeli Johnowi uda się pokonać krewnych z innych gałęzi rodziny, Obieżyświat znów wzbije się do lotu.

Teraz panowała noc, a John i Młoda Sędzia znajdowali się we wnętrzu statku. Młoda Sędzia sprowadziła tam ich oboje za pomocą athamenu i jak zawsze w trakcie takiej podróży przewiązała chłopakowi oczy.

Chociaż o tej porze nie było członków ekip remontowych, jaskrawe zewnętrzne lampy pozostały włączone i ich oślepiające światło wpadało przez wszystkie okna. W całym statku kapało z popękanych rur i unosił się swąd przepalonych przewodów elektrycznych. Z sufitów krętych korytarzy ciekła woda i z sykiem zmieniała się w parę w zetknięciu z nadal gorącymi metalowymi powierzchniami. Wszędzie widniały zdeformowane cienie.

Dziadek Johna, Gavin, i tak już słaby i bliski śmierci, niemal zginął podczas katastrofy Obieżyświata. Pozostawał nieprzytomny w londyńskim szpitalu, a przy jego łóżku dzień i noc koczowali krewni Johna, aby się przekonać, czy Gavin przeżyje i mimo tego, co się wydarzyło, będzie gotowy wznowić bój o zachowanie kontroli nad swoim majątkiem.

Ten majątek prawnie należał do Johna. Chłopiec powinien być w szpitalnym pokoju dziadka razem ze swoimi krewnymi, zgłosić roszczenie do wszystkiego, co jest jego własnością – ponieważ jego matka zgromadziła tę fortunę, aby zapewnić synowi ochronę przed wrogami, jakiej sama nigdy nie miała. Ale sądowe bitwy musiały zaczekać. Wprawdzie Młoda Sędzia zgodziła się na nocną wizytę na Obieżyświacie, jednak nigdy nie wyrazi zgody na to, by John wrócił do Londynu z tak przyziemnego powodu jak walka z kuzynami w sądzie. Dopóki jego szkolenie nie dobiegnie końca, chłopiec musi wycofać się ze zwykłego świata i ignorować swoich krewnych tak długo, jak zdoła.

John rozumiał, że jego nieobecność może oznaczać dla dziadka wyrok śmierci. Przed laty Catherine podała Gavinowi truciznę, żeby w ten sposób zachować nad nim kontrolę. Ta trucizna pozostała na stałe w jego organizmie i starzec, aby pozostać przy życiu, musiał codziennie zażywać antidotum. Teraz, gdy Maggie zniknęła, a John przebywał z Maud, w Londynie nie pozostał nikt, kto podałby Gavinowi odtrutkę. Bez Maggie John nie wiedział nawet, gdzie mógłby zdobyć antidotum. Mógł tylko mieć nadzieję, że lekarze dziadka wynajdą jakiś sposób zneutralizowania działania trucizny i starzec przeżyje. Ostatecznie przecież Gavin był jedynym prawdziwym sprzymierzeńcem Johna i bez względu na to, jak bardzo stał się obłąkany, chłopiec go

kochał.

Maud wyryła w przestrzeni anomalię prowadzącą wprost do salonu Obieżyświata. Stamtąd John poprowadził ostrożnie ich oboje przez wnętrze statku do wąskiego, na wpół zniszczonego korytarza na jednym z niższych poziomów. Pośrodku korytarza stanęli przed otwartymi metalowymi drzwiami zaklinowanymi wybrzuszoną podłogą.

– To kabina mojej babki Maggie – wyjaśnił Młodej Sędzi.

W ciasnym pomieszczeniu umeblowanym tylko łóżkiem, małym biurkiem oraz szafą, której otwarcie uniemożliwiał teraz wgnieciony sufit, panował totalny bałagan. John schylił się, wszedł do środka, przypiął lampę w nogach łóżka i zapalił ją, oświetlając wnętrze.

Wszystko, czego potrzebował, leżało na podłodze. Kabinę Maggie ozdabiało wcześniej kilka fotografii w ramkach oraz dzieła sztuki. Pospadały, gdy statek się rozbił, a teraz połamane walały się pośród odłamków szkła. John ukląkł i zaczął je zbierać.

– Co się stało z twoją babką? – zapytała Młoda Sędzia, stojąc w progu.

Pytanie zaskoczyło Johna. Kiedy rozpoczął szkolenie z Maud, odzywała się możliwie jak najrzadziej i nigdy nie pytała go o kwestie osobiste. W miarę jak spędzali ze sobą więcej czasu, ich rozmowy stawały się swobodniejsze, jakby Maud otwierała się na sprawy Johna i zwykłego świata.

– Nie znaleziono jej ciała – odpowiedział.

Własny głos wydał mu się zbyt spokojny i obojętny, ale nie chciał, by Młoda Sędzia zainteresowała się akurat tym tematem. Maud nie spodobałyby się bezwzględne, bezlitosne poglądy Maggie.

– Uważasz, że wyszła cało z katastrofy?

Członkowie ekip ratowniczych znaleźli wszystkich mieszkańców statku – niektórych martwych, większość żywych – z wyjątkiem Maggie.

– Tak – odrzekł. – Wierzę, że w jakiś sposób opuściła statek.

Młoda Sędzia skwitowała to kiwnięciem głową i usadowiła się na korytarzu. John przyglądał się, jak wyjęła z kieszeni peleryny dziennik Catherine. Chłopiec od ubiegłej nocy pozwolił jej nosić go przy sobie.

Odwrócił się z powrotem w stronę rozbitych fotografii w ramkach na podłodze i jego myśli pobiegły znów ku Maggie – która właściwie nie była jego babką, tylko dalszą krewną. Od katastrofy często o niej myślał. Wierzył, że opuściła statek, chociaż nie mógł pojąć w jaki sposób. I dokąd się udała? Jeżeli żyła i była zdrowa, dlaczego nie skontaktowała się z nim?

Prawdę mówiąc, nie był pewien, czy odczuwa z tego powodu smutek, czy ulgę. Maggie wychowywała go po śmierci matki. Oczywiście kochał ją, ale też czasami jej nie znosił. Sprawiła, że przez całe dzieciństwo bał się, iż zjawi się ktoś, żeby go zabić, tak jak stało się to z jego matką i tyloma osobami. Powinien teraz martwić się o Maggie, o to, czy została ranna albo zaginęła. Odczuwał jednak coś innego – głęboki niepokój o to, gdzie ona może być i co robi.

Babka opowiedziała mu kiedyś historyjkę do poduszki o kobiecie, która żyła w głębi lasu, z dala od ludzi, z wyjątkiem kilku wybranych osób. Odniósł wrażenie, że ta opowieść to coś więcej niż bajka; Maggie mówiła tak, jakby opisywała własne

doświadczenie. Czy mogła teraz postąpić podobnie – czy zaszyć się gdzieś z dala od Londynu i czekać na odpowiedni moment?

Ułożył rozbite fotografie w ramkach na biurku i pozbierał z podłogi resztki odłamków szkła. W każdej ramce było więcej niż jedno zdjęcie – po kilka ukrytych za tym umieszczonym pod szkłem. John oderwał spody ramek i wysuwał kolejne zdjęcia z ich schowków, po czym rozkładał je na narzucie łóżka.

Te schowane zdjęcia nie były przyjemne. Każde przedstawiało scenę okrutnej, potwornej śmierci. Byli na nich mężczyźni, kobiety i dzieci, zabijani nożem, mieczem, rewolwerem albo topieni. Najstarsze zdjęcia zrobiono przed wiekiem lub jeszcze dawniej, lecz zasadniczo obejmowały okres ostatnich stu lat, były czarno-białe i kolorowe. Maggie po raz pierwszy pokazała mu te zdjęcia, kiedy miał osiem lat. Każda zamordowana osoba była jego przodkiem, krewnym z rodu lisa. Miał teraz przed sobą fotograficzne dowody tego, jak członkowie innych klanów Poszukiwaczy prześladowali na rozmaite sposoby jego rodzinę. Widok tych zdjęć utwierdził Johna w decyzji, by poświęcić życie zemście, tak jak jego matka poświęciła swoje.

„Oni myślą, że jesteśmy mali, słabi, bezbronni… że łatwo nas pokonać, zabić – powiedziała mu matka, gdy leżała konająca na podłodze, a potem spytała: – Czy łatwo nas zabić, John?”.

– Nie – szepnął teraz John, tak jak odpowiedział jej wtedy.

Spoglądając na sterty fotografii, pomyślał jednak, że jego rodzinę w istocie łatwo było wymordować. Jego przodkowie zostawali ofiarami. Ale to się skończyło. Zabójcy zapłacą za swoje krwawe zbrodnie.

Pomyślał: „Oto moja lista tych, którzy poniosą karę”.

Rozdział 16
Maud

Podczas gdy John przeglądał okrutne i drastyczne zdjęcia w kabinie swojej babki, Młoda Sędzia siedziała na pochyłej podłodze korytarza Obieżyświata i studiowała dziennik Catherine. Początkowo nie chciała patrzeć na ten dziennik, nie chciała widzieć dowodów zbrodni Średniego.

Od wczesnego dzieciństwa Młoda Sędzia musiała żyć w towarzystwie Średniego Sędziego, a to było możliwe tylko dzięki temu, że przymykała oczy na najgorsze cechy jego charakteru.

Po tym, jak go zabiła, pragnęła wierzyć, że wymazała z pamięci wszelki ślad po nim – jednak zetknąwszy się z tym dziennikiem, zrozumiała, że jest inaczej. Z treści zapisków zorientowała się, że chociaż wiedziała o kilku występkach Średniego Sędziego, było nieskończenie więcej takich, o których nie miała pojęcia.

Mniej więcej w połowie tomu znajdował się wpis, który już ubiegłego wieczoru przykuł jej uwagę. Teraz odczytała go ponownie.

Dnia dwunastego kwietnia 1870 roku

Ojcze,

Średni Sędzia powrócił przed niespełna trzema dniami. Zjawił się bez uprzedzenia, ale Gerald polował samotnie w lesie i wypatrzył go w pobliżu jeziora i fortecy.

Czy mam zdradzić się, iż wiem o jego obecności? Nie chciałbym urazić go arogancją, ale też brakiem szacunku.

Co więcej, wystąpiła nowa okoliczność. Towarzyszy mu dwóch wyrostków – niskiego urodzenia, sądząc z ich ubiorów i mowy. Średni Sędzia ćwiczy ich w fechtunku. Ponadto dokonują pomiędzy sobą osobliwej arytmetyki: odliczają liczby, których suma zawsze wynosi dwieście.

Co mamy o tym myśleć?

Przesyłam wyrazy miłości Tobie i moim braciom.

Thomas

Zostało to nakreślone stosunkowo współczesnym charakterem pisma, przy użyciu współczesnej pisowni, i Młoda Sędzia nie wszystkie słowa zrozumiała. Jedynie lektura najwcześniejszych stronic dziennika nie nastręczała jej żadnych trudności. Pojęła jednak fragment o „dwóch wyrostkach… niskiego urodzenia" szkolonych przez Średniego Sędziego. „Mój prapradziadek widział Średniego Sędziego szkolącego innych", powiedziała jej przed laty Catherine w lesie. Maud uświadomiła sobie, że

prawdopodobnie to jest właśnie ten list napisany przez przodka Catherine. I czy to możliwe, że dwaj dziwni chłopcy, których Maud i John widzieli w szkockiej posiadłości, to te wyrostki opisane tutaj? Ubiegłej nocy, siedząc przy ogniu, Maud doszła do wniosku, że z pewnością tak. Catherine mylnie uznała tych chłopaków za dodatkowych Młodych Sędziów. Lecz oczywiście nie byli Sędziami. Byli kimś innym i kierował nimi Średni.

Maud była przekonana, że Średni przeciął na pół jakiś morfer i dał im te połówki; być może dał im też athamen z wyrytym dzikiem. Ten list napisano przed niemal dwustu laty, tak więc chłopcy spędzili ten czas Tam, w stanie rozciągnięcia, co wyjaśniało sposób poruszania się upodabniający ich do Sędziów.

List był datowany na rok 1870. „Czy w 1870 roku byłam przebudzona?", zastanowiła się Młoda Sędzia. Na ogół wiedziała, jak długo i kiedy była rozciągnięta, a także jak długo bywała przebudzona, jednak nie przywiązywała wielkiej wagi do szczegółowych dat, nie miała więc pewności, gdzie przebywała w 1870 roku. Mogła równie dobrze być Tam, podczas gdy Średni Sędzia działał w realnym świecie i szkolił tych chłopców. Ale do czego ich używał?

Przekartkowała najwcześniejsze strony dziennika, aby odszukać, jak czyniła poprzednio już kilka razy, jedną konkretną notkę. Nakreślona na pergaminie zawierała opis tego, jak przed wiekami Średni zabił pewnego Młodego Sędziego. Nie było to morderstwo, którego Maud była świadkiem, lecz inne, wcześniejsze.

„Ten skrawek pergaminu stanowi dowód, że Średni, zanim zaczął mnie szkolić, zabił co najmniej dwóch Młodych Sędziów – pomyślała. – To z pewnością więcej, niż wie mój mistrz. Czy gdyby wiedział o wszystkim, już wcześniej pozbyłby się Średniego?". Obawiała się, że odpowiedź brzmi: nie. Stary Sędzia znał dawne zbrodnie Średniego, lecz był z nim w jakiś sposób związany i nie mógł wymierzyć mu sprawiedliwości. Dopiero Maud wzięła sprawy w swoje ręce i zabiła Średniego Sędziego.

Podniosła wzrok znad stronic dziennika i zaskoczył ją widok błysku metalu. Na prawo od drzwi kabiny sterczał na korytarz zwisający, odłamany fragment ściany. Przez szczelinę widać było ciemną przestrzeń. Młoda Sędzia pchnięciem odsunęła na bok ten luźny płat metalu i zajrzała do wnętrza czegoś, co musiało być szafą babki Johna, niemal całkowicie rozpadła się podczas katastrofy statku. Jej zawartość leżała w bezładnej stercie, a pośród butów i splątanych szali połyskiwał jakiś duży metalowy przedmiot. Maud wyszarpnęła go przez szczelinę w ścianie i natychmiast rozpoznała znajomy ciężar i rozmiar.

Była to tarcza z rodzaju tych, jakie wojownik z mieczem mógłby nosić na ramieniu. Jej powierzchnię wykonano z kilku koncentrycznych kręgów wirujących niezależnie od siebie. Maud od razu pojęła, co to jest – „tarcza chroniąca przed rozrywaczem". Chociaż w przeszłości była powszechnie używana przez Poszukiwaczy, Młoda nie widziała jej od co najmniej dwustu lat. Mistrz Maud, Stary Sędzia, niezbyt ufał tego rodzaju narzędziom – uważał, że powinno się raczej polegać na swoich wyćwiczonych odruchach i refleksie – ale Młoda od czasu do czasu trenowała z taką tarczą, kiedy szkolił ją Średni Sędzia.

Przesunęła dłońmi po koncentrycznych kręgach na powierzchni tarczy i wprawiła je w ruch. Obracając się, kręgi wywoływały dezorientujące złudzenie, że powierzchnia tarczy zbliża się spiralnie ku tobie, a zarazem się oddala. Tarcza była przeznaczona do

ochrony przed bezpośrednim atakiem iskier rozrywacza, a umiejętnie używana mogła uczynić z tymi iskrami wiele interesujących rzeczy.

„Jeśli John zyska troszkę więcej wprawy, pozwolę mu ją wypróbować", pomyślała Młoda Sędzia.

Wewnątrz szafy było coś jeszcze, widoczne teraz, gdy Maud wyjęła tarczę. Młoda Sędzia pomyślała, że wzrok może ją zwodzić, więc szybko sięgnęła ręką i wyszarpnęła ten przedmiot. Był to kolejny przyrząd, jakiego nie widziała od wielu pokoleń: opalizujący metalowy hełm, fokal.

Młoda Sędzia uważnie obejrzała hełm i tarczę i zaczęła układać plany dalszego szkolenia Johna. Kiedy kilka chwil później usłyszała, jak chłopiec mówi coś cicho w kabinie, odłożyła obydwa przedmioty i weszła do środka.

Łóżko było pokryte porozrzucanymi bezładnie zdjęciami; wszystkie przedstawiały śmierć. Wypaczona podłoga poruszyła się, gdy Młoda Sędzia podeszła bliżej chłopca. Maud nie miała najmniejszej ochoty uczestniczyć w zemście Johna – ani nawet o niej wiedzieć – ale mimo woli podniosła kilka spośród zdjęć i przyjrzała się im. Wiele było czarno-białych, co jak rozumiała, oznaczało, że zrobiono je bardzo dawno. Liczne jednak były barwne, a ich najbardziej rzucającym się w oczy kolorem była czerwień krwi. Lecz nawet w czarno-białych fotografiach Maud odgadywała czerwień w wielkich kałużach czerni. Mężczyzna, kobieta i czwórka dzieci porąbani na kawałki; dorośli przygwożdżeni do ściany długimi nożami, dzieci leżące bezwładnie na podłodze w ubrankach pociemniałych od krwi. Ludzie zakatowani na śmierć, zastrzeleni. Ludzie zabici z charakterystyczną brutalnością morferami. Było ich tak wielu!

– Byłaś tam? – zapytał cicho John.

Maud dopiero po kilku chwilach pojęła, co miał na myśli. Pytał, czy brała udział w zabijaniu tych ludzi, członków jego rodziny. Młodą Sędzię głęboko zabolało, że John uważa ją za zdolną do takich zbrodniczych czynów, a jednak właśnie tak został wychowany – aby widzieć wszędzie zagrożenia i morderców.

Obejrzała kolejne fotografie. Prawdę mówiąc, rozpoznała większość twarzy. Widziała już tych mężczyzn, te kobiety, nawet niektóre dzieci. Była świadkiem tego, jak się szkolili, odbierała od nich przysięgi. Nigdy jednak nie widziała ich zabijanych.

Przecząco pokręciła głową.

– Nie.

Oczy jej błysnęły na widok jednej z nowszych fotografii. Urocza młoda kobieta przyciskała kurczowo dłonie do rany ziejącej w jej brzuchu, a w szeroko otwartych niebieskich oczach widniała śmierć. Na policzku miała głębokie rozcięcie od ciosu mieczem, które pomimo makabrycznych okoliczności nie odbierało wiele urody jej delikatnym rysom. „Catherine – pomyślała Maud. – Byłam tam przy śmierci Catherine".

Jednak przyjrzawszy się dokładniej, zorientowała się, że to nie jest Catherine Renart, lecz jej starsza siostra. Obie kobiety były bardzo podobne, ale ta na zdjęciu miała inne rany. Catherine zraniono śmiertelnie w nogę, nie w brzuch. I oczywiście nie umarła wtedy, tylko wiele lat później. Średni Sędzia i Briac postanowili zakłócić Catherine strzałem z rozrywacza, a potem utrzymywać ją przy życiu. W ten sposób Briac mógł uczciwie twierdzić, że jej nie uśmiercił – chociaż rzecz jasna nie było niczego uczciwego

w tym, jak ją potraktował.

– Znałaś ją? – spytał John.

– Przyjęłam od niej przysięgę w posiadłości – odpowiedziała Maud. – Ona i twoja matka były bardzo podobne.

Chłopiec wskazał na figurę barana nakreśloną topornie krwią na bluzce dziewczyny.

– Baran – rzekła cicho Młoda. – Ktoś narysował barana.

– To zabójca zostawił symbol swojego klanu – wyszeptał John. – Baran jest godłem rodu Quin, ale jej jeszcze nie było na świecie. Zrobił to Briac.

– Możliwe – powiedziała Maud. „Chociaż każdy mógł narysować cokolwiek na martwym ciele", pomyślała.

Teraz, gdy John zwrócił jej na to uwagę, spostrzegła podobne figury wyrysowane na ubraniach wielu ofiar: kształt niedźwiedzia nakreślony zakrwawionym palcem na koszulce dziecka; na innym zdjęciu zobaczyła kontur dzika. Spróbowała sobie wyobrazić Poszukiwaczy podpisujących swoje potworne zbrodnie symbolami swych klanów, ale nie mieściło się to jej w głowie. Dlaczego ktoś miałby robić coś takiego? Jedynym rezultatem byłoby przecież wywołanie trwałej wrogości pomiędzy rodami Poszukiwaczy.

John nie przeżywał tego rodzaju rozterek. Przyglądał się uważnie fotografiom, jakby planował bitwę – i Maud po chwili uświadomiła sobie, że właśnie to robił.

– Moja matka zapisywała w swoim dzienniku lokalizacje różnych rodzin Poszukiwaczy i ich athamenów. Ale tutaj można zobaczyć, które rody weszły na drogę zbrodni, które rody trzeba powstrzymać – wyjaśnił John. Wskazał trzy kupki zdjęć. – Przyglądając się znakom wyrysowanym na zwłokach, naliczyłem siedem morderstw popełnionych przez klan niedźwiedzia, pięć – przez klan dzika oraz dwa morderstwa klanu barana. Tak więc ród niedźwiedzia…

Urwał, ale Maud wiedziała, jak miał brzmieć koniec tego zdania: „…ród niedźwiedzia jest pierwszy na mojej liście".

John poprosił, żeby oddała mu dziennik, i kartkował go, póki nie znalazł strony z wyrysowanym u góry niedźwiedziem. Pod wizerunkiem zwierzęcia była ilustracja bardzo podobna do tej, jaką pokazał Maud wcześniej w posiadłości. Na niej również widniała grota. Znajdowała się w połowie zbocza. Za wzgórzem ciągnął się łańcuch kolejnych wzniesień, tworzący charakterystyczny wzór. Pod rysunkiem umieszczono zestaw współrzędnych.

– Tutaj – powiedział John. – Moja matka dowiedziała się o ostatnim miejscu pobytu klanu niedźwiedzia. W dzienniku napisano, że athamen rodu niedźwiedzia widziano ostatnio w południowo-zachodniej Afryce, w posiadaniu Poszukiwaczki o nazwisku Delyth Priddy z klanu niedźwiedzia, której być może ktoś towarzyszył. A tutaj są współrzędne. Matka zbierała współrzędne wszystkich tych miejsc, żeby móc się do nich dostać.

Maud domyślała się zamiaru Johna. Chciał, żeby zabrała go w to miejsce, tak aby mógł podążyć śladami matki. Młoda Sędzia rozpoznała tę lokalizację na podstawie rysunku i współrzędnych. Była to grota w Afryce, mająca szczególne znaczenie dla rodu niedźwiedzia; podobnie każdy klan posiadał niegdyś specjalne miejsce przeznaczone dla

swoich członków – chociaż większość tych miejsc przestano wykorzystywać już dawno temu. Wyglądało na to, że Catherine szukała właśnie tych jaskiń.

Młoda Sędzia nie podzieliła się tymi informacjami z Johnem, ponieważ w tym momencie wolała pozwolić, aby wysnuł własne wnioski. Wyszła z powrotem na korytarz, żeby zabrać tarczę i hełm.

– Co to takiego? – zapytał chłopiec, podniósłszy wzrok znad stronic dziennika, kiedy wróciła. – W dzienniku jest rysunek tego – oznajmił, wskazując kask.

– To fokal – odpowiedziała Maud, unosząc go w górę. – Wspaniałe narzędzie, jeśli odpowiednio się go użyje. Tarcza też jest interesująca, ale mniej przydatna do szkolenia.

– Czy to ten kask, o którym wcześniej mówiłaś? – wyszeptał John. – Ten, który miał pomóc mi stawić czoło rozrywaczowi, tak abym nie rozpadł się mentalnie na kawałki?

– Możliwe – odrzekła Maud.

W istocie właśnie tego zamierzała go nauczyć: jak zmierzyć się z rozrywaczem – i wieloma innymi rodzajami broni – nie rozpadając się na kawałki. Jak znaleźć właściwą drogę.

Popatrzyła na rozrzucone na łóżku fotografie przedstawiające zabitych. John chciał wytropić klan niedźwiedzia, aby pomścić swoją matkę i tych martwych ludzi na zdjęciach. Nie zniechęcało go to, że od mniej więcej osiemdziesięciu lat nikt nie widział żadnego członka rodu niedźwiedzia. Ani to, że ród dzika, następny na liście Johna, zaginął od pokolenia – odkąd Emil Pernet zniknął w Norwegii. Wydawało się, że John wierzy, że jego matka odkryła sekretny trop wiodący do jej wrogów. Młoda Sędzia w to wątpiła. Skoro Poszukiwacze i athameny zaginęli tak dawno, nie sądziła, że łatwo będzie ich odnaleźć.

Podjęła decyzję. John może prowadzić swoje poszukiwania. Pozwoli mu planować zemstę na rodach Poszukiwaczy, które dawno zaginęły. „A w tym czasie ukształtuję jego umysł tak, że usunę z niego te małostkowe myśli o okrucieństwach i wojnach. Zmienię Johna w kogoś lepszego. I może, kierując się wskazówkami z dziennika Catherine, odkryję dla siebie, co uczynił Średni Sędzia".

– Być może potrafię pomóc ci prześledzić, co twoja matka napisała w dzienniku – rzekła do Johna. – Ale będziesz musiał na to zasłużyć.

Rozdział 17
Quin

Ponieważ Catherine była matką Johna, przypuszczam, że była trochę szalona – rzekła Quin do Shinobu. – Kiedy John mówi o tym, czego chciała, wy daje się tym jak gdyby opętany. Gdy ścigał mnie na terenie posiadłości, a potem walczyliśmy na dachu obory nad urwiskiem, pomyślałam, że jest obłąkany – i to wyłącznie z jej powodu.

Znajdowali się w gabinecie uzdrowicielskim Quin. Na ladach i stole do badań leżały w rzędach kartki kopii dziennika. Dziewczyna wcześniej zestawiła je chronologicznie, tak jak w oryginalnym dzienniku, jednak teraz miała nadzieję, że łatwiej uchwyci ich treść, jeśli zobaczy je rozłożone oddzielnie.

– Chyba nie uważasz, że była wariatką? – zapytał Shinobu.

Stał, opierając się o ścianę, z rękami skrzyżowanymi na piersi, i obserwował, jak Quin przegląda kartki.

– Musiała być odrobinę pomylona – odrzekła. – Ale z zapisków w dzienniku wyłania się jej obraz jako osoby, która tropiła niegodziwości, ponieważ pragnęła je naprawić.

Wzięła ze stołu do badań kilka arkuszy.

– I wspominała w dzienniku o dobrych rzeczach, po prostu dlatego, że były dobre. Jak na przykład o Maud, kiedy była bardzo młoda i dopiero szkoliła się na Sędzię. Dwie uczennice, przyszłe Poszukiwaczki, zobaczyły ją w posiadłości i w liście do swojego ojca opisały, jak szybko umie biegać: „niczym jastrząb nurkujący, by schwytać polną mysz". Catherine podziwiała Młodą Sędzię.

– A co ze Średnim Sędzią? – spytał Shinobu.

Quin podniosła wzrok znad stronic dziennika i obejrzała się na niego. Zobaczyła, że podszedł bliżej. Stał teraz tuż za nią, czytając nad jej ramieniem. Przez ostatnich kilka dni był w dziwnym nastroju, zachowywał się ciszej niż zwykle i poważniej. W trakcie rekonwalescencji jego nastrój często się zmieniał. Ale zainteresowanie dziennikiem napędzało Shinobu, dodawało mu energii.

– Myślę, że Catherine nienawidziła Średniego Sędziego – odpowiedziała Quin. – Jak się zdaje, ilekroć usłyszała, że ktoś powiedział o nim coś złego, umieszczała to w dzienniku.

Istotnie, dziennik zawierał wiele wpisów, zwłaszcza tych wcześniejszych, które ukazywały Średniego Sędziego w niekorzystnym świetle.

– Sądzisz, że on jest kimś ważnym? – spytał Shinobu.

– Ważnym ze względu na to, czego chcemy się dowiedzieć? Dlaczego Poszukiwacze tacy jak mój ojciec są tak inni od tego, jacy powinni być? – Wzruszyła ramionami. – Wszystkie opisane w dzienniku występki Średni Sędzia popełnił przed setkami lat. Nie wiem, w jaki sposób moglibyśmy obwinić go o naganne zachowanie Briaca.

Shinobu nie wydawał się usatysfakcjonowany odpowiedzią. Quin patrzyła, jak przejrzał kilka kart dziennika i wziął do ręki jedną. Był to list, w którym jakiś Poszukiwacz pisał drugiemu, że widział Średniego Sędziego w pobliżu miejsca, w którym

wkrótce potem znaleziono kogoś poważnie rannego. Shinobu podsunął ten list przed oczy Quin.

– A ty uważasz, że Średni Sędzia jest ważny? – zapytała.

Wziął głęboki wdech i oparł się o ladę.

– No cóż… – zaczął z niepewną miną. – Kiedy miałem na głowie fokal – no wiesz, gdy zastałaś mnie z wszystkimi tymi wkłutymi igłami – a tuż przedtem przeglądaliśmy ten dziennik, wtedy… coś poczułem.

– Chodzi ci o to, że poczułeś w umyśle? W kasku?

Przytaknął i w zamyśleniu skrzyżował ramiona na piersi.

– Nie sądzę, by fokal potrafił ukazywać coś, czego wcześniej się nie wiedziało. Ale może pomaga ujrzeć w innym świetle coś, co już się wie. – Shinobu przeczesał palcami włosy i wbił wzrok w swoje buty. Wyglądał niemal, jakby nie podobało mu się to, co zamierzał powiedzieć. – Być może zrozumiałem coś w związku z dziennikiem. Pierwszą jego połowę Catherine poświęciła Sędziom – listom wspominającym o nich, temu, ile razy ludzie ich widywali, występkom, jakie popełnił Średni Sędzia albo o jakie go oskarżano.

– To prawda – przyznała Quin.

– A większość reszty dziennika jest rejestrem miejsc, w których widziano Poszukiwaczy z rozmaitych rodów oraz ich athameny.

Shinobu umilkł. Quin go ponagliła:

– I kiedy nosiłeś fokal, pojąłeś coś dotyczącego tej kwestii?

Powiedział powoli:

– Wydaje mi się, że dostrzegłem pewien związek… pomiędzy Średnim Sędzią a tym, co stało się później z klanami Poszukiwaczy. A co, jeśli Catherine uznała, że istniał taki związek?

Quin zastanowiła się nad tym, przebiegając wzrokiem po kartce przed sobą.

– Myślisz, że Średni Sędzia znajdował się w centrum tego, czego szukała?

– Myślę, że jej zdaniem odgrywał w tym istotną rolę. Nie wiem, czy rzeczywiście tak było – odrzekł Shinobu.

Znowu spuścił wzrok na swoje tenisówki i czubkiem jednej szturchał w podłogę.

– Ona rzeczywiście uważała go za istotnego – zgodziła się Quin, spoglądając na wczesne notatki w dzienniku. – Ale jeżeli odkryła jakiś związek, nie sądzę, by napisała o tym tutaj.

– Albo napisała, tylko nie potrafisz tego dostrzec – odparł Shinobu.

Nadal wpatrywał się w swoje buty i zdawał się zmagać z jakąś nieprzyjemną myślą. Nie podnosząc wzroku na Quin, ujął ją delikatnie za ramię i przyciągnął bliżej siebie.

– Wiesz, mogłabyś… mogłabyś spróbować użyć fokala – rzekł cicho.

– Chcesz, żebym *ja* go włożyła?

– Wiem, że nie powinienem go nosić – odparł, wciąż nie patrząc na nią. – Ale… w nim coś jest, Quin. Zobaczysz rzeczy, których inaczej byś nie dostrzegła. – Wskazał głową kartki porozkładane wokół nich. – Obiecuję ci, że tak się stanie. A nawet jeśli nie, będziesz mogła powiedzieć mi, jak się w nim czułaś. Może on działa na każdego inaczej.

Dziewczyna rozejrzała się po pokoju, a potem znów popatrzyła na Shinobu. Opierał

się pragnieniu, by osobiście użyć fokala, i to było pozytywne. Quin przyznała w duchu, że chciałaby się przekonać, jak działa ten przyrząd. Ograniczy ryzyko, o ile będzie przestrzegała instrukcji otrzymanych od Mariko. A może Shinobu ma rację i ona rzeczywiście się czegoś dowie.

Quin trzymała w dłoniach kartkę z instrukcjami Mariko. Shinobu w ogóle nie postępował według tych reguł, kiedy używał fokala, ale dziewczyna zamierzała ściśle się do nich zastosować. Usiadła ze skrzyżowanymi nogami na dachu swojego domu, a Shinobu przykucnął obok. Pierwsza reguła dotyczyła mocnego, zdrowego ciała. Quin ją spełniała.

Realizowała teraz drugie zalecenie instrukcji:

Oczyść swoje myśli, poczynając od uspokojenia umysłu.

Ostrożnie oczyściła umysł, tak jak robiła w swojej pracy uzdrowicielki. Zakończywszy to, odczytała następny punkt:

Skoncentruj się na aktualnej kwestii.

Jaka jest ta aktualna kwestia?

„Chcę odkryć, kiedy Poszukiwacze zaczęli zachowywać się niegodziwie – pomyślała. – I czego Catherine mogła się o tym dowiedzieć". Skupiła się mocno na tych sprawach.

Następny krok:

Włóż kask na głowę.

Fokal wsunął się na głowę Quin tak gładko, jakby był zaprojektowany specjalnie dla niej. W chwili gdy znalazł się na miejscu, dziewczyna usłyszała brzęczenie przenikające czaszkę. Właściwie nie był to hałas, raczej wibracja – nieprzyjemna i dokuczliwa. Jedynym rzeczywistym dźwiękiem było nikłe skwierczenie – kask buzował od elektryczności i Quin czuła ją na czole i wokół uszu.

Zalał ją przypływ dezorientacji, jakby znalazła się na pokładzie szaleńczo rozkołysanej łodzi, chociaż dobrze wiedziała, że siedzi stabilnie na dachu swojego domu. Zachwiała się na bok i zobaczyła zbliżającą się powierzchnię dachu, ale Shinobu złapał ją za ramiona i podtrzymał.

– W porządku – powiedział na tyle głośno, że usłyszała go pomimo trzeszczenia przy uszach; mocny dotyk jego rąk dodał jej otuchy.

Skwierczenie w kasku przycichło, ale nasiliły się sensacje, które odczuwała w głowie, jakby fokal podłączał się do niej, stając się niemal nieodróżnialny od jej umysłu. To nie wydawało się niemiłe… Przeciwnie, zaczynało być niemal przyjemne.

I nagle nie potrzebowała już pomocy Shinobu, żeby się nie przewrócić. Wstała o własnych siłach.

Elektryczna wibracja kasku całkowicie połączyła się z jej umysłem i to wprowadziło Quin na nowe, wyższe mentalnie obroty. Spojrzała na swoje ciało, na ręce, które przed chwilą rozłożyła, żeby utrzymać równowagę, na szeroko rozstawione nogi. Własne kończyny wydały się jej małe i odległe, a jednak wykonywały polecenia. Shinobu

był tuż obok, gotowy w razie potrzeby znów ją chwycić.

Podeszła chwiejnie do skraju dachu i spojrzała w górę, ku wysokiemu, zgrabnemu baldachimowi mostu. Potem popatrzyła w obie strony głównej ulicy mostu. Roiły się tam tysiące ludzi, a Quin, spoglądając na nich, odkryła, że potrafi wyczuć, w którym kierunku każda z tych osób zamierza pójść. Fale pieszych nie były przypadkowe; wewnątrz tłumów istniały linie prądów, w każdym ruchu była logika. Odczuwała to samo co wtedy, gdy leczyła pacjentów – swoją rozszerzoną świadomość – ale dzięki kaskowi doświadczała tego dziesięciokrotnie, stokrotnie silniej niż bez niego.

Odwróciła się. Na wysokości oczu sięgała wzrokiem aż do zatoki poniżej zewnętrznego skraju baldachimu mostu. Woda była szara, odpływała od Quin w stronę wyspy Hongkong i załamywała się w tysiącu miejsc, tam gdzie statki wzburzały ją w białe kilwatery. Były też inne ruchy wody: ślady za motorówkami i dżonkami, drobne zmarszczki na powierzchni wokół przybrzeżnych skał, wzory wywołane przypływem, który napierał na olbrzymie filary podtrzymujące most.

Wody zatoki były częścią jednego olbrzymiego oceanu, który krążył wielkimi, powolnymi falami i dotykał wszystkich linii brzegowych na planecie. Ludzie poniżej byli cząstkami jednego gatunku, który z kolei stanowił część wszystkich żywych stworzeń. Quin niemal mogła ujrzeć cały ten świat…

Dziewczyna ściągnęła swoje myśli z powrotem, tak jak rybak ściąga sieci. Istniała aktualna ważna kwestia. „Dziennik Catherine. Kiedy sprawy Poszukiwaczy odmieniły się na gorsze i dlaczego?”.

Umysł Quin był teraz większy. Postrzegała te kwestie jako ciemne, wyraźne kształty odcinające się ostro na tle reszty świata. Rozumiała, podobnie jak Shinobu, że fokal nie może ukazać jej czegoś, czego dotąd nie wiedziała. Ale były rzeczy, o których przecież wiedziała… Dziennik. Średni Sędzia, jak to zauważył Shinobu. W tym, co napisała Catherine, istniała logika.

Quin pozwoliła swojemu spojrzeniu przebiec znowu przez główną ulicę mostu, zobaczyła ludzi, którzy wchodzili i wychodzili, siedzieli, spacerowali, kłócili się, byli leczeni przez uzdrowicieli na górnym poziomie. Mogła też wyczuć setki innych poniżej, szukających zapomnienia w knajpach narkotykowych na niższych kondygnacjach mostu. Nie chciała przecinać więzi, jaką odczuwała z nimi wszystkimi, z oceanem w oddali, z łodziami w zatoce, z szarym niebem. Wydawało się *właściwe* postrzegać rzeczy w ten sposób. A co, gdyby już nigdy nie zdjęła kasku? Czy to nie byłoby lepiej? Czy nie było lepiej, kiedy go nosiła? Mając na głowie fokal, mogłaby pojąć *wszystko*.

Odwróciła się i zobaczyła, że Shinobu przygląda się jej uważnie; jego twarz odbijała dziwną ekstazę złączenia, której doznawała Quin. Tak jak ją uprzedził, fokal był czymś zdumiewającym.

Zmuszenie swoich rąk, aby się poruszyły, było jednym z najtrudniejszych zadań, jakiego Quin kiedykolwiek dokonała, ale ściągnęła z głowy kask nagłym, gwałtownym ruchem i cisnęła go na bok, jakby ją sparzył.

Elektryczne brzęczenie natychmiast stało się znowu słyszalne, ostre i dokuczliwe, jakby kask i jej umysł rozdzielane spierały się ze sobą. Quin zgięła się wpół i poczuła, że Shinobu objął ją i posadził ostrożnie na dachu. Odchylała się coraz bardziej do tyłu, aż

wreszcie położyła się na plecach na chropowatej powierzchni dachu i wpatrywała w dźwigary i baldachim wysoko w górze.

– Dobrze się czujesz? – zapytał ją Shinobu. Delikatnie odgarnął jej włosy z twarzy. – Nie spodobało ci się?

– Spodobało – odrzekła odruchowo, myśląc, że być może nigdy w życiu nic nie podobało się jej bardziej. – Naprawdę. – Odetchnęła głęboko kilka razy i dodała: – Ale to… to zbyt wiele. Nie potrafię tego ogarnąć.

Czuła się zdezorientowana i kręciło się jej w głowie, chociaż nie wiedziała, jak to możliwe, skoro leżała. I mdliło ją, czuła mdłości w żołądku. Oprócz fizycznych dolegliwości doświadczała też cierpienia psychicznego, bolesnego przygnębienia, kontrastującego z euforią, jaką przeżywała, nosząc kask.

Trzymając się Shinobu, uniosła się do pozycji siedzącej i oparła głowę o jego ramię. Dudniło jej w skroniach.

– Czyż to nie było wspaniałe? – szepnął jej do ucha.

Skinęła głową przy jego ramieniu. Przeniknęła ją fala znużenia, ale brzęczenie w uszach ucichło, z czego wywnioskowała, że odzyskała własny umysł.

– Miałeś rację – rzekła do Shinobu. – Będąc w kasku, nakierowuje się umysł na to, co chce się zrozumieć, i widzi się to wyraźniej. O wiele wyraźniej. Dostrzegłam związek z tym, co napisała Catherine.

– Opowiedz mi o tym.

Zebrała myśli i w trakcie tego poczuła się trochę lepiej. Kiedy nosiła fokal, myśli przebiegały przez jej głowę szybko i każda była powiązana ze wszystkimi innymi. Ale kilka wyróżniło się jako ważne.

– Tamci chłopcy, których widzieliśmy – powiedziała wolno – wciąż mówili „nasz mistrz” i sądziłam, że być może mają na myśli Briaca, ale to nie miało sensu, bo traktowali go jak… jak zwierzę czy coś w tym rodzaju. A co, jeśli ich mistrzem jest Średni Sędzia? Co, jeśli ten wpis w dzienniku o dwóch wyrostkach trenujących ze Średnim dotyczył właśnie *tych* dwóch? Tych samych chłopców.

– A teraz są tutaj i szukają jego athamenu – dodał Shinobu, rozwijając jej myśl.

– Jeżeli szkolił ich dawno temu, a oni nadal tu są… to oznacza, że odpoczywali Tam i że Średni postępuje w niepojęty sposób.

– Tak – potwierdził Shinobu, chwytając natychmiast sens słów Quin. Spojrzał jej w oczy z olbrzymią intensywnością, jaką widziała u niego tamtego popołudnia, kiedy nosił fokal. Wydawało się, jakby użycie przez Quin kasku wywarło na Shinobu niemal taki sam wpływ jak na nią. – A więc od jak dawna oni tu przebywają? – zapytał. – I w jaki sposób przez cały czas kontaktowali się z Poszukiwaczami?

Jedną ręką podtrzymywał Quin, ale w drugiej trzymał fokal, a teraz obracał go i oglądał pod różnymi kątami.

– Nie… – szepnęła dziewczyna, kiedy wydało się, że Shinobu zamierza włożyć kask. – Wiem, on podsunął mi tę ideę, ale… nie sądzę, że dobrze jest go nosić, Shinobu. Ja nie chcę go nigdy więcej włożyć.

Chłopiec nerwowo oblizał wargi, a potem odłożył kask i powoli przesunął po nim dłonią. Jeszcze przez kilka chwil zatrzymał na nim spojrzenie, po czym odwrócił się

z powrotem do Quin.

– Nie włożę go – zapewnił ją. – Nie martw się.

Trzymając się Shinobu, Quin podniosła się na nogi, a wtedy on też wstał. Podał jej fokal i zauważyła, że nie patrzył przy tym na niego. Pomyślała, że może Shinobu się go boi; teraz potrafiła to zrozumieć.

– W dzienniku jest kilka stron, na które chciałabym rzucić okiem – powiedziała. – Być może mam pewien pomysł.

Rozdział 18
Nott

Nott pełnił straż, podczas gdy Wilkin i Briac używali jarzącego się okna, by znaleźć tę dziewczynę. Nott przycupnął na oparciu krzesła, trzymając nogi na siedzeniu. Wszyscy trzej byli gdzieś w mieście Hongkong, w ciemnym kącie długiego, niskiego pokoju, który miał dziesiątki takich rozjarzonych okien – Briac nazywał je komputerami – każde we własnej wnęce ze stojącym przed nim krzesłem. Garstka młodych mężczyzn siedziała rozproszona po całym pomieszczeniu; garbili się nad tymi komputerami, pochłonięci Bóg jeden wie czym. Nott widział już wiele dziwacznych rzeczy, odkąd jego mistrz przed wielu laty zabrał go od rodziny. Komputery były tylko jeszcze jednym więcej dziwactwem z tej listy.

Niewielkie przepierzenie oddzielało ich biurko od innych, więc nikt nie patrzył w ich stronę.

„Proszę, zróbcie coś ciekawszego", pomyślał Nott, wwiercając wzrok w plecy tych obcych ludzi w pokoju. Miał ochotę kogoś złomotać.

Nie znaleźli hełmu nigdzie w lesie w okolicy Hongkongu. Szukali go przez kilka godzin, ignorując krzyki bólu Briaca z powodu rany od noża na plecach (no, właściwie Briac krzyczał z bólu tylko przez połowę tego czasu, a przez drugą połowę zdawał się zapominać, że w ogóle jest ranny). W końcu zrezygnowali z dalszych poszukiwań i Wilkin musiał się przyznać, że być może upuścił hełm w ciemności Tam, gdzie prawdopodobnie już nigdy go nie odnajdą. Ten wniosek tak przygnębił ich obydwu, że Nott walnął Wilkina pięścią prosto w twarz, a ten nawet nie próbował mu oddać.

Utrata hełmu oznaczała, że tylko przy wielkiej dozie szczęścia udałoby się im wypełnić polecenia mistrza. Toteż nawet Nott zgodził się, że powinni kontynuować poszukiwanie dziewczyny, w nadziei że odzyskają athamen ich mistrza, a jednocześnie rozstrzygną, co mają dalej robić.

– Nie ruszaj się! – syknął Wilkin do Briaca, uderzając go w głowę.

Briac przez chwilę gmerał przy płycie leżącej przed komputerem, wciskając litery (Nott umiał czytać na tyle, by wiedzieć, że to litery, chociaż nie znał całego alfabetu. Mógłby się go nauczyć, gdyby zechciał. Był bardzo bystry. Ale Wilkin też niezbyt dobrze potrafił czytać, więc po co zawracać sobie tym głowę?). Teraz jednak mężczyzna pojękiwał i gryzł swoją pięść, ponieważ Wilkin znowu zszywał mu ranę na plecach. Wcześniej Nott założył szwy tak luźno, że Briac niemal stale krwawił.

– Ciii – szepnął Nott, przyglądając się, jak Wilkin wkłuł grubą igłę, przeciągnął ją szarpnięciem i znów wbił igłę. – Wilkin, czy nie możesz go uciszyć? Jeszcze ktoś usłyszy.

To było mało prawdopodobne. Najbliższy gość siedział w połowie drogi do drzwi i nosił coś na uszach. Ale Nottowi sprawiało przyjemność uprzykrzanie Wilkinowi życia. Na przykład schował kiedyś jeden z jego butów. Wilkin przez trzy dni kuśtykał bez niego, zanim w końcu znalazł swój zaginiony but leżący do połowy pod wodą na skraju jeziora Loch Tarm.

Briac krzyknął, gdy igła znowu go dźgnęła. Nott potrząsnął głową i przyjrzał się swoim rękom, których skórę zdobiły liczne pomarszczone blizny. Żeby przeżyć, żeby

utrzymać w świecie porządek, trzeba walczyć i czasami odnosi się rany. Czego Briac się spodziewał?

– Dalej jej szukaj! – polecił Wilkin.

Szturchał Briaca łokciem, aż mężczyzna znów skierował z wysiłkiem wzrok na jarzące się okno. Nott nie miał pojęcia, jak komputer może pomóc w znalezieniu kogoś, ale Wilkin upierał się, że może. Wcześniej w domu wariatów Briac użył innego rodzaju komputera – jakiegoś *telefonu*, który ukradł pielęgniarce – aby zlokalizować londyński szpital, w którym znajdą Quin. Briac nosił wtedy hełm, więc był w stanie myśleć o wiele jaśniej. Obserwowanie, jak teraz usiłuje zebrać myśli do kupy, było nieznośne i Nott między innymi dlatego odwrócił wzrok.

Odgłos cichego skrobania ostrzegł Notta przed szczurem, który przemykał przez ciemny kąt ich niewielkiej wnęki. Chłopiec ześliznął się z krzesła i powoli podszedł bliżej. Szaro-czarny szczur biegł, skrobiąc pazurkami po brudnej podłodze przy ścianie.

Nott wyciągnął zza paska swój najmniejszy nóż i cisnął nim z taką wprawą, że nóż poleciał powolnym łukiem. Rękojeść walnęła szczura prosto w głowę, a wtedy chłopiec szybkim ruchem podniósł go z podłogi. Zaniósł szczura do jaśniejszego światła i zobaczył, że stworzenie ma zamknięte oczy, lecz jedna jego łapka drga. Dobrze. Szczur nadal był żywy. Nott wiedział bardzo dużo o szczurach i o tym, ile cierpień mogą znieść, zanim zdechną, a rzucił nożem akurat tak, jak trzeba. Wsadził oszołomione zwierzę do kieszeni płaszcza.

Wilkin już prawie kończył zszywać ranę na plecach Briaca. Gdy Nott właził z powrotem na krzesło, starszy chłopak po raz ostatni przeciągnął mocno nitkę i zawiązał ją, pozostawiając długą, poszarpaną linię szwów. Klepnął Briaca w ramię i orzekł:

– Idealnie!

Briac zdawał się nie zauważać, że zabieg został zakończony. Nadal gryzł pięść i gapił się pustym wzrokiem w komputer. Wreszcie ścisnął dłońmi głowę i jęknął:

– Nie mogę… nie mogę sobie przypomnieć jej imienia! Nie wiem, kim ona jest!

Kilka osób odwróciło się i popatrzyło w ich stronę.

– Quin! – szepnął Wilkin. – Wiemy już, jak się nazywa. To twoja córka, Quin Kincaid!

Briac jeszcze przez kilka chwil wpatrywał się w szybę komputera. Potem zerwał się na nogi, odpychając Wilkina do tyłu na Notta, który spadł z krzesła. Szczur w kieszeni płaszcza chłopca wydał cichy pisk przypominający skrzypnięcie zardzewiałych zawiasów drzwi.

– Bez hełmu nie mogę tego zrobić! – krzyknął Briac.

Wilkin uderzył go dłonią w usta i syknął:

– Nie mamy hełmu!

Briac odwrócił się od niego i odparł:

– Więc nie macie niczego!

Chwycił komputer, uniósł w górę nad głowę i zanim Wilkin zdążył jakkolwiek zareagować, z całej siły cisnął urządzenie na podłogę. Komputer roztrzaskał się z głośnym hukiem na setki kawałków, które rozprysnęły się we wszystkie strony.

– Nie wiem, jak go używać! – wrzasnął Briac i znów złapał się za głowę. Wpływ,

jaki wcześniejsze posłużenie się hełmem mogło wywrzeć na uspokojenie jego myśli, już ustał. Briac znów był kompletnie obłąkany. – Jest bezużyteczny! Tak samo jak one – Fiona, Quin, one wszystkie! Udają lojalność, a potem wbijają ci nóż w plecy, wbijają nóż w plecy, nóż w plecy!

Podkreślał każdy okrzyk, kopiąc w bezładną stertę szkła, w jaką zmienił się komputer, tak że odłamki ślizgały się po podłodze.

Dwaj młodzi mężczyźni biegli ku nim przez długi pokój. Wszyscy inni zmierzali pospiesznie do drzwi.

– Ty, przestań! – powiedział jeden ze zbliżających się mężczyzn po angielsku z dziwnym akcentem, z jakim mówiło się w tym mieście. – Wzywam policję!

Nott wiedział, że nie powinien używać swojego morfera wobec zwykłych ludzi, więc wyciągnął zza paska największy nóż. Zeskoczył z krzesła i wylądował tuż przed nadbiegającymi mężczyznami, sprawiając, że zatrzymali się gwałtownie.

– Chcecie się bić? – zapytał ich radośnie.

Przykucnął gotowy zaatakować, a jego nóż błysnął w słabym świetle pokoju.

Mężczyźni cofnęli się i rzucili do drzwi, niemal wpadając na siebie. Po chwili wybiegli w ślad za swoimi klientami i zniknęli w tłumie na chodniku, zostawiając Notta, Wilkina i Briaca samych.

Nott uznał, że nadeszła pora, by przejął dowodzenie od tego idioty Wilkina. Powiedział:

– Wiesz, co nasz mistrz zawsze mówi Obserwatorom, którzy pozwalają, by ich umysły się rozproszyły, Obserwatorom wpadającym w panikę, Obserwatorom niepotrafiącym zrealizować prostego planu! My wciąż oddalamy się od tego, co powinniśmy zrobić.

Wilkin skinął głową.

– Powinniśmy byli od początku posłuchać jego rozkazów i natychmiast obudzić pozostałych. A teraz nie możemy, bo straciliśmy hełm.

– Możemy, Wilkinie. Mamy inny sposób, który pokazał nam mistrz na wypadek, gdybyśmy nie mieli hełmu.

W oczach Wilkina zatliła się iskierka nadziei, lecz zaraz zgasła.

– Ale… nawet jeśli dojdziemy do dwustu, inni powiedzą mu, że popełniliśmy błędy…

– On i tak będzie na nas zły – albo za to, że nie wypełniliśmy poleceń, albo za zgubienie hełmu. Skoro już zgubiliśmy hełm, powinniśmy przynajmniej spróbować wypełnić polecenia.

Wilkin wydawał się przestraszony, ale nie miał wyboru. Kiwnął głową i wziął głęboki wdech.

– Skończyliśmy z tobą, ty wariacie! – powiedział i rąbnął Briaca pięścią w brzuch.

Mężczyzna usiadł ciężko na stercie potrzaskanego szkła; nadal obejmował rękami głowę i mamrotał do siebie, jakby nie zauważył, że go uderzono.

Wilkin wydobył ich athamen. Nott wyszczerzył zęby i wspólnie ustawili pokrętła, jak to ćwiczyli już tyle razy. Właśnie to powinni byli zrobić natychmiast, gdy ich mistrz zaginął.

Kiedy ustawili symbole na pierścieniach we właściwej kolejności, Wilkin uderzył athamenem o krzesiwo. Nott poczuł w kościach wibrację, która wprawiła w drżenie stoliki, podczas gdy Wilkin wycinał w powietrzu krąg. Wątki świata zaczęły się rozplątywać – białe i czarne, świetliste i ciemne – a potem skręcały się jedne w drugie, tworząc ziejący otwór przejścia.

Nott chwycił Wilkina za ramię i chłopcy popatrzyli na siebie.

– Gotowy? – spytał Wilkin.

– Tak – odrzekł Nott.

Wilkin uderzył go mocno otwartą dłonią w twarz.

Nott przyjął cios i odpowiedział Wilkinowi takim samym, policzkując starszego chłopca tak mocno, że odgłos uderzenia rozbrzmiał echem w pustym pomieszczeniu.

– Dobrze? – zapytał Wilkin.

– Jeszcze raz – powiedział Nott.

Starszy chłopiec walnął go drugą ręką z taką siłą, że Nottowi pociemniało w oczach, a potem zobaczył gwiazdy.

– Dla mnie też jeszcze jeden – rzekł Wilkin i nachylił się bliżej.

Przed oczami Notta latały mroczki, ale zdołał uderzyć Wilkina ponownie, równie mocno jak za pierwszym razem. Potrząsał głową, póki mu się w niej nie przejaśniło. Poczuł to, na co liczył – koncentrację. Ból uczynił jego myśli ostrymi jak brzytwy. Mistrz nauczył ich tego triku, metody, której można użyć jako ostateczności, by zapanować nad umysłem.

– Teraz odliczamy! – rzekł Wilkin, kurczowo ściskając towarzysza za ramiona.

Podnieśli Briaca i powlekli ze sobą niczym ogromnego, groźnego psa. Przeszli tak przez anomalię, idąc na sposób Średniego Sędziego, naśladując jego krok.

Rozdział 19
Shinobu

Wielkiej siły woli wymagało od Shinobu oddanie kasku Quin i pozwolenie, by go zabrała. Kiedy zleźli z dachu do wnętrza jej domu i zeszli do sypialni na pierwszym piętrze, w której nadal leżały rozłożone na ladach kartki dziennika, Quin pobiegła po schodach na górę, żeby znowu schować przed nim kask. Oczywiście Shinobu wiedział, gdzie dziewczyna go umieści, więc w istocie to nie była kryjówka.

Quin miała rację; nie powinien używać fokala. Jednak stale wkładał go potajemnie – nocami, gdy dziewczyna spała, a czasami też w ciągu dnia, kiedy ona i jej matka były w gabinecie Mistrza Tan, pomagając mu przyjmować pacjentów. Chociaż nigdy nie stosował się ściśle do instrukcji Mariko dotyczących posługiwania się kaskiem, zaczął myśleć o noszeniu go jak o swoistym rytuale – czekał, aż w domu zapanuje kompletna cisza, wchodził do łazienki na drugim piętrze, siadał na podłodze z nogami podwiniętymi pod siebie, oczekiwał na elektryczne brzęczenie w głowie i wkładał kask.

Zdawał sobie sprawę, że ten rytuał bardzo przypomina jego dawne rytuały ukrywania się przed matką w domku przy basenie, żeby palić pałeczki sziwy, albo zatracania się w narkotycznym transie w opiumowej melinie na moście Tranzytowym z kumplem Brianem. Brian przestał brać narkotyki, a teraz musi być gdzieś w okolicy Hongkongu. Co powiedziałby Brian na to, że Shinobu używa fokala jak narkotyku? Ale ten kask był niewątpliwie czymś innym. Wprawdzie podobnie jak narkotyk kask likwidował fizyczny ból Shinobu, kiedy chłopiec go nosił, jednak jego wpływ na psychikę był wyjątkowy. I co dziwne, pomyślał Shinobu, oddziaływanie fokala zmieniało się z upływem czasu. Chłopiec nie doświadczał już jedynie jasności i koncentracji myśli, jak podczas pierwszych użyć fokala. Teraz wyglądało raczej, jakby fokal mówił mu o różnych sprawach.

To była głupia myśl. Nie chodziło o to, że fokal rzeczywiście przemawiał do Shinobu. Przypominało to bardziej szepty na granicy słyszalności, głos w odległym pokoju, którego słów nie możesz rozróżnić, a jednak w jakiś sposób dociera do ciebie ich zawartość emocjonalna i znaczenie. Shinobu nie potrafiłby precyzyjnie określić, jakie idee podszeptuje mu fokal, ale przypuszczał, że mogą to być, jak dostrzegł mgliście już za pierwszym razem, fragmenty jakiegoś wielkiego planu. Częścią owego planu byli tamci dwaj chłopcy. I był nim również Średni Sędzia, chociaż Shinobu nie umiałby wyjaśnić, skąd to wie. Było to bardziej przeczucie niż wiedza. Bardzo silne przeczucie.

Nie powinien nosić fokala. I przyrzekł Quin, że nie będzie.

Słyszał jej kroki na górnym podeście schodów. Przyzna się Quin, co robił, gdy tylko dziewczyna zejdzie na dół. Dozna ulgi, gdyż będzie mógł wyjaśnić jej, jakich uczuć doświadczał dzięki fokalowi. Może te uczucia są istotne, może dostrzegł przelotnie coś, czego oboje potrzebują, żeby zrozumieć.

Rozległy się lekkie kroki Quin schodzącej po schodach. Powie jej, zanim będzie miał czas, by się zastanowić. A wtedy Quin popatrzy na niego tak, jak niegdyś patrzyła matka, kiedy znajdowała go nieprzytomnego przed frontowymi drzwiami domu. Popatrzy na niego jak na narkomana, gdyż tym właśnie jest Shinobu – narkomanem niezdolnym

zapanować nad sobą.

– Cześć – rzuciła, wchodząc do swojego gabinetu uzdrowicielki.

Shinobu zdał sobie sprawę, że mocno zaciska pięści. Wepchnął je głęboko w kieszenie, żeby ukryć przed nią zdenerwowanie.

Wziął się w garść i odrzekł:

– Cześć, Quin, ja…

Urwał. Quin miała taką szczerą, uroczą twarz. Jej blada cera była nadal zarumieniona po użyciu fokala na dachu. Widział, że dziewczyna jest pochłonięta związkiem, jaki odkryła, nosząc kask.

– Co takiego? – spytała, skupiając na nim uwagę, kiedy umilkł. – Dobrze się czujesz?

– Być może nie powinienem był nakłaniać cię, żebyś włożyła fokal – rzekł.

Ścisnęła mu dłoń, nieświadoma wszystkich słów, które pozostawił niewypowiedziane.

– Nie muszę go więcej nosić – odparła beztrosko. – A teraz możemy się posłużyć własnymi umysłami – bez fokala – aby spojrzeć na coś, co pomoże mi zrozumieć.

Puściła jego rękę i ruszyła powoli wzdłuż lady, przyglądając się uważnie po drodze każdej karcie dziennika, szukając czegoś konkretnego.

Odpowiednia chwila minęła. Shinobu wiedział, że nic nie powie Quin. Przestanie używać fokala, a w końcu – albo może wręcz wkrótce – przestanie nawet *chcieć* go używać. Łatwiej przyjdzie mu powiedzieć jej wtedy, ponieważ to już nie będzie miało znaczenia.

– Spójrz. Chcę, żebyśmy przestudiowali te stronice – rzekła do niego. Wzięła z lady kilka arkuszy, a potem uklękła i rozłożyła je przed sobą na podłodze. – Jeżeli skupimy się na Średnim Sędzi – nawet jeśli uczynimy to tylko dlatego, że Catherine się na nim koncentrowała – da nam to punkt wyjścia, początek naszych dociekań powodu, dla którego Poszukiwacze zeszli na złą drogę. – Popatrzyła na kartki leżące na podłodze. – Te trzy wpisy w dzienniku dotyczące Średniego Sędziego wydają się… powiązane ze sobą. A przynajmniej tak myślałam, kiedy nosiłam fokal.

Shinobu siadł obok niej na podłodze. Gdy oglądało się kolejno te stronice, które Quin wyselekcjonowała, łatwo było dostrzec, jakie olbrzymie okresy obejmował dziennik. Najwcześniejszą z tych trzech notek nakreślono niemal nieczytelnie ścisłym, staroświeckim charakterem pisma. Quin wraz z matką przepisała tę notkę i teraz położyła kopię obok oryginału. Pozostałe dwa wpisy były późniejsze, a zatem wystarczająco czytelne.

Dziewczyna wzięła do ręki swoją wersję najstarszej notki i odczytała na głos, podczas gdy Shinobu usiłował śledzić oryginał:

Roku Pańskiego 1433

Średni zdusił życie w gardle Młodego Sędziego.

Skryłem się wpośród dębów na brzegu rzeki słuszny szmat drogi od twierdzy i tam zoczyłem Średniego i Młodego, jak wiedli walkę na gołe pięści.

Wszystko szło wedle ćwiczebnych reguł, póki Średni nie wziął góry nad Młodym i dławiąc mu oburącz gardło, rzecze doń: „Widziałeś zbyt wiele. I otworzyłeś usta, aby zdradzić to naszemu Mistrzowi. Teraz zamknę ci je na wieczność".

A kiedy Młody wyzionął ducha, zoczyłem z mego miejsca wpośród drzew, jak Średni związał sznurem jego trupa, zawlókł na środek rzeki i zniknął, aby móc posłać jego doczesne szczątki w głębię.

– A więc ta notka – rzekła Quin – opisuje, jak Średni Sędzia zamordował Młodego Sędziego – niewątpliwie o wiele wcześniejszego niż ten, o którym już wiemy – i wciągnął jego ciało do rzeki. – Wskazała szereg symboli athamenu wypisanych na marginesie współczesnym długopisem. – Jak się zdaje, Catherine odkryła, gdzie to się stało, gdyż zapisała obok współrzędne.

Chłopcu natychmiast nasunęły się pytania.

– Czy Sędziom wolno zabijać się nawzajem? A może potrzeba do tego procesu sądowego, głosowania czy czegoś takiego?

– Nie wiem, ale nawet jeśli im wolno, nie wyobrażam sobie, by mogło się to odbyć pod nieobecność Starego Sędziego. A ty?

– Też nie.

– Myślę, że można śmiało założyć, iż Średni popełnił zbrodnię – powiedziała Quin. – Zatem w pierwszej notce Średni zabija Młodego Sędziego w lesie nad rzeką „słuszny szmat drogi" od twierdzy. A teraz spójrz na drugi wpis.

Odczytała go na głos, a Shinobu czytał jej przez ramię:

1610?

...on przecie oskarżył mego ojca, sir Roberta z klanu konia, o pogwałcenie trzech uświęconych praw Poszukiwaczy. Utrzymywał, że sir Robert zadał śmierć inszemu Poszukiwaczowi, a także pokrzywdził zwykłych ludzi.

Wezwał mego ojca na to miejsce w lesie, gdzie jest często widziany. Dotarliśmy tam za pomocą naszego kamiennego narzędzia…

W tym miejscu znajdował się szereg współrzędnych athamenu dołączonych przez autora dokumentu, wypisanych kostropatym gęsim piórem. Oboje przyglądali się im przez chwilę, a potem czytali dalej:

Kiedyśmy samowtór tam przybyli, mój ojciec polecił mi wejść na drzewo, gwoli bezpieczeństwa. Miałem być jego świadkiem, ale się nie wmieszać. Średni istotnie się zjawił i zadał memu ojcu śmiertelny cios jako karę za jego mniemane zbrodnie, po czym zaciągnął jego ciało na brzeg rzeki.

Średni rychło wrócił, kopnięciami zasypując ziemią plamy krwi mego ojca na gruncie. Ukryty wpośród gałęzi drzew łkałem, ale bezgłośnie.

Powietrzem wstrząsnął łoskot dobywający się z athamenu i zjawił się najstarszy Sędzia Poszukiwacz z płonącym wzrokiem i dobytym morferem. Wywiązała się straszliwa kłótnia. Najstarszy chyżo jak błyskawica rozbroił Średniego i obalił go na ziemię, ale Średni tłumaczył się, że jego czyn był usprawiedliwiony.

Nie zdołałem zmusić moich członków do poruszenia, aby zejść na ziemię i rzec, com wiedział. Mój ojciec nie popełnił żadnej zbrodni krom tego, że przydybał Średniego figlującego nieskromnie z jakowąś niewiastą. Boże, wybacz mi mój strach. Anim drgnął.

Średni oddalił się w niesławie i wstydzie. Najstarszy Sędzia pozostał i zwrócił się do mnie tymi słowy: „On niegodnie postąpił i winien ci jestem przeprosiny. Mogę ci tylko przyrzec, że już nigdy więcej nie uczyni żadnego zła. Odmieni się i stanie prawym Sędzią".

Jednakowoż po miesiącu mój brat takoż postradał życie, chociaż insi przysięgali, że poniósł śmierć z ręki inszego Poszukiwacza, a nie Średniego Sędziego. Nie wiem, w co mam wierzyć.

Quin skończyła czytać. Przez kilka chwil przyglądała się stronicom dziennika, a potem puknęła palcem w niewielki rysunek, który jak się wydawało, został dodany przez Catherine.

– Jak sądzisz, co on przedstawia? – zapytała.

– Jakieś wzgórze? – podsunął Shinobu. – Albo może grotę?

– W tej notce – rzekła w zamyśleniu Quin – Średni oskarża Poszukiwacza i wzywa go w pewne miejsce w lesie – wskazane przez te współrzędne; być może w pobliżu znajduje się wzgórze – po czym zadaje mu tam śmierć jako karę za złamanie prawa Poszukiwaczy, podczas gdy widzi to syn owego mężczyzny.

– Syn twierdzi, że to nie było sprawiedliwe – przypomniał Shinobu. – I jak się zdaje, Stary Sędzia podzielił jego opinię i nie był zachwycony postępkiem Średniego.

– Owszem. Syn wspomina też o rzece. I spójrz na te współrzędne. Czy to nie Szkocja? Czyż obie notki nie wskazują na Szkocję?

– Chyba tak.

Wprawdzie w trakcie szkolenia obydwoje zyskali wprawę w posługiwaniu się współrzędnymi athamenu, jednak o ile nie dotyczyły one miejsca dobrze im znanego, takiego jak Hongkong czy szkocka posiadłość, żadne z nich nie potrafiło określić na podstawie wyłącznie tych symboli, dokąd doprowadzi ich dany zestaw współrzędnych.

– A teraz trzecia stronica – powiedziała Quin i odczytała ostatni z wpisów:

Dnia dwunastego kwietnia 1870 roku

Ojcze,

Średni Sędzia powrócił przed niespełna trzema dniami. Zjawił się bez uprzedzenia, ale Gerald polował samotnie w lesie i wypatrzył go w pobliżu jeziora i fortecy.

Czy mam zdradzić się, iż wiem o jego obecności? Nie chciałbym urazić go arogancją, ale też brakiem szacunku.

Co więcej, wystąpiła nowa okoliczność. Towarzyszy mu dwóch wyrostków – niskiego urodzenia, sądząc z ich ubiorów i mowy. Średni Sędzia ćwiczy ich w fechtunku. Ponadto dokonują pomiędzy sobą osobliwej arytmetyki: odliczają liczby, których suma zawsze wynosi dwieście.

Co mamy o tym myśleć?

Przesyłam wyrazy miłości Tobie i moim braciom.

Thomas

I tu także Catherine współczesnym długopisem zapisała na marginesie współrzędne.

– Niemal te same współrzędne – zaważyła Quin – i po raz pierwszy pojawia się wzmianka o tym, że Średni szkoli tych chłopców – o ile to są ci sami.

– W lesie i znów w pobliżu wody, gdyż autor listu wspomina o jeziorze – dodał Shinobu.

– I o fortecy. Te trzy incydenty musiały wydarzyć się w tej samej okolicy. We wszystkich uczestniczył Średni Sędzia, a w ostatnim również ci chłopcy. A Catherine zadała sobie trud wyśledzenia tych miejsc.

Te opisy lasu, jeziora i fortecy nie dawały Shinobu spokoju. Doświadczał uczucia déjà vu, jakby przypominał sobie na wpół zapomnianą rozmowę albo wyjątkowo sugestywny sen. Chciał zobaczyć te miejsca – nie, *musiał* je zobaczyć.

Zapytał Quin, starając się nie zdradzić tonem głosu podekscytowania:

– Udamy się do miejsc wyznaczonych przez te współrzędne? Czy właśnie o tym myślisz?

Dziewczyna podniosła na niego wzrok.

– Nie przypuszczam, że cokolwiek tam znajdziemy – te wpisy w dzienniku są tak dawne. Ale… nie zaszkodzi pojechać i zobaczyć, gdzie zdarzyły się te incydenty, prawda?

– Jasne, czemu nie? – zgodził się Shinobu.

Doznał ogromnej ulgi, widząc, że Quin myśli o tym podobnie jak on. Może nigdy nie będzie musiał wyznać, że niektóre z tych jego myśli pochodzą od fokala. Zepsuł coś pomiędzy sobą i Quin, okłamując ją, lecz nie mógł jeszcze naprawić tego kłamstwa, bowiem nadal pragnął używać kasku.

Ale to się zmieni. Już go więcej nie użyje. I w końcu powie Quin.

Rozdział 20
John

Przygotuj się – powiedziała Młoda Sędzia.

Za nią górował olbrzymi, niszczejący kadłub wraku okrętu, czerniejąc na tle czystego błękitu nieba. W oddali widać było inne wraki; pozostałości ich kadłubów przypominały poszarpane szkielety leżące pośród piaskowych wydm wzdłuż linii wybrzeża. Tuż nad wodą polatywały w blasku słońca stada wrzeszczących mew, a dalej w głąb brzegu plaża zmieniała się w pustynię rozciągającą się we wszystkich kierunkach.

John i Maud posłużyli się współrzędnymi, które jego matka zamieściła w swoim dzienniku pod godłem klanu niedźwiedzia – współrzędnymi ostatniego miejsca, w jakim widziano athamen tej rodziny – i znaleźli się na Wybrzeżu Szkieletowym w Namibii.

Shinobu czuł pod stopami chłód piasku, ale słońce świeciło już gorąco i jaskrawo. Za jego plecami fale oceanu uderzały o brzeg i wysoko rozbryzgiwały spienioną wodę. Przed sobą miał strome wydmy przechodzące wyżej w pustynię porośniętą jedynie suchymi, szorstkimi krzewami. To pustkowie ciągnęło się od plaży do odległych wzgórz na wschodzie, a w kierunku południowym zdawało się nie mieć końca.

John podniósł do oczu lornetkę i ustawił znowu tak, żeby zobaczyć szczyt z piaskowca poza pustynią. Wylot groty był ledwie widoczny jako ciemna plama na czerwonawym zboczu. Ale chłopiec nawet z tej wielkiej odległości rozpoznał tę grotę i pasmo wzgórz za nią. Wyglądały dokładnie tak samo jak na rysunku Catherine. Podejrzewał, że Maud nieznacznie zmieniła współrzędne i sprowadziła go w miejsce odległe od groty, tak aby musiał tam pobiec.

Odłożył lornetkę.

– Jestem gotowy – odpowiedział Młodej Sędzi.

Pozwoliła mu przybyć tutaj, ale nalegała, by potraktować tę wyprawę jako sesję treningową.

– Zaczynaj! – zawołała.

John pobiegł.

Pomimo grzejącego słońca miał na sobie pelerynę, podobnie jak Maud. Kiedy ćwiczył na lodowatym zimnie, zmuszała go, żeby się rozbierał, a teraz w pustynnym żarze kazała mu biec w ubraniu.

„Ona uwielbia niewygody – pomyślał. – Moja babka Maggie była na swój sposób taka sama. Nigdy nie zostawiała mnie w spokoju, tylko stale utrzymywała w lęku. Czy kiedykolwiek czułem się odprężony?”.

Odpowiedź pojawiła się wbrew jego woli: „Tak, kilka razy, z Quin”. Ale większość życia upłynęła mu w najwyższym napięciu.

Pognał w górę zbocza wydm i gdy dotarł do szczytu pierwszej z nich, był już spocony i zdyszany.

– Szybciej! – ponagliła go Maud.

Z łatwością dotrzymywała mu kroku, chociaż dźwigała na plecach całą ich broń, w tym metalowy hełm i owalną tarczę, które znaleźli w Obieżyświacie. Dotąd nie pozwoliła Johnowi ich użyć.

Poza grzbietem wydm piasek się kończył, zastąpiony przez twardy, popękany grunt pustyni. John przyspieszył.

„Już jestem spragniony. Jak zdołam dotrzeć do groty? – Potem jego myśli odpłynęły dalej. – Tamtej nocy w schowku pod podłogą mieszkania mojej matki też tak chciało mi się pić. Kryłem się tam tak długo…".

– Skoncentruj się na teraźniejszości… na biegu – upomniała go Maud, jakby czytała w jego myślach. – Tylko na biegu.

John posłuchał; zwrócił głowę przed siebie, skupiając nieruchome spojrzenie stale na tym samym punkcie odległym o pięć metrów i obserwując pylistą ziemię, na której tylko gdzieniegdzie widniały spłachcie suchej trawy albo kolczaste krzaki. Krok naprzód, potem następny i kolejne. Jego ciało pracowało niczym maszyna.

„W tym momencie nie liczy się nic innego oprócz biegu – powiedział sobie. – Dla Catherine nie liczyło się nic oprócz przywrócenia znaczenia naszemu rodowi. To było dla niej ważniejsze niż miłość czy śmierć…".

Jego myśli jak zawsze pobiegły tym torem, przywodząc z pamięci obrazy matki, babki, Quin… Potrząsnął głową, by pozbyć się nieproszonych myśli.

„Biegnij!", rozkazał sobie.

Po przebiegnięciu trzech kilometrów grota nie wydawała się ani trochę bliżej. John pocił się tak obficie, że ubranie lepiło mu się do skóry.

– Dalej, John! – zawołała Młoda Sędzia.

Chociaż biegła nieco przed nim i nie oglądała się, wyczuła, że zwolnił.

Bolało go całe ciało. Odruchowo pomyślał znowu o Quin. O tym, jak objął ją za stodołą do treningów, kiedy pierwszy raz się pocałowali. Oczy dziewczyny błyszczały, policzki miała zaróżowione z zimna. Wtedy go kochała. Myśl, że teraz go nienawidzi, przejęła Johna fizycznym bólem.

„To nic – rzekł sobie. – Ból nie ma znaczenia – ani ból w sercu, ani w nogach. Pragnienie nie ma znaczenia. Upał też nie. Catherine nazwałaby to drobiazgami. A Maggie pokazała…".

Przerwał te rozmyślania. Nie potrzebował teraz w głowie myśli o Catherine czy Maggie. Musiał tylko biec.

I biegł.

Dopiero po godzinie wzgórze zauważalnie się zbliżyło. Teraz John przemierzał obszar mocno ubitej ziemi porośniętej trawą, klucząc pomiędzy karłowatymi krzewami, które rosły tutaj gęściej. Jego nogi dudniły po gruncie, pracując teraz nieznużenie niczym tłoki silnika, chociaż był zlany potem.

„Mógłbym tak biec bez końca – pomyślał. – Uwielbiam to".

I wtedy upadł. Zanim się zorientował, uderzył głową o twardą ziemię i poszorował po niej policzkiem.

„Biegnij!", nakazał sobie. Ale jego ciało odmówiło. Całkowicie je wyżyłował.

Po chwili Młoda Sędzia już klęczała przy nim, uniosła go do pozycji siedzącej, objęła ramieniem i wlała mu do ust wodę ze swojej manierki. John odruchowo chciał łykać łapczywie wielkim haustami, lecz się powstrzymał i pił powoli, długo.

– O czym myślisz? – zapytała cicho Maud.

Jej jasnobrązowe oczy błyszczały w słońcu, gdy spoglądała mu w twarz, a spokojny, opanowany głos niósł otuchę.

– Myślę… Chcę biec.

– To dobrze – orzekła. – Opróżniłeś umysł.

John zwrócił jej manierkę i zrozumiał, że Maud ma rację. Śmierć jego matki, ostrzeżenia babki wydawały się odległe. W jego umyśle panował teraz spokój.

– Czego chcesz dowiedzieć się tutaj, na tej pustyni? – zapytała Młoda Sędzia.

Trzymała nad jego głową metalowy kask, fokal.

– Co moja matka tu znalazła – odrzekł natychmiast. – I jak to doprowadzi mnie do klanu niedźwiedzia.

– Skoncentruj umysł na tych kwestiach.

Powiedziawszy to, Maud wsunęła Johnowi na głowę kask i pomogła mu wstać. Chłopiec niemal upadł, gdy przeniknęło go elektryczne brzęczenie fokala. Świat zawirował mu przed oczami. John gwałtownie rozpostarł ręce, by się nie przewrócić. Po chwili odzyskał równowagę, zawroty głowy ustały.

Grota była już na tyle blisko, by mógł dostrzec szczegóły. Wokół niego wstawały z pustyni fale żaru, a lekki wietrzyk poruszał krzewy ciągnące się kilometrami we wszystkich kierunkach. John czuł napór rozpalonego powietrza wznoszącego się ku bezmiernej kopule błękitnego nieba. Był złączony z tym wszystkim, stanowił tego część i panował nad swoimi myślami.

– A teraz biegnij! – rozkazała Maud.

Pobiegł.

Słońce zaczynało już chylić się ku zachodowi, gdy wspięli się po rudym gruncie zbocza i dotarli do groty. Młoda Sędzia znalazła się tam przed Johnem i gdy chłopiec schylił się i wszedł pod skalnym nawisem, zastał ją stojącą w ciemnym wnętrzu; jej peleryna zlewała się z mrocznymi cieniami. Maud nie wyglądała, jakby przebiegła piętnaście czy dwadzieścia parę kilometrów, lecz raczej jakby czekała na niego przez cały dzień w chłodnej pieczarze.

Gdy tylko wszedł, zdjęła mu z głowy fokal. Kiedy kask się zsuwał, John usłyszał w uszach dysonujący dźwięk i doznał wrażenia popychania i ciągnięcia, jakby fokal dotąd obejmował go mocno, a teraz usiłował się wyrwać. John stracił równowagę, poczuł pod dłońmi piasek i kamyki, a potem zorientował się, że upadł na chropowate kamienne podłoże groty. Leżał, łapiąc oddech i czując, jak jego rana od kuli pulsuje gorąco przy każdym uderzeniu serca. Wpatrywał się w strop jaskini, a skwierczenie i szarpnięcia kasku ustały. Poczuł nagle, że jest kompletnie wyczerpany.

Wewnątrz panował już półmrok, ale światła wystarczyło, by chłopiec zobaczył rozmiary groty. Ciągnęła się w głąb na siedem metrów, od wylotu do tylnej ściany, gdzie ruda skała wtapiała się w cienie. A chociaż otwór wejściowy jaskini był niski, wydawała się całkiem wysoka, a jej sklepienie niknęło nad głową Johna w niewyraźnym półmroku.

Płaszcz Młodej Sędzi zatrzepotał przy jego uchu, gdy siadała w pobliżu. Światło dnia szybko gasło, jednak zdołał dostrzec jej bladą twarz i długie włosy, kiedy odrzuciła do tyłu kaptur i spojrzała na niego. Podała mu manierkę z wodą, a on uniósł się na łokciu, żeby się napić.

– Czy w trakcie biegu coś odkryłeś? – zapytała.

Istotnie, odkrył. Gdy nosił fokal, kilka spraw stało się dla niego jasnych. Pił przez kilka chwil i wykorzystał ten czas, by uporządkować myśli.

– Moja matka interesowała się wszystkimi rodami Poszukiwaczy – powiedział w zamyśleniu. – Kiedy pierwszy raz oglądałem jej dziennik, uznałem, że po części dotyczy Sędziów, ale głównie zemsty. Jednak Catherine śledziła nie tylko klany, które nas skrzywdziły.

– Owszem, nie tylko – zgodziła się Maud. – Zajmowała się też innymi kwestiami.

– Być może zaczęła prowadzić dziennik, zanim odkryła, co te klany nam uczyniły – rozważał na głos John. Ta Catherine pisząca w dzienniku sprawiała wrażenie przede wszystkim zaciekawionej, a nie gniewnej. – Właśnie dlatego musiałem obejrzeć tamte zdjęcia należące do Maggie. Żeby zawęzić obszar moich poszukiwań.

Młoda Sędzia nic na to nie powiedziała.

John znowu pił wodę, póki nie poczuł, że jej życiodajna struga spływa mu gardłem do żołądka i stamtąd rozprzestrzenia się do wszystkich komórek ciała.

– Dlaczego kazałaś mi tak długo biec, zanim użyłem fokala?

Maud po chwili milczenia wyjaśniła opanowanym tonem:

– Fokal ma jeszcze drugą nazwę – „pustoszący kask". Zachowuje mentalne ślady ludzi, którzy wcześniej się nim posługiwali, zwłaszcza jeżeli był używany wielokrotnie przez jedną osobę. Myśli… wzory zachowań… nawyki mogą – mówiła, starannie dobierając słowa – pozostać wewnątrz kasku jak mgła. Jeśli nie oczyścisz całkowicie umysłu, staniesz się ofiarą tych obcych myśli. Fokal może nawet rozszczepić umysł na dwie części – z których jedna zaczyna sprawiać wrażenie należącej do kogoś innego. – Maud pomogła Johnowi usiąść i mówiła dalej: – Ciężki bieg to dobry sposób opróżnienia umysłu przed użyciem fokala. Teraz powinieneś czuć już tylko swoje myśli, skoncentrowane.

John skinął głową. Był wyczerpany fizycznie, ale przenikała go nowa psychiczna energia. Rozumiał, że fokal nie odsłonił mu niczego nowego; raczej pozwolił ujrzeć jego wiedzę pod odmiennym kątem. Catherine tropiła Poszukiwaczy z rodu niedźwiedzia aż tutaj, do tej groty. I teraz musiał ustalić, dokąd pójść dalej.

Młoda Sędzia posłużyła się swoim krzemieniem. Z kamienia trysnęły w ciemność jaskrawe iskry, oświetlając jej twarz maleńkimi eksplozjami białego światła. Po kilku chwilach podpaliła liście wielkiej gałęzi urwanej z jednego z karłowatych pustynnych krzaków rosnących przed grotą.

Podała tę pochodnię Johnowi, a on podźwignął się na nogi i wziął ją od niej. W niepewnym świetle zatańczyły wokół niego ściany groty z czerwonego piaskowca. John pomyślał, że wnętrze wkrótce wypełni dym płonącego drewna, ale okazało się, że znika gdzieś w górze pod wysokim sklepieniem. Na tym sklepieniu ze żłobkowanego piaskowca był wyryty kształt niedźwiedzia; jego zarysy wyciosano tak głęboko, że omywały je tańczące cienie.

Ściany były nierówne, poszarpane, lecz zdawały się pozbawione wszelkich ornamentów czy innych śladów ludzkiej obecności, póki John nie dotarł do końca groty. Tam strop schodził stromo w dół pod ostrym kątem. W miejscu gdzie stykał się

z podłożem, obie te płaszczyzny tworzyły rodzaj klinowatej niszy, niemal niedostępnej dla światła, jak gdyby grunt przy krańcu jaskini został pochłonięty przez cienie. Ponad tymi cieniami widniała plama wypisanego tekstu.

– Maud.

Młoda Sędzia przeszła bezszelestnie po nierównym podłożu w kałużę światła. Na tylnej ścianie wyryto niewielkie znaki. Nie, nie wyryto, zorientował się John, lecz wytopiono. Zewnętrzne krańce tych symboli były gładkie i zaokrąglone, a strużki stopionego piaskowca spłynęły ze ściany na podłoże, gdzie stwardniały w szkliste kałuże. Inskrypcja wyglądała tak:

91

30

57

22
PSDS

– Co to znaczy PSDS? – zapytał John.

Młoda Sędzia pokręciła głową na znak, że nie wie oraz że odsuwa na bok to pytanie.

– Jest tu coś jeszcze – rzekła cicho.

Wskazała w dół na miejsce, w którym opadająca ukośnie ściana stykała się z podłożem.

Maud widziała w ciemności o wiele lepiej niż John, który początkowo nie zdołał niczego dostrzec pośród cieni. Ale gdy uklęknął i przysunął bliżej pochodnię, zobaczył w jej świetle dwa trupy wciśnięte możliwie jak najgłębiej pod tylną ścianę groty.

– Och, Boże – szepnął.

Jednym z nich była kobieta, sądząc po włosach, chociaż nie żyła już od bardzo dawna, więc wskutek długotrwałego procesu rozkładu pozostało z niej niewiele więcej niż kości i wysuszone resztki ciała okryte ciemnym ubraniem i peleryną. Johnowi natychmiast przyszła na myśl jego matka. Catherine po tym, jak została zakłócona, utrzymywano przez lata przy życiu w stodole w posiadłości za pomocą specjalnego urządzenia. Pod koniec, z zapadniętymi oczami i cienką, niemal przezroczystą skórą, wyglądała niewiele lepiej niż te zwłoki. Ich widok przypomniał chłopcu uczucie bezradności, jakie go ogarnęło, kiedy ujrzał matkę w takim stanie.

Opanował umysł. Teraz nie był już bezradny.

Schylił się nisko, podpełzł bliżej i w migotliwym świetle pochodni przyjrzał się uważnie martwym ciałom. Nie czuło się woni śmierci; zwłoki wyschły. Druga postać była mniejsza i możliwe, że zmarła wcześniej niż pierwsza, chociaż niełatwo było to ocenić. Ubranie na niej przypominało stertę brudnych łachmanów.

– Myślisz, że to dziecko? – zapytał John, gdy Maud podczołgała się obok niego.

– Trudno powiedzieć – odparła.

John nie chciał dotykać zwłok, ale Maud nie miała takich skrupułów. Sięgnęła

głębiej, uniosła wyschniętą lewą rękę kobiety i podciągnęła prujący się rękaw jej koszuli.

– Spójrz – rzekła cicho.

John nachylił się bliżej i poświecił pochodnią. Dostrzegł przebarwienie na szorstkiej skórze nadgarstka. Było to piętno w kształcie athamenu. Młoda Sędzia powtórzyła to samo z drugą ręką kobiety i John zobaczył na prawym przegubie inne piętno, tym razem w kształcie niedźwiedzia.

– Niegdyś Poszukiwacze cechowali się dwa razy symbolem swego klanu – wyjaśniła Maud. – Jak się zdaje, ostatnimi laty ta tradycja wygasła.

John mógł się domyślić, dlaczego Poszukiwacze pokroju Briaca Kincaida nie oznaczali siebie godłami swoich rodów. Mieli skradzione athameny i mogłoby wydać się dziwne, gdyby symbol na czyjejś ręce różnił się od wyrytego na używanym przez tę osobę przyrządzie.

Ponownie popatrzył na zwłoki kobiety.

– W dzienniku wspomina się, że ten athamen widziano ostatnio tutaj, razem z Poszukiwaczką nazywającą się Delyth Priddy i być może kimś jeszcze. Czy to jest Delyth Priddy? A osoba, która jej towarzyszyła?

Skupili teraz uwagę na mniejszej postaci. Jej włosy były krótkie i ciemne, a ubranie szare i podarte. Maud podwinęła strzępy rękawów i obejrzała nadgarstki. Skóra uległa większemu rozkładowi niż w pierwszych zwłokach i nie było na niej żadnych znaków.

– Zatem to nie jest Poszukiwacz – powiedział John.

Usiłował nie myśleć za dużo o wyschniętej skórze i sterczących pod nią kościach, tak bardzo przypominających obojczyk i żuchwę matki, kiedy ostatni raz ją widział.

Maud obróciła do światła czaszkę mniejszego ciała obciągniętą suchą skórą i zobaczyli brudne, porysowane zęby odsłonięte w śmiertelnym grymasie.

– To nie Poszukiwacz – potwierdziła, odchylając się do tyłu od zwłok. – Przypomina raczej… tamtych chłopców, których widzieliśmy w szkockiej posiadłości. Oni też mieli takie brudne zęby.

Wydawało się, że ten wniosek ją poruszył. Przysiadła na piętach i przez pewien czas przyglądała się mniejszym zwłokom.

– Jak myślisz, od jak dawna nie żyją? – spytał John.

Młoda Sędzia powoli pokręciła głową.

– Trudno ocenić. W grę wchodzi oddziaływanie suchego pustynnego powietrza, nie mówiąc o innych czynnikach. Zmarli przed laty, ale nie umiem powiedzieć dokładnie przed iloma. Być może ten mniejszy nie żyje od znacznie dłuższego czasu niż kobieta.

Wstała i znów popatrzyła na inskrypcję wytopioną w skalnej ścianie.

– Te liczby sumują się do… – urwała, jak gdyby dodawała je w myślach.

John wstał i obserwował zmianę zachodzącą w Młodej Sędzi spoglądającej na inskrypcję. Wyraz jej twarzy się nie zmienił, ale wydawało się, jakby jej barki przygniotło ciężkie brzemię rozpaczy. Nie patrząc na Johna, odwróciła się i wyszła z groty.

Podążył w ślad za nią, schylając się, gdy wychodził przez niski wylot w pustynną noc. W górze pomimo jaskrawego blasku księżyca widać było niezliczone lśniące gwiazdy, jakby niebo tutaj było ogromniejsze i bardziej gwiaździste niż gdziekolwiek indziej na świecie. Wejście do groty znajdowało się w połowie zbocza z piaskowca.

Znalazł Maud siedzącą na skalnej półce, z której rozciągał się widok na rozległy obszar w dole.

Usadowił się blisko niej, mając się na baczności przed tym zagadkowym stanem ducha, który nią owładnął. Wyglądała, jakby wyciągała z nocy ciemność, by się nią otulić. Gdy John usiadł, ogarnęło go wyczerpanie po długim biegu. Był głodny i spragniony, bolały go mięśnie i marzył, by się przespać.

Zaryzykował odezwanie się do Maud.

– Ich suma wynosi dwieście – powiedział. – O liczbie dwieście kilkakrotnie wspomina się w dzienniku. Czy ona z czymś ci się kojarzy?

Dopiero po długim milczeniu Młoda Sędzia odpowiedziała:

– Nie. Istnieje mnóstwo spraw, o których nic nie wiedziałam, wydarzeń, na które byłam ślepa i głucha.

Zaskakująco gniewnym gestem cisnęła płonącą pochodnię poza skraj skalnej półki. Pochodnia spadała w dół wzgórza, wirując i rozbłyskując jaskrawo, aż wreszcie zatrzymała się na zboczu daleko w dole. John patrzył, jak jej płomienie gasną powoli, migocząc.

Maud spoglądała poza pustynię na odległy ocean; księżyc rzucał białe pasmo na jego granatową powierzchnię poruszaną falami toczącymi się ku brzegowi. Tutejszy świat był taki piękny. John zapragnął pogrążyć wzrok i umysł w kontemplowaniu go, ale nie potrafił. W grocie za nim leżały dwa martwe ciała. Czy to możliwe, że jego matka już się zemściła, zabijając dwie osoby, czy może podobnie jak on znalazła tylko zwłoki? Tak czy inaczej, to miejsce okazało się ślepą uliczką. Musiał zbadać następne, a potem kolejne – pod warunkiem że Maud nadal będzie chciała mu pomóc.

Nie rozumiał jej nastroju.

– Dlaczego Afryka? – zapytał, mając nadzieję, że Młoda Sędzia nie uzna tej kwestii za nudną. – Wydaje się dziwnym miejscem na sekretną grotę Poszukiwaczy.

– Owszem, Poszukiwacze mieszkają głównie w Europie, ale rozprzestrzenili się po całym świecie – odpowiedziała ze wzrokiem wciąż utkwionym w oceanie. Mówiła tonem opanowanym jak zawsze, ale chłopiec wyczuł w nim irytację. – Poszukiwacze mają placówki w wielu dziwnych miejscach.

– Czy pozwolisz mi udać się do następnego wspomnianego w dzienniku? – spytał. – Do groty klanu niedźwiedzia?

– Sądzisz, że zbadanie tamtej jaskini będzie miało więcej sensu?

– Moja matka wytropiła kilkoro spośród naszych wrogów i szukała pozostałych. Ja też mogę ich odnaleźć.

– Albo to, czego szukasz, może być zupełnie gdzie indziej. A co, jeśli zapiski Catherine nie mają żadnego związku z twoją zemstą? – Maud umilkła, a potem powiedziała: – Znam tę grotę, John. Każdy ród Poszukiwaczy ma podobną. Prywatne schronienie, miejsce spotkań, ceremonii i narad znane tylko jego członkom – i niekiedy Sędziom. Nie powinno być niebezpieczne dla członków rodziny, do której należy. Nie powinno być miejscem, w którym oni znikają.

Młoda Sędzia uniosła głowę i spojrzała Johnowi w twarz, a on jak zwykle poczuł się zakłopotany jej spokojnym, nieruchomym wzrokiem. Po kilku chwilach znowu

popatrzyła na żarzące się resztki ich pochodni, daleko w dole.

– Zastanawiam się, Johnie – czy zawsze rozsądnie jest chcieć dowiedzieć się czegoś tylko dlatego, że to możliwe?

W blasku księżyca dostrzegł błysk emocji w jej oczach.

„Ona zamierza coś wyznać", uświadomił sobie.

Ta myśl była tak dziwna i zaskakująca, że na moment zaparło mu dech w piersi.

– Są sprawy, o których wolałabym nie wiedzieć – rzekła. Spojrzała mu w oczy i po raz pierwszy, odkąd John ją poznał, wyglądała jak dziewczyna, a nie Sędzia. Sprawiała wrażenie kruchej. – Jeśli odkryję wszystko, co zrobił Średni – ciągnęła głosem mniej opanowanym, niż kiedykolwiek u niej słyszał – jeżeli dowiem się, jak demoralizował zarówno innych Sędziów, jak i Poszukiwaczy, czy będę współodpowiedzialna za jego czyny? Czy jestem taka, jaki on był?

John odzyskał oddech, niemniej jednak potrzebował jeszcze kilku chwil, by móc się odezwać. Wreszcie powiedział:

– Niekiedy przypominasz mi Quin. Zbyt szlachetną, by ujrzeć rzeczy takimi, jakimi naprawdę są. Zbyt uczciwą, by wiedzieć, że nic na tym świecie nie jest uczciwe.

– Jej myśli często przychodzą mi do głowy – przyznała Młoda Sędzia.

– Quin? – spytał, nie zdoławszy ukryć zdziwienia.

– Czasami, gdy trenuje się umysł, tak jak my to robimy, można bezpośrednio dotknąć myśli innej osoby. Umysły Quin i mój krzyżują się od czasu do czasu w taki sposób. Też uważam, że ona ma szlachetne serce, inaczej nigdy nie powierzyłabym jej athamenu Sędziów.

– Ale... jej myśli wchodzą do twojego umysłu? – zapytał John, starając się, by nie zabrzmiało to głupio.

– Czasami. Kiedy indziej czuję, że ona patrzy moimi oczami. Widzi to co ja, chociaż być może nie zdaje sobie z tego sprawy.

John ledwie zdobył się na odwagę, by zapytać:

– O czym… o czym są jej myśli, kiedy je słyszysz?

Maud rzuciła na niego spojrzenie.

– Dlaczego o to pytasz? Czy jej myśli cię niepokoją?

– Nie. Ja… po prostu jestem tego ciekawy – odparł i odwrócił się zmieszany.

– Staram się nie wsłuchiwać w nie – oświadczyła Młoda Sędzia. – Nie są przeznaczone dla mnie.

Znowu mu się przyglądała i zdawało się, jakby widziała zakłopotanie Johna emanujące z niego falami. Przybierając ponownie opanowany ton instruktorki, spytała:

– John, często o niej myślisz?

– Nie z własnej woli – odrzekł cicho.

Nie chciał rozmawiać z Maud o Quin, ale nasuwały mu się pytania. Odwrócił wzrok i powiedział:

– Czasami w trakcie naszego treningu wymieniasz jej imię, żeby zbić mnie z tropu. Wiem, że tylko prowokujesz, jednak wtedy nie mogę przestać o niej myśleć. – Chciał zamilknąć, lecz nie potrafił. – Przypominam sobie wyraz jej twarzy, kiedy zorientowała się, że ją zdradziłem. Gdy otwieram dziennik, myślę o tym, że jej dłonie go dotykały, jej

oczy czytały. Wyobrażam sobie, co by powiedziała o tym, co moje matka i babka poleciły mi zrobić. Powiedziałaby, że się mylę… a ja chcę, aby wiedziała, że się nie mylę. Chcę, by się dowiedziała, że mam rację. Ponieważ m a m rację. To ona się myli.

Zdołał w końcu przerwać sobie, zawstydzony tym, jak wiele powiedział. Istniały myśli, do których z trudem przyznawał się nawet przed sobą. Zastanawiał się, czy mimo tego, jak wiele trudu zadała sobie Maud, aby oczyścić mu umysł, fokal nie uczynił go jednak bardziej wylewnym.

– Nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak bardzo twoje myśli pochłania ktoś inny – odezwała się Młoda Sędzia po pewnym czasie. – Nie rozprasza cię jedynie lęk przed rozrywaczem czy wspomnienia o matce, ale Quin, która działa teraz w świecie.

– Tak – wyszeptał John po chwili, w trakcie której przyznał się przed sobą, w jak wielkiej mierze jest to prawdą.

– John, inni ludzie nie mogą władać twoimi myślami. Jeżeli chcesz zostać Poszukiwaczem, musisz nauczyć się nad nimi panować. To połowa pracy prowadzącej cię do złożenia przysięgi. Fokal może ci pomóc… lecz tylko powierzchownie. To ty musisz zmienić swoje głęboko zakorzenione nastawienie. – Chłopca przeszył lęk, że Młoda Sędzia zaraz odmówi dalszego szkolenia go. Jednak zamiast tego powiedziała: – Pozwolę ci udać się do następnego miejsca, które wyszukałeś w dzienniku twojej matki, do tej groty Poszukiwaczy z klanu niedźwiedzia. – Już chciał jej podziękować, lecz uniosła dłoń i dodała: – Ale najpierw muszę cię zabrać gdzie indziej.

Rozdział 21
Catherine

19 LAT WCZEŚNIEJ

– On ci się przygląda – powiedziała Mariko.

– Co?! – odkrzyknęła Catherine.

Widziała poruszające się usta przyjaciółki, ale nie słyszała niczego przez głośną muzykę.

W nocnym klubie pulsował beat tak ciężki, że przypominał trzęsienie ziemi. Białe promienie laserowego światła przecinały kłęby dymu i skręcały się we wzory błyskające stroboskopowo w rytm muzyki. Twarze i ciała zdobiły malunki jarzące się w ciemności, które groteskowo podświetlały rysy i przesadnie podkreślały ruchy.

Klub był zatłoczony i Catherine zaczynała pojmować przyjemność zanurzenia się w radosnej anonimowości. Ona i Mariko były pomalowane srebrzystymi smugami, które skrzyły się, ilekroć promienie laserów igrały na ich twarzach.

– On ci się przygląda! – powtórzyła Mariko, krzycząc, by zostać usłyszaną.

Dotknęła ręki Catherine i dyskretnie wskazała kierunek.

Młody czarnowłosy mężczyzna przeciskał się powoli przez tłum i chociaż starał się to ukryć, rozglądając się wokoło po klubie, było oczywiste, że jego spojrzenie powraca wciąż do Catherine. Miał twarz pomalowaną ciemnoniebieską farbą, która się nie jarzyła, więc jego rysy były ukryte, niemal jakby nosił maskę.

Znajdowały się na moście Tranzytowym przerzuconym nad Zatoką Wiktorii i łączącym wyspę Hongkong z regionem Koulun. Catherine od kilku miesięcy mieszkała u Mariko, której rodzice sądzili, że obie dziewczyny są teraz na wieczornej lekcji tańca tradycyjnego. Było to całkowicie niezgodne z prawdą.

– Jest całkiem przystojny! – rzekła Mariko do Catherine, wrzeszcząc te słowa prosto do jej ucha.

– Jak potrafisz to poznać?! – odkrzyknęła Catherine.

– Chyba nie potrafię! Ale to może być twoja szczęśliwa noc!

Zabawiały się w tę grę polegającą na zauważaniu chłopców, którzy zwrócili na nie uwagę, i udawaniu, że coś mogłoby z tego wyjść. W rzeczywistości jednak, chociaż Catherine wspaniale się bawiła, nie umiałaby w takim miejscu czuć się inaczej niż tylko obserwatorką. Przyjemnie było udawać, że należy do tego olbrzymiego tłumu hulającego na drugiej kondygnacji mostu, ale pomimo wymalowanego ciała zachowywała trzeźwy dystans wyszkolonej Poszukiwaczki i w gruncie rzeczy nie pasowała tutaj.

Odzyskawszy athamen swojej rodziny, spodziewała się, że rodzice padną przed nią na kolana z wdzięczności. Owszem, byli wdzięczni, ale gdy oznajmiła im, co chce robić za pomocą athamenu, kim pragnie kiedyś się stać, wyśmiali ją. Nie zamierzali być wobec niej okrutni – śmiali się, ponieważ jej współczuli. Nadzieje Catherine były tak absurdalne i nieosiągalne, że stała się obiektem współczucia całej swej rodziny. Nie obchodziło ich, że Średni Sędzia nie jest godzien swojego stanowiska. Nie chcieli, by Catherine gromadziła potwierdzające to dowody ani fantazjowała na temat tego, kto mógłby go

zastąpić. Nawet kiedy mówiła im o najbliższych celach, jakie pragnęła realizować jako Poszukiwaczka (drobne działania w różnych częściach świata, w których niewielki dobry uczynek mógłby przynieść olbrzymie pozytywne skutki), traktowali ją jak marzycielkę bujającą w obłokach. Jej rodzice widzieli w athamenie wyłącznie środek do zapewnienia rodzinie bezpieczeństwa. Catherine nie wyjawiła im swojego nowo zdobytego przekonania, że powinna odszukać sekretne jaskinie należące do klanów Poszukiwaczy, co stanowiłoby pierwszy krok na drodze do odkrycia, gdzie się podziali zaginieni Poszukiwacze.

Starsza siostra Anna okazała zazdrość, kiedy Catherine przyniosła do domu athamen z wizerunkiem lisa. Oskarżyła nawet Catherine o próbę pomniejszenia w oczach rodziców jej statusu starszej siostry. Tak więc Catherine opuściła rodzinny dom.

Przeprowadziła swoją ostatnią akcję jako Poszukiwaczka. Samotnie, w pośpiechu wróciła do groty pod Mont Saint-Michel i uważnie obejrzała ściany w poszukiwaniu jakichś śladów przeszłości i teraźniejszości. Znalazła szeregi liczb wyrytych w skale, których wcześniej nie miała czasu zbadać z Mariko. Te liczby sumowały się do dwustu, a obok nich znajdowały się serie symboli niemal przypominających strzałki. Catherine nie potrafiła jednak pojąć znaczenia owych liczb. Kształt strzałek mógłby świadczyć o tym, że są rodzajem wskazówek. Ale gdzie się zaczynały? Czy odmierzały odległość? A może czas?

Wyjechała z Francji, nie znalazłszy odpowiedzi na te pytania. Po powrocie do Hongkongu porzuciła dotychczasowe życie Poszukiwaczki, jeśli nie na zawsze, to na długi czas. Zamierzała pozwolić, by Anna zajęła się rodzicami i ich schedą.

Catherine jęknęła, gdy coś szturchnęło ją w plecy w okolicy kręgosłupa. W Hongkongu szalenie modne były olbrzymie, ostre klamry pasków i należało zachować ostrożność, gdy przebywało się w miejscu takim jak ten klub. Zrobiła krok w prawo.

– Czy mogę z tobą porozmawiać?

Drgnęła zaskoczona. Młody mężczyzna z twarzą pomalowaną na ciemnoniebiesko przecisnął się już przez tłum i stał tuż obok niej na skraju parkietu tanecznego, z głową przy jej uchu. Catherine zerknęła na Mariko, która też przyglądała się przybyłemu. Zazwyczaj uprzejmie odrzucały takie propozycje. Catherine nadal uważała chłopców ze zwyczajnego świata za tak odmiennych od niej, że wydawali się jej niemal innym gatunkiem. A rodzice Mariko narzucali córce średniowieczne zasady dotyczące randek. Ale Catherine coś się spodobało w pewności siebie tego młodzieńca.

– Dobrze – odpowiedziała, a Mariko uniosła brew tak wysoko, że wyglądało to wręcz komicznie. – Gdzie?

Młody mężczyzna wskazał ręką spokojniejsze miejsce na skraju głównej sali. Catherine poszła z nim, lawirując w tłumie. Po drodze odwróciła się i mrugnęła do Mariko, dając znać swojej japońskiej przyjaciółce, że nic się nie zmieniło: porozmawia z tym facetem i zaraz wróci.

– Czy my się znamy? – zapytała, odwracając się do swojego towarzysza i usiłując przyjrzeć się jego twarzy w blasku błyskających świateł.

– Powinnaś mnie znać – odrzekł.

– Powinnam cię poznać? – spytała, nie będąc pewna, czy dobrze go usłyszała.

Poprowadził ją przez nieco rzadszy tłum do obrzeży klubu, trzymając jedną dłoń u dołu jej pleców, a drugą opierając lekko na jej ramieniu. Początkowo spodobała się jej poufałość tego podwójnego dotyku, lecz teraz, gdy otaczało ich mniej ludzi, wydawało się to natarczywością.

Kluczyli pomiędzy szeregiem wysokich szklanych kolumn wypełnionych wirującą cieczą. W pobliżu powoli tańczyło kilka par, lecz nie zwracały uwagi na Catherine i jej towarzysza.

– Powinnaś mnie znać – powtórzył.

– Powinnam… Auć! – jęknęła, gdy coś ukłuło ją w plecy przez cienki materiał sukienki.

– Ostrożnie – powiedział; wyraz jego oczu maskowała farba na twarzy. – Zaczepiłaś się tam.

Catherine zobaczyła, że krawędzie każdej kolumny są ozdobione chropowatymi wzorami. Widocznie otarła się o jeden z nich.

– Chce mi się pić – oświadczyła i gdy to powiedziała, zdała sobie sprawę, że jest ogromnie spragniona, to wrażenie ogarnęło ją całkiem nagle.

– Tak? – rzucił.

Powiódł ją pomiędzy ostatnimi kolumnami i znaleźli się w ciemniejszej części klubu, skąd słabo oświetlone przejście prowadziło do toalet. Catherine potknęła się, a on ją podtrzymał, znowu kładąc jedną rękę na jej ramieniu, a drugą na krzyżu.

– Au! – wyrwało się jej.

– Uważaj, Catherine. Stale na coś wpadasz.

– Briac? – spytała, usiłując rozpoznać rysy twarzy pod farbą.

Ale to nie był Briac, chociaż miał ciemne włosy i poruszał się tak jak on. To ktoś inny.

– Emil? – rzuciła.

Czy to możliwe, że Emil żył i był bezpieczny? Czy pragnął odnaleźć ją tak jak ona jego?

Zaśmiał się niskim, nieprzyjemnym śmiechem, który bardziej wyczuła, niż usłyszała.

– Nie, nie jestem Emilem.

Znowu się potknęła, gdy prowadził ją nieoświetlonym korytarzem w kierunku toalet. Obok przebiegło stadko dziewcząt, nie zwracając na nich uwagi.

– Zaczekaj – rzekła Catherine, uświadamiając sobie nagle, jak bardzo kręci się jej w głowie i jak bardzo chce się jej pić. – Zaczekaj.

Chwycił ją za ramiona i dostrzegła błysk metalu między dwoma palcami jego lewej dłoni.

– Tutaj – powiedział.

Szarpnięciem otworzył drzwi pojedynczej toalety i pchnął tam Catherine. Dziewczyna odruchowo rozłożyła ręce i uchwyciła się boków framugi, uniemożliwiając mu wepchnięcie do środka.

Zobaczyła w lustrze, że zamachnął się na nią prawą ręką. Zrozumiała, co zamierzał; chciał walnąć ją łokciem, żeby puściła framugę. Kopnęła lewą stopą w tył. Jej wysoki

obcas wbił się w jego but i Catherine pomyślała, że miała szczęście, jeśli wziąć pod uwagę, jak bardzo była oszołomiona.

Napastnik jęknął z bólu i puścił ją, a Catherine odwróciła się i próbowała uderzyć go w szyję. Uniknął ciosu, pochylając się, i niczym wściekły byk rąbnął ją głową w brzuch, po czym siłą wepchnął do toalety. Dziewczyna upadła do tyłu na podłogę.

Wszedł za nią i zaryglował drzwi. Wewnątrz światło było nieco jaśniejsze i Catherine zobaczyła, że mężczyzna nosił na dwóch palcach lewej dłoni coś przypominającego plastikowe pierścienie. Były ze sobą połączone, a w miejscu styku sterczała niewielka igła.

– Ty… ty odurzyłeś mnie jakimś narkotykiem! – wyjąkała.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak dziwnie się przed chwilą zachowywała. Pozwoliła, by poprowadził ją przez cały klub w ustronne miejsce.

Usiadł na niej okrakiem na podłodze i kolanami unieruchomił ręce.

– Gdzie to jest, do diabła? – wysyczał.

Spojrzała spod przymkniętych powiek. Z jego twarzy starła się część farby, ale Catherine wciąż nie mogła go rozpoznać.

– Co? – spytała.

Uderzył ją otwartą dłonią w twarz. Jej głowa trzasnęła na podłogę, ale ból dotarł do Catherine jakby z wielkiej odległości. Ile razy poczuła wcześniej ukłucie igły? Co najmniej trzy. Co to za narkotyk? Jakiś silny. Była bliska omdlenia. Czy Mariko będzie jej szukać?

– Gdzie jest ten athamen?! Zabrałaś coś, co należy do mnie. Był mi obiecany.

Zamachnął się, żeby znów uderzyć Catherine, ale opuścił rękę, pozwalając, by dziewczyna odpowiedziała.

Catherine próbowała zmusić umysł do pracy. Ten mężczyzna – albo chłopak, trudno się zorientować – to oczywiście Poszukiwacz. Powinna była od razu to spostrzec, jednak jego ruchy przesłaniali wszyscy ci tańczący. I go nie znała.

– Ktoś obiecał ci… athamen mojej rodziny? – spytała powoli, niewyraźnie. – Kto miałby to zrobić?

– Wiesz kto.

Nie wiedziała. Czyżby Poszukiwacze handlowali pomiędzy sobą skradzionymi athamenami?

– To byłeś ty… w Mont Saint-Michel? – spytała słabym głosem, w końcu go rozpoznając.

– Gdzie jest schowany? – naciskał.

– Gdzie jest… co? – wymamrotała.

Potrząsnął głową Catherine, jakby to mogło pomóc jej skupić myśli. Zamiast tego pomieszczenie zawirowało wokół niej.

– Napadłeś na mnie – powiedziała i własne słowa zabrzmiały w jej uszach głupio.

– Wreszcie zauważyłaś, co? – rzucił drwiąco. Catherine dwoiło się w oczach, miała wrażenie, jakby siedziało na niej dwóch ludzi, każdy gotów ją uderzyć. – Emil też był taki tępy – ciągnął – i kiepsko się to dla niego skończyło.

– Ty… Emil? Co się stało z Emilem?

Uśmiechał się do niej – obydwaj się uśmiechali. Jej spojrzenie przywarło do jedynego przedmiotu tutaj. Szklanki. Stała na brzegu umywalki, na zmianę pojawiając się w jej polu widzenia i znikając, gdy mężczyzna potrząsał Catherine. Ktoś przyniósł tę szklankę do toalety i zostawił. Na krawędzi widniał ślad po czarnej szmince, a przy dnie unosiły się jakieś jaskrawozielone męty.

Noga Catherine. Tam była jej noga, prawda? Przy postumencie umywalki.

– Moi bracia i ja nie będziemy przynętą dla kogoś – syknął mężczyzna w twarz Catherine. – *Nasza* rodzina nie zniknie. Jeden z moich braci był dziś w Londynie.

Co to miało znaczyć? Czy groził jej rodzinie? Catherine usiłowała pomyśleć. Będzie musiała pozwolić, by znów ją uderzył. I będzie musiała działać szybko.

„Czy jestem w stanie zadziałać szybko?", zastanawiała się.

Poruszyła ustami, jakby zamierzała odpowiedzieć, a potem splunęła na niego.

„Kopnij!", powiedziała sobie.

Uderzył ją mocno w twarz. A ona kopnęła.

Trafiła stopą w umywalkę i przekręciła nogi na bok, a chwilę później poczuła bolesne uderzenie i mokry bryzg, gdy szklanka spadła na jej kostkę.

– Gdzie twoja rodzina umieściła athamen? – spytał natarczywie, znowu nią potrząsając.

Catherine wiła się pod nim. Zdołała przeturlać szklankę ze swojej nogi ku lewej ręce.

– Doniosę na ciebie… Sędziom – wyszeptała. – To athamen mojej rodziny. Sędziowie cię ukarzą.

– Czyżby?

Uśmiechnął się w sposób, który przypomniał Catherine rodziców i ich politowanie. Nie obawiał się, że poszłaby do Sędziów.

„Dlaczego? – zastanawiała się. – Powinien się ich bać. Nawet jeśli Średni Sędzia jest zdemoralizowany, Młoda Sędzia będzie musiała mnie wysłuchać. Ten człowiek łamie prawa Poszukiwaczy".

– Athamen jest mój… – powiedziała. – Zatrzymam go…

Rękę miała nadal przygwożdżoną jego kolanem, ale obejmowała palcami mokrą, lepką szklankę. Powiodła dłonią po jej powierzchni i odwróciła szklankę tak, że ściskała teraz jej ciężką podstawę.

„Jestem oszołomiona – pomyślała. – On na to liczy".

– Nie – odparł. Pochylił się niżej i uniósł kolano znad jej ręki. – Zabiję cię i zatrzymam dla siebie athamen.

Catherine wyszeptała:

– Zamierzałam powiedzieć ci to samo.

Mocno trzasnęła szklanką o podłogę, a potem chlasnęła go tym, co z niej zostało – z grubej podstawy sterczało kilka długich, ostrych odłamków. Trafiła napastnika w szyję i poczuła, jak odłamki wbiły mu się głęboko w gardło i pękły.

Krzyknął, złapał ją oburącz za włosy i szarpnął szaleńczo, a z jego szyi rytmicznie tryskała krew. Wrzeszczał, wciągając chrapliwie powietrze przez ranę w gardle. Catherine nadal widziała go podwójnie, gdy upadł na nią.

Zdołała wytoczyć się spod napastnika, ślizgając się w jego krwi. Jej palce też krwawiły tam, gdzie trzymała pękniętą szklankę, ale nadal ściskała ją mocno, gdy chwiejnie wstawała. Prawą ręką sięgnęła szybko do zamka drzwi, lecz jej wilgotne palce omsknęły się na nim.

Jednak drzwi otworzyły się gwałtownie.

W progu stała Mariko, ściskając w ręce nóż kuchenny, a obok niej stał potężny ochroniarz z kluczem w dłoni.

Mariko ogarnęła spojrzeniem Catherine, jej jasną sukienkę nasiąkniętą krwią i pomieszczenie za nią.

Ujęła Catherine za rękę i odciągnęła, podczas gdy strażnik przyglądał się z rozdziawionymi ustami pobojowisku w toalecie. Wyprowadziła przyjaciółkę z klubu, a na zewnątrz powiedziała:

– Nie można się przy tobie nudzić, Cat-chan.

Działanie środka odurzającego minęło, gdy Catherine stała w ubraniu w kabinie prysznicowej domku przy basenie Mariko, a przyjaciółka spryskiwała ją strumieniem wody. Chociaż prysznic był ciepły, Catherine dygotała. Woda spływała z niej różowymi strużkami, rozjaśnianymi od czasu do czasu płatkami srebrnej farby. Mariko szorowała włosy i ramiona Catherine, która krzywiła się, gdy dłonie przyjaciółki przesuwały się po obolałych miejscach na jej głowie.

– To był mężczyzna, którego widziałyśmy w Mont Saint-Michel – powiedziała Catherine.

– Jesteś pewna?

– Tak. Oznajmił, że *jego* rodzina nie zniknie… jak gdyby miały zniknąć moja i inne. I być może rodzina Emila. I jakby Sędziowie mieliby nie zareagować…

– Co powiemy mojemu ojcu? – zapytała Mariko, która spłukiwała mydło z głowy Catherine i nie słuchała przyjaciółki. – Czy powinnyśmy wyznać mu prawdę?

Catherine popatrzyła w dół na swoją podartą sukienkę i głębokie rozcięcia lewej dłoni, w której wcześniej ściskała pękniętą szklankę.

– Chyba powiemy mu prawdę – mówiła Mariko, sama odpowiadając na swoje pytanie. – Może będziemy musieli walczyć z tym mężczyzną.

– On nie żyje, Mariko. Nie będziemy musieli z nim walczyć.

– No więc z jego klanem…

Zadzwonił telefon.

Catherine rozpoznała sygnał swojej komórki. Mariko poszperała w jej torebce leżącej na podłodze i poplamionej ciemnymi smugami krwi. Catherine zakręciła wodę pod prysznicem, a Mariko podała jej komórkę.

Catherine drżącą ręką wzięła od niej telefon, odczekała chwilę, by się opanować, a potem odezwała się:

– Halo. Mama? Wszystko u ciebie dobrze? Czy athamen nadal jest bezpieczny?

Głos w słuchawce należał do matki, ale jej odpowiedź była nieskładna. Catherine dobiegły serie łkań, a pomiędzy nimi zduszone, na wpół słyszalne słowa.

– Mamo? Czy ty…

– Twoja siostra…

Te słowa brzmiały niewyraźnie i Catherine dopiero po chwili zrozumiała.
– Co… Anna?
– Anna – powtórzyła matka, wciąż starając się, by ją zrozumiano. – Anna nie żyje.

Rozdział 22
Quin

Quin i Shinobu wyjrzeli z anomalii prosto na szeroki potok i dziewczyna odniosła osobliwe wrażenie, że spogląda na tę prawdziwą rzekę poprzez rwący strumień energii. Wykorzystali współrzędne z pierwszej spośród trzech wybranych przez nich notek w dzienniku – tej opisującej, jak jeszcze w piętnastym wieku Średni Sędzia zabił Młodego i zatopił zwłoki w najgłębszej części rzeki.

Shinobu pierwszy wskoczył do wody, a potem odwrócił się i wziął Quin za rękę.

– Jest trochę zimna – uprzedził.

Dziewczyna wylądowała obok niego w łagodnym nurcie, a anomalia jeszcze przez kilka chwil unosiła się za nimi, zanim się zamknęła. Woda sięgała do kolan i rzeczywiście była zimna, ale wyglądało na to, że rzeka jest o wiele głębsza bliżej środka, gdzie prąd był silny i nieprzewidywalny. Tu, w Szkocji, był wczesny ranek, o ile właściwie odczytali współrzędne.

– No, chodź, mój ty delikaciku – rzekła do Shinobu, popychając go w stronę brzegu. – Co znaczy zimno dla Szkota!

– Japońska strona mojej natury jest bardzo delikatna – odparł z udawaną powagą.

Nie wyglądał ani trochę na delikatnego, brodząc energicznie ku brzegowi. Miał na sobie czarny pulower i dżinsy, jedno i drugie trochę na niego za luźne, ale był barczysty, tak że plecak, który niósł na ramionach, wydawał się na nim bardzo mały.

Brzeg rzeki gęsto porastały paprocie pod baldachimem koron dębów. Shinobu uchwycił się łodyg i wydźwignął się z potoku, a potem wyciągnął na brzeg Quin. Stanęli, ociekając wodą. Quin zobaczyła na twarzy chłopca bolesny grymas, który jednak zniknął równie szybko, jak się pojawił. Shinobu uparł się, by tego ranka odbyć kolejne długie ćwiczenie z morferem, i Quin podejrzewała, że dokuczają mu rany, jakkolwiek starał się bardzo udawać, że tak nie jest.

Rozwinął mapę i rozłożył ją na omszałym pniu zwalonego drzewa. Potem wyjął z kieszeni kurtki lokalizator. Migająca kropka na mapce na ekranie wskazywała, że są gdzieś w północnej Szkocji. Shinobu powiększył ten fragment, by lepiej się przyjrzeć, ale w pobliżu nie było żadnych punktów orientacyjnych. Znajdowali się pośrodku pustkowia, obok niewielkiej rzeki, co właściwie wiedzieli już wcześniej – a prawdę mówiąc, był to też trafny opis niemal każdego rejonu Szkocji. Shinobu zaznaczył ich położenie na papierowej mapie.

– Myślisz, że już tu kiedyś byliśmy? – zapytał.

Quin, spoglądając na mapę, pokręciła głową.

– Trudno powiedzieć. Alistair w trakcie szkolenia zabierał nas do wielu miejsc w Szkocji.

– Według dziennika gdzieś tutaj była forteca – przypomniał Shinobu. – Chociaż może nie na tyle blisko, by dotrzeć tam pieszo. W notce wspomina się o „słusznym szmacie drogi od twierdzy".

Dziewczyna ponownie przyjrzała się otoczeniu.

– Osoba, która dokonała wpisu w dzienniku o tym miejscu, ukrywała się na jednym

z drzew w pobliżu brzegu rzeki, kiedy Średni zabił tamtego Młodego Sędziego. Może przejdziemy kawałek?

– Jasne – odrzekł Shinobu.

Złożył mapę i wsadził do kieszeni. Quin znowu dostrzegła na jego twarzy przelotny grymas bólu, ale chłopiec nic nie powiedział.

Poszli szerokimi zakolami, oddalając się od brzegu rzeki. Quin nie była pewna, czego szukają, oprócz być może śladów tego, co stało się z tamtym Młodym Sędzią – dowodów na to, co opisano w dzienniku. Po godzinie przedzierania się przez leśne podszycie równolegle do rzeki niczego jednak nie znaleźli.

Postanowili więc zająć się drugim wpisem w dzienniku. Po ustawieniu nowego zestawu współrzędnych wyłonili się z kolejnej anomalii w zbitym gąszczu wielkich krzaków na terenie rozleglejszej leśnej polany. Anomalia wypuściła ich nieco wyżej, niż Quin oczekiwała, i dziewczyna wylądowała niezdarnie na Shinobu.

– Au – jęknął.

– Przepraszam. Czy to była twoja zraniona noga?

– Tak, ale nic się nie stało – zapewnił, gdy gramolili się z ziemi i ostrożnie wyplątywali się z gęstwiny.

Kiedy już wydostali się z zarośli, Quin spostrzegła, że Shinobu odwraca od niej wzrok, jakby pod wpływem bólu i irytacji.

– Hej – zagadnęła, trącając go czubkiem buta. – Dobrze się czujesz? Możemy zrobić to kiedy indziej. Mogę cię stąd zabrać.

– Nic mi nie jest – odparł i spróbował się uśmiechnąć, lecz niezbyt mu to wyszło.

Quin strzepnęła gałązki z jego włosów i kurtki, starając się nie zważać na zły humor chłopca.

Spytał z rozdrażnieniem:

– Skończyłaś już doprowadzać do porządku moje ubranie?

– Tak, skończyłam. Masz we włosach chrząszcza, ale on prawdopodobnie nie zrobi ci krzywdy – rzekła Quin.

Wiedziała, że Shinobu nie cierpi owadów, więc obserwowała z rozbawieniem, jak pochylił się i szaleńczo przegarniał dłońmi włosy.

– Już go nie ma? – spytał, prostując się.

– Tak. Wyglądasz całkiem ładnie.

Jego krótko obcięte włosy były potargane i sterczały na różne strony, ale mimo to – albo może właśnie dlatego – rzeczywiście wyglądał ładnie.

– Nie cierpię, kiedy używasz tego słowa.

Jego nastrój błyskawicznie się pogarszał, ale dziewczynie zaczęło to bardzo przypominać przypadki, kiedy złościł się tak w dzieciństwie, i zorientowała się ze zdziwieniem, że trochę ją to bawi.

– Nie cierpisz słowa „ładny”? – spytała.

– Kiedyś nazywałaś mnie ładnym – odpowiedział.

Odwrócił od niej wzrok i rozejrzał się po lesie wokół nich, powodowany bardziej irytacją niż zainteresowaniem. Quin wykorzystała tę sposobność, by też przyjrzeć się otoczeniu. Drzewa i leśne poszycie wydawały się jakieś inne, ale powietrze było takie

samo jak w pierwszym miejscu.

Shinobu dorzucił:

– I miałaś wtedy na myśli „wyniosły” albo „antypatyczny” – nic dobrego.

– Przypuszczam, że miałam raczej na myśli „ponury i wściekły” – odrzekła, nie potrafiąc się powstrzymać przed drażnieniem się z Shinobu.

Przez tyle czasu martwiła się o niego, więc teraz, gdy rany już mu nie zagrażały, było dla niej ulgą to, że mogła stroić sobie z niego żarty.

– Chodziło ci o to, że wyglądałem jak z obrazka czy coś w tym rodzaju? – Umilkł, po czym rzucił: – Czy możemy kontynuować nasze poszukiwania?

– Nie – odparła, pojmując nagle przyczynę jego złego nastroju.

– Jak to nie? – spytał.

– Nie dopiłeś swojej ziołowej herbatki, zanim wyruszyliśmy – wyjaśniła, czując się jak idiotka z powodu tego, że nie przypomniała sobie o tym wcześniej.

Tego ranka udała się do Mistrza Tan i jak co dzień przyniosła od niego leczniczy napar ziołowy dla Shinobu. Ale chłopiec niewiele wypił. Później ćwiczyli z morferami, a obecnie od kilku godzin prowadzili poszukiwania, zaś herbatka Mistrza Tan miała właśnie umożliwić Shinobu podejmowanie tego rodzaju wysiłków. Teraz brakowało mu energii.

– Wypiłem ją – rzekł. – Pilnowałaś mnie.

– Daj mi plecak.

– Ja sprawdzę – odparł i odwrócił się, żeby nie mogła sięgnąć do plecaka.

Zdjął go z ramion i zaczął przetrząsać zawartość, stojąc zwrócony plecami do Quin, jakby mógł łatwiej dowieść, że ma rację, kiedy dziewczyna nie będzie patrzeć. Po chwili zawstydzony odwrócił się do niej, trzymając w ręce niemal pełną butelkę naparu.

– Zapakowałam ją – powiedziała Quin.

Postawił butelkę na ziemi i spoglądał na nią nienawistnie, gdy zawiązywał plecak i zarzucał na ramiona. Nawet w obliczu niezbitego dowodu nie miał ochoty przyznać się do porażki.

– Nie potrzebuję teraz tych ziół – oświadczył. – Czy sprawiam na tobie wrażenie kruchej babuleńki?

– Trochę tak.

– Ale „ładnej”, co?

Quin wcisnęła mu w dłonie butelkę i pocałowała go w policzek.

– Bardzo ładnej. A teraz wypij.

Shinobu ponuro zdjął nakrętkę i jednym haustem wypił całą zawartość. Odkaszlnął i wykrzywił się, a potem zgiął się wpół, jakby miał zaraz wszystko zwymiotować. Zdarzało się tak za każdym razem, gdy pił herbatkę Mistrza Tan, więc Quin po prostu to przeczekała.

Kiedy już doszedł do siebie po przykrym smaku i otarł usta rękawem, zapytała:

– Może powinniśmy wrócić?

Shinobu przecząco pokręcił głową i Quin zobaczyła, że powraca mu dobry humor. Lekarstwa Mistrza Tan szybko działały.

– Nie chcę wracać. Nie jestem inwalidą. Już prawie wyzdrowiałem. – Stłumił

uśmiech, niewątpliwie świadomy tego, jak dziecinnie się zachował. Nadal unikając wzroku Quin, wymamrotał: – Lubię, kiedy mną dyrygujesz.

– A ja lubię, kiedy jesteś w kiepskim humorze.

– Wielkie dzięki – zripostował, ruszając ku polanie przed nimi.

– Czy to ci nie przypomina naszych kłótni z dzieciństwa? – spytała. Idąc obok niego, splotła palce z jego palcami. – Były zabawne.

– Na przykład, gdy umazałem ci włosy żywicą, a ty rąbnęłaś mnie pięścią w brzuch? – rzucił. – Rzeczywiście to była kupa śmiechu.

Teraz to wspomnienie jej zepsuło humor.

– Wciąż jestem za to na ciebie zła.

– Mieliśmy po sześć lat. A ty walnęłaś mnie tak mocno, że na moment straciłem oddech.

– Matka musiała obciąć mi wielki pęk włosów, Shinobu.

Odepchnęła go żartobliwie, a on się zaśmiał.

– Wydajesz się rozgniewana – powiedział, przybierając nagle poważną minę. – A gdzie t w o j a herbatka, Quin? Może wrócimy i zaparzymy porcję dla ciebie?

Quin z udawaną furią szarpnęła jego kurtkę, lecz zastygła w połowie ruchu.

– Spójrz – powiedziała, łapiąc go za łokieć.

Przyglądali się wielkim olchom rosnącym wokół skraju polany. Za jednym z największych drzew las był nieco rzadszy i można było dalej sięgnąć wzrokiem. W pewnej odległości wznosił się pagórek porośnięty paprociami, a w jego zboczu widniał – chociaż z miejsca, w którym się teraz znajdowali, częściowo zasłaniało go poszycie – otwór bardzo przypominający wylot groty.

– Właśnie to Catherine narysowała w dzienniku, prawda? – spytała Quin.

Zbliżyli się ostrożnie. Pagórek okazał się całkiem duży i najwyraźniej usypany sztucznie. Miał kształt niemal idealnie owalny, a jego kopulasty wierzchołek porastała bujna roślinność. Wokół pagórka rosły gęsto drzewa, lecz żadne na jego szczycie. Otwór wejściowy był niski i ciemny, obramowany wielkimi kamieniami, które rozmieszczono całkiem wprawnie. W dół do mrocznego wnętrza groty wiodły kamienne stopnie porośnięte mchem i dzikimi jeżynami.

– Pachnie starością i zgnilizną – zauważył Shinobu, gdy owionął ich lekki podmuch powietrza z wewnątrz.

– Wziąłeś latarkę? – spytała dziewczyna.

Znowu odwrócił się od Quin, by pogrzebać w plecaku, i wyjął latarkę. Przykucnęli i poświecił w głąb otworu.

Wnętrze pagórka było dość obszerne, tworzyło prawdziwą grotę wyłożoną kamieniami, które spojono chropowatą piaskową zaprawą murarską. Na kamiennej podłodze walały się śmiecie, które wiatr przywiał z lasu: suche gałązki, zeschłe liście, kamyki i mnóstwo ziemi.

A pod przeciwległą ścianą leżały szkielety.

Quin i Shinobu odruchowo cofnęli się od wejścia na widok rozkładających się ludzkich szczątków w postrzępionych ubraniach, z resztkami włosów i skóry wokół twarzy o ziejących oczodołach.

– Niezbyt miły widok – rzekł cicho Shinobu.

– To chyba wyjaśnia źródło zapachu – powiedziała Quin.

Wewnątrz wzgórza cuchnęło wilgocią i zgnilizną, lecz nie niedawnym rozkładem. Był to zapach śmierci, która zdarzyła się w odległej przeszłości.

Shinobu powoli omiótł promieniem latarki wnętrze groty. Ale nikt nie krył się w mrocznych cieniach. To miejsce, podobnie jak znajdujące się w nim zwłoki, opuszczono dawno temu.

– Wejdziemy? – zapytał chłopiec, wskazując z galanterią ciemny otwór.

Quin skinęła głową, schyliła się pod nadprożem i zeszła do groty.

Wnętrze było na tyle duże, by powstawało w nim echo, jednak krótkie i bliskie. Quin miała wrażenie, że tupot jej butów powraca niemal natychmiast.

W grocie znajdowały się cztery trupy. Leżały stłoczone blisko siebie, a ich pogniecione i butwiejące ubrania sprawiały, że wydawały się tworzyć jedną zbitą masę. Wszystkie osoby zmarły w wełnianych pelerynach, ale na tym kończyło się podobieństwo ich ubiorów. Najstarsze zwłoki, z których pozostało niewiele więcej niż kości z kilkoma strzępami wyschłej skóry, były odziane w koszulę z koronkowymi rękawami. Koszula niemal całkiem się rozpadła, jednak kilka jej zachowanych detali sytuowało właściciela mniej więcej w siedemnastym wieku. Drugie zwłoki były ubrane w niebieskie dżinsy, jakie mogły być noszone przed stu laty. Kolejne ciało było drobne, być może dziecięce; miało popsute zęby, a zgrzebny ubiór pokrywała gruba skorupa ziemi, tak że nie dało się rozróżnić żadnych szczegółów. Ostatnie było zwłokami dziewczyny, jak założyła Quin, gdyż miało w uszach złote obręcze, a na tym, co zostało z koszuli i klatki piersiowej, leżał misternie wykonany złoty naszyjnik.

– Spójrz – powiedział Shinobu szeptem, gdyż tylko taki sposób mówienia wydawał się stosowny w obliczu śmierci.

Podniósł z podłogi jakąś gałązkę i posługując się nią, wydobył naszyjnik spośród fałd starego ubrania. Z łańcuszka zwisała mała złota figurka konia.

– Koń – rzekła Quin. – Czy mógłbyś mi dać latarkę?

Shinobu wręczył jej latarkę, a Quin skierowała jej promień na kamienną ścianę za zwłokami, gdyż przed chwilą dostrzegła tam jakiś kształt. W świetle latarki ujrzeli wyrzeźbioną głowę konia. Obok, nieco niżej, widniał wyryty w kamieniach ciąg liter i liczb:

P51

D21

S64

D44

S20

– A zatem grota należała do klanu konia? – odezwała się Quin.

Kształty na ścianie wyglądały, jakby wyrzeźbiono je czymś nadzwyczaj gorącym. Quin ostrożnie okrążyła martwe ciała i przyjrzała się im z bliska.

– Wydaje się, jakby wytopiono je w skale – rzekła do Shinobu, przesuwając palcami po kamieniu.

Chłopiec podszedł do niej i dotknął napisu.

– Czym można by to zrobić? – zapytał. – Jakimś współczesnym narzędziem?

Quin pokręciła głową.

– Naprawdę nie wiem.

– Suma tych liczb wynosi dwieście – zauważył.

– Rzeczywiście – przyznała. – Jak w dzienniku. Ale dwieście *czego*? I co oznaczają litery P, D i S?

Shinobu przez kilka chwil przyglądał się ścianie.

– Peso, dolary, szylingi? – zasugerował. – Albo imiona? Pippa, Dougal, Sylvia?

Quin się roześmiała, chociaż wydawało się bluźnierstwem żartowanie w pobliżu tych zwłok. Wyjęła z kieszeni notes i zapisała liczby i litery. Następnie obeszli grotę, szukając na ścianach i suficie innych wyrytych napisów, lecz żadnych nie znaleźli.

– Powinniśmy dowiedzieć się, gdzie dokładnie jesteśmy – powiedziała Quin.

Wycofali się z powrotem na zewnątrz. Quin zaskoczyło, że w lesie panuje taki sam chłodny, szary poranek jak wtedy, gdy wchodzili do groty.

Shinobu znów rozwinął mapę, rozłożył ją na zboczu pagórka i wyjął lokalizator. Po kilku chwilach zaznaczył na mapie ich dokładne położenie. Znajdowali się w pewnej odległości od pierwszego miejsca, nadal na północy Szkocji i wciąż pośrodku pustkowia. Quin powiodła palcem na mapie od poprzedniego miejsca ich pobytu do obecnego i wyglądało na to, że dystans wynosi mniej więcej sześćdziesiąt kilometrów. Według mapy byli w pobliżu innego odcinka tej samej rzeki, tak jak wynikało z notatki w dzienniku. Quin znieruchomiała na kilka chwil, nasłuchując, i pochwyciła cichy, odległy szmer płynącej wody.

– Myślisz, że liczby w grocie oznaczają kilometry? – zapytał Shinobu.

– Jeżeli wyryto je dawno temu, mogą oznaczać cokolwiek, nie sądzisz? Wiorsty, furlongi.

– Jardy – podsunął Shinobu. – Albo coś całkiem innego, na przykład liczbę ciosów morferem.

– Albo wagę.

– Albo to, ile kanapek wzięłaś ze sobą.

Quin zaśmiała się z tego. Potem powiedziała, już poważnie:

– W notatce w dzienniku Średni Sędzia zabija członka klanu konia i wywleka gdzieś ciało. Czy przyniósł je do tej groty? Czy najstarsze zwłoki tutaj to trup Poszukiwacza, o którym wspomniano w dzienniku?

– Stary Sędzia przeprosił za to, co zrobił Średni, i powiedział, że on już nigdy więcej nie uczyni niczego złego – rozważał na głos Shinobu. – W takim razie kto zamordował pozostałych ludzi, których zwłoki leżą w grocie?

Nie potrafili na to odpowiedzieć. Quin nie była pewna, czy w tym momencie potrzebuje odpowiedzi – wciąż jeszcze zdumiewało ją, że cokolwiek znaleźli. Przez

następną godzinę obchodzili pagórek, a potem przeczesywali otaczający go fragment lasu. Ale nie natrafili na nic więcej.

– Jak się czujesz? – zapytała Quin chłopca, kiedy siedzieli na polanie i jedli skromny lunch, który ze sobą zabrali.

Spojrzał na nią i uniósł brew.

– Chcesz dotrzeć do miejsca wymienionego w trzecim wpisie w dzienniku, tak?

Popatrzyła na niego z zakłopotaniem; niemal drżała z niecierpliwego wyczekiwania. Nie znaleźli niczego w pierwszym miejscu, a coś w drugim. Co zastaną w trzecim?

– Nie martw się o mnie – powiedział Shinobu. – Czuję się, jakby nic nie było w stanie mnie powstrzymać.

Skinęła głową.

– Ja też trochę tak się czuję.

Dokończyli posiłek. Potem Quin wyjęła athamen z pochwy przy pasku. Ustawiła pierścienie tak, by przyrząd sprowadził ich do miejsca opisanego w trzeciej notce w dzienniku – tam, gdzie dawno temu widziano Średniego Sędziego szkolącego dwóch młodych chłopców.

Rozdział 23
Nott

W Dun Tarm padał deszcz, a z jeziora unosiły się grube pasma mgły, przesłaniając las. Odległe skaliste szczyty jawiły się jako ciemne kształty wyzierające przez zasłonę szarości.

– Ile jeszcze razy zamierzasz mnie uderzyć? – zapytał Nott leżący na podłodze fortecy, z twarzą w kałuży stęchłej wody z jeziora; w jego głowę bębniły krople deszczu.

– Przyjmiesz bicie bez narzekań – odparł brązowoskóry Obserwator.

Nazywał się Geb. Nott wiedział to, gdyż Obserwator przedstawił się, zanim zaczął okładać go pięściami. Geb miał prawdopodobnie nie więcej niż osiemnaście lat, lecz zdawał się uważać za drugiego po ich mistrzu.

Jego młodszy partner, chudy chłopak zwany Balil, regularnie walił pięścią w brzuch Wilkina. Wilkin wydawał zduszone jęki, ale Nott odczuwał dumę, widząc, że jego towarzysz nie płacze. Dlaczego mieliby dać Obserwatorom tę satysfakcję?

Opuściwszy tamten dziwny pokój w Hongkongu pełen komputerów, wypełnili w końcu polecenia mistrza. Po długiej wędrówce Tam znaleźli Geba i Balila stojących nieruchomo niczym posągi na kościelnym dziedzińcu i czekających, aż ktoś sprowadzi ich z powrotem do realnego świata. Nott zobaczył też w oddali postacie innych Obserwatorów, także oczekujących w ciemności. W idealnym świecie uratowaliby ich wszystkich. Ale to nie był idealny świat, ponieważ nie mieli swojego hełmu. Zanim odszukali Geba i Balila, groziło im, że zagubią się w bezczasie tego miejsca, musieli więc poprzestać na sprowadzeniu tylko tych dwóch.

Wycięli w przestrzeni anomalię prowadzącą z powrotem do Dun Tarm i powlekli ze sobą Geba i Balila. Starsi chłopcy mieli zesztywniałe kończyny, chociaż ich skóra była miękka, i trzeba było zdrowo się natrudzić, żeby przeciągnąć ich przez zimną wodę jeziora, a potem wrzucić do chronionej części fortecy, aby zaczekać, aż się ockną.

Geb i Balil mieli ten rodzaj bardzo ciemnej skóry, jaką Nott kojarzył z głębokim rejonem Afryki. Zastanowił się przelotnie, gdzie i kiedy mistrz ich zwerbował. Mistrz szkolił w Dun Tarm wszystkich Obserwatorów – uczył ich tam radości walki i rozmaitych sposobów zabijania, wpajał im konieczność wypełniania jego rozkazów, karał ich i wypędzał stamtąd, jeśli okazali nieposłuszeństwo. Ale oczywiście szkolenie odbywało się przez wiele dziesięcioleci albo może jeszcze dłużej, więc Obserwatorzy mogli pochodzić z wszystkich części świata – zewsząd, gdzie mistrz znalazł obiecujących chłopców, aby kształtować ich na swe podobieństwo.

Większość Obserwatorów wykupiono od ich rodzin, niektórych wykradziono. Nott został wykupiony za kilka drobnych srebrnych monet. Pamiętał, jak pierwszy raz ujrzał przelotnie swojego mistrza, zwalistego jak byk, z twarzą niestworzoną do uśmiechu, w czarnej pelerynie, która zwisała mu z ramion, jakby była częścią jego ciała. Notta ogarnęło przerażenie, gdy ten mężczyzna zabrał go od matki, która nie zważała na syna, zajęta ukrywaniem otrzymanych monet w podartym bucie. Mistrz pchnął go brutalnie, gdy Nott, odchodząc, zwolnił, by spojrzeć za siebie na rodzinną chatę, która prawdę mówiąc, była czymś niewiele więcej niż stertą kamieni podpartych ubitą ziemią.

Teraz Nott leżący na podłodze fortecy Dun Tarm uniósł się na łokciu. Zobaczył odbicie swojej twarzy w kałuży, z której przed chwilą wyciągnął głowę. Odpowiedziała mu spojrzeniem twarz starszego brata – o jasnej skórze, z mnóstwem piegów i solidnie ubłoconymi włosami. „Odger – pomyślał. – Dorosłem i wyglądam teraz jak Odger". Gdyby Odger był tamtego ranka w domu, nigdy nie pozwoliłby ich matce, żeby sprzedała Notta. Odger był jego przyjacielem i obrońcą. Nauczył Notta łowić ryby w strumieniu za domem. Nauczył go też nie ściągać na siebie uwagi, kiedy ich ojciec znajdował się w pobliżu.

Ale Odgera nie było tam w dniu, kiedy mistrz kupił Notta. „Czy to dobrze, czy źle?", zastanawiał się Nott. Mistrz nauczył go walczyć i robić ze światem porządek. Uczynił z niego kogoś więcej niż zwykłego chłopca. Ale Odger, dwa lata od niego starszy i twardy jak żelazny pogrzebacz, który ich matka trzymała przy palenisku, sprawiał, że Nott czuł… jakie było na to słowo? Może *ciepło*? Tak, możliwe. Odger sprawiał, że Nott czuł ciepło – nie takie, jak kiedy siedzi się przed ogniem, lecz ciepło w środku.

Czy lepiej być Obserwatorem i wiedzieć, że jest się kimś lepszym od wszystkich innych na świecie, czy lepiej czuć ciepło? Nott nie był pewien.

Z miejsca, gdzie leżał na podłodze fortecy Dun Tarm, widział martwego jelenia na dworze przed wejściem. Oko zwierzęcia zdawało się zerkać na niego. „Nie nosiłeś hełmu od kilku dni – szepnął jeleń. – Nie myślisz jasno". Jeleń miał rację – po co Nott jeszcze przejmował się Odgerem?

Wszystkie te myśli przebiegły mu przez głowę w jednej chwili, ale Geb już niecierpliwie szturchał go w żebra czubkiem buta.

– No, wstawaj.

Nott podniósł się z wysiłkiem, bo w głowie dzwoniło mu po ostatnim uderzeniu, i stanął niepewnie. Karłowate drzewka wyrastające między popękanymi kamiennymi płytami podłogi chwiały się w podmuchach zimnego, wilgotnego wiatru. Chłopiec zadrżał.

Geb z szerokim uśmiechem zamierzył się, by znowu go walnąć. Starszy Obserwator ukazał w tym uśmiechu zęby z ciemnymi plamkami identycznymi jak u Notta. Geb i Balil też mieli swój hełm – choć oczywiście nigdy nie pozwoliliby Nottowi go użyć.

– Czy przynajmniej mogę się bronić? – zapytał młodszy chłopiec, usiłując ustać prosto.

– Jak gdbyś mógł się przede mną obronić! – rzucił drwiąco starszy. – Ledwie nadajesz się na Obserwatora, ty nędzny karyplu.

– Nie jestem karyplem! – krzyknął Nott. – Ciągle jeszcze rosnę.

– Jesteś karyplem, który nie potrafi wypełniać rozkazów – odparł Geb i uderzył go otwartą dłonią w twarz. – To twoja kara za zwlekanie z uratowaniem nas. I za zgubienie waszego hełmu. Postaraj się, żeby była dla ciebie nauczką.

Kopnął Notta w klatkę piersiową i młodszy chłopiec znowu upadł na podłogę. Nott był w pewnym sensie zadowolony z tego bicia, gdyż odwracało jego myśli od utraty hełmu. Leżał przez chwilę, rozkoszując się solidnością twardych kamiennych płyt pod sobą.

– Jak dawno nasz mistrz zaginął? – zapytał Geb.

– Przed kilkoma tygodniami – wyznał Nott. Potem, wciąż nie wstając, wyjaśnił: – Odnaleźliśmy jego athamen. Wilkin uznał, że powinniśmy go odzyskać.

– Czy nasz mistrz kiedykolwiek powiedział, że macie odzyskać jego athamen, zamiast odszukać jego samego?

Nie!

Oczywiście Nott to wiedział. Właśnie o tym usiłował przez cały czas przekonać Wilkina.

– Co powinniście byli zrobić, Nott?

– Powinniśmy zbudzić wszystkie pary Obserwatorów ukryte w tamtym ciemnym miejscu.

– A potem?

– Powinniśmy wszyscy wyruszyć od naszego wyznaczonego punktu i iść przez ciemność *tamtego miejsca*, rozpraszając się na wszystkie strony i szukając naszego mistrza, dopóki go nie znajdziemy.

Nott wyobrażał sobie niegdyś, że Tam jest wielkie jak cały świat, ale mistrz wyprowadził go z błędu, kiedy instruował swoich Obserwatorów, jak mają go odszukać w mroku poza czasem. Wyjaśnił im, że Tam jest o wiele mniejsze i bardziej skupione niż przestrzeń świata. W istocie, jeśli zdołasz uchronić się przed zabłądzeniem, możesz obejść całe to miejsce w jeden dzień. Właśnie to mają zrobić Obserwatorzy, szukając swojego mistrza.

– Zgadza się – rzekł Geb. – Dokładnie tak mieliście postąpić. Teraz musimy nadrobić czas, jaki straciliście. Mistrz będzie na nas zły za to, co jest waszą winą.

– Byliście nieprzytomni i bezradni, kiedy przenosiliśmy was przez anomalię – wymamrotał Nott z głową wciąż na ziemi. – Ocknęliście się dopiero po kilku godzinach. Ochroniłem was. Mógłbym pobić cię, gdy leżałeś nieprzytomny.

To nie było do końca prawdą. W rzeczywistości Nott i Wilkin zostawili Geba i Balila bez opieki na dość długi czas, który wykorzystali, żeby odstawić Briaca z powrotem do domu wariatów na obrzeżach Londynu. Ale Geb nie miał jak się o tym dowiedzieć.

– Gdybyś wyrządził nam krzywdę, mistrz wtrąciłby cię do twojej pieczary – odparł starszy chłopak. – Zresztą pewnie i tak to zrobi.

Złapał Notta za koszulę i szarpnięciem podniósł z ziemi. W tym momencie kruszejącymi murami tej fortecy nad jeziorem wstrząsnęła wibracja. Wszyscy czterej Obserwatorzy odwrócili się i wyjrzeli przez otwór wejściowy Dun Tarm.

Powietrze tuż na zewnątrz drgało. Na oczach Obserwatorów rozcinane wątki świata wiły się i odrywały jedne od drugich. Ktoś używał athamenu, by dostać się do ich fortecy.

– To nasz mistrz! – wykrzyknął z zapałem Geb. – On się z wami rozprawi.

Po chwili wycięto w przestrzeni wystarczająco duży krąg, by Nott mógł dostrzec, kto jest po tamtej stronie. W ciemności majaczyły dwie postacie. Żadna z nich nie była ich mistrzem (Jak mógłby to być on, skoro nie miał swojego athamenu?).

– To oni! – wrzasnął Nott, obdarzony wzrokiem bystrzejszym niż pozostali. – Wilkin, to oni!

W ciemności stali Quin i jej wysoki, rudowłosy towarzysz, zamierzając wtargnąć na teren fortecy należącej do Obserwatorów.

Co więcej, z górnej części plecaka na ramionach tego wysokiego intruza wystawała krawędź hełmu Notta. A więc to oni go ukradli! Oczywiście. Wcale nie zginął. Byli złodziejami – najpierw skradli athamen mistrza, a potem ten drogocenny hełm.

– Wilkin, oni mają nasz hełm! – krzyknął Nott.

Ze zwierzęcym rykiem wyrwał się trzymającemu go Gebowi, potykając się, przebiegł przez salę i chwycił swój morfer. Gdy gnał w kierunku twardniejącej anomalii, usłyszał, że pozostali podążają tuż za nim. Zerknął za siebie i zobaczył, że Geb wkłada na głowę swój hełm.

„Dobrze – pomyślał. – To się nam przyda".

W jednej chwili zapomnieli o całym swoim szkoleniu, o wszystkich planach ich mistrza. Wypadli z fortecy z dobytą bronią, gotowi odebrać athamen, a także hełm Notta. A dlaczego nie? Ten, komu uda się odzyskać te przedmioty, stanie się z pewnością faworytem mistrza i nigdy, przenigdy nie zostanie zesłany na śmierć do pieczary.

Rozdział 24
Shinobu

Tu jestem ja,

Tam gniazdo me.

Dobrze wiem, gdzie

Początek mej drogi,

Gdzie znajdę jej kres.

Pęd rzeczy wpośród tych miejsc

Bezpieczny da mi powrót.

Shinobu i Quin recytowali razem hymn czasu. Stali ramię w ramię w ciemności *tamtego miejsca* i dziewczyna wykreślała w przestrzeni anomalię prowadzącą z powrotem do świata.

Gdy pasma światła i mroku wiły się i rozdzielały jedne od drugich, Shinobu ujrzał szary, deszczowy krajobraz – oczywiście była to znowu Szkocja. W oddali widniały zalesione zbocza spowite mgłą, a nad nimi wznosiły się ciemne skalne szczyty. Blisko, tuż po drugiej stronie anomalii, znajdowała się zrujnowana forteca, częściowo zapadająca się do jeziora. Właśnie o tej fortecy wspominał wpis w dzienniku.

Stała na pustkowiu i była w gruzach, ale nie pusta. Jeszcze zanim anomalia całkiem się otworzyła, Shinobu usłyszał krzyki i zobaczył czterech groźnie wyglądających chłopców, którzy biegli prosto na nich, wywijając morferami.

– Quin! – zawołał. – Wybierz inne współrzędne! Uruchom znowu athamen!

Lecz w tym samym momencie naszła go nader osobliwa myśl: „Oto oni. Zostań".

Pociągnął Quin kilkanaście kroków do tyłu, gdy ustawiała pokrętła athamenu, żeby przenieść ich gdzie indziej. Chłopcy byli już przy anomalii. Nie zatrzymali się, tylko przeskoczyli przez jej skłębioną granicę, jakby była niczym więcej niż zwykłym progiem domu.

„To obłęd!", pomyślał Shinobu.

Wskakiwanie do anomalii, żeby walczyć, było szaleństwem.

– Twój morfer! – rzucił do dziewczyny, trzaskając swoim.

W następnej chwili chłopcy zamierzyli się na Shinobu, który stanął pomiędzy nimi a Quin. Usiłował zyskać dla niej więcej czasu, żeby mogła użyć athamenu. Jeśli nie uda się jej szybko tego zrobić, zostaną uwięzieni. Ta myśl była przerażająca…

A jednak spodziewał się tych dwóch chłopców. Według wpisu w dzienniku właśnie w tym miejscu Średni szkolił „dwóch wyrostków niskiego urodzenia". Przez cały dzisiejszy dzień Shinobu gdzieś w tyle głowy oczekiwał spotkania z nimi. Co więcej, miał

nadzieję ich odnaleźć. To było konieczne. „Ale dlaczego to jest konieczne?”, zastanawiał się. Odpowiedź była równie prosta jak dziwna: fokal powiedział mu, że to konieczne.

Z miejsca, w którym walczył, Shinobu widział, że Quin ma kłopot z odczytaniem w słabym świetle symboli na pierścieniach athamenu. Jeszcze nie zdołała go uruchomić. Stała teraz obok Shinobu, odpierając cięcia czterech miniaturowych morferów. Odpowiednie oręże dla tej tak niedopasowanej czwórki – dwóch chłopców o skórze ciemnej i dwóch o jasnej. Jednak wszyscy czterej walczyli w tym samym zaciekłym stylu i emanowali tą samą śmiercionośną aurą. Anomalia znajdowała się za nimi, wskutek czego stali w cieniu i trudno było dokładnie śledzić ich ruchy.

Shinobu spodziewał się dwóch chłopców, lecz zastali czterech – a dwaj nowi byli starsi i więksi. Wszyscy czterej atakowali ich wściekle, rzucając się straceńczo w mroczny, dryfujący czas Tam.

Shinobu czuł więź z nimi.

„Przestań – powiedział sobie. – Nie ma żadnej więzi”.

Niewielki rozmiar mieczy tych chłopców był dla nich zarówno wadą, jak i zaletą – wadą, ponieważ morfer Shinobu miał znacznie większy zasięg, ale zaletą, gdyż tamci mogli sprawniej operować swoimi orężami i spychać go do tyłu. Shinobu poruszył nadgarstkiem, czyniąc swój morfer równie krótkim jak ich broń.

Usłyszał, jak Quin mamrocze hymn czasu, usiłując w ten sposób zachować koncentrację.

„Tu jestem ja – zaczął w myślach – tam gniazdo me…”, ale musiał przerwać, gdyż walka angażowała całą jego uwagę.

– Nacieraj! – krzyknęła Quin. – Wypchnij ich przez anomalię!

– Próbuję!

Sparował cięcia i obrócił się, usiłując oddzielić dwóch chłopców od pozostałej dwójki, żeby móc łatwiej zepchnąć ich do tyłu.

Stracił już rachubę, jak długo walczą. Czas się wydłużał. Mięśnie Shinobu pracowały teraz inaczej.

– Anomalia się zamyka! – ostrzegła Quin obok niego. W jej głosie brzmiała desperacja i Shinobu wyczuwał, że czyniła heroiczny wysiłek, by odrzucić napastników wstecz. – Nacieraj!

– Już za późno – odrzekł i własny głos wydał mu się obcy i odległy.

Anomalia była poza ich zasięgiem i traciła kształt. Światło znikało. A potem zgasło.

Usłyszał w ciemności, jak Quin zadała wściekły cios, a potem włączyła latarkę, którą wzięła od niego w lesie. Skierowała światło na twarze chłopców i jednocześnie znów zamachnęła się na nich morferem.

– „Tu jestem ja – zaczęła recytować – tam gniazdo me. Dobrze wiem, gdzie początek mej drogi…”. Shinobu, mów hymn!

Próbował.

W tańczącym promieniu latarki jego ręce poruszyły się instynktownie, parując cięcia dwóch walczących z nim chłopców. Jak udawało mu się dotrzymać im kroku? Jego umysł niespiesznie rozważył to pytanie i Shinobu ujrzał odpowiedź: nie dotrzymywał im

kroku, lecz zwalniał, ale chłopcy też zwalniali.

Wszyscy oprócz jednego. Najstarszy nadal walczył w odpowiednim tempie i poruszał się zbyt szybko, by wzrok Shinobu mógł za nim nadążyć. Morfer Quin migał to tu, to tam, a promień światła chwiał się i kołysał szaleńczo. Dziewczyna doskonale potrafiła zachować koncentrację.

– „Tu jestem ja – mówiła tak szybko, że Shinobu ledwie mógł zrozumieć słowa – tam gniazdo me…". Shinobu, bierz go!

Najstarszy napastnik zwalił się na niego. W świetle podskakującego promienia latarki Shinobu zobaczył krew na jego piersi – i coś jeszcze: ten chłopak nosił fokal.

Wibracja. Dzienne światło. Shinobu poczuł gwałtowne szarpniecie z tyłu. Upadł i wylądował na trawie i miękkiej ziemi.

Oddychał, wiedział przynajmniej tyle. Czuł w dłoni rękojeść swojego morfera. Ale powietrze, wietrzyk, chmury na niebie – wszystko poruszało się zbyt szybko.

Quin stała w trawie nieopodal, wciąż walcząc z chłopakiem w kasku.

– Shinobu! – zawołała, gdy jej morfer uderzył w przeciwnika. – Proszę, wstań!

„Quin… Quin…".

Shinobu siłą woli wyrwał się z powrotem do zwykłego strumienia czasu.

Natychmiast stał się świadomy bólu. W trakcie walki dawne obrażenia dały o sobie znać: żebra, noga, rana w boku od miecza. Przez ostatnie kilka dni wszystko go bolało – ponieważ zmusił się, by przestać używać fokala. Ale ta walka zmieniła przewlekły ból w ostry.

Nie chciał nosić fokala. Przyrzekł to sobie. Nie wiedział, co mogłoby go spotkać, gdyby znowu włożył ten kask.

– Shinobu!

Przetoczył się na bok, szarpnięciem otworzył swój plecak i chwycił kask. Zabrał go na ich wyprawę do Szkocji i ukrył przed Quin, chociaż w końcu fokal jakoś znalazł się u góry plecaka, po tym jak Shinobu wyjął z niego latarkę dla dziewczyny. Zabrał fokal nie dlatego, że zamierzał go użyć, ale ponieważ nie mógł znieść myśli o pozostawieniu kasku w Hongkongu, na drugim końcu świata. Ale teraz nie było wyboru. Czuł ból, a Quin groziło niebezpieczeństwo.

Uniósł fokal do głowy…

I coś mocno uderzyło go w pierś.

– Oddaj go! Oddaj go!

Okładały go czyjeś piąstki. Najmniejszy z chłopców siedział na nim okrakiem, wyrywał mu fokal i grzmocił go, gdzie popadnie.

Shinobu złapał chłopca garścią za koszulę, zobaczył piegi i poczerniałe zęby, poczuł obrzydliwy odór gnijącego mięsa. Walnął chłopca z byka w głowę. Jego piegowaty przeciwnik natychmiast zwiotczał, co pozwoliło Shinobu podźwignąć się na kolano. Wtedy chłopiec rozpaczliwie sięgnął po fokal, drapiąc paznokciami dłonie Shinobu.

„Nikt mi nie odbierze kasku – pomyślał Shinobu. – Jest mój".

Pchnął nogą małego chłopca w pierś, odrzucił go od siebie i wciągnął na głowę kask.

Jego uszy wypełniła przenikliwa, dokuczliwa wibracja, ale nauczył się już cieszyć tym doznaniem. Jeszcze zanim fokal znalazł się na miejscu, Shinobu zrozumiał, że ten przyrząd umożliwi mu zwycięskie zakończenie walki. Ból mijał, zastąpiony przez wyostrzoną percepcję. Shinobu zobaczył, że są w szkockiej posiadłości. Quin po ciemku wybrała współrzędne, które najlepiej znała.

Najmłodszy chłopiec – ten, którego Shinobu odkopnął – zrywał się z powrotem na nogi.

„Nott. On ma na imię Nott".

Shinobu przypomniał to sobie z ich pierwszego spotkania. Albo może to imię przechowało się wewnątrz fokala? Pozostali trzej chłopcy całym pędem ścigali Quin w kierunku błoni.

„Chcą odzyskać fokal, ale jeszcze bardziej zależy im na athamenie Sędziów – pomyślał Shinobu, pojmując to, co szeptał mu kask. – Chcą tych przedmiotów, gdyż należą one do ich mistrza, Średniego Sędziego. Bez niego są tylko paskudnymi dzieciakami. Z nim mają cel w życiu.

Ale Średni Sędzia zaginął".

Shinobu popatrzył w dół na swoje ręce i nogi. Nosząc fokal, odnosił wrażenie, że jego członki są oddalone od niego, ale sprawniejsze.

Pognał szybko za Quin.

Trawa na błoniach niekoszona przez prawie dwa lata wybujała na ponad półtora metra. Chłopcy i Quin znajdowali się pośrodku błoni; nad wysokimi łodygami widać było tylko czubki ich głów. Jeden z napastników mocno uderzył dziewczynę pięścią.

– Hej! – wrzasnął Shinobu.

Jego umysł i fokal działały wspólnie i Shinobu ujrzał każdy ruch, jaki musi zrobić, żeby pokonać przeciwników. Był to efekt jego wiedzy i doświadczenia w walce, precyzowanych przez fokal; wydawało się to doznaniem odmiennym od innych, jakich zazwyczaj doświadczał, nosząc kask, nowych i sekretnych.

Gdy zbliżył się do napastników, zobaczył, że wszyscy są poważnie ranni. Mieli ziemiste twarze i stracili swoją początkową wybuchową energię. Wbiegł pomiędzy nich z pełną prędkością, sprawiając, że powpadali na siebie. Jeden ze starszych przeciwników pod wpływem impetu zgubił swój morfer. Zawrócił po niego, a potem dalej uciekał.

Inny z przeciwników, ten, którego Shinobu już wcześniej widział – Wilkin – wyglądał rozpaczliwie. Miał posiniaczoną twarz i mocno krwawił z nosa. Shinobu rzucił się ku niemu groźnie i to wystarczyło. Wilkin, zataczając się, odbiegł przez wysoką trawę, a za nim w pewnej odległości podążył Nott.

Zaledwie kilka metrów od Shinobu najstarszy chłopak, ciemnoskóry i wysoki, ten noszący fokal, przygważdżał Quin do ziemi. Stał na jednej z jej rąk i wznosił morfer do ciosu.

„On ją zabije – pomyślał Shinobu. – A ja jestem za daleko…".

Poczuł przypływ przerażenia. Uszy przeszył mu pisk kasku. Pomiędzy myślami jego i fokala zapanowała nagle dysharmonia, jakby panika Shinobu nie mogła się właściwie połączyć z intensywną percepcją sprowadzaną przez kask. Jego umysł natychmiast zaczął spierać się sam z sobą.

„Quin”.

„Ci chłopcy – chciałem ich odnaleźć”.

„Quin. On uderzy ją mieczem”.

„Ona nie jest ważna. Liczą się ci chłopcy”.

„Tylko ona się liczy. Quin!”.

Morfer błyskawicznie runął w dół ku głowie Quin. Dziewczyna odtoczyła się na buty chłopaka i miecz uderzył w trawę za nią.

Jej prześladowca wzniósł go ponownie.

„Szukałem tych chłopców. Można się nimi posłużyć”.

„Nie dbam o to. Quin! Quin!”.

Wibracja fokala stała się tak ostra i przenikliwa, że Shinobu miał wrażenie, jakby metal wbijał mu się w uszy. Ból stał się głębszy, obezwładniający, jakby umysł chłopca rozrywano na dwoje. Shinobu krzyknął, przedzierając się ciężko przez trawę.

„Może chcę czegoś innego”, pomyślał.

„Nie! Wiem, czego chcę”.

Poruszył nadgarstkiem, zwijając swój morfer. Potem strzelił z niego jak z bicza. Czarna oleista substancja owinęła się wokół ramienia tamtego chłopaka, a wtedy Shinobu szarpnięciem oderwał go od Quin. Mocno obrócił nadgarstek, przyciągając bicz z powrotem i nadając mu kształt miecza. Uniósł go, by uderzyć.

W momencie gdy spuszczał rękę, Quin chwyciła swój morfer i błyskawicznie wstała. Chłopak w fokalu, krwawiący i wyczerpany, popatrzył na nich oboje i pojął, że został pokonany. Pobiegł za pozostałymi trzema, którzy byli już przy skraju lasu.

Quin zrobiła kilka kroków za nim, a potem osunęła się na ziemię. Shinobu podbiegł do niej.

– Cześć – szepnęła, kiedy zobaczyła go nad sobą.

Jej czarne oczy spoglądały błędnie, włosy leżały rozrzucone na połamanych łodygach trawy.

– Cześć – odrzekł Shinobu, klękając przy Quin.

Delikatnie zbadał jej obrażenia, ale nie było krwi.

„Quin”, pomyślał.

Dlaczego obchodzili go cokolwiek tamci chłopcy? Widocznie przed chwilą coś zmąciło mu myśli. Liczyła się tylko Quin.

– Uderzył mnie w głowę – wyszeptała. – Pomyślałam sobie, że poleżę tu chwilkę…

Od strony lasu dobiegła ich wibracja. Chłopcy użyli athamenu.

– Czy zabrali ci athamen? – zapytał.

– Nie. To nie naszego athamenu używają – szepnęła. – To twój… czy twojej matki. Ten ze smokiem na głowicy.

– Co takiego?

– Mają athamen twojej rodziny. – Skupiła spojrzenie na Shinobu. – Nosisz fokal – wyszeptała.

– Musiałem – odrzekł. – Inaczej by mi się nie udało.

Skinęła głową, jej powieki opadły. Shinobu wsunął ręce pod dziewczynę i z łatwością ją podniósł.

– Zabieram cię z powrotem.
Jej głowa ciążyła mu na piersi. Quin była wyczerpana. Po chwili wymamrotała:
– Myślałam, że on mnie zabije. Ale ty go powstrzymałeś. Ocaliłeś mnie.

Rozdział 25
Quin

Shinobu przeniósł Quin przez anomalię z powrotem do Hongkongu. Gdy tylko znaleźli się bezpieczni w taksówce jadącej w kierunku mostu Tranzytowego, Quin ściągnęła chłopcu z głowy fokal. Shinobu natychmiast osunął się bezwładnie obok niej. Podtrzymała go, a on przycisnął ręce do brzucha i jęknął cicho, jakby ciało dopiero teraz pogodziło się z oddzieleniem od kasku.

Dziewczynie głowa pękała z bólu. Czuła się oszołomiona po ciosie pięścią, jaki zadał jej najstarszy chłopak. Zamknęła oczy, oparła głowę o siedzenie i poczuła, że wnętrze taksówki wiruje wokół niej.

Kiedy samochód przejechał przez zatłoczone strome ulice i znaleźli się bliżej zatoki, Quin usłyszała, że oddech Shinobu się wyrównuje. Chłopiec leżał teraz, opierając głowę na jej kolanach, a gdy otworzyła oczy, zobaczyła, że spogląda na nią.

– Zabrałeś na wyprawę fokal – powiedziała.

To dlatego odwracał się, ilekroć otwierał plecak. Nie chciał, żeby zobaczyła kask.

Wyglądał na zawstydzonego. Zamknął oczy.

– Wcześniej też go nosiłem, Quin. Wiele razy.

– Nosiłeś?

Otworzył oczy, ale nie patrzył na nią.

– Nie wiem dlaczego. Ja… nie mogłem się powstrzymać. To było jak opium, tylko o wiele, wiele lepsze.

Pogładziła go po włosach i pochyliła się, tak że jej twarz znalazła się tuż przy jego twarzy.

– Uratowałeś mnie dzięki niemu. Uratowałeś nas oboje.

Skinął głową, ale nie wydawał się zadowolony z tego, co powiedziała. Potarł oczy, a potem ujął dłoń Quin w swoją. Patrzył na dziewczynę z tą charakterystyczną dla siebie miną mówiącą, że uczyni wszystko co konieczne, tak jak zrobił podczas tej walki i jak robił we wszystkich innych przypadkach, kiedy ją ratował.

– Może fokal mi dziś pomógł – wyszeptał – ale nie chcę go więcej nosić. Nie pozwól mi już nigdy go włożyć.

– Czy było aż tak źle?

– Zawsze jest dziwnie. Ale dzisiaj, podczas walki, to *bolało*. Czułem, jak fokal burzy mi mózg.

Na jego twarzy pojawił się taki bolesny wyraz, że Quin przytuliła chłopca mocniej, jakby mogła w ten sposób odegnać złe wspomnienie.

– Nie pozwolę ci go więcej użyć – przyrzekła. – Znajdę jakieś miejsce, w którym schowam go pod kluczem.

– To dobrze – rzekł. – Dobrze.

Jej głowa opadła na oparcie siedzenia i Quin patrzyła na budynki przesuwające się za oknem taksówki.

– Mieliśmy rację co do tych chłopców i Średniego Sędziego – powiedziała po pewnym czasie. – Oni nadal tam byli, w tej fortecy, w której szkolił ich przed niemal

dwoma wiekami.

– Tak, byli – przytaknął Shinobu, trzymając mocno jej dłoń.

Kiedy dojechali do krańca mostu Tranzytowego po stronie wyspy Hongkong, wysiedli z taksówki i chwiejnym krokiem weszli na główną ulicę mostu. Quin była po walce kompletnie wypompowana, a Shinobu z trudem utrzymywał otwarte powieki. Wspierając się na sobie nawzajem, dotarli do jej domu.

Fiona wepchnęła ich do gabinetu Quin, gdzie przemyła i oczyściła im rozcięcia i sińce, podczas gdy dziewczyna próbowała wyjaśnić część z tego, co się wydarzyło. Potem matka pomogła im wejść po schodach na piętro i oboje padli na łóżko.

Po wyjściu Fiony chłopiec przygarnął Quin bliżej i przytulił do siebie. Dziewczyna czuła się, jak zwykł mawiać ojciec Shinobu, niczym posiniaczony worek ziemniaków – i to taki, który nie spał od kilku dni.

– Naprawdę nie sądziłam, że opierając się na tych wpisach w dzienniku, cokolwiek znajdziemy – szepnęła. – A przynajmniej nic aż tak dramatycznego.

– Średni Sędzia bardzo pracowicie spędzał czas – wymamrotał Shinobu w jej ucho. – A cokolwiek robił… część z tego nadal się dzieje z tamtymi chłopcami.

Skinęła głową.

– A teraz cicho sza – rzekła łagodnie. – Nie zdołam już ani chwili dłużej utrzymać otwartych oczu.

– Zawsze próbujesz przespać się ze mną – wymamrotał niemal niesłyszalnie, jakby też był ledwie przytomny.

Quin uśmiechnęła się i odpłynęła w sen.

Obudził ją ciepły blask słońca wpływający przez okno przy jej łóżku. Ciało miała obolałe, ale długi, głęboki sen ją pokrzepił. Wciąż z zamkniętymi powiekami sięgnęła do Shinobu. Natrafiła tylko na zmiętą, chłodną pościel.

Otworzyła oczy. Leżała w łóżku sama, nadal w brudnym wczorajszym ubraniu, z bryzgami błota na spodniach.

– Shinobu?! – zawołała.

Usłyszała kroki na parterze, ale gdy przez chwilę się wsłuchała, zorientowała się, że to jej matka, nie Shinobu.

Gdy wstała, zobaczyła notkę na podłodze sypialni.

Quin,

muszę wyjść. Coś jest nie w porządku z moją głową. Nie martw się. Poradzę sobie z tym.

S

Zrozumiała natychmiast, że fokal wyrządził mu krzywdę. Czy Shinobu kiedykolwiek stosował się do instrukcji Mariko, dotyczących używania kasku?

Zbiegła po schodach i zajrzała do wszystkich pokoi na parterze. Zastała Fionę katalogującą zioła w gabinecie zabiegowym, ale nigdzie nie znalazła Shinobu.

Wróciła na górę i otworzyła szafę wnękową w swojej sypialni. Ubiegłej nocy,

zanim padli na łóżko, wrzuciła do niej fokal. Wydawała się wystarczająco bezpiecznym miejscem, tylko na jedną noc, zanim zdoła lepiej go ukryć.

Ale w szafie nie było fokala. Przeszukała cały dom, żeby się upewnić, lecz metalowy kask zniknął.

Zniknął też athamen Sędziów.

Rozdział 26
Catherine

19 LAT WCZEŚNIEJ

Wagon zatrząsł się na zakręcie, a lampy zamigotały, zgasły i znów się zapaliły. Catherine była w Londynie, szarym i deszczowym Londynie, który sprawiał o wiele surowsze wrażenie niż Hongkong. Zachwiała się, gdy pociąg wyjeżdżał na prosty odcinek toru; za oknami przemykał ciemny tunel. Jechała metrem na spotkanie z rodzicami.

Zabronili jej poruszać się po Londynie samej, bez opieki, ale to ignorowała. Rodzice przypuszczalnie mieli rację. Anna nie żyła, a ona, Catherine, niemal została zabita w klubie w Hongkongu. Wciąż jeszcze miała po tym zajściu sińce z tyłu głowy i z boku szczęki. Ale nie była bezbronna. Gdy pociąg wszedł w kolejny zakręt, poczuła na plecach krzepiący ciężar morfera. I stała, chociaż w wagonie tylko połowa miejsc siedzących była zajęta, gdyż w tej pozycji mogła zachować czujność. Jeżeli jakiś kolejny tajemniczy Poszukiwacz zamierzał ją zaatakować, nie zostanie zaskoczona. Dobrze było wrócić, czuć się gotową do walki, znów być Poszukiwaczką.

Tego samego dnia, kiedy Catherine napadnięto w Hongkongu, Annę zaatakował ktoś inny szukający ich athamenu, być może brat osobnika, który napadł na Catherine. Anna przed śmiercią zdołała powiedzieć przynajmniej tyle. Ich rodzice wywnioskowali z ilości krwi na miejscu zbrodni, że córka ciężko zraniła napastnika, jednak zmarła w drodze do szpitala. Athamen ocalał, ukryty bezpiecznie w bankowym sejfie rodziców.

Catherine z trudem mogła uwierzyć, że jej siostra nie żyje. Kochała Annę, starszą od niej tylko o rok, lecz nigdy nie łączyła ich bliska więź. Przeważnie się kłóciły, a gdy Catherine sięgała pamięcią do dzieciństwa, jawiło się jej jako pełne małostkowej rywalizacji i okrucieństwa. Anna była ładniejsza od niej, lepsza w matematyce i przedmiotach ścisłych, i nie omieszkała przypominać o tym każdego dnia, już od ich najwcześniejszych lat.

Pomimo wszystkich swoich talentów Anna okazywała zazdrość, gdy Catherine stała się lepsza od niej w sztukach walki. Nie lubiła, by młodsza siostra w czymkolwiek ją przewyższała. Kiedy Catherine, która też była urodziwa (nawet jeśli troszkę mniej niż starsza siostra), zaczęła przyciągać uwagę chłopców, Anna dała jej jasno do zrozumienia, że może być co najwyżej ich drugim wyborem. Gdy Catherine żywo zainteresowała się historią i tradycją Poszukiwaczy, Anna szydziła bezlitośnie z jej niekończących się pytań. Gdy marzyła o dobrych uczynkach, które będzie spełniać jako Poszukiwaczka, Anna wyśmiewała jej naiwność. A kiedy wróciła z Francji do domu z odzyskanym ich rodzinnym athamenem, zaginionym od stulecia, Anna z zawiści przestała się w ogóle do niej odzywać.

Ostatnią rozmowę odbyły zmuszone przez matkę. Przed miesiącem Anna pod wpływem nalegań matki zadzwoniła do Catherine do Hongkongu i przechwalała się, jak bardzo kocha chłopca, którego każą jej poślubić rodzice. Archibalda Harta. Głupie imię dla chłopaka, który z pewnością też jest głupi – musi być głupi, skoro w dzisiejszych czasach zgodził się na aranżowane małżeństwo. Nie był Poszukiwaczem, ale pochodził

z powszechnie znanej rodziny, a rodzice Anny uważali to za wielką zaletę.

– Archie jest taki przystojny. Naprawdę, ideał – mówiła Anna przez telefon z egzaltacją brzmiącą autentycznie, choć przypuszczalnie udawaną. – Twardy, prawdziwy mężczyzna, ale inteligentny. – Każde jej słowo wydawało się starannie wybrane po to, by sprawić, że Catherine poczuje się gorsza, bezwartościowa. – Jest we mnie zakochany po uszy, Cat. To dla mnie dość krępująca sytuacja. Przykro mi, że rodzice nie znaleźli podobnej partii dla ciebie. Ale nie martw się – na pewno w końcu też wybiorą ci kogoś takiego.

Jak gdyby Catherine nie miała nic lepszego do roboty niż siedzieć i czekać, jakiego to strasznego chłopaka rodzice będą próbowali jej wcisnąć. Wyjechała do Hongkongu właśnie dlatego, żeby oderwać się od tego wszystkiego.

Ostatecznie jednak wyszło całkiem inaczej, nie po myśli Catherine. Rodzice znaleźli dla niej nie tylko kogoś takiego jak Archie, lecz wręcz jego samego. Anna zmarła, ale nawiązanie więzi z rodziną chłopca najwyraźniej było nadal ważne, tak więc Catherine jechała teraz na spotkanie ze swoimi rodzicami i Archibaldem Hartem. Rodzice uznali, że powinna go teraz poślubić. Nazwisko rodu Archiego i athamen rodziny Catherine to byłoby idealne połączenie.

„Mam nadzieję, że on mnie nie znienawidzi – pomyślała Catherine nie po raz pierwszy. – Proszę, niech mnie nie znienawidzi".

Pociąg się zatrzymał i do środka wlała się nowa fala pasażerów. Gdy znów ruszył, Catherine spostrzegła Briaca Kincaida. Nie wszedł przez rozsuwane szklane drzwi z peronu razem z wszystkimi, lecz drzwiami na końcu, z sąsiedniego wagonu. I niewątpliwie jej szukał. Czy poszedł za nią do stacji metra, na której wsiadła do pociągu? Może nie była tak czujna, jak sądziła?

Briac zatrzymał się, gdy pochwycił spojrzenie Catherine. Miał teraz siedemnaście lat, podobnie jak ona, i urósł od czasu, kiedy ostatnio go widziała. Był w dżinsach i pulowerze, jak zwykły pasażer metra, ale ten ubiór wyglądał na nim jak przebranie. Catherine widywała go dotąd z morferem w ręku, w czarnej pelerynie zwisającej z ramienia, ze wzrokiem twardym i okrutnym. Teraz spoglądał mniej okrutnie. W jego oczach było coś niemal błagalnego.

Wymówił bezgłośnie, samymi wargami: „Porozmawiaj ze mną".

Catherine odruchowo przesunęła rękami po plecach, wymacując ukryty tam morfer. Poruszyła lekko prawym nadgarstkiem i w jej dłoń wpadł mały, ostry nóż.

„Oczywiście, porozmawiam z tobą", pomyślała, delikatnie gładząc kciukiem ostrze.

Przepchnęła się przez tłum pasażerów stojących w przejściu i znalazła się tuż obok Briaca. Chciał ująć ją za ramię, ale odsunęła się i przecisnęła pomiędzy kilkoma ostatnimi osobami na końcu wagonu. Otworzyła tylne drzwi i wyszła w hałaśliwy mrok platformy między wagonami. Tuż za skrajem platformy błyskawicznie przemykało podłoże tunelu, oświetlane co jakiś czas eksplozjami jaskrawego blasku lamp rozmieszczonych w równych odstępach na ścianach i stropie.

Skoro tylko Briac wyszedł za nią z wagonu, Catherine szarpnięciem odciągnęła go od drzwi, gdzie mogli go widzieć pasażerowie wewnątrz, i przyparła do metalowej

barierki. Prawą ręką przytknęła nóż do jego szyi.

– Brałeś w tym udział? – spytała. – Pomogłeś ją zabić?

– Kogo… Annę? Myślisz, że zamordowałem twoją siostrę? – odrzekł Briac.

Uniósł ręce w geście poddania się na znak, że nie zamierza walczyć.

„Kłamca – pomyślała Catherine. – Ty zawsze jesteś gotowy do walki".

– Nienawidzisz nas, Briac – powiedziała. – Czy brałeś w tym udział?

Dotknęła ostrzem noża skóry jego szyi, tak że musiał przycisnąć się do ściany wagonu.

– Nie, Catherine, nie brałem w tym udziału!

– A *on* brał udział? Ten człowiek, który napadł na mnie?

– Ktoś na ciebie napadł? – spytał Briac, szczerze zaskoczony.

– Tego samego dnia co na Annę. Jakiś Poszukiwacz. Chciał czegoś, co należy do mnie!

Odsunęła włosy na bok i pokazała Briacowi nadal widoczny żółknący siniak na szczęce, zanikający ślad twardej pięści na jej twarzy po napaści w Hongkongu.

– Ale uciekłaś mu – zauważył. W jego głosie brzmiała ulga i coś jeszcze. Może podziw, choć to wydawało się nieprawdopodobne. – Jesteś dobrą wojowniczką i…

– Nie tylko uciekłam. Zabiłam go.

– No cóż, to… to dobrze – rzekł Briac.

Wciąż wydawał się wstrząśnięty informacją, że Catherine napadnięto. Zaskoczył ją widok niepokoju w jego oczach.

– Nie, niedobrze – warknęła – ponieważ skoro jest martwy, nie mogę biciem wydusić z niego, jak się nazywa. – Była dumna z siebie, że to powiedziała, jakby istotnie mogła pobić tego napastnika. W rzeczywistości ledwie zdołała ujść z życiem. – Kim był? Początkowo wzięłam go za ciebie.

– Nie wiem – odparł Briac. Gdy znów przystawiła mu ostrze do gardła, uniósł ręce. – Naprawdę nie wiem, Catherine.

Przyjrzała mu się uważnie i nieco cofnęła nóż. Gdyby miała zgadywać, zdecydowałaby, że mówił prawdę – nie wiedział, kto zabił Annę.

Briac wyczuł, że Catherine chce go wysłuchać, i mówił dalej:

– Nie wiem, ilu Poszukiwaczy zostało na świecie ani którzy z nich mogliby cię ścigać. Większość z nas od pokoleń ukrywała się przed sobą nawzajem.

– Jak mam się dowiedzieć, kto napadł na mnie i moją siostrę?

– To nie jest ważne…

– Śmierć nie jest dla ciebie ważna? – zapytała, przerywając mu. – Założę się, że wyznaczane ci zadania wymagają częstego zabijania. Już nawet nie wiesz, ilu ludzi zamordowałeś.

Spodziewała się, że po tych słowach Briac wpadnie w gniew, spróbuje wyrwać jej nóż, ale tak się nie stało. Spojrzał na ostrze przy swoim gardle, a potem znów na nią.

– To nie jest ważne, ponieważ dzieją się o wiele ważniejsze rzeczy – powiedział, zniżając głos, jakby ktoś mógł ich podsłuchać na hałaśliwej platformie pomiędzy wagonami. – Rzeczy, które mogą okazać się… dobre, jeżeli staniemy po właściwej stronie, albo bardzo złe, jeśli tego nie uczynimy.

– Śmierć Anny mogłaby być czymś „dobrym”? Czy tak myślisz? A co z Emilem? Ten napastnik sugerował, że Emil być może też nie żyje.

– Naprawdę nie żyje? – spytał Brian, sprawiając wrażenie jeszcze bardziej zaniepokojonego.

– Nie jestem pewna.

Wydawało się, że Briac odepchnął od siebie niepokój.

– Catherine, musisz zapomnieć o Emilu. A nawet o Annie.

Dziewczyna obróciła w dłoni nóż i cofnęła rękę, a potem rąbnęła Briaca trzonkiem w brzuch. Chłopak zgiął się wpół.

Przyglądała się podejrzliwie, jak jęczał i prostował się, chwytając się ściany wagonu. Gdy znów stanął prosto, wyglądał na rozwścieczonego. Ale nie rzucił się na Catherine. Odetchnął głęboko, nieruchomy jak posąg.

– Wielu z nas zostanie zabitych lub zniknie – wycedził przez zęby. – Tak się dzieje już od jakiegoś czasu. Poszukiwacz występuje przeciwko Poszukiwaczowi. Wiesz o tym, prawda? My dwoje możemy w tej sytuacji albo zachować się sprytnie, albo zostać kolejnymi ofiarami.

Catherine przypomniała sobie o grocie lisa pod Mont Saint-Michel. Czy to możliwe, że ta i inne groty kryją w sobie tajemnicę tych zniknięć?

– Dlaczego Poszukiwacze nie zwracają się o pomoc do Sędziów? – zapytała. – Wiem, Średni Sędzia odwraca wzrok, kiedy są popełniane zbrodnie, albo oskarża zamiast winowajcy innego, niewinnego Poszukiwacza, ale co ze Starym Sędzią i z Młodą…

– Nikt do nich nie pójdzie, gdyż Stary zniknął przed wiekami, a Młoda nie zrobi nic bez pozwolenia Średniego.

– Ona pozostaje w cieniu Średniego, ale jest uczciwa…

– Posłuchaj, Catherine – przerwał jej Briac. – Są sprawy, o których nie wiesz. – Odwrócił od niej wzrok. – Sprzymierz się ze mną, a powiem ci, czego się dowiedziałem. – Powiedział to takim tonem, jakby oferował jej coś ogromnie cennego. – A ty powiesz mi wszystko, co wiesz. Masz teraz athamen…

– Skąd to wiesz?

– Wszyscy wiedzą! Sprzymierz się ze mną, a wtedy pojawi się szansa, że będziemy mogli… zrobić coś naprawdę dobrego dla siebie. I że nie skończymy jak Anna. Ponieważ ty masz swój dziennik, a ja potrafię zrobić z niego użytek.

– Mój dziennik? – Catherine po raz pierwszy w trakcie rozmowy poczuła się naprawdę zmieszana i zdezorientowana. – Skąd wiesz o moim dzienniku?

– Widziałem cię z nim, kiedy byliśmy uczniami, i nie tylko ja jeden. Mówiłaś uczniom o sprawach, które zapisujesz w dzienniku. Nie byłaś co do niego zbyt ostrożna, Catherine. – Pokręcił lekko głową i dodał: – Ten dziennik to lepsza broń niż jakakolwiek innego Poszukiwacza. Średni Sędzia nie chce, by ktokolwiek dowiedział się o jego występkach. Jeśli zostaniesz moją partnerką, pokażę ci, jak posłużyć się dziennikiem.

Popatrzyła mu w twarz, szukając jakiejś oznaki tego, że mówi szczerze. W jego twardym wzroku były niepokój i powaga, ale Catherine widziała w Briacu tylko brutalnego chłopaka, który napastował ją w lesie. Nigdy mu nie zaufa.

– Sądziłam, że jesteś zaręczony z Fioną MacBain. Nią możesz łatwo dyrygować.

Briac gniewnie uderzył dłonią w ścianę wagonu za sobą.

– Nie próbuję cię nakłonić, żebyś mnie poślubiła. Proponuję ci, żebyś została moim sprzymierzeńcem.

– Masz do tego Alistaira.

Briac przewrócił oczami.

– To beznadziejny romantyk. Chce stać się takim Poszukiwaczem jak ci z dawnych opowieści.

Catherine się zaśmiała, czując przypływ sympatii dla Alistaira.

– Ja też tego chcę. Nie wiedziałeś?

– To już dziś nie jest możliwe.

– Nie jest możliwe przez takich Poszukiwaczy jak ty, Briac. Takich *morderców* jak ty. Kiedy będziemy mieć lepszego Sędziego niż Średni, żeby nas pilnował…

– Myślisz, że ktoś go *zastąpi*? Zwariowałaś?

Znowu walnął ręką w ścianę wagonu. Wyglądał na autentycznie przestraszonego i to głęboko zaniepokoiło Catherine, Briac bowiem nie bał się byle czego. Gwałtownie chwycił ją za ramiona i potrząsnął mocno.

– Nie mów takich rzeczy, Catherine, słyszysz? Chyba nie chcesz ściągnąć na siebie uwagi Średniego? On już i tak słyszał o twoim dzienniku. Naprawdę chcesz stracić życie?

– Średni Sędzia mnie nie zabije. Sędziowie nie zabijają Poszukiwaczy, chyba że któryś Poszukiwacz złamie prawo. Nawet Średni tak nie postępuje. To Poszukiwacze mordują jedni drugich. Mnie zaatakował Poszukiwacz, a inny Poszukiwacz zabił Annę. Gdybyśmy mieli prawdziwego Średniego Sędziego, uczciwego i sprawiedliwego…

Briac znów nią potrząsnął.

– Po prostu przestań! Możemy pomóc sobie nawzajem i wtedy być może zyskamy szansę. Jeśli nie, *ktoś* cię zabije, Catherine.

– Zawsze wydawało mi się najbardziej prawdopodobne, że spośród Poszukiwaczy właśnie ty to zrobisz, Briac.

– Stale myślę o zabiciu ciebie – wyznał z powagą. Wbił palce w jej ramiona. – Jesteś nieznośna.

Catherine gwałtownym ruchem uniosła ręce, a potem opuściła łokcie, unieruchamiając Briacowi ręce przy jego żebrach. Szamotał się, a ona ruszyła do przodu, pchając go na skraj platformy. Chwycili się nawzajem mocno za ramiona, podczas gdy głowa Briaca znalazła się zaledwie kilkanaście centymetrów od umykającej w tył ściany tunelu.

Puściła go nagle i Briac rozpaczliwie usiłował złapać się poręczy. Catherine nie czekała, by zobaczyć, czy chłopak odzyska równowagę. Była już przy drzwiach do następnego wagonu.

– Trzymaj się ode mnie z daleka – rzuciła.

Rozdział 27
Catherine

19 LAT WCZEŚNIEJ

Catherine po konfrontacji z Briakiem musiała uporządkować ubranie w toalecie na stacji metra. Czuła się głupio w banalnej bluzce i spódniczce – matka wymogła na niej, żeby je włożyła – ale przynajmniej nie zostały podarte ani zabrudzone w trakcie niedawnego zajścia. Gdyby wyglądała choć trochę nieporządnie, matka zarzuciłaby ją pretensjami.

Opuściła stację i spotkała się z rodzicami na rogu ulicy. Matka poprowadziła ją do alejki za szeregiem okazałych rezydencji. Tam ściągnęła włosy Catherine do tyłu i splotła w warkocz. Na szczęce dziewczyny nadal widniały paskudne sińce, ale matka zostawiła kilka luźnych pasm włosów, żeby zasłoniły te ślady. Potem we troje podeszli do frontowych drzwi domu rodziny Hartów.

Pół godziny później warkocz był wciąż ściągnięty tak ciasno, że bolało ją czoło i podciągnięte do góry brwi. Wyobrażała sobie, że musi przez cały czas wyglądać na nadzwyczaj zdumioną. Ten jej domysł potwierdził się, gdy zerknęła w lustro nad kominkiem w tej eleganckiej miejskiej rezydencji.

Od jazdy metrem nie przestawała myśleć o dzienniku schowanym pod kluczem w szafce w domu rodziców. Natychmiast po powrocie z tego kłopotliwego spotkania znajdzie dla niego bezpieczniejsze miejsce.

– Lubisz samochody? – zagadnął ją Archie.

Stał obok niej przy oknie, gdy ich rodzice nalewali herbatę przy stoliku na środku salonu.

Salon był wielki i elegancki, z kominkami na obydwu końcach i wysokim sufitem z plafonem przedstawiającym niebo. Za wysokimi oknami rozpościerał się widok na inne imponujące londyńskie rezydencje oraz park na końcu ulicy. Jednak pomimo atrybutów wystawności i szacownej tradycji w domu panowała atmosfera zaniedbania. Rodzina Hartów nie była tak zamożna jak niegdyś. Catherine podejrzewała, że w przeciwnym razie nie musieliby żenić syna z dziewczyną z tak dziwacznej rodziny jak Renartowie.

Zwróciła spojrzenie na Archiego. Na nieszczęście był rzeczywiście tak przystojny, jak mówiła Anna. Siostra nie przesadzała i Catherine zdała sobie sprawę, że ma to chłopcu za złe. Jego rudobrązowe włosy, wprawdzie według Catherine odrobinę za długie, okalały urodziwą twarz o brązowych oczach niemal w tym samym odcieniu oraz ustach, które ku irytacji dziewczyny wciąż przykuwały jej wzrok. Miał na sobie frakowe spodnie i sweter, który zdawał się zrobiony specjalnie tak, by uwydatniał mięśnie barków i ramion. Archie był od niej starszy o kilka lat, lecz sprawiał wrażenie dzieciaka.

„Arogancki – pomyślała – i próżny. Idealny dla Anny".

Natychmiast pożałowała tej myśli. Nie chciała odczuwać pogardy dla zmarłej siostry.

– Samochody? – powtórzyła.

– Param się renowacją zabytkowych samochodów i motocykli – oświadczył. –

Mógłbym ci je kiedyś pokazać. Myślę, że by ci się spodobały.

– Dlaczego tak myślisz? – spytała i upiła łyk herbaty.

Gorący napój sparzył jej usta. Dziewczynie olbrzymim wysiłkiem udało się tego nie okazać i zachowywać, jakby nic się nie stało.

– No… bo są piękne – odrzekł Archie i oczy mu rozbłysły.

– Od trzech lat rzadko siedzę w samochodzie – oznajmiła mu. – W posiadłości ich nie ma.

– Więc tym bardziej byś je doceniła, nie sądzisz? – zapytał, nie dając się zniechęcić.

– Przyjechałam tutaj metrem – oświadczyła Catherine, jakby to definitywnie kończyło temat.

Wypiła następny łyk herbaty, która troszkę wystygła, jednak Catherine miała już sparzone usta, więc napój wydał się tak samo gorący. Tym razem nie zdołała ukryć grymasu bólu. Archie rzucił okiem na filiżankę, a potem na wyraz twarzy Catherine, jednak w żaden sposób tego nie skomentował. Ojciec z pewnością polecił mu nawiązać przyjazną relację z Catherine, podobnie jak jej rodzice kazali być dla niego miłą.

Wtem przejął ją nagły lęk, że Archie być może przygląda się sińcom na jej szczęce. Dyskretnie potrząsnęła głową, starając się, aby włosy znów zakryły te ślady.

– Czyli nigdy nie uczęszczałaś do porządnej szkoły? – zagadnął młodzieniec. – Uczyłaś się tylko w tej szkockiej posiadłości, o której wciąż słyszę?

– Porządnej szkoły? – powtórzyła, nie potrafiąc ukryć irytacji w głosie. – W posiadłości jest właśnie porządna szkoła. Nauczyliśmy się tam wielu rzeczy.

– Oczywiście. Nie miałem na myśli…

– Po prostu mieliśmy… o wiele więcej zajęć sportowych niż w typowej szkole.

– Anna mówiła mi o tym – oznajmił. Jak się zdawało, pożałował, że wspomniał o zmarłej siostrze Catherine. Wydawał się zmieszany, lecz dzielnie się opanował. – Jakie… jakie dyscypliny sportu uprawiasz? Ja boksuję.

Zamarkował wyprowadzenie paru ciosów, z oczywistym zamiarem zwrócenia uwagi Catherine na swoje muskuły. Odwróciła wzrok i przyjrzała się matce, która w rozmowie z ojcem Archiego komplementowała jego cenny serwis do herbaty.

– Głównie szermierkę – odpowiedziała na pytanie Archiego. – I biegi. Niektóre sztuki walki. Boks jest… no cóż, wydaje się dość łatwy, skoro ma tyle reguł, nieprawdaż? W prawdziwej walce przeciwnik rąbnie cię łokciem w krtań, jeśli dasz mu sposobność.

– Boks – łatwy? – spytał młodzieniec, wyraźnie poirytowany pomimo wysiłków, by znosić jej wyzywające zachowanie. Nieco zbyt energicznie postawił filiżankę na spodeczku. Zmusił się do ściszenia głosu. – Myślisz, że to łatwe – dostać cios z całej siły prosto w twarz?

– Czy cała sztuka nie polega na tym, żeby uniknąć uderzenia? – spytała. – O ile jest się w tym choć trochę dobrym.

– To nie zawsze się udaje, prawda? Czy kiedy fechtujesz, zawsze unikasz trafienia?

– Nie, nie zawsze – przyznała tonem mającym sugerować, że prawie nigdy nie otrzymuje trafienia.

Oczywiście to nie było prawdą, ale z drugiej strony określenie „fechtunek” wydało się jej absurdalne w odniesieniu do rodzaju walki, jaki uprawiali w posiadłości.

– Czasami trzeba przyjąć cios, żeby móc samemu go zadać – wyjaśnił Archie. – Czasami taka jest strategia. I trzeba zaakceptować to, że zostanie się uderzonym.

Catherine pomyślała o tym, jak leżała na podłodze toalety w Hongkongu i pozwoliła, by tajemniczy Poszukiwacz ją uderzył po to, by mogła dostać w ręce szklankę. Oczywiście, Archie miał rację.

– Czy właśnie to robisz tutaj ze mną? – spytała z ledwie skrywaną złośliwością. – Przyjmujesz cios ze względu na swoją rodzinę?

Uśmiechnął się do niej – chłodnym uśmiechem świadczącym o tym, że jego cierpliwość się kończy. Bardzo powoli odstawił swoją filiżankę z herbatą na stolik, zacisnął dłonie w pięści i przybrał bokserską postawę.

– Zamierzasz mnie uderzyć? – spytała Catherine z zaciekawieniem i wypiła następny łyk. Herbata wciąż była gorąca. Dlaczego ciągle ją piła? – Czy mam też odstawić moją filiżankę, żeby się nie stłukła?

Wyjął jej z rąk filiżankę i odstawił na bok.

„On jest jak duże, głupie dziecko", pomyślała Catherine.

Nie miał pojęcia, co to znaczy prawdziwa walka. W swoim życiu odbywał tylko sparingowe, na niby. Nie przetrwałby jednego dnia w posiadłości.

– Uderz mnie – powiedział, znowu przyjmując postawę bokserską.

Nie musiał jej o to prosić dwa razy. Wyprowadziła cios pięścią w jego brzuch i trafiła.

Uderzyła go całkiem mocno, ale jej pięść napotkała napięte mięśnie brzucha kogoś, kto wyćwiczył się w przyjmowaniu ciosów znacznie potężniejszych przeciwników. Pięść Archiego natychmiast wystrzeliła ku jej szczęce. Nie po to, by ją trafić – Catherine zorientowała się z trajektorii, że nie zamierzał naprawdę jej uderzyć – lecz chciał zilustrować, co miał na myśli.

Catherine nie zdołała się powstrzymać. Obróciła się w bok, tak że jego cios zakończył się daleko od jej twarzy. Nawet w pozorowanej walce nie chciała, aby Archie pomyślał, że będzie stała i czekała, aż dostanie po buzi.

Zadała kolejny cios pięścią w jego żebra, zamierzając uderzyć go trochę mocniej niż poprzednio. Ale tym razem Archie też skręcił się i zszedł z linii ciosu. Poruszał się szybciej, niż się spodziewała. I uśmiechał się do niej, jakby zadowolony z szybkości jej odruchów. To ją zirytowało – nie był na tyle dobry, by oceniać jej umiejętności walki.

Wyprowadził następne uderzenie w kierunku twarzy Catherine. Schyliła się i wymierzyła cios z haka w jego szczękę, tym razem jeszcze mocniejszy. Ale Archie zrobił unik, zanim jej hak mógł dojść celu.

Zamachnął się znowu, szybko i ostro, starając się pokazać jej, że może ją pokonać, kiedy zechce. Lecz Catherine złapała go za przegub i pociągnęła, obracając przodem do siebie. Gdy znalazł się blisko, uniosła łokieć, by rąbnąć go z góry w szyję…

Trójka rodziców gapiła się na nich z drugiego końca pokoju. Catherine zobaczyła nieskrywane przerażenie na twarzy matki i zakłopotanie na twarzy ojca. Ojciec Archiego wydawał się natomiast rozbawiony, ale też zaniepokojony tym, że Catherine mogłaby ucierpieć – z wyrazu twarzy Gavina Harta odczytała wyraźnie, że byłby bardzo nierad, gdyby coś się jej stało.

Chwyciła Archiego za rękę, żeby pomóc mu ustać na nogach. Przez chwilę trzymali się mocno za przedramiona i młodzieniec wydał się jej zadowolony.

„Z czego on się tak cieszy? – zastanowiła się. – Mogłabym go z łatwością pokonać".

Wzięli swoje filiżanki z herbatą i odwrócili się plecami do rodziców, żeby ci przestali się im przyglądać.

– Oczywiście lepiej jest uniknąć uderzenia, jeśli można – rzekł Archie cicho, wyglądając razem z nią przez okno. – Wyobrażam sobie, że podobnie jest w szermierce.

– Wyobrażaj sobie, co tylko zechcesz – odparła głosem cichym, ale pełnym jadu. Była zła na niego, lecz także na siebie, gdyż ciągle gapiła się na jego usta. – Nigdy nie będziesz na tyle dobry, by mnie pokonać.

Przez całą drogę powrotną do domu Catherine wysłuchiwała, jak jej matka i jej babka Maggie – która po nich przyjechała – wyjaśniają liczne korzyści wynikające z małżeństwa z Archibaldem Hartem, a także powody, dla których Catherine przy następnym spotkaniu powinna postarać się nie okazywać mu otwartej wrogości.

Catherine nie cierpiała tych kazań, lecz tym razem łatwo przychodziło jej zignorować ten potok rad i upomnień.

– …po prostu bezpieczniej jest być częścią rodziny znanej i szanowanej – mówiła Maggie. – Być może okres jej świetności przeminął, ale Hartowie wciąż są rodziną, której życiem interesuje się prasa. W tym jest bezpieczeństwo. Na wypadek gdybyś nie zauważyła, informuję cię, że Poszukiwacze ostatnimi czasy często znikają. Jeżeli dzięki małżeństwu zaczniesz należeć do rodziny Hartów, nie znikniesz niezauważona.

– Czy nie powinniśmy raczej spróbować usunąć powodu, dla którego Poszukiwacze atakują się nawzajem, zamiast godzić się z tym, że tak się dzieje? – zapytała Catherine babkę.

Maggie to zignorowała.

– Catherine – rzekła – chcesz używać athamenu naszej rodziny, prawda?

– Tak – odrzekła dziewczyna. Odwróciła się do babki i dodała wyzywającym tonem: – Ale nie dla pieniędzy, władzy czy osobistego bezpieczeństwa. Chcę go używać jak prawdziwa Poszukiwaczka, do czynienia dobra.

– W porządku, masz swoje marzenia – powiedziała Maggie, nie zwracając uwagi na matkę Catherine, która mruknęła coś kpiąco pod nosem. – A więc ochroń te marzenia. Rodzina Archiego ci w tym pomoże. A ty dzięki athamenowi możesz pomóc jej.

Catherine skinęła głową i jej spojrzenie powędrowało poza okno taksówki. Zaczął już padać deszcz. Londyn był szary, wilgotny i niedzisiejszy.

Patrzyła nieuważnie. Myślała o wyrazie zadowolenia na twarzy Archiego i zastanawiała się, co właściwie oznaczał.

Rozdział 28
Nott

Czterej Obserwatorzy poruszali się w ciemności; drogę oświetlała im tylko latarnia Notta.

– Ty wpakowałeś nas w tę walkę – rzekł do niego Geb. – Rozproszyłeś naszą uwagę.

Nott dopiero po kilku chwilach go zrozumiał, gdyż Geb mówił bardzo szybko. Tak czy inaczej, już wcześniej kilkanaście razy powiedział to samo – że Nott i Wilkin wpakowali ich w przegrane starcie z Quin, że odciągnęli ich od wypełnienia rozkazów mistrza.

– Ona miała athamen mistrza i nasz hełm – odrzekł niemrawo, chociaż wiedział, że Geb ma rację.

– Jesteś do niczego – mruknął Geb. – Założę się, że nawet nie potrafisz doliczyć do dwustu.

– Wydostaliśmy was, prawda? – odparował Nott; miał wrażenie, że słyszy swój głos jakby z wielkiej odległości. – Bez nas nadal byście tutaj spali.

Nie uważał za konieczne dodać, że istotnie ma kłopot z samodzielnym doliczeniem do dwustu. Gebowi nic do tego.

– Zamknij się, Nott – wyszeptał Wilkin w ślimaczym tempie. – Już prawie docieramy do celu.

Nott umilkł. Mocno ścisnął w dłoniach uchwyt latarni. W jej świetle widział ich czterech – siebie, Wilkina, Geba i Balila – idących przez ciemność *tamtego miejsca*. Byli poranieni i potłuczeni. Nott miał mocno posiniaczoną twarz i czuł, że spuchła w dziwaczny kształt. Klatka piersiowa i kostki palców bolały go tak bardzo, że z trudem się poruszał. Pozostali mieli na plecach płytkie rozcięcia od ciosów morfera, na które założyli sobie nawzajem brzydkie szwy i owinęli je prowizorycznymi bandażami.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił Geb i szturchnął Notta, żeby wyżej uniósł latarnię.

Chłopiec zareagował dopiero po kilku chwilach. W głowie czuł zamęt i miał wrażenie, jakby płynął w wodzie jeziora Loch Tarm, poruszając ciężko rękami i nogami. Podniósł latarnię i spostrzegł, że przed nimi stoją w kamiennym bezruchu dwie postacie. Kolejni Obserwatorzy.

– Nie sterczmy tu tak, gapiąc się – rzekł powoli Balil. – Wracajmy. Już teraz czuję się dziwnie.

– Zaczekajcie tutaj – polecił Geb. – Przyniosę rzeczy, których potrzebujemy.

Zniknął w ciemności przed nimi. Światło latarni połyskiwało mdło na hełmie, który miał na głowie, i lizało ukryte w mroku wyprostowane figury. Geb znalazł się pośród tych nieruchomych postaci i czegoś szukał. Nott nie potrafił skupić wzroku. Stawał się rozciągnięty.

– Może zostawimy tutaj tych zdechlaków? – zaproponował Geb.

Był już z powrotem. Nott stracił poczucie czasu i nie zorientował się, kiedy starszy chłopak wrócił.

– Czemu nie – odrzekł Balil w tempie równie ospałym jak oddech Notta.

Nott zastanawiał się, czy tamci naprawdę zamierzają zostawić ich tutaj, chociaż ta kwestia wydawała mu się odległa i nieistotna. Nie, tylko się drażnią; Geb już uderzał athamenem o krzesiwo i wycinał w przestrzeni nową anomalię, prowadzącą z powrotem do świata. Brzegi przejścia utwardziły się i Nott zobaczył przez owalny otwór ich zrujnowaną fortecę oświetloną sierpem księżyca wiszącym za jej wieżyczką.

Wilkin, Geb i Balil nie pozwolili Nottowi, by pomógł im podnieść uśpionych Obserwatorów. Zrobili to bez niego.

– Trzymaj prosto latarnię, karyplu! – rzucił Geb.

Dźwigając swoich nowych towarzyszy, przeszli przez anomalię do płytkiej wody jeziora. Nott chwiejnie podążył za nimi.

Godzinę później nowi ciągle jeszcze leżeli bezwładnie w niewygodnych, sztywnych pozach na podłodze fortecy Dun Tarm, z pustym wzrokiem wbitym w nocne niebo. Mogły minąć godziny, zanim znów zaczną normalnie oddychać i się poruszać.

Nott objął rękami kolana, przyciągnął je do klatki piersiowej i przyjrzał się uważnie twarzom nowo przybyłych. Nie wyglądali tak, jak się spodziewał. Byli wychudzeni, krostowaci i niewiele starsi od niego.

„Czy ja też tak wyglądam, kiedy jestem zamrożony Tam? – zastanawiał się. – Czy właśnie to widzi mój mistrz, przychodząc nas zbudzić, gdy wypada nasza kolej, by pojawić się w świecie i strzec mistrza?”.

Ale ci chłopcy nie byli podobni do niego; odziani na modłę wszystkich Obserwatorów w ubiory z szarej wełny, jednak o wiele nowsze niż Notta, jakby mistrz wyszukał ich zaledwie przed kilkoma laty. Oczy mieli otwarte, a jeden z nich nosił okulary.

W trakcie pobytu Notta w Tam jego umysł się zagubił i dopiero teraz powracał. Chłopiec zapytał nagle:

– Dlaczego sprowadziliśmy tylko dwóch Obserwatorów? Powinniśmy wydostać wszystkich.

– Tak – zgodził się Geb. – Później to zrobimy.

Zerknął na swojego partnera, który przytaknął kiwnięciem głową.

– Później? – powtórzył Nott. Obejrzał się na zamrożonych przybyszów. – Ale… dlaczego sprowadziliście właśnie tych dwóch? Kim oni są?

– Nie znam ich imion – odparł Geb defensywnym tonem.

– Ale… ale czy naprawdę są Obserwatorami? – pytał dalej Nott.

– Są szkoleni na Obserwatorów. Tak jak kiedyś ty. Jak my wszyscy.

– Szkoleni? – spytał Nott. – Więc nie są pełnoprawnymi Obserwatorami?

– Jeszcze nie.

– Ale… co z naszymi rozkazami? – naciskał Nott, szczerząc gniewnie zęby na Geba.

– Wypełnimy je – zapewnił go Geb. – Wkrótce.

– Wkrótce?! – wykrzyknął Nott. – Właśnie to przez cały czas powtarza Wilkin. „Wkrótce”. – Zerwał się na nogi i usiłował przybrać groźną postawę, chociaż był niższy i drobniejszy od pozostałych. – Przecież pobiliście nas za to, że nie zrealizowaliśmy

planu.

Geb wstał i w tej pozycji przewyższał Notta o głowę. Pchnął go z powrotem na zimne kamienne płyty podłogi fortecy.

– Zrealizujemy plan! – rzekł gniewnie. – Ale straciłeś swój hełm, prawda? A ta dziewczyna ma athamen naszego mistrza. I zmarnowaliście kilka tygodni. Nawet jeśli wypełnimy rozkazy mistrza, nawet jeśli go odnajdziemy – *gdy* go odnajdziemy – będzie na nas zły.

Balil potakiwał.

– To twoja wina, Nott, ale… on mógłby uznać, że nasza też. Utrata hełmu, opóźnienie. My jesteśmy najstarsi. Najbardziej rozgniewa się na nas.

Geb wskazał ręką na nowych, nadal zamrożonych chłopców.

– Ci Obserwatorzy pomogą nam odszukać tę dziewczynę. A gdy ją odnajdziemy, odzyskamy athamen naszego mistrza i twój hełm. Dopiero *wtedy* zbudzimy pozostałych, *wtedy* przeszukamy każdy centymetr ciemności Tam i znajdziemy mistrza. Nie będzie miał żadnego powodu, by wysłać któregokolwiek z nas do naszych pieczar. A zwłaszcza mnie. Wszystko dobrze się ułoży.

Nott popatrzył kolejno na Geba, Balila i Wilkina. Wszyscy trzej wydawali się zadowoleni z tego planu.

– Ale…

– Siadaj – polecił Nottowi Geb, nie patrząc mu w oczy. – Nie chcę nic więcej od ciebie słyszeć na ten temat.

Nott usiadł i wbił wzrok w swoje stopy. Każdego Obserwatora tak bardzo przerażała możliwość bycia ukaranym, że starał się za wszelką cenę udowodnić, że jest lepszy od wszystkich pozostałych. Ich mistrz stosował kary tak arbitralnie i zagadkowo, że żaden Obserwator nie był pewien, co wywoła jego gniew ani jaką karę wymierzy. Obserwatorzy sami stanowili jedną z największych tajemnic mistrza, ale miał tyle innych sekretów, że Nott zastanawiał się czasami, czy ten mężczyzna cały się z nich składa.

„Gdyby zdjąć z niego pelerynę, ubranie i buty, czy w środku coś by zostało? Czy może jest wypełniony chmurą swoich ukrytych planów? Gdyby go przekłuć, czy te sekrety wyciekłyby do świata?”.

– To są ci nowi – wyjaśnił Balil, wskazując na zamrożonych Obserwatorów – sprzed ledwie kilku lat.

Cisnął w nich kamykiem, który odbił się od twarzy jednego z chłopców. Ich ciała zaczynały nieznacznie mięknąć – ręce powoli się rozluźniały, nogi wyprostowywały się na podłodze.

– Oni będą wiedzieć, jak obsługiwać komputery! – powiedział Wilkin w przebłysku zrozumienia. – Posłużą się nimi, żeby doprowadzić nas do Quin.

– Ano tak – potwierdził Geb. – Znają współczesne sposoby. – Wymierzył jednemu z chłopców szybkiego, mocnego kopniaka. – No, budźcie się prędzej, dobra?

– A co z tym? – spytał Nott.

Za Balilem leżały dwa rozrywacze, które Geb zabrał, kiedy odbiegł w ciemność Tam. Metalowe artefakty opalizowały słabo w nocnej poświacie.

– Kiedy znajdziemy dziewczynę, będziemy musieli ją postraszyć, no nie? – rzekł

Geb. – Nie wiem jak ty, Nott, ale ja nie mam ochoty, żeby znowu chlasnęła mnie morferem. Mogę tego uniknąć. Postraszymy ją i zmusimy, żeby oddała athamen i hełm.

– Patrzcie! – rzucił Wilkin podekscytowanym tonem.

Jeden z zamrożonych chłopców bardzo wolno zamrugał.

Rozdział 29
Shinobu

W szpitalnych podziemiach unosiła się woń śmierci i środków dezynfekcyjnych. Wokół Shinobu majaczyły ciemne kształty łóżek na kółkach i starej aparatury medycznej.

Anomalia, którą wcześniej stworzył, już się zamknęła, ale pozostała po niej wibracja udzieliła się sprzętom w pomieszczeniu. Było już sporo po północy, środek nocnej zmiany i z wyjątkiem grzechotu rur i brzęczenia lamp fluorescencyjnych w szpitalu panowała cisza, gdy Shinobu wykradał się na korytarz.

Obudził się niedawno w środku nocy. Leżał skulony w kłębek w łóżku obok Quin, lecz potrafił myśleć tylko o fokalu. Nie, potrafił myśleć jedynie o sekretach, jakie szeptał mu ten kask, kiedy Shinobu go nosił – o chłopcach, którzy ich zaatakowali, o athamenie Sędziów, o dzienniku Catherine. Ale przede wszystkim o samym Średnim Sędzi. Zdawało się, jakby fokal znał Średniego i jakby głos, który Shinobu stale słyszał niemal tuż poza zasięgiem słuchu, należał właśnie do tego mężczyzny.

Gdy się zbudził, przypomniał sobie, że Quin jeszcze nie ukryła kasku. Zanim usnęli, wrzuciła go tylko do szafki. Potrząsnął ją za ramię i szepnął:

– Quin, proszę, obudź się! Zamierzam włożyć ten kask, a nie chcę tego zrobić.

Lecz dziewczyna spała już tak głęboko, że nie go usłyszała ani nie reagowała na szarpanie. Potrząsnął nią mocniej i powiedział głośniej:

– Proszę, Quin. Zbudź się! Powstrzymaj mnie!

Na poły się ocknęła i obróciła ku niemu w łóżku. W bladej poświacie wpadającej przez okno zobaczył, jak jej powieki zatrzepotały i otworzyła czarne oczy, częściowo przesłonięte pasmami włosów.

– Nic ci nie jest? – wyszeptała.

Nie był w stanie odpowiedzieć, ponieważ nagle zdarzyło się coś okropnego. Gdy patrzył na twarz Quin, wciąż prawie uśpionej, nie widział już jej. Nagle nie wyglądała jak dziewczyna, którą kochał, z którą dorastał, dla której oddałby życie. Zobaczył ją w inny sposób: była Poszukiwaczką, która myślała tylko o sobie i swojej rodzinie, która poświęciłaby wszystkich ludzi i ważniejsze plany. Quin wykorzysta go, a potem porzuci… o ile jej nie powstrzyma.

Gdy sennym gestem położyła dłoń na jego piersi, poczuł, jakby dotknął go wróg, i odsunął się.

„Nie myślę tak – powiedział sobie, leżąc w łóżku obok niej. – Nie myślę tak. Kocham Quin. Kocham ją".

Mocno zacisnął powieki, a kiedy otworzył oczy, paskudna wizja zniknęła. Quin usnęła, z dłonią wetkniętą wygodnie pod brodę, jej potargane włosy leżały rozrzucone na poduszce; oddychała cicho i miarowo. Była znowu Quin, była jego dziewczyną.

Ale wspomnienie tamtej wizji ciążyło mu jak olbrzymi głaz. A jeśli ona powróci? Jeśli następnym razem nie zdoła nad nią zapanować? Nie chciał nigdy więcej spoglądać na Quin w taki sposób.

Wstał z łóżka i wziął athamen, a potem wyjął fokal z szafki Quin. Musiał użyć całej siły woli, żeby powstrzymać się przed natychmiastowym włożeniem kasku na głowę.

Zamiast tego wsadził go do plecaka razem z athamenem. Potem wciągnął buty i cicho wyszedł z domu.

Kiedy nosił fokal, dostrzegał zarysy jakiegoś wspaniałego i niepokojącego planu. Czasami myślał, że da się osiągnąć to, na co miała nadzieję Quin – zrozumienie, kiedy i dlaczego Poszukiwacze zmienili się na gorsze. Myślał też, że może istnieje sposób, by w pewnym stopniu zapanować nad przyszłością, przestać być ofiarami cudzych chciwych zamiarów, jakimi on i Quin byli od najwcześniejszego dzieciństwa.

Ale ośrodek wszystkich tych myśli i uczuć stanowił Średni Sędzia. Ten człowiek w jakiś sposób był *wewnątrz* fokala. Shinobu wiedział o jednej osobie, nadal żyjącej, która pozostawała w dobrych stosunkach ze Średnim. To Briac Kincaid. Shinobu widział w posiadłości, zanim złożył przysięgę, jak bliskie więzi łączą obu mężczyzn; widział też, jak walczyli ramię w ramię na pokładzie Obieżyświata, zanim Młoda Sędzia zabiła Średniego.

Zlokalizowanie miejsca pobytu Briaca Kincaida zajęło Shinobu trochę czasu, ale w końcu namierzył go tutaj, w szpitalu na przedmieściu Londynu. Teraz zjawił się tu i szedł pomówić z Briakiem.

Odnalazł schody na końcu korytarza w podziemiach i zaczął po nich wchodzić.

Klatka schodowa była marnie oświetlona i Shinobu ledwie dostrzegał tablice umieszczone na każdej kondygnacji. Wyszedł na jaskrawo oświetlony korytarz trzeciego piętra i ruszył nim ostrożnie. Wkrótce zorientował się, że właściwie nie musi się skradać. Wszyscy sanitariusze i pielęgniarki – z jednym wyjątkiem – tłoczyli się w zaniedbanym pokoju socjalnym wokół monitora komputerowego i grali przez internet w grę RPG. Wyjątkiem był potężnie zbudowany, nieogolony sanitariusz, który spał na noszach na kółkach w końcu korytarza, spowity mgiełką oparów piwa. Shinobu przeszedł obok niego na oddział psychiatryczny dla dorosłych pacjentów płci męskiej.

Panował tam okropny zaduch. Wzrok chłopca dopiero po kilku chwilach przywykł do półmroku. Na zewnątrz była jasna noc, lecz tutaj jedyne małe i wąskie okna, umieszczone wysoko na ścianie, zakrywały siatki zatrzymujące większość świateł miasta. Możliwe, że ściany w dziennym świetle były jasnoszare, teraz jednak wydawały się upiornie zielone, a we wszystkich kątach i pod starymi metalowymi łóżkami czaiły się mroczne cienie.

Tych łóżek stało w sali dwanaście, wszystkie były zajęte. Pod dostarczanymi przez państwo kocami leżały ciemne kształty; niektóre wierciły się niespokojnie, inne spoczywały nieruchomo jak trupy.

Wokół jednego z łóżek zaciągnięto kotarę, aby odseparować je od pozostałych. Za kotarą Shinobu niewyraźnie dostrzegał różnokolorowe świetlne błyski. Chwilę później znalazł się wewnątrz odgrodzonej części sali; zatkał dłonią usta Briaca Kincaida i potrząsał nim, żeby go obudzić.

Briac gwałtownie otworzył oczy. Spojrzenie miał dzikie i błędne, ale gdy natrafiło na Shinobu, na twarzy mężczyzny odbił się wyraz jawnego przerażenia. Briac zajęczał i skręcił się w skórzanych pasach, które unieruchamiały go w łóżku.

Czy Shinobu uległ złudzeniu, czy rzeczywiście iskry wokół głowy mężczyzny były jaskrawsze niż poprzednio? W przyćmionym świetle wirowały wokół twarzy Briaca jak

rozzłoszczone świetliki.

– Ciii… Nie przyszedłem cię skrzywdzić – szepnął Shinobu, ale Briac nie okazał w żaden sposób, że rozumie.

Chłopiec wyjął z plecaka fokal i podsunął mężczyźnie pod oczy. Wzrok Briaca natychmiast przywarł do kasku, a gdy mężczyzna pojął zamiar Shinobu, przestał pojękiwać i umilkł. W jego oczach pojawił się zaciekły, chciwy wyraz.

Shinobu, trzymając kask w dłoniach, poczuł niemal nieodparte pragnienie, by włożyć go sobie na głowę. Rozdzielenie z fokalem przyprawiało chłopca o głębokie psychiczne cierpienie, jakby odebrano mu część jego samego, a on rozpaczliwie chciał ją odzyskać, by poczuć się znów całością. Oblizał wargi, zmusił swoje ręce, by się poruszyły, i wcisnął kask na głowę Briaca. Potem opadł na metalowe składane krzesełko przy łóżku. Usiadł na swoich dłoniach, by powstrzymać ich drżenie, i czekał.

Myśli Briaca zostały splątane przez iskry wystrzelone z rozrywacza, ale Shinobu był pewien, że fokal je rozplącze – przynajmniej na pewien czas. Widział to już raz w lesie w Hongkongu, gdy Briac odebrał kask pierwszej parze chłopców. Poza tym doświadczył tego na własnym umyśle. Fokal pomagał jaśniej rozumować.

Briac przestał się szamotać. Miał zamknięte oczy, a jego skrępowane pasami ciało rozluźniło się i uspokoiło, jeśli nie liczyć sporadycznych drgawek. Odprężał się dzięki kaskowi.

Mijały minuty i Shinobu zapadł w półdrzemkę. Zmusił się do otwarcia oczu, gdy usłyszał odgłos smyrgnięcia pod składanym łóżkiem po drugiej stronie sali, szuranie łapek z pazurkami, biegnących przez kafelki podłogi. Czy to szczur? W tak brudnym szpitalu nie dziwiłaby obecność szczurów, myszy albo karaluchów.

„Najlepiej, żeby to był szczur – pomyślał. Mógłby się nim zabawić – nawet zadać mu ból – czekając, aż Briac otworzy oczy. – Dobrze, gdyby był naprawdę tłusty. Takie najgłośniej piszczą…”.

Briac się poruszył. Iskry rozrywacza krążyły teraz wokół jego głowy leniwymi zakolami, znacznie spokojniej, niż kiedy Shinobu się zjawił; fokal wprowadził w ich ruch rodzaj ładu.

– Elektryczność – przemówił w końcu Briac.

Otworzył czy i wpatrzył się w ciemny sufit. Głos miał zachrypnięty, jakby od kilku dni się nie odzywał.

– Co? – spytał Shinobu.

– Lekarze. Iskry. Oni… nie potrafią ich rozgryźć – powiedział mężczyzna i słabym ruchem głowy wskazał aparaturę medyczną rozstawioną wokół wezgłowia.

Shinobu zauważył urządzenie z elektrodami wyłożonymi pianką, ustawione po drugiej stronie składanego łóżka Briaca. Uświadomił sobie z niemiłym dreszczem, że to aparat do elektrowstrząsów aplikowanych mózgowi pacjenta. Lekarze w tym brudnym, finansowanym przez państwo szpitalu zobaczyli iskry wokół głowy Briaca i wygrzebali skądś to staroświeckie elektryczne ustrojstwo, żeby się przekonać, co się stanie, gdy go użyją. To wyjaśniało, dlaczego iskry wyglądały na jaśniejsze. Chociaż Shinobu nie znosił Briaca, wzdrygnął się na myśl o tym, jakiej kuracji go poddano.

– Nie potrafiłem złożyć do kupy dwóch myśli – wymamrotał Briac. – Ani nawet

jednej. Chcę ich zabić, zabić ich, zabić…

– A teraz potrafisz złożyć do kupy dwie myśli? – zapytał Shinobu, przerywając te chaotyczne groźby; gdy myśli Briaca zaczęły znów błądzić, tęczowe błyski zawirowały gwałtowniej.

– Tak – szepnął Briac. – Twoja obecność zawsze dobrze na mnie działa, Alistairze.

– Mam kilka pytań – rzekł Shinobu. Odwrócił głowę mężczyzny ku sobie. – Jestem zaprzysiężonym Poszukiwaczem. Musisz odpowiedzieć na moje pytania. W przeciwnym razie miałbym prawo cię zlikwidować.

Była to zasada obowiązująca pośród Poszukiwaczy – każdy nauczony ich wiedzy musiał się nią podzielić z innym zaprzysiężonym Poszukiwaczem, jeśli został przez niego zapytany. Shinobu miał nadzieję, że Briac uszanuje tę regułę, choćby tylko z obawy o swoje życie.

Mężczyzna zaśmiał się szorstko.

– Nigdy niczego przed tobą nie ukrywałem, Alistairze.

– Nie jestem Alistairem. Jestem Shinobu.

– Alistair, Shinobu, Fiona. Wszystko to rudowłosi głupcy. Urodzeni, żeby wypełniać rozkazy. Mogę niczego ci nie powiedzieć, ani słowa, a ty będziesz musiał się z tym pogodzić.

Być może fokal działał zbyt dobrze i wydobywał na powierzchnię prawdziwą, nieupiększoną naturę Briaca. Shinobu nie zaskoczyła własna reakcja; wyobraził sobie, że sięga do gardła mężczyzny i wydusza z niego życie. To byłoby łatwe – Briac był przymocowany pasami do łóżka – i bardziej satysfakcjonujące niż dręczenie szczura.

Korciło go, by to zrobić, ale powstrzymał się i powiedział:

– Chcę pogadać o Średnim Sędzi.

Wzrok Briaca nabrał bystrości.

– To pytanie nie dotyczy wiedzy Poszukiwaczy. Moja przysięga nie zobowiązuje mnie, bym na nie odpowiedział.

– W porządku – rzekł Shinobu i sięgnął do fokala, jakby zamierzał go zdjąć.

– Nie! – rzucił szybko mężczyzna i odsunął się najdalej, jak zdołał, czyli niezbyt daleko z powodu krępujących go pasów. – Proszę, nie. Odpowiem. Znałem Średniego Sędziego… może lepiej niż inni Poszukiwacze.

– Powiedz mi o jego chłopcach.

Briac odrzekł:

– Znaleźli mnie tutaj. Zabrali stąd i bili, w Hongkongu i posiadłości. Bili mnie, bili mnie! Wstrętne chłopaczyska, wstrętne…

– Przestań – rzekł Shinobu i położył ciężko rękę na ramieniu mężczyzny, żeby go uspokoić.

Briac usiłował się opanować.

– A potem odstawili mnie z powrotem tutaj – ciągnął. – I lekarze złościli się na mnie, że uciekłem…

– Do czego Średni używa tych chłopców? – przerwał mu Shinobu, znów mocno ściskając jego ramię.

– Nazywa ich swoimi Obserwatorami. Co obserwują? Jego? Nas? Nas? – Briac

znowu gubił wątek.

– Ilu ich jest? – zapytał Shinobu.

Briac potrząsnął głową.

– Może wielu. Wielu! Nie wiem, nie wiem, nie…

– Ale wiesz o fokalu? – zapytał Shinobu, próbując poruszyć inny temat w nadziei, że go tym uspokoi.

Briac się ogarnął.

– Używałem go jako chłopiec – powiedział. – Mój ojciec ukradł jeden i miał przez pewien czas. A Średni pozwolił mi użyć innego. Krótko. Wyświadczał tego rodzaju przysługi. Przez chwilę – a potem nigdy nie wiedziałeś, co cię spotka. Cios nożem w plecy, nagroda, nieoczekiwana walka z kimś, kto był dotąd twoim przyjacielem, tortury. Wszystko mogło się zdarzyć, wszystko. Miałem nad nim kontrolę tylko dlatego, że skradłem dziennik Catherine i ukryłem go przed nim. Szantaż. Desperacko pragnął go odzyskać, więc dobrze mnie traktował. Bał się, że Stary Sędzia przeczyta ten dziennik, dowie się o jego występkach…

Spojrzenie Briaca odpłynęło i iskry zawirowały żywo wokół jego twarzy. Shinobu ujął mężczyznę pod brodę i zmusił, żeby popatrzył mu w oczy.

– Średni Sędzia – powiedział. – To on pozwolił ci użyć fokala. On wyświadczał przysługi. On obawiał się dziennika. On snuł… wielkie plany.

Briac ostrożnie kiwnął głową.

– Kiedy pozwolił mi włożyć fokal, pomylił się, pomylił… – Briac podnosił głos, ale kiedy zobaczył wyraz twarzy Shinobu, urwał i podjął konspiracyjnym szeptem: – Pozwolenie mi na użycie fokala było błędem. Ponieważ on w nim jest. Zobaczyłem, co planował.

– Ja też mógłbym zobaczyć te jego plany.

– I powiedział mi o różnych rzeczach…

– Opowiedz mi, co od niego usłyszałeś i co zobaczyłeś – polecił Shinobu.

Briac znowu rzucił na niego szybkie spojrzenie. Zacisnął wargi, jakby je pieczętował, i przecząco pokręcił głową.

Shinobu sięgnął po kask, a mężczyzna utkwił przestraszone spojrzenie czarnych oczu w dłoniach chłopca, które zawisły nad jego głową. Zaczął mamrotać przekleństwa i groźby, lecz zdawały się wypływać z jego ust automatycznie, bez żadnej stojącej za nimi myśli. Iskry rozrywacza tańczyły szaleńczo.

– To wszystko, co mi zostało – wyszeptał Briac. Patrzył błagalnym wzrokiem, jak Shinobu zbliża ręce do fokala. – To wszystko, co mi… Przestań! Jeżeli ci powiem, może ty i ja będziemy mogli wspólnie wykorzystać to, co zobaczyłem? Pomóc sobie nawzajem.

– Tak jak pomagaliście sobie nawzajem ty i mój ojciec? – spytał zimno Shinobu.

– My zawsze dbaliśmy jeden o drugiego, Alistairze – powiedział Briac.

– Jak zdołałeś przez wszystkie te lata zapewnić sobie jego lojalność?

– Ty już pogwałciłeś tyle praw, Alistairze – rzekł Briac. – Jaki inny Poszukiwacz sprzymierzyłby się z tobą?

– Podstępem wciągnąłeś go w zabijanie.

– Lubiłeś zabijać – powiedział Briac głosem, w którym znów zabrzmiało coś z jego

dawnej natury. – Byłeś w tym bardzo dobry.

– On nigdy tego nie lubił – zaprzeczył Shinobu. Myśl o ojcu czerpiącym satysfakcję z mordowania doprowadziła go do wściekłości i znowu wyobraził sobie, jak ściska rękami gardło Briaca. Zajęłoby to tylko minutę lub dwie: niewielka szamotanina, kilka zduszonych krzyków. – Uczyniłeś z niego mordercę, powiedziałeś mu, że nigdy nie będzie mógł być nikim innym, odciągnąłeś go od Mariko.

– Tak – potwierdził Briac i twarz mu się rozjaśniła – zrobiłem to wszystko.

– Mów o Średnim Sędzi – ponaglił go Shinobu. – Jeśli chcesz nadal nosić fokal.

Na twarzy Briaca pojawił się wyraz przerażenia, jakby wyjawienie Shinobu jeszcze czegokolwiek więcej mogłoby go zabić, jednak w końcu zwyciężyła nadzieja, że zatrzyma na głowie fokal, choćby tylko przez kilka minut. Zaczął mówić cichym szeptem, jakby te słowa były zbyt cenne, by rozpowiadać je głośno:

– Obserwatorzy są jego… ochroniarzami. Nie, nie, nie, złe słowo, złe słowo… – Shinobu mocno ścisnął ramię Briaca, mając nadzieję, że w ten sposób pomoże mu się skupić. Mężczyzna wziął się w garść i podjął: – Oni na niego czekają. Jedna para Obserwatorów jest zawsze zbudzona i przebywa w świecie, czekając na jego sygnał, śledząc go. Ale jest ich więcej, ukrytych Tam. Jeśli Średniemu coś się stanie, Obserwatorzy szukają go tutaj, w świecie, a wiedzą też, jak go szukać Tam. Gdyby Quin nie znalazła Średniego i mnie zagubionych w ciemności *tamtego miejsca* po napaści na posiadłość, jego Obserwatorzy w końcu by po niego przyszli. Tak więc on nie może na długo zagubić się ani utkwić Tam.

Słowa wypływały z ust Briaca gładko, jak gdyby może przed laty nauczył się tego wyjaśnienia i teraz recytował je z pamięci.

– Ale on nie żyje – rzekł Shinobu. – Młoda Sędzia zabiła Średniego na statku powietrznym. Jeżeli oni teraz go szukają, to nigdy nie znajdą.

Briac wyglądał na udręczonego, jakby prowadził sam ze sobą i przegrywał zaciekłą walkę o to, by nic więcej nie powiedzieć.

– Zaręczam ci, że oni o tym nie wiedzą! – rzekł w końcu, wyrywając z siebie każde słowo. – Nie mają pojęcia, że on nie żyje. Czekają na niego, żeby użył ich do prawdziwego celu.

– A jaki jest ich prawdziwy cel?

Briac wycedził przez zaciśnięte zęby:

– Zlikwidowanie… nas.

– Zlikwidowanie Poszukiwaczy? – upewnił się Shinobu.

– On dekada po dekadzie redukował liczbę Poszukiwaczy – wyszeptał Briac.

Twarz poczerwieniała mu od wysiłku mówienia wbrew własnej woli. Shinobu pojął, że ostatnia informacja była skarbem, który Briac od bardzo dawna zachowywał tylko dla siebie.

– Średni Sędzia likwidował Poszukiwaczy? Ostatnio? – spytał Shinobu, usiłując zrozumieć, dlaczego i w jaki sposób miałby to robić.

– Likwiduje nas już od długiego czasu.

– To nie może być prawda – rzekł Shinobu niemal do siebie.

Sędziom nie wolno ingerować w sprawy Poszukiwaczy, z wyjątkiem

przyjmowania od nich przysiąg lub wymierzania im sprawiedliwości. Powiedział do Briaca:

– W dzienniku są notki wspominające o tym, że Średni zabijał Poszukiwaczy, ale to działo się przed wiekami, a zresztą później Stary Sędzia go powstrzymał…

– Głupcze! – wykrzyknął nagle Briac. – Zasługujesz, żeby nakłaść ci po gębie, skopać cię, złomotać, złomotać, złomotać…

– Przestań! – rzucił Shinobu, wbijając palce w jego ramię.

Briac zamknął oczy i trwał tak przez pewien czas. Kiedy je otworzył, wziął wdech i powiedział tak cicho, że Shinobu ledwie rozróżnił słowa:

– On chce, żebyśmy zniknęli.

– On…

– Podburza nas jednych przeciw drugim. Zabijamy się nawzajem dla j e g o korzyści. Czasami pieczętujemy nasze zabójstwa godłami innych rodów, aby sprawić, że Poszukiwacze zemszczą się jedni na drugich – aby ich zdezorientować, wprowadzić na fałszywy trop. Może on daje nam coś w zamian. A Poszukiwacze, którzy mu pomagają, uważają się za wyjątkowych, za jego ulubieńców, i sądzą, że są bezpieczni. Dopóki ich też ktoś nie zaatakuje.

Shinobu w milczeniu usiłował przetrawić te wiadomości. Jeżeli Średni Sędzia zwracał Poszukiwaczy jednych przeciw drugim… Naraz mnóstwo spraw nabrało sensu: odosobnienie i pustka posiadłości; opuszczone chaty uczniów, które niegdyś były licznie zamieszkane; milczenie Briaca i Alistaira w kwestii innych rodów Poszukiwaczy; fakt posiadania przez Briaca athamenu z wizerunkiem lisa, chociaż należał prawowicie do rodziny Johna, nawet okrutne, zbrodnicze cele, do jakich Briac używał tego athamenu z lisem.

– Dlaczego miałby to robić? – spytał w końcu Shinobu. – Dlaczego miałby chcieć, żeby Poszukiwacze zabijali się nawzajem?

Zobaczył, że mięśnie twarzy Briaca tężeją. W końcu mężczyzna odpowiedział:

– Teraz, gdy pozostało nas już tak niewielu, że łatwo będzie się nas pozbyć, Sędzia i jego Obserwatorzy ostatecznie z nami skończą.

– On chce z nami skończyć… bo Poszukiwacze łamią obowiązujące ich zasady? – zapytał wreszcie Shinobu.

Brian parsknął nieprzyjemnym chichotem, który szybko zmienił się w jakiś wysoki, przerażający dźwięk.

– On ma gdzieś zasady. Chce zdobyć to, co należy do Poszukiwaczy – nasze artefakty, athameny, przyrządy. Chce nimi zawładnąć…

– Dlaczego?! – zapytał Shinobu. – Przecież jest już Sędzią. Ma wszystko, co…

– Dlaczego? *Dlaczego*?! Jeśli on sprawuje kontrolę, to nikt inny nie… – Briac dyszał; iskry krążące frywolnie wokół jego głowy przyspieszyły.

– Wyjaśnij to – zażądał Shinobu.

Mężczyzna odetchnął z drżeniem kilka razy, starając się opanować myśli.

– On ma swoje powody, powody, dobre powody albo złe powody… Skąd mógłbym je znać? To sprawa między nim a Starym Sędzią. Ci dwaj… On *nienawidzi* Starego, który ciągle podsłuchuje jego myśli, obserwuje Średniego, karze go, kiedy zrobi coś złego.

Właśnie w ten sposób wyzwolił się spod kontroli Starego Sędziego…

Umysł Briaca znów się rozsypywał, a iskry wciąż szybko wirowały. Mężczyzna mocno zaciskał powieki, usiłując uchwycić wątki myśli. Dopiero po długim czasie ponownie się odezwał:

– Nie znam pobudek Średniego, ale chce zniszczyć wszystko, co zbudował ten starzec.

– Masz na myśli… zamierza zniszczyć *nas*? Poszukiwaczy?

– Nas – potwierdził Briac. – Chyba że… – słowa płynęły, chociaż próbował je powstrzymać – chyba że okażemy się na tyle sprytni, by odmienić przeznaczenie.

– Ale jego plan zawiódł – rzekł cicho Shinobu.

– Zawiódł?

– Średni Sędzia nie żyje.

– Tak – szepnął Briac – a Obserwatorzy jeszcze o tym nie wiedzą. Czekają na kogoś, kto wyda im rozkazy.

Kilkakrotnie odetchnął powoli. Potem znowu zaczął mówić, tym razem bez żadnego przynaglania, jakby, pomimo że tak hołubił swoją cenną sekretną wiedzę, odczuwał bezmierną ulgę, dzieląc się nią w końcu z kimś.

– Średni wprawdzie likwiduje Poszukiwaczy, jednak gromadzi należące do nich przedmioty, przechowuje je Tam… – zaczął Briac, a gdy mówił, Shinobu objął głowę dłońmi, pozwalając, by słowa mężczyzny – niektóre spójne, inne nie – przepływały przez niego.

Chłopiec próbował uchwycić się czegoś, co ma sens, na przykład gdy Briac wyjaśniał kwestie liczby dwieście, prawdziwego zastosowania fokala i kamiennego medalionu – i starał się ignorować to, co brzmiało szaleńczo: że Poszukiwacze słusznie mordowali nawzajem swoje rodziny, a Stary Sędzia był po prostu pełnym wad, starzejącym się człowiekiem, zbyt ufnym, który często się mylił.

W końcu usłyszał wystarczająco dużo, by móc ułożyć coś w rodzaju planu działania.

Rozdział 30
Shinobu

W pomieszczeniu magazynowym szpitala cuchnęło brudnymi ubraniami, spleśniałym papierem i czymś słodko-kwaśnym, jakby gnijącymi jabłkami. A także szczurami. Shinobu słyszał, jak przemykają przez półki i wewnątrz ścian. O ile na oddziale psychiatrycznym był tylko jeden szczur, o tyle tutaj, w magazynie, miały swoją bazę.

Shinobu schował fokal z powrotem do plecaka. Niełatwo było zdjąć go Briacowi; mężczyzna zaczął wrzeszczeć i przeklinać. Jednak gdy nie miał już na głowie kasku, otaczające ją iskry rozrywacza zawirowały bezładnie; myśli Briaca się rozsypały, a jego krzyki przeszły w nieskładne mamrotania, kiedy Shinobu wymykał się z sali.

Niełatwo też przyszło chłopcu powstrzymać się przed włożeniem fokala na swoją głowę. Shinobu przekradł się przez korytarz do magazynu, jednak przez cały czas wyobrażał sobie chłód kasku w dłoniach i elektryczne łączenie się fokala ze swoim umysłem.

Ale nie włożył kasku.

Miał już odpowiedź, której szukała Quin. Wiedział, dlaczego Poszukiwacze się zmienili. Zmienili się, bo Średni Sędzia podburzył jednych przeciw drugim. Zmienili się, ponieważ Średni starał się unicestwić ich wszystkich, chociaż sprytnie zacierał ślady swych niegodziwych czynów.

Teraz Średni już nie żył, ale ci chłopcy – Obserwatorzy – wciąż tam byli. A Średni zgromadził również inne narzędzia. Jedno z nich znajdowało się właśnie tutaj, w tym magazynie.

Quin pragnęła naprawić zło, odkryć, czym powinni być Poszukiwacze. A Shinobu pragnął chronić Quin. A więc co, gdyby… co, gdyby przejął kontrolę nad wszystkimi narzędziami Średniego, w tym także nad Obserwatorami?

Obrzucił wzrokiem półki przed sobą. Rzeczy pacjentów wrzucono do kartonowych pudeł, które następnie ustawiono w bezładne sterty. Wyglądało na to, że personel szpitalny stale przetrząsa te pudła, szukając cennych przedmiotów. Nowsze pudła były jednak przeważnie nietknięte – może pracownicy szpitala odczekiwali jakiś czas, zanim rabowali swoich pacjentów.

Coś otarło się o palce Shinobu, gdy szukał właściwego pudła. Zamiast cofnąć się z obrzydzeniem, chłopiec w dziwacznym przypływie ciekawości wyciągnął rękę do przodu i złapał coś ciepłego i pokrytego futrem – niewielkiego biało-czarnego szczura z długim ogonem i małymi, lśniącymi wilgotno oczkami. Szczur wił się szaleńczo w jego zaciśniętej dłoni, próbując go ugryźć – i Shinobu bez namysłu trzasnął nim o metalową półkę. Zwierzę zwiotczało, lecz nadal czuł gwałtowne bicie jego serca, widział poruszanie się małej klatki piersiowej.

„Zabawię się nim przez chwilę”, pomyślał, wpychając stworzenie do luźnej kieszeni kurtki.

W końcu odszukał pudło Briaca. Zdjął je z półki i otworzył. W środku znalazł tylko kilka rzeczy: długą czarną pelerynę, buty i zwinięty morfer. Zdziwiło go, że nie

ukradziono tej broni, ale z drugiej strony morfer nie zadziałałby u nikogo oprócz Briaca, tak więc wydawał się całkiem bezużytecznym przedmiotem – zwiniętym pejczem, którego nie da się rozwinąć.

Wetknął morfer do największej kieszeni kurtki, a potem zabrał się do przeszukiwania peleryny Briaca, metodycznie wywracając każdą kieszeń na lewą stronę. Wszystkie były puste. Czy Briac go okłamał? Shinobu już miał wepchnąć pelerynę z powrotem do pudła, gdy jej zwisający skraj uderzył o podłogę ze stłumionym stuknięciem.

Wewnątrz fałdu wełnianego materiału przy brzegu płaszcza wszyto jakiś niewielki twardy przedmiot. Shinobu namacał go, wtykając palec przez szew. Rozerwał szew i przedmiot wpadł mu do ręki. Był to misternie wykonany kamienny medalion, który łatwo wpasował się w dłoń chłopca. W istocie zdawał się do tego stworzony.

Shinobu uniósł go do oczu i uważnie obejrzał. Nawet w słabym świetle rozpoznał wzór wyryty na przedniej stronie – trzy splecione owale, prosty model atomu. Taki sam wzór znajdował się na głowicy morfera wetkniętego za wszywany pasek spodni Shinobu. Był to symbol Sędziów. Tylna strona medalionu zdawała się na pierwszy rzut oka płaska i gładka, ale gdy chłopiec go przechylił, dostrzegł dziesiątki drobnych wyżłobień w kamieniu.

Briac twierdził, że ukradł ten medalion Średniemu Sędziemu podczas walki na Obieżyświacie. Każdy Obserwator rozpoznałby ten przedmiot jako należący do ich mistrza. A ponieważ mistrz nie żył, właściciel owego medalionu mógłby *zostać* ich mistrzem. Na tym polegał plan Briaca, chociaż mężczyzna był teraz zbyt szalony, by móc go zrealizować.

Shinobu wsunął kamienny krążek do kieszeni i starannie ją zapiął.

Szczur już się ocknął. Obracał się w kółko w kieszeni kurtki, szukając drogi wyjścia.

„Nie chcę, żeby Quin go zobaczyła – pomyślał Shinobu. – Nie zrozumiałaby”.

I tak już będzie na niego zła za to, że wyszedł w środku nocy. Nie chciał jej jeszcze bardziej rozgniewać szczurami. Wyciągnął zwierzę za ogon i trzymał przed swoją twarzą, obserwując, jak szczur skręca się i obraca, usiłując go ugryźć. Nagle pomysł posiadania szczura wydał mu się dziwaczny. Rzucił stworzenie na podłogę i pozwolił, by czmychnęło.

– To było dziwne – szepnął do siebie.

Wyjął athamen i ustawił pokrętła. Wróci do Quin, przeprosi ją i obmyśli nowe plany. Teraz, kiedy już rozumiał, co zamierzał Średni, razem z Quin będą mogli zapanować nad sytuacją.

Rozdział 31
Catherine

19 LAT WCZEŚNIEJ

Podwórze przylegające do wielkiego domu było wąskie i słabo oświetlone latarniami, które rzucały migotliwy blask niczym prawdziwe pełgające płomienie. Po ceglanych ścianach pięła się plątanina kwitnących winorośli, tworząc mnóstwo dogodnego miejsca dla kogoś, kto chciałby się tam ukryć.

Na kamiennym bruku w ocienionym kącie placu stał zaparkowany motocykl; pomiędzy rączkami kierownicy spoczywał kask jeźdźca czekający na powrót właściciela.

Catherine stała oparta plecami o ceglany mur, ukryta w cieniu bujnych pnączy. Spojrzała poprzez podwórze na wysoki, czteropiętrowy budynek, imponujący i zabytkowy. Widziała okno, w którym kilka dni temu stała z Archiem, pijąc herbatę. Boże, jak ten chłopak ją zirytował!

Właściwie trudno powiedzieć, dlaczego znalazła się tu teraz, ale jednak była. Tym razem ubrała się inaczej, w skórzaną kurtkę, obcisłe czarne spodnie i czarny podkoszulek, niczym Poszukiwaczka, która wstąpiła do gangu motocyklowego.

Po paru minutach Archie wyszedł z domu. Wyglądał na zirytowanego w sposób, w jaki – przypuszczała Catherine – ona też musiała wyglądać po spędzeniu czasu ze swoimi rodzicami. Archie miał jedynie ojca, lecz podejrzewała, że Gavin Hart bywał równie trudny jak dwoje rodziców.

Noc była zimna, ale zbiegający ze schodków bocznych drzwi Archie miał na sobie koszulę bez marynarki. Dopiero gdy podszedł do motocykla, wciągnął kurtkę. Catherine ogromnie zakłopotało to, że odruchowo zauważyła mnóstwo dotyczących go fizycznych szczegółów: sposób, w jaki włosy opadły mu na czoło po tym, jak przeczesał je dłońmi, i napięcie mięśni barków i ramion, kiedy wkładał kurtkę.

„Na litość boską, Catherine – pomyślała – weź się w garść!".

Archie, zapinając kurtkę na zamek błyskawiczny, stanął plecami do budynku, i Catherine wykorzystała ten moment, by wyjść z cienia. Podeszła bezszelestnie, a gdy młodzieniec się odwrócił, oparła się o siodełko motocykla.

Archie na jej widok drgnął zaskoczony, lecz szybko się opanował. Z nieprzeniknioną miną przyjrzał się Catherine.

– Wyglądasz inaczej – rzekł ostrożnie.

– Poprzednim razem ubrała mnie matka – wyjaśniła.

– A kto ubrał cię teraz? Szatan?

– Jest aż tak źle? – spytała. – Nie ma tu mojej przyjaciółki Mariko, żeby mi doradziła, a ja kompletnie nie znam się na bieżących trendach mody.

– Nie, nie jest źle – odrzekł tonem, z którego wywnioskowała, że Archie uważa, iż wygląda świetnie. Potem zapytał przyjaźnie: – Przyjechałaś, żeby mnie pokonać?

– To byłoby zbyt łatwe – zripostowała. Te słowa wypłynęły z jej ust całkiem naturalnie, jakby miała wprawę we flirtowaniu, podczas gdy w rzeczywistości pierwszy raz usłyszała w swoim głosie ten szczególny ton. – Niewarte odbycia tej podróży.

Zaśmiał się i Catherine zirytowało to, jak wielką przyjemność sprawił jej dźwięk jego śmiechu. Archie oparł się o siodełko motocykla z drugiej strony, tak że niemal stykali się ramionami, chociaż stali zwróceni twarzami w przeciwnych kierunkach.

– Wiesz, w istocie dobrze walczę – powiedział poważnie. – Nie jestem taki głupi, za jakiego mnie uważasz, Catherine Renart.

– Wiem, że nie jesteś głupi – odrzekła.

Rzeczywiście to wiedziała. Nawet podczas ich pierwszego spotkania.

Odwracała od niego wzrok, patrzyła na latarnie i ich płomienie wyglądające jak prawdziwe. Niełatwo było jej poruszyć kwestię, o którą chciała zapytać. Archie wyczuł, że Catherine zamierza coś powiedzieć, i czekał w milczeniu.

– Dlaczego patrzyłeś na mnie w taki sposób? – spytała wreszcie.

– Masz na myśli moment, gdy niemal mnie znokautowałaś na oczach mojego ojca?

Powiedział to tak, jakby to utkwiło mu w pamięci równie mocno jak jej.

Catherine skinęła głową.

Odrzekł:

– Pomyślałem: „Ona radzi sobie lepiej niż jakakolwiek dziewczyna, jaką poznałem. Szkoda, że mną gardzi, gdyż od wieków nie czułem się tak szczęśliwy".

Catherine wmawiała sobie, że nie ma pojęcia, jak Archie odpowie na jej pytanie, ale gdy usłyszała te słowa, uświadomiła sobie, że wiedziała o tym od początku. Widziała to wypisane wyraźnie na twarzy młodzieńca, kiedy spotkali się w wytwornym salonie jego ojca. Spuściła wzrok na rękawy swojej kurtki i zauważyła teraz, że są bardzo podobne do rękawów kurtki Archiego. Specjalnie odszukała tę kurtkę i włożyła ją dla niego. Tak wyglądała prawda, jeśli Catherine się do niej przyzna.

– Nie chciałam cię polubić – szepnęła.

– Ja ciebie też nie – rzekł cicho.

– Miałeś ożenić się z moją siostrą – powiedziała. – Moi rodzice wybrali cię dla niej.

Musnął ramieniem jej ramię.

– Tak. Ja też nie mogę tego znieść. – Milczeli przez chwilkę, a potem powiedział: – Chcę, abyś wiedziała, że twojej siostrze wcale się nie podobałem. Poślubienie mnie traktowała jako jeszcze jeden obowiązek, który powinna wypełnić. A kiedy zmarła… pomysł, że mój ojciec miałby ją zastąpić kolejną dziewczyną, taką jak ona, jakby moja przyszła partnerka była kimś wymiennym…

– Nie jestem ani trochę taka jak Anna – oznajmiła Catherine ostrzej, niż zamierzała.

– Wiem o tym, odkąd się spotkaliśmy.

Kilkucentymetrowy dystans między nimi jakoś zniknął i Archie przyciskał do jej ramienia swoje ramię, krzepiąco twarde i mocne. Był tutaj przy niej i jej słuchał. Pomyślała, że jest kimś, kto rzeczywiście jej wysłucha. Nawet te szalone teorie, które kłębiły się w jej głowie. Chociaż nie był Poszukiwaczem i nie wiedział nic o jej życiu, być może mógłby nawet zapragnąć w sposób, w jaki tego pragnęła, odkryć prawdę o sprawach świata i uczynić go lepszym. Kiedy zmusiła się, by popatrzeć na niego, zwrócił ku niej głowę i spojrzał w oczy.

– Nie jesteś taki, jak się spodziewałam – szepnęła.

– Lekkomyślny bokser, który lubi dla zabawy grzebać w starych samochodach?

Przecząco pokręciła głową. Spuściła wzrok na jego dłoń na siodełku motocykla.

– A ty nie jesteś jakąś dziwną dziewczyną, do której poślubienia zmusza mnie ojciec – rzekł do niej. Uniósł dłoń z siodełka i bardzo ostrożnie przyciągnął rękę, którą trzymała przy talii. – Jesteś po prostu Catherine.

Wymówił jej imię tak, że poczuła, iż nigdy dotąd nie słyszała go wypowiadanego we właściwy sposób. Jego dłoń była ciepła, a dotyk sprawił, że Catherine poczuła dziwnie miły niepokój.

– Dlaczego zmusza cię do ślubu ze mną? – zapytała.

Archie odpowiedział po chwili namysłu:

– Mój ojciec jest… trochę dziwny. Uważa, że dzięki twojej rodzinie moja odzyska swoją pozycję. Chyba ma na myśli aspekt finansowy, chociaż nie wiem, jak miałoby się to stać – i nie obchodzi mnie to. Mówi mi, że jestem kimś ważnym w maskującym przebraniu. Że to przebranie mnie ocaliło, ale teraz potrzebuję ciebie.

– Co to znaczy?

Archie wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Jeżeli jestem w przebraniu, to okropnym. O życiu towarzyskim mojej rodziny stale piszą gazety.

– Może taki rodzaj sławy rzeczywiście jest przebraniem. Czyni cię mniej dyspozycyjnym – rzekła Catherine w zamyśleniu. – Jak się zdaje, moi rodzice pragną dla mnie takiej sławy.

„Chociaż wątpię, czy ona mnie uratuje, jeżeli nie zdołam powstrzymać Poszukiwaczy przed mordowaniem siebie nawzajem”, pomyślała.

– Więc twoi rodzice są równie dziwaczni jak mój ojciec – skonstatował.

– Och, myślę, że są o wiele dziwaczniejsi.

Roześmiali się oboje. Potem Catherine spytała:

– Czy to jakiś podstęp, Archie? Czy w ten sposób skłaniasz mnie, żebym ci zaufała i straciła czujność?

– Tak – szepnął, przyciągając ją bliżej – gdyż byłem pewien, że ukryjesz się tutaj, czekając na mnie. Przez cały dzień przygotowywałem się do tego spotkania.

Catherine się uśmiechnęła. Przecież to ona przyszła do Archiego, wkradła się tutaj, czekała na niego.

– Ten twój ubiór – powiedział. – Powinienem zapytać, czy to ty próbujesz podstępem mnie usidlić.

Jego twarz była tuż przy niej. Miał na szczęce nikły ślad zarostu, a usta wyglądały na miękkie i ciepłe. Catherine wiedziała, czego sama pragnie, i nie miało już znaczenia, czy właśnie tego chcą też rodzice. Przestali być ważni.

– Może rzeczywiście próbuję cię usidlić – wyszeptała. – Martwiłam się, że już nigdy więcej nie będziesz chciał się ze mną spotkać, po tym jak zachowałam się ostatnim razem.

– Nie powinnaś była się tym martwić.

Nachylił się i pomyślała, że zamierza ją pocałować. Zamiast tego popatrzył na swój dom, a jego spojrzenie powędrowało w górę przez wszystkie cztery piętra. Odsunął się od Catherine.

– Nie chcę tu być – rzucił porywczo.

Nie czekając na reakcję Catherine, wziął swój kask motocyklowy i wsunął na jej głowę.

– Chodź – powiedział, przerzucając nogę przez siodełko. – Zabiorę cię gdzie indziej, z dala od mojego ojca i tego domu.

Po kilku chwilach siedziała z tyłu motocykla, trzymając się mocno Archiego, a ulice Londynu umykały wstecz. Gdy wyjechali z podwórza i budynek zniknął za nimi, obejmując Archiego, poczuła w nim odmianę. Nie był już synem Gavina Harta, a ona nie była córką swoich rodziców. Nie w tym momencie.

Zaczęli się całować na ciemnej klatce schodowej prowadzącej do jego mieszkania. Po tym jak Catherine otaczała go ramionami na motocyklu, wydawało jej się całkiem naturalne go obejmować, gdy już z niego zsiedli.

– Robiłaś to już wcześniej? – zapytał szeptem.

– Czy całowałam kogoś? Raz. Niezbyt się udało.

– To dobrze – szepnął, na poły niosąc ją na rękach, gdy po omacku wchodzili po schodach.

Po drodze potknęli się na stopniach, wpadli na siebie i to stało się pretekstem, by znów się pocałować. Dlaczego nigdy nawet nie podejrzewała, że całowanie się może być aż takie przyjemne?

Na podeście Archie szperał w kieszeniach w poszukiwaniu kluczy, nadal obejmując Catherine. Potem weszli do jego mieszkania. Obejrzała kilka pokoi oświetlonych padającym z zewnątrz blaskiem lamp ulicznych. Umeblowanie było tu eleganckie, jakby pochodziło z jednego z zabytkowych domów jego rodziny, ale wnętrze miało styl prosty i męski jak Archie. Catherine zdjęła z młodzieńca kurtkę.

Spojrzała na niego w świetle sączącym się przez okno w salonie. Jakimś cudem, którego nie pojmowała, był tu z nią ktoś, kogo potrafiła zrozumieć.

– Powinieneś się dowiedzieć, że dzieje się wokół mnie wiele złych rzeczy – wyszeptała. – Anna nie żyje, a coś takiego mogłoby spotkać też resztę mojej rodziny.

– Przedwczesna śmierć? – Śmiał się, ale przestał, gdy Catherine spojrzała na niego z powagą. – Wykluczone – szepnął. – Potrafię pięściami odeprzeć każdy atak, pamiętasz?

Catherine pozwoliła sobie na uśmiech.

– Myślę, że mogę… być z tobą, Archie. Przez całe życie. Może nawet pomożesz mi rozwiązać wszystkie problemy.

– Nie wiem, co masz na myśli, ale tak, pomogę ci – odrzekł szeptem. – Nie wiedziałem, co bym ze sobą zrobił, gdybyś mnie znienawidziła.

– Nie nienawidzę cię.

Odsunęła rękę Archiego od swojej talii i pociągnęła go tak, aby poszedł za nią. Poprowadziła go przez salon, odnajdując drogę w nieznanym wnętrzu, aż dotarli do jego sypialni. Splotła palce z palcami Archiego, wciągnęła go do środka i zamknęła drzwi.

Rozdział 32
Catherine

19 LAT WCZEŚNIEJ

– Archie, nie śpisz, prawda?

– Mmm? – wymamrotał. Sennym gestem wyciągnął ciepłą doń i zasłonił jej usta. – Ciii – szepnął.

Catherine delikatnie ugryzła go w palec.

– Au – jęknął.

Przesunął się w łóżku i przygarnął ją bliżej.

Zanim zasnęli, zaciągnął zasłony, ale blask księżyca przeświecał przez cienki materiał, barwiąc wszystko, czego dotknął, zimnymi błękitami i zieleniami, zwłaszcza staroświecki sekretarzyk stojący przy oknie. Z boku tego biurka wyrzeźbiono misternie jelenia o rozłożystym porożu. Leżąca w łóżku Catherine przyglądała się przez dziesięć minut temu wzorowi. Podobne wizerunki jeleni zdobiły niemal każdy mebel w sypialni.

Odrzuciła kołdrę, przeszła przez pokój i rozsunęła kotary.

– Co takiego? – spytał Archie.

Już się rozbudził i obserwował ją z łóżka.

Przysunęła krzesło i stanęła na nim, by lepiej obejrzeć kształt wyryty na zabytkowej szafce przy przeciwległej ścianie.

– To jeleń – odrzekła Archiemu, wodząc palcem po wzorze.

Wizerunek jelenia na szafce był uproszczony i bardziej toporny niż pozostałe w sypialni – i przypadkiem wyglądał identycznie jak jeleń narysowany w jednym z dawnych listów wklejonych starannie do jej dziennika, który obecnie trzymała w zamkniętym sejfie w piwnicy domu rodziców.

– No tak – potwierdził Archie i przeczesał palcami potargane włosy, które już nie wydawały się Catherine za długie. – Któryś mój przodek uwielbiał jelenie. Są na wszystkim w naszych domach – na szafkach, podnóżkach, nocnikach. Dziwię się, że nie zauważyłaś tego w domu mojego ojca.

– Rozpraszała mnie nienawiść do ciebie.

Archie się uśmiechnął.

– Nasze nazwisko brzmi Hart, czyli po angielsku jeleń. A więc jeleń, Hart, Hart, jeleń.

– Hm – mruknęła. – Renart, moje nazwisko, oznacza lisa – i mamy na wszystkim wizerunki lisów. Skąd jest ta szafka?

– Chyba z wiejskiego domu. Mamy sterty starych mebli. Większość pozostałości naszej fortuny to meble – oznajmił i opadł z powrotem na poduszkę. – Wyglądasz bardzo ładnie. Proszę, wróć do łóżka.

Rzuciła mu zalotne spojrzenie, ale nie ruszyła się z miejsca i otworzyła drzwi szafki, tak aby blask ulicznych lamp oświetlił jej wnętrze. Wisiały tam ubrania Archiego.

– Masz dziwną minę – powiedział. Znowu usiadł i przyjrzał się jej uważniej. – Jakbyś zamierzała zaraz wywlec moje ubrania z szafy i porozrzucać po całej podłodze.

Catherine dokładnie tak zrobiła. Dwadzieścia minut później ubrania Archiego walały się wszędzie, a oni wyciągnęli szuflady u dołu szafki. Za jedną z dolnych szuflad odkryli fałszywą ściankę – pustą przestrzeń, której istnienia Archie nawet nie podejrzewał – i teraz młodzieniec wsuwał tam głęboko rękę, wymacując ukrytą wewnątrz szczelinę.

– Tutaj… coś jest – oznajmił. – Coś twardego i jakby owalnego.

– Możesz to uchwycić? – spytała Catherine.

Możliwe, że znaleźli coś całkiem bezużytecznego – metalowe pudełko po herbatnikach ze starymi miedziakami albo czyjąś kolekcję końskich podków na szczęście sprzed setek lat. Jednak dziewczynę z niewiadomego powodu ogarnęło podekscytowanie.

– Mam to – powiedział.

Dobiegło ich szuranie, gdy cofał rękę. W dłoni ściskał zakurzony hełm. Catherine ujęła go i gwałtownie wciągnęła powietrze. Chociaż nigdy nie widziała tego przedmiotu, natychmiast go rozpoznała. To był fokal, metalowy kask, jakich Poszukiwacze używali niegdyś do ćwiczenia umysłu.

– Kask motocyklowy? – spytał Archie. – Sprzed stu lat? Wygląda na zabytkowy.

Catherine starła kurz, odsłaniając srebrzysty metal, który zalśnił opalizującymi kolorami, gdy padło na niego światło. Nie wiedzieć czemu pomyślała o Młodej Sędzi i wyobraziła sobie, jak mówi jej o tym przedmiocie. Być może pewnego dnia tak zrobi. Teraz jednak skierowała myśli z powrotem ku Archiemu.

– To nie jest kask motocyklowy – rzekła do niego.

– A co?

– To jest…

Obróciła kask w dłoniach. Wnętrze było wyłożone grubym płótnem, porwanym i wystrzępionym w kilku miejscach. Przez niewielkie rozdarcie widać było wetknięty pod tę płócienną podszewkę skrawek papieru. Catherine wyciągnęła go ostrożnie. Zgromadziła już wystarczająco wiele pamiątek Poszukiwaczy ze strychów, piwnic i opuszczonych stodół, by domyślić się, co to będzie, nawet jeszcze zanim zobaczyła pismo.

Był to list, nagryzmolony pospiesznie, sądząc z jego wyglądu.

Edwardzie,

zawarliśmy umowę i mam nadzieję, że uda się jej dotrzymać. To, co sobie przyrzekliśmy, nie będzie miłe, ale alternatywne wyjście jest jeszcze mniej przyjemne.

Jeśli dopisze nam szczęście, wkrótce wrócimy do Ciebie. Jeśli spotka nas pech… nie kończę tej myśli.

Przynajmniej ten hełm pozostanie u Ciebie. Jest nasz, Twój. Przechowaj go bezpiecznie, mój Synu. Może pomóc Ci przetrwać długą drogę albo desperacką walkę.

Nie zapomnij, kim jesteś.

Twoi kochający Rodzice

Archie przeczytał list nad ramieniem Catherine, potem wyjął go z jej rąk i odczytał drugi raz. Dziewczyna przyglądała się młodzieńcowi, wiedząc teraz o nim więcej niż on sam. Pochodził z rodziny Poszukiwaczy, prawdopodobnie ze strony matki, bowiem ojciec wydawał się nie mieć żadnej wiedzy o Poszukiwaczach. Matka Archiego zmarła, gdy był dzieckiem, i Catherine przypuszczała, że nie zdążyła niczego go nauczyć o jego dziedzictwie albo może uznała, że będzie dla niego bezpieczniej, jeśli nie zostanie Poszukiwaczem.

– Edward był moim dziadkiem – rzekł Archie w zamyśleniu. – A właściwie nie, pradziadkiem.

– Ze strony matki?

– Tak. Wszyscy Hartowie są ze strony matki. To było jej nazwisko. Mój ojciec zmienił swoje, kiedy się poznali, a był jej dalekim kuzynem.

– Co stało się z Edwardem, twoim pradziadkiem?

Ponownie przyjrzał się listowi.

– Chyba zginął w wypadku samochodowym, zanim się urodziłem. Nie mam pojęcia, o jakiej umowie wspominają tu jego rodzice.

W umyśle Catherine elementy tej sprawy układały się w całość. Poszukiwacze atakowali innych Poszukiwaczy przypuszczalnie już od bardzo dawna, jednak ten list nie sprawiał wrażenia napisanego przez ochoczego zabójcę, lecz raczej przez niechętnego współuczestnika… czego?

Powiedziała:

– Wygląda, jakby zostali zmuszeni do zrobienia czegoś, czego nie chcieli. Może związanego z przemocą… a potem zniknęli?

„Czy właśnie to przydarzyło się też Emilowi?”, zastanowiła się.

– Zdajesz się bardzo dużo wiedzieć o moich odległych przodkach jak na dziewczynę, którą dopiero co poznałem.

Traktował to lekko, ale ona nie.

– Archie – rzekła – obawiam się, że nasze rodziny mogą mieć ze sobą coś wspólnego.

– Co masz na myśli? – spytał. – Znikających krewnych?

– Być może – odpowiedziała poważnie.

– Mówisz tak serio. – Popatrzył na nią, a potem znowu na kask. – Czym jest ta rzecz?

– Nosi nazwę fokal – oznajmiła mu – i o ile wiem, nikt nie widział jej od mniej więcej stu lat.

– Co masz na myśli, mówiąc „nikt jej nie widział”? Czy ludzie szukali tej rzeczy?

– Tak.

Archie zaczął wkładać kask na głowę. Catherine szybko złapała go za ręce.

– Nie – powiedziała. – To nie… no, to nie jest zabawka. Potrzebujemy instrukcji.

– Catherine, czy zechciałabyś wyjaśnić mi, o czym, do licha, mówisz?

– Ten kask, ten fokal, to przyrząd przeznaczony dla Poszukiwaczy – powiedziała. – Ale fokale zaginęły. Podobnie twój przodek, autor listu, również mógł zaginąć. Zaginęło

wiele przedmiotów i wielu ludzi – może pozabijali się nawzajem, a może zniknęli z jakiegoś innego powodu.

– Czy powinienem się dowiedzieć, co to są Poszukiwacze? – zapytał.

– Przypuszczam, że właśnie dlatego nasi rodzice chcą, żebyśmy się pobrali. Moi widocznie dowiedzieli się, że pochodzisz z rodu Poszukiwaczy i że być może wciąż masz… no, przedmioty takie jak ten kask. Właściwie podejrzewam, że to moja babka Maggie wpadła na tę myśl. Ona wydaje się wiedzieć wszystko o wszystkich.

Catherine zrozumiała teraz, że ten fokal to jedyne, co pozostało z niegdyś świetnego rodu Poszukiwaczy, klanu jelenia. Matka Archiego była Poszukiwaczką, a jego ojciec być może coś o tym wiedział.

Archie wyglądał, jakby tracił cierpliwość.

– Catherine, powiesz mi, czym są Poszukiwacze – i skąd to wiesz – czy będę musiał wydusić to z ciebie, waląc cię butami, które porozrzucałaś na podłodze?

Usiadła mu na kolanach.

– *Ja* jestem Poszukiwaczką – oznajmiła mu. Ujęła jego twarz w dłonie i pocałowała go lekko. – I wygląda na to, że ty też jesteś Poszukiwaczem.

Rozdział 33
Maud

Młoda Sędzia stała z Johnem na głównej ulicy mostu Tranzytowego w Hongkongu. Chłopiec spojrzał na nią i skinął głową na znak, że rozumie swoje zadanie, po czym odwrócił się i wmieszał w tłum przechodniów. Maud obserwowała przez kilka chwil, jak znikał w głębi jezdni, a potem też się odwróciła i zeszła z mostu na ulice Koulunu.

Sprowadziła tu Johna, żeby spotkał się z Quin. Młoda Sędzia nie pojmowała romantycznej miłości, ale John najwyraźniej kochał Quin – albo przynajmniej nie potrafił przestać o niej myśleć. A ponieważ dążenia jego i Quin były ze sobą sprzeczne, chłopiec żył w stanie głębokiej frustracji rozpraszającej jego koncentrację. Było też wiele innych przyczyn tego rozproszenia – zwłaszcza matka i babka – jednak Quin to inna sprawa. Ta dziewczyna przebywała teraz w świecie, przykuwała uwagę Johna samym swoim istnieniem.

Młoda Sędzia nie miała nic przeciwko jego uczuciu, ale niemożliwością było dalej go szkolić, o ile chłopiec nie zapanuje nad swoimi myślami. Sprowadziła go więc na most Tranzytowy, żeby odszukał Quin i przekonał się, czy potrafi poradzić sobie z tą sytuacją.

Przemierzała boczne uliczki, póki nie znalazła ustronnego miejsca na końcu jakiejś cuchnącej alei. Tam za pomocą athamenu Johna przeniosła się na dach bardzo wysokiego budynku. Wiał tam silny wiatr. Nieopodal widniała bryła mostu Tranzytowego przecinającego zatokę, a za nim na wyspie Hongkong stały jeszcze wyższe domy na terenie wznoszącym się ku Wzgórzu Wiktorii.

Niebo zasnuwały gęste chmury, lecz od czasu do czasu przebłyskiwało przez nie słońce, oświetlając końce włosów Maud, nitki jej starego wełnianego swetra i odmieniając wygląd świata. Młoda Sędzia odsuwała od siebie niepokój o Johna przebywającego na moście; sam podjął decyzję – bez względu na to, czego Maud mogła dla niego pragnąć. Przestała o nim myśleć, usiadła na dachu pod gołym niebem i rozłożyła przed sobą grubą, szarą pelerynę.

Przywykła do tej peleryny jak do własnej skóry, jednak ubiór pierwotnie nie należał do niej. Był własnością jej ukochanego mistrza, Starego Sędziego. W trakcie walki na pokładzie Obieżyświata mistrz narzucił jej tę pelerynę na ramiona, zanim wkroczył Tam i pozostawił ją, żeby była jednocześnie Młodą, Średnią i Starą Sędzią.

Początkowo kiedy Maud ją nosiła, peleryna szurała po ziemi, za długa na nią. Teraz, gdy Maud stała, dolny skraj ubioru wisiał tuż nad powierzchnią dachu – urosła przez ten miesiąc przebywania w świecie. Przypuszczała, że rośnie wolniej i wolniej się starzeje niż typowa piętnastolatka, niemniej jednak rosła i się starzała.

Liczne kieszenie peleryny zawierały wiele przedmiotów należących do Starego Sędziego. Maud, tak jak zrobiła to już potajemnie raz czy dwa w ciągu minionych tygodni, wyjęła je i rozłożyła przed sobą. Gdy była małą dziewczynką, wpatrywała się w tę pelerynę swojego mistrza i dumała nad tajemnicami, jakie kryje. Teraz kilka z tych tajemniczych przedmiotów znajdowało się w jej posiadaniu, nadal jednak pozostawały dla niej równie zagadkowe jak zawsze.

Pośród przedmiotów w kieszeniach było kilka niewielkich metalowych

przyrządów. Jeden znała – mistrz użył go w sekretnej komorze leżącej głęboko pod ruinami zamku w szkockiej posiadłości. Postukał tym przyrządem w skalną ścianę ukrytej jaskini, wywołując tak silne drgania, że Maud obawiała się, czy nie spowodują zawalenia się stropu. Nie miała jednak pojęcia, do czego służą pozostałe narzędzia.

Kieszenie peleryny zawierały też przedmioty wykonane z kamienia. Parę z nich wyrzeźbiono z takiego samego białego i półprzejrzystego co athamen, ale pozostałe wyglądały inaczej, były ciemniejsze i mętniejsze. Było też trochę broni, głównie noży, jednak tylko kilka mistrza; reszta należała do Maud.

Jej uwagę przykuła słaba wibracja. Przebłysk słońca igrał na jednym z najdziwniejszych przedmiotów z kieszeni peleryny i ten przedmiot, leżący na chropowatej powierzchni dachu, drgał. Maud podniosła go, starając się, by nadal oświetlało go słońce. Był zrobiony z kamienia, lecz także z metalu, a na wierzchu miał osadzoną szklaną płytkę. Szkło było ciemne i grube, jakby składało się z wielu warstw nałożonych jedna na drugą. Przedmiot nie był większy od otwartej dłoni Maud, na której teraz wibrował. Wtem chmury zakryły słońce i przedmiot znieruchomiał. Przed chwilą jednak ożył za dotknięciem słonecznego światła, tak jak dzieje się z rozrywaczami i fokalami. Być może wiele z tych obiektów zacznie działać, jeżeli Maud zostawi je wystarczająco długo na słońcu.

Jej mistrz miał niejako dwie twarze – jedną starodawną, drugą niemal współczesną. Te przedmioty były takie jak on. Niektóre wyglądały na równie stare jak naturalna skała pod zrujnowanym zamkiem w Szkocji, inne mogły pochodzić z tego dziwnego, dzisiejszego świata.

Być może John, też pochodzący ze współczesności, umiałby zidentyfikować te obiekty, ale Maud nie mogła pozwolić, by ktoś niebędący zaprzysiężonym Sędzią zobaczył zawartość peleryny jej mistrza. A jednak dostrzegała w Johnie zmianę, która zaczynała też odmieniać jej pogląd. Zobaczyła po tamtym jego biegu w fokalu przez pustynię, że przez moment zakwestionował swój zamiar ścigania innych rodów Poszukiwaczy. Zaczynała zwracać go ku innym, szlachetniejszym celom.

Rozdział 34
John

John cały czas kierował wzrok prosto przed siebie, używając widzenia peryferyjnego, jak nauczyła go Młoda Sędzia, by uważnie przyglądać się tłumom na moście Tranzytowym; bystrymi, nieruchomymi oczami obserwował poruszenia wokół siebie. Od jakiegoś czasu zaczął wyraźnie dostrzegać swoje dawne słabości – rozproszony umysł, porywczość – i jednocześnie starannie się ich wyzbywał. Maud zmieniała go w Poszukiwacza, jakim zawsze pragnął zostać. Gdyby zdołał nauczyć się panowania nad swoim umysłem, być może jego szkolenie dobiegłoby końca.

Młoda Sędzia sprowadziła ich oboje do Hongkongu i użyła athamenu, by niepostrzeżenie znaleźli się na moście, ale teraz John był zdany tylko na siebie. Dała mu jasno do zrozumienia, że to jego zadanie i powinien je wykonać samodzielnie, a jeśli mu się powiedzie, będzie kontynuowała jego szkolenie, a także pozwoli udać się do następnego miejsca wymienionego w dzienniku.

Pomyślał wtedy, że może mieć kłopot z odszukaniem Quin, ale teraz, zbliżając się do środka mostu, natychmiast ją zobaczył. Stała na dworze przy frontowych drzwiach swojego domu i żegnała się z bardzo starym Chińczykiem ubranym w kitel uzdrowiciela. Nic się nie zmieniła: czarne włosy spadały jej na ramiona, a wielkie czarne oczy kontrastowały z jasną cerą. Niebieski kitel uzdrowicielki miała ściągnięty ciasno paskiem w wąskiej talii, co przywiodło Johnowi na myśl niezliczone razy, gdy kładł tam dłoń i przygarniał Quin bliżej do siebie.

Jego oddech trochę przyspieszył i chłopiec usłyszał mocne bicie swego serca. Oczywiście, że Quin wygląda tak jak ostatnio, bo uświadomił sobie, że widział ją zaledwie przed kilkoma tygodniami na Obieżyświacie. Wydawała się teraz niemal równie zdenerwowana jak wtedy.

Lawirował w tłumie pieszych na moście, lecz przestał już zauważać kogokolwiek oprócz Quin. Poruszał się na sposób Maud, a umiejętność skupienia nieruchomego wzroku powróciła automatycznie. Z satysfakcją skonstatował, jak bardzo zaczyna upodabniać się do Młodej Sędzi.

Po chwili już trzymał ręce na ramionach Quin i wciągał ją w wąską alejkę pomiędzy jej domem a sąsiednim. Dopiero gdy przyparł ją do ściany przy bocznych schodkach, zdał sobie sprawę, jak szybko zadziałał. Nie chciał dać dziewczynie czasu na odmowę, więc zaskoczył ją z gwałtowną, niemal niewiarygodną prędkością, niczym Sędzia.

Quin, zanim zdążyła przyjrzeć się jego twarzy, wyciągnęła swój morfer. John ujrzał zmianę wyrazu jej oczu, gdy zorientowała się, że to on. Znieruchomiała na moment i utkwiła w nim wzrok, a potem wyrwała się.

– Quin, chcę tylko porozmawiać.

Spowolnił się, żeby móc normalnie mówić, i przybrał spokojny ton głosu. Miał przy sobie morfer, lecz nie zamierzał go wyjmować.

– Mówiłeś tak wiele razy, John, a potem zawsze walczyliśmy ze sobą – odparła.

W jej głosie był gniew, a także coś jeszcze, rodzaj wyczerpania, jakby obecność

Johna wysysała z niej życie.

– Naprawdę mówię szczerze.

I rzeczywiście mówił szczerze; chciał, żeby poświęciła mu tylko chwilkę uwagi.

– Czy nie dość ci tego, jak mnie uderzyłeś, kiedy poprzednio się widzieliśmy? – spytała ostro. – Chcesz uderzyć mnie jeszcze mocniej?

Trzymała morfer nadal zwinięty, ale jej czarne oczy błysnęły ostrzegawczo. Nie zawaha się go użyć.

– Przykro mi z powodu tego, co zdarzyło się na Obieżyświacie. Nie poszło tak, jak planowałem. Nie chciałem cię uderzyć.

– Twoje ręce poruszają się same z siebie, tak?

Przypomniał sobie Quin na statku powietrznym, pochyloną nad Shinobu, który leżał ranny na podłodze. Sposób, w jaki do niego mówiła, ton jej głosu… Johna ogarnęła wtedy tak wielka zazdrość, że stracił nad sobą kontrolę. Uderzył Quin brutalnie, z całej siły. Maud ma rację – nie panuje nad swoimi emocjami i myślami, gdy w grę wchodzi ta dziewczyna.

Na moment zamknął oczy.

– Ja… chciałem cię zobaczyć – rzekł w końcu.

Te słowa zabrzmiały dziecinnie, chociaż były żałosną prawdą. Z zakłopotaniem odwrócił wzrok.

„Myślę o tobie tak wiele, że to zakłóca moje szkolenie" – oto co powinien był powiedzieć.

– No, więc mnie zobaczyłeś – odparła zimno. – Teraz możesz już iść.

Odepchnęła go na bok i ruszyła z wąskiej alejki w kierunku ruchliwej głównej ulicy mostu, z której przed chwilą zeszli. John chwycił ją za przegub.

– Quin, proszę, zaczekaj.

Mówił cichym głosem i trzymał ją za nadgarstek delikatnie. Nie chciał wydać się brutalny.

Wyszarpnęła rękę, ale stała, spoglądając na niego i czekając, aż się odezwie.

– Ja… próbuję przestać o tobie myśleć – wyjąkał. – Ale nie potrafię całkiem…

– Nie jesteśmy przyjaciółmi, John – przerwała mu. – Nie musisz czynić mi żadnych wyznań.

Znów odwracała się od niego, nawet nie dając szansy na wyjaśnienie, podczas gdy on rozpaczliwie pragnął, żeby go wysłuchała. Przyciągnął ją łagodnie i poczuł ulgę, gdy nie wyrwała ręki z jego uścisku.

– Nie myślę o tobie jako o przyjaciółce – powiedział niemal szeptem. – Myślę o nas w lesie razem. Myślę o planach, które snuliśmy.

Quin przez chwilę milczała, jakby nie potrafiła znaleźć słów. Potem jej spojrzenie złagodniało i John pomyślał, że może udało mu się do niej dotrzeć. Jednak ten łagodny wyraz zniknął z jej oczu równie szybko, jak się pojawił. Powiedziała:

– To tylko przyzwyczajenie.

– Co?

– Myślenie o mnie. To tylko nawyk. – Nie patrzyła mu w oczy. Przygryzła usta, a potem powiedziała, zniżając głos do szeptu: – W końcu przestaniesz o mnie myśleć.

A ja przestanę myśleć o tobie.

John poczuł ucisk w piersi. Czyżby Quin też nie mogła się pozbyć tego przyzwyczajenia?

– Czy ty…

– Zamierzałam cię poślubić, John. Oczywiście, myślę o tobie. – Zamilkła na chwilę, po czym dodała tak cicho, że ledwie ją usłyszał: – Czasami widuję cię w snach, jak biegniesz i walczysz. Czuję cię wtedy blisko, jak dawniej, kiedy byliśmy razem, ćwicząc w posiadłości. I żałuję, że to czuję.

John dopiero po chwili skojarzył słowa Quin z podobnymi, które usłyszał od Młodej Sędzi, i ogarnęło go poczucie głębokiego zawodu. Starał się, by nie odbiło się na jego twarzy.

„Ona w ogóle o mnie nie myślała. Wcale".

– To nie są twoje myśli – wymamrotał, czując w ustach obrzydliwy smak tych słów. Gdy Quin spojrzała mu w oczy, zmusił się, żeby wyjaśnić. – Zaglądasz w umysł Młodej Sędzi. Ona… zgodziła się dokończyć moje szkolenie, skoro Briac nie chciał. Widzisz to co ona, czujesz to, co ona czuje. Ona też czasami wyczuwa twoje myśli.

Przyglądał się, jak na twarzy Quin powoli świta zrozumienie, a potem zobaczył coś jeszcze, co niemal go zdruzgotało. Odczuwała ulgę – nie, *wdzięczność* – że te myśli nie należą do niej.

– Quin, nie jesteśmy wrogami – wyszeptał. – Nie chcę, żebyś tak o mnie myślała. Dałaś mi wszystko, czego potrzebowałem, kiedy pomogłaś mi na Obieżyświacie.

Nie powinien był tego mówić. Chwilowy rozejm między nimi został zniszczony i John ujrzał, jak na twarz dziewczyny wypełza gniew.

– Ja ci nie *pomogłam*, John. Porwałeś moją matkę, próbowałeś mnie zabić. Zapomniałeś o tym? Nie pamiętasz, co wtedy robiłeś?

– Nigdy nie próbowałem cię zabić – zapewnił. – Przypomnij sobie. Nigdy.

– A więc mnie tylko biłeś? – spytała zjadliwym tonem. – Kiedy ostatnim razem byłeś tu, na moście, przyprowadziłeś ze sobą pięciu ludzi i kazałeś im, żeby mnie pobili! Sam też mnie uderzyłeś.

Jej twarz całkowicie się przed nim zamknęła, jakby byli sobie obcy. Quin zrobiła krok w tył i trzasnęła morferem, nadając mu kształt miecza o długiej, ostrej klindze.

– Quin…

– Proszę, odejdź, John.

– Dlaczego?

– Ponieważ nie chcę cię w moim życiu.

Uniosła morfer tak, że czubek ostrza znalazł się przy piersi chłopca. Trzymała broń idealnie nieruchomo, gotowa pchnąć i go zabić. John objął dłonią klingę, przysunął sobie do mostka i spojrzał dziewczynie w oczy.

– Kochasz go? – zapytał. – Czy kochasz go tak, jak kochałaś mnie?

– Kocham Shinobu inaczej. On jest *czysty*. Jest taki, jaki mówi, że jest. – Powoli potrząsnęła głową. – Nie znam cię, Johnie. Kochałam kogoś, kto nie był prawdziwy.

John wciąż trzymał ostrze miecza ledwie dotykające jego koszuli, a jednak poczuł się, jakby Quin go nim przebiła.

– Byłem prawdziwy – szepnął.

– Mój ojciec wychowywał mnie na zabójczynię. A ty *chcesz* być zabójcą, żeby móc wymierzyć cudzą zemstę.

– To nie jest cudza zemsta! – wykrzyknął, tracąc w końcu opanowanie. Przynaglając swoje mięśnie do prędkości ruchu Sędziów, odbił ręką morfer Quin i złapał ją za przeguby. – To było życie mojej matki. Życie ich wszystkich. Dlaczego to cię nie obchodzi, Quin?

Nawet nie zadała sobie trudu, żeby go odepchnąć. W istocie przyciągnęła ręce do piersi, sprawiając, że John znalazł się bliżej. Jej twarz wykrzywiał grymas nienawiści.

– Po co tu przyszedłeś, Johnie? Czy sądziłeś, że powiem ci, iż wszystko, co zrobiłam, było błędem i pragnę tylko być z tobą?

Przecząco pokręcił głową. Młoda Sędzia sprowadziła go do Hongkongu, żeby skonfrontował się z Quin. Powiedziała mu, że musi wybrać, co pochłania jego myśli. Właśnie dlatego znalazł się tutaj. Teraz więc musiał dokonać wyboru.

I dokonał.

– Nie – odparł. – Wiem, że nigdy nie będziesz ze mną. – Poczuł wagę i prawdę tych słów. – Przyszedłem chyba, żeby przepro…

W środku zdania rzucił się do przodu i z całej siły pociągnął Quin na ziemię za pojemniki na śmieci stojące wzdłuż alejki. Z przenikliwym brzękiem w ścianę wbił się nóż i tkwił tam, drgając od siły uderzenia – dokładnie w miejscu, gdzie przed chwilą była Quin.

U wylotu alejki stali trzej nastoletni chłopcy z kolejnymi nożami w rękach, gotowi nimi cisnąć.

– Och, Boże, nie teraz – jęknęła Quin. A potem wyszeptała niemal jak modlitwę: – Shinobu, gdzie jesteś?

Rozdział 35
Quin

Quin odtoczyła się od Johna i po chwili podniosła się w kucki za pojemnikami na śmieci, trzymając w jed nej ręce morfer, a w drugiej nóż. Zdarła z siebie zawadzający jej kitel.

– Nie mam nic, czego chcecie! – krzyknęła do tamtych chłopców.

Chłopców Średniego Sędziego. On ich wyszkolił i trzymał… po co? Żeby po jego śmierci uganiali się za jego athamenem?

„Oczywiście, nie wiedzą, że on zginął – uświadomiła sobie. – Przez cały czas rozmawiali o nim tak, jakby nadal żył".

– Kłamiesz! – powiedział najmniejszy z nich.

Wraz z pozostałymi dwoma posuwał się w głąb długiej, wąskiej alejki.

– Widziałaś ich już kiedyś? – zapytał John, przykucając obok.

Skinęła głową.

– Ty też?

– Tak. Uciekają, jeśli się ich zaatakuje.

– Przede *mną* nie uciekną bez zaciekłej walki – rzekła ponuro Quin. – Nie mam nic, czego chcecie! – krzyknęła ponownie.

To była prawda. Shinobu zabrał fokal oraz athamen Sędziów, co oznaczało też, że nie dysponowała żadnym łatwym sposobem ucieczki przed chłopcami. Gdzie się podział Shinobu? Ciało wciąż bolało ją po ostatniej walce i nie cieszyła jej perspektywa wdania się w nową bez swojego towarzysza.

Dokonała w myśli szybkiej kalkulacji: miała morfer i kilka noży. Od ostatniego starcia z tymi chłopcami nie ruszała się z domu bez broni, na wypadek gdyby znów się pojawili. Ale w istocie nie spodziewała się, że natknie się na nich na moście. Pożałowała, że zrezygnowała z posiadania broni palnej, chociaż w Hongkongu trudno ją zdobyć, a jej noszenie na moście Tranzytowym jest prawnie zabronione.

– Więc pozwól nam cię przeszukać! – odkrzyknął jeden ze starszych chłopców, ten czarnoskóry, z którym walczyła w posiadłości.

– Wasz mistrz nie żyje! – oznajmiła im. – Gdybyście wczoraj dali mi dojść do słowa, zanim nas zaatakowaliście, powiedziałabym o tym. Nie macie już komu zwrócić athamenu.

– Zamknij dziób! – warknął czarny chłopak.

– Kłamiesz! – wrzasnął Nott.

– Kto jest ich mistrzem? – spytał szeptem John.

– Średni Sędzia – odszepnęła.

Trzeci chłopak wyszedł zza tamtych dwóch. Miał jakieś dziewiętnaście lat, bardzo ciemną skórę, a podczas starcia w posiadłości był najgroźniejszym przeciwnikiem. Teraz nosił na głowie fokal…

A przez pierś miał przewieszony na pasach rozrywacz.

– Kłamiesz! – rzucił wściekle.

Quin uświadomiła sobie, że od jakiegoś czasu słyszała wysoki, przenikliwy dźwięk

rozrywacza, jednak zagłuszały go hałasy dobiegające z mostu. Zanim zdążyła zareagować, chłopak wystrzelił z tej broni.

– Och, Boże! – zawołali jednocześnie ona i John, padając na ziemię.

Iskry rozrywacza trafiły w metalowe pojemniki na śmieci, odbiły się od nich rykoszetem i rozprysnęły z sykiem i błyskiem.

– Nie mam tego, czego chcecie! – krzyknęła Quin. – Wasz mistrz nie żyje. Widziałam, jak zginął!

– Przestań to mówić! – wrzasnął chłopak w fokalu.

Znowu wystrzelił z rozrywacza.

Quin i John przywarowali nisko przy metalowych pojemnikach, gdy uderzyła w nie nowa chmara iskier. Kilka wpadło przez odstęp między pojemnikami, śmignęło koło twarzy dziewczyny i rąbnęło w metalowe schody za nią.

Czuła zapach tych chłopców, woń śmierci spowijającą ich jak niewidzialny płaszcz.

– Wyjdź i pokaż nam, co masz albo czego nie masz – polecił najstarszy chłopak i znów strzelił z rozrywacza.

– Jak to się dzieje, że strzela z niego tak często? – zapytała Quin Johna.

W przeciwieństwie do rozrywacza, na którym szkoliła się w posiadłości, ta broń nie potrzebowała prawie wcale czasu na ponowne naładowanie się.

– On sprawia wrażenie, jakby naprawdę chciał cię zakłócić – odrzekł John szeptem. – Jakby marzył, żeby to zrobić, bez względu na to, czy wyjdziesz, czy nie.

– Shinobu i ja dość paskudnie ich pokiereszowaliśmy. Przypuszczalnie wolą nie wdawać się w bezpośrednią walkę. – Rzeczywiście, wszyscy trzej chłopcy wyglądali na poranionych, mieli na różnych częściach ciała brudne bandaże z zaschniętą krwią. – I myślą, że mam athamen. Nie chcą dać mi szansy użycia go.

– I naprawdę nie podoba się im to, co powiedziałaś o ich mistrzu – dorzucił John.

Miał rację. Chłopcy spierali się, podchodząc bliżej. Quin usłyszała, jak Nott powiedział:

– On nie mógł umrzeć. Ona kłamie!

– Oczywiście, że on żyje – rzekł najstarszy. – A my damy jej nauczkę.

Rozrywacz wył teraz przenikliwiej, przygotowując się do kolejnego strzału.

– Może rzucimy się na nich i wybiegniemy na główną ulicę? – zaproponował John.

– Nie. Alejka jest wąska, a rozrywacz szybko strzela. Łatwo nas trafią.

– Racja.

Quin wskazała głową w kierunku tylnej części alejki.

– Powinniśmy wspiąć się i przedostać tamtędy.

Za ich plecami alejka kończyła się zewnętrznymi schodami domu Quin prowadzącymi do sypialń na drugim piętrze. Za schodami widniała stalowa kratownica mostu oddzielająca jego górny poziom od pustej przestrzeni poniżej.

Głosy chłopców kłócących się ze sobą zaciekle i chaotycznie coraz bardziej się zbliżały. Rozrywacz wystrzelił ze znacznie mniejszej odległości i rozbłyskujące iskry zagrzechotały gniewnie o metal pojemników. Quin i John wykorzystali okazję, tę krótką chwilę, zanim rozrywacz będzie mógł znów wystrzelić, i przykucnięci wbiegli po schodach jej domu, zmierzając na drugie piętro.

Ktoś tam był. Trzy postacie przykucnięte dotąd na balkonie teraz wstały. Jedną był starszy chłopak, który poprzednio zaatakował ich w szpitalu, Wilkin. On też nosił na piersi rozrywacz. Za nim stali dwaj inni chłopcy, których Quin nigdy wcześniej nie widziała.

– Oni mnożą się w oczach – wydyszał John.

Oboje zostali przyłapani w połowie schodów. Rozrywacz nad nimi wydawał wysoki pisk, świadczący o gotowości do strzału, i taki sam dźwięk dobiegał z pierwszego rozrywacza na dole.

Chłopcy w górze ruszyli się i stali teraz u szczytu schodów. Podwójne wycie rozrywaczy niemal dosłownie wwiercało się Quin w uszy.

– Skończ z tymi kłamstwami o naszym mistrzu – odezwał się z dołu największy chłopak. – Jeżeli podniesiesz ręce i zejdziesz na dół, być może cię nie zakłócimy.

Jego mina mówiła jednak, że chętnie strzeli do Quin, jeśli oznaczałoby to uciszenie jej i uniknięcie walki. Pośrodku brudnego bandaża na jego barku pojawiła się jaskrawoczerwona plama. Otworzyła się wcześniejsza rana – prawdopodobnie gdy cisnął pierwszym nożem. Był ranny i rozwścieczony.

Quin nie zamierzała się poddać. Rzuciła okiem na Johna i zorientowała się, że on rozumie i zgadza się z nią. Zaczęli unosić ręce w geście poddania…

I wtedy Quin skoczyła na poręcz schodów, potem dalej, a John tuż za nią.

Obydwa rozrywacze wystrzeliły. Dziewczyna uchwyciła się stalowej kratownicy za schodami. Pomiędzy prętami mignęła jej rozfalowana Zatoka Wiktorii, statki i w oddali wyspa Hongkong.

John wylądował obok niej. Nad nimi kratownica ciągnęła się niemal nieskończenie, aż do baldachimu mostu.

– Właź! – krzyknęła Quin.

Gdy znów wystrzelono z rozrywaczy, zaczęła wciągać się w górę kraty.

Rozdział 36
Nott

Nott zastanawiał się, czy ich mistrz naprawdę mógł zginąć. Nie sądził, by tak się stało. Ale nawet gdyby nie żył, Nott uważał że nadal powinni odebrać Quin jego athamen – żadna złodziejka nie powinna go mieć. Poza tym ona ma jego hełm.

Hełm.

Nott nie nosił go już wystarczająco długo, by zdać sobie sprawę, że ten przyrząd mącił jego osąd. Nadal uwielbiał hełm, nadal go potrzebował i nadal zamierzał w razie potrzeby zabić każdego z Obserwatorów, żeby dostać w ręce ten przedmiot. Niemniej dostrzegał teraz ograniczenia tego przyrządu. I rozumiał, że hełm mąci osąd *każdego*.

Jeśli ich mistrz nie żyje – a chłopiec wątpił, by ten człowiek naprawdę mógł kiedykolwiek umrzeć – Nott mógłby równie dobrze porzucić całą tę bandę Obserwatorów i zacząć od nowa, sprzymierzając się z zupełnie innymi chłopcami, bowiem on i reszta to idioci. Ale oczywiście to mistrz zmusił ich do używania hełmu. To on nauczył ich ufać temu przyrządowi. Zatem to on uczynił z nich idiotów.

Dwaj na wpół wyszkoleni Obserwatorzy – *dzieciuchy*, jak Nott lubił o nich myśleć – posłużyli się magią komputerów, by skierować ich na most w Hongkongu, na którym mieszkała Quin. Teraz Geb chciał użyć rozrywaczy, by zneutralizować umiejętności walki tej dziewczyny i łatwiej odebrać jej athamen. Poza tym Geb był wściekły, że Quin wciąż mówiła im o śmierci mistrza – i Nott to rozumiał, gdyż jego też to wściekało. Ale co, jeśli ona rzeczywiście nie ma athamenu? Wrzeszczała, że go nie ma. Jeśli to prawda, jak zdołają kiedykolwiek go odnaleźć, jeżeli zakłócą Quin?

Powinni się skupić na schwytaniu jej, nawet gdyby to groziło kolejnymi ranami. Czym jest w tej sytuacji kilka więcej obrażeń?

Wspięli się za Quin po stalowej kratownicy i znajdowali się teraz wszyscy pośród wysokich metalowych krokwi. Dziewczyna zamierzała przebyć jedną z tych wielkich belek spajających most i zejść na główną ulicę, ale Obserwatorzy zablokowali jej drogę, więc musiała wleźć jeszcze wyżej.

Krokwie tu w górze tworzyły gąszcz stalowych konarów krzyżujących się i łączących ze sobą pod baldachimem mostu. Nott i reszta musieli więc pełzać pomiędzy belkami i wokół nich, żeby nie stracić dziewczyny z oczu. Ona i jej towarzysz (dziwnym trafem ten sam gość, który wcześniej cisnął nożem w Briaca Kincaida) byli teraz nad Obserwatorami, tuż przy pochyłym baldachimie stanowiącym strop mostu. Dzieciuchy Jacob i Matthew wyglądali na przestraszonych i jednocześnie podekscytowanych tym pościgiem, co świadczyło, jakimi w istocie są idiotami, ponieważ gdyby doszło do prawdziwej walki, Quin mogłaby posiekać ich na kawałki.

Nott zastanawiał się, jak jego starszy brat Odger skłoniłby wszystkich tych tutaj, żeby postępowali sensownie. Wyobraził sobie, jak go pyta: „Odgerze, co powinienem teraz zrobić?". Ale Odger, zbyt zdumiony tym współczesnym światem, żeby móc się na cokolwiek przydać, odpowiedziałby tylko: „Co to za wygodne buty, które jak widzę, wszyscy tu noszą? Czy mógłbyś zdobyć mi takie?".

„Nie mógłbym, Odgerze – odparł Nott – ponieważ nie żyjesz i zostałeś pochowany

już wieki temu”.

Dlaczego po tak długim czasie wciąż myślał o Odgerze? Przecież pozostawił za sobą w przeszłości braci, rodziców i wszystko inne.

Geb szamotał się między dwiema stalowymi belkami (kłopot sprawiał mu ciężki rozrywacz przypasany na piersi); zobaczył prześwit i wystrzelił. Połowa iskier uderzyła w metalową krokiew w odległości kilku metrów, odbiła się od niej i niemal trafiła Geba w twarz. Uchylił się szybko. Pozostałe iskry zgasły o wiele wcześniej, nim dotarły do Quin. Geb okazał się takim samym idiotą jak Wilkin. Dowodziło tego wszystko, co zrobił, odkąd go obudzili.

– Przestań używać rozrywacza! – krzyknął Nott.

– Zamknij się, Nott! – syknął Wilkin na prawo od niego.

Nawet w słabym świetle pomiędzy krokwiami widać było siniec na jego lewym policzku. Wilkin też wspinał się z trudem, mając na piersi rozrywacz. Ale przynajmniej był na tyle bystry, by z niego nie strzelać.

– Geb niemal zakłócił sam siebie! – szepnął wyzywająco Nott. – Nie powinniśmy strzelać, dopóki nie znajdziemy się na otwartej przestrzeni!

– Więc ruszaj się szybciej! – rzucił Balil i brutalnie przepchnął Notta przez ciasną szczelinę między belkami.

W górze przed nimi pojawił się oślepiający błysk światła. Quin przecięła albo rozerwała fragment baldachimu mostu i ściągała materiał, odsłaniając niebo nad nim. A potem ona i jej towarzysz przeszli przez tę płócienną klapę na powierzchnię baldachimu i zniknęli z oczu Obserwatorom.

Rozdział 37
Quin

Quin przez otwór, który wycięła, wyszła z ciemnego gąszczu krokwi na powierzchnię wielkiego baldachi mu mostu. Uderzył w nią podmuch wiatru, a chociaż dzień był pochmurny, prawie oślepiło ją światło otwartej przestrzeni. Niemal zatraciła się w wirze oszołomienia. Była tak bardzo *wysoko*. Sam baldachim kołysał się w górę i w dół – wielki żagiel rozpościerający się pod nią, a potem wznoszący się znowu przy swej odległej krawędzi, tam gdzie zwieszał się nad mostem jak okap dachu. Za skrajem baldachimu i dużo, dużo niżej falowały szare wody Zatoki Wiktorii, a za nią widniała wyspa Hongkong.

Quin kurczowo ściskała płócienny materiał za sobą. Znalazła się teraz równie wysoko jak tamtej nocy, kiedy skoczyła z Shinobu na spadochronie na Obieżyświata. Miała wrażenie, jakby żołądek oddzielił się od reszty ciała i zsuwał ku stopom. Jej włosy szarpane silnymi porywami wiatru łopotały szaleńczo przy twarzy, potęgując oszołomienie. Nowo odkryty lęk wysokości sprawiał, że miała trudności z oddychaniem. John chwycił ją za ramię, powstrzymując przed upadkiem do przodu.

– Maud, proszę! – usłyszała, jak wymamrotał obok niej.

– Co? – spytała.

– Dokąd możemy stąd przejść? – zapytał, wskazując stromy żagiel pod nimi.

John sprawiał wrażenie spiętego i poważnego, ale nie przestraszonego, i Quin pomyślała przelotnie, że czegokolwiek uczyła go Młoda Sędzia, odniosła sukces.

Odwróciła się od rozciągającego się przed nią panoramicznego widoku i skupiła uwagę na samym baldachimie. Z odległości przypominał żagle olbrzymiego okrętu płynącego przez zatokę. Z bliska wyglądał jak łańcuch stromych gór poprzedzielanych dolinami. Wyszli mniej więcej w połowie wysokości baldachimu. Najbardziej strome szczyty wznosiły się wysoko nad nimi, a poniżej żagiel na którym stali, opadał stromo aż do miejsca, w którym przechodził we wklęsłą dolinę, a potem znów wznosił się przy skraju mostu.

– Zejdziemy na dno – powiedziała – i znajdziemy miejsce, w którym będziemy mogli wyciąć kawał baldachimu i dostać się z powrotem pod spód… z dala od nich. – Szarpnięciem głową wskazała otwór klapy, przez który przed chwilą przepełzli. – Potem zejdziemy na główną arterię i zdobędziemy pomoc.

Żagle były podtrzymywane przez liny i stalową konstrukcję krokwi, ale stąd widać było tylko płótno, w jednych miejscach mocno napięte, w innych marszczone oceaniczną bryzą.

Z tyłu dobiegło wycie i brzęczenie, słyszalne nawet w szumie wiatru. Quin odwróciła się w momencie, gdy gęsta chmara iskier rozrywacza uderzyła w płótno, rozświetlając je od spodu kalejdoskopem barw. Garstka iskier wyprysnęła przez otwór, który wycięła Quin, jedynie szczęśliwym trafem omijając ją i Johna, po czym rozproszyła się w powietrzu.

Dziewczyna spojrzała szybko w dół na odległy ocean i poczuła, jak narasta w niej rozpacz, grożąc zablokowaniem zdolności jakiegokolwiek logicznego rozumowania.

Myśl o rzuceniu się w dół powierzchni żagla była przerażająca, ale nie mieli wielkiego wyboru i nie przypuszczała, by ścigający podążyli w ślad za nimi, mając na piersiach aktywne rozrywacze.

– Ruszam! – oznajmiła.

Nie czekając na odpowiedź Johna ani na to, by opuściła ją odwaga, skoczyła przed siebie, w dół stromo wydętego żagla. Po chwili już pędziła szaleńczo, jej stopy zapadały się w płótno i ślizgały. Była to bardziej jazda na łyżwach niż bieg i wiedziała, że porusza się o wiele za szybko. Miała wrażenie, że lada moment poleci głową naprzód i stoczy się gwałtownie, tracąc równowagę.

W końcu rzeczywiście straciła równowagę, bo jej pęd do przodu wyprzedził ruch nóg. Upadła plackiem na żagiel, a potem zaczęła spadać, odbijając się raz za razem od baldachimu; płótno sprężynowało, łagodząc każdy upadek i wyrzucając ją znów w powietrze.

– Oni nadchodzą! – dobiegł ją z góry krzyk Johna, gdy upadła po raz ostatni i znieruchomiała na dnie żagla.

John podążał tuż za nią; wciąż utrzymywał się na nogach, ale poruszał się tak szybko, że nie była pewna, czy zdoła się zatrzymać. Rzucił się przed siebie, potoczył przez resztę drogi i wylądował kilka metrów od Quin, fałdując żagiel pod sobą.

Wysoko w górze cała szóstka chłopców zbiegała po stromej pochyłości niczym galopująca horda jeźdźców.

Wiatr przyniósł prosto do uszu Quin wycie rozrywaczy.

Rozdział 38
Maud

Maud na dachu wysokiego budynku w Koulun obejrzała już dokładnie wszystkie przedmioty z kieszeni peleryny i schowała je z powrotem.

Czy John odnalazł Quin? Czy zapanował nad swoimi myślami o niej? Czy nadal będzie uczniem Maud?

Gdyby odpowiedź na ostatnie pytanie brzmiała „nie", co wówczas Maud miałaby zrobić? Każdy dzień spędzony przez Młodą Sędzię w świecie, w tym czasie i miejscu, był dniem straconym z jej życia jako całości. A jednak nie mogła jeszcze powrócić do stanu uśpienia, nie teraz, kiedy była jedyną aktywną Sędzią. Nie wiedziałaby nawet, jak później się obudzić.

John był uczniem szkolącym się na Poszukiwacza, jednak w ciągu ostatnich dni Maud dostrzegła w nim mgliście potencjał stania się kimś więcej – gdyby potrafił się temu poświęcić.

„Maud, proszę!".

Usłyszała w głowie to wołanie i pojęła natychmiast, że pochodzi od Johna. Ich umysły nigdy dotąd się nie zetknęły, ale teraz myśli chłopca napływały do niej wyraźnie, nagląco. Był w panice, biegł ile sił.

„Maud, potrzebuję twojej pomocy…".

Jednym płynnym, wyćwiczonym ruchem Młoda Sędzia wstała i narzuciła pelerynę na ramiona. Z athamenem i krzesiwem w ręce spojrzała w dal poza gęstą zabudowę Koulun w kierunku mostu Tranzytowego.

Rozdział 39
Nott

Irytację Notta na jego kolegów Obserwatorów przytłumił gwałtowny przypływ strachu, gdy chłopiec wypadł przez otwór wycięty w baldachimie mostu. Nawet się nie zatrzymali, by obmyślić jakiś plan działania. Geb zagonił ich wszystkich do szaleńczego pościgu za Quin, wrzeszcząc, że nie mogą pozwolić jej uciec.

Nagle nad sześcioma Obserwatorami otworzyło się pochmurne niebo Hongkongu, a pod nimi rozciągała się nieskończona stroma płaszczyzna żagla i pochyleni do przodu pognali w dół szybciej, niż Nott biegł kiedykolwiek w życiu. Po zaledwie kilku krokach pędzili już zbyt szybko, by móc się zatrzymać. W trakcie biegu ich stopy zagłębiały się w płótno, powodując marszczenie się materiału, tak że żagiel falował pod nimi coraz gwałtowniej.

Nott nie chciał patrzeć nigdzie indziej niż tylko prosto przed swoje nogi, jednak musiał się zorientować, czy nie pobiegnie na prawo od skraju mostu. Spojrzał w górę i poczuł ulgę, widząc, że nie da się tego zrobić. Żagiel opadał coraz niżej, tworząc na dnie rodzaj doliny, a potem znów wznosił się aż do krawędzi. Quin i ten drugi byli teraz w tej dolinie i starali się ze wszystkich sił uciec.

Tuż przed Nottem Geb rozpaczliwie wymachiwał rękami, by zachować równowagę. Jedną ręką uderzył o rozrywacz na piersi i broń wystrzeliła. Z brzęczeniem i sykiem chmara iskier wpadła w powierzchnie żagla i odbiła się od niej na wszystkie strony. Gnając w dół, Obserwatorzy nadeptywali na gasnące iskry. Na szczęście strzał z rozrywacza mógł wyrządzić krzywdę tylko, jeśli trafił w głowę.

Nott, usiłując ominąć iskry, źle postawił nogę, potknął się i po chwili już nie biegł, lecz staczał się w dół. Wpadł na Geba i Balila, zbijając obydwu z nóg i pociągając za sobą. Impet całej trójki w połączeniu z falowaniem żagla wystarczył, by przewrócić pozostałych. Po chwili cała szóstka Obserwatorów, młócąc kończynami i odbijając się od płótna, toczyła się w dół stoku w szalonym wirze rąk, nóg, noży i ciężkich metalowych rozrywaczy. Pośród całego tego chaosu Nott usłyszał, jak obydwa rozrywacze wystrzeliły.

W końcu sześciu chłopców wylądowało po kilku w dolinie na dnie żagla. Płótno nadal marszczyło się i falowało, potęgując ich oszołomienie spowodowane długim turlaniem się. Gdy Nott odzyskał wreszcie zdolność wyraźnego widzenia, dostrzegł Quin w odległości pięćdziesięciu metrów, biegnącą w kierunku sąsiedniego żagla.

– Ona ucieka! – krzyknął Wilkin.

Geb wstał z rozrywaczem wiszącym krzywo na piersi. Wyglądał na wściekłego.

Ktoś wrzeszczał. To był Jacob, ten chudy na wpół wyszkolony Obserwator w okularach. Rzucał się w konwulsjach na płótnie; wokół jego głowy i klatki piersiowej wirowała szaleńczo chmara iskier. Wydając ryki zwierzęcej męki, walił się pięściami po głowie, a potem bezradnie drapał żagiel pod sobą. Stojący nieopodal jego partner Matthew, drugi dzieciuch, gapił się na niego z rozdziawionymi ustami.

– Wszyscy na górę! – rozkazał Geb. – Jazda!

Wszyscy Obserwatorzy – oczywiście oprócz Jacoba – zaczęli się wdrapywać w ślad za Quin. Geb odczekał chwilę dłużej i wbił nóż w pierś Jacoba.

„Właśnie to cię spotyka, kiedy jesteś Obserwatorem, choćby tylko dzieciuchem Obserwatorem – pomyślał Nott. – Żyjesz pośród szaleńców, a potem któryś z nich zabija cię, dźgając nożem”.

Geb złapał Notta za kołnierz i syknął mu w ucho:

– To przez ciebie spadliśmy. To t y zabiłeś Jacoba. – Starszy chłopak wyciągnął linę zza pazuchy swojej peleryny i rozkazał Nottowi: – Idziesz pierwszy.

Rozdział 40
Quin

Quin i John wspięli się z doliny żagla na jego krawędź, w miejsce gdzie zachodził na następny żagiel. W trak cie szaleńczego spadania chłopców jeden z nich został zakłócony, ale pozostała piątka była w dolinie za nimi i zmierzała w ich kierunku, poprzedzana wyciem rozrywaczy.

– Dalej! – krzyknęła Quin.

Zeskoczyli ze skraju żagla w dół na sąsiedni.

– Przecinamy go tutaj? – zapytał John.

– Tak!

Oboje upadli na kolana, nadali swoim morferom kształt krótkich, ostrych noży i zaczęli gwałtownie piłować płótno. Gdy wycięli wystarczająco duży odcinek, chwycili razem płótno i pociągnęli, odrywając wielki płat materiału. Luźne płótno załopotało ku nim w podmuchu wiatru i Quin zdała sobie sprawę, że patrzy przez szczelinę prosto na znajdującą się kilkaset metrów niżej Zatokę Wiktorii.

– Cholera! – zaklął John, także spoglądający na wodę.

W tym miejscu nie znajdowali się nad mostem; stali na wystającej części baldachimu i nie mogli zejść na dół.

Odcięty przez nich kawał płótna łopotał szaleńczo, chlaszcząc Quin po nogach i odsłaniając widok na odległą zatokę. Dziewczynie zawirowało przed oczami, aż wreszcie zmusiła się, żeby odwrócić wzrok. Nad skrajem żagla zobaczyła chłopców zmierzających prosto ku nim.

Odwróciła się i popatrzyła w inną stronę. Przed nią rozpościerała się dolina nowego żagla, a po prawej wznosił się, tworząc kolejny szczyt.

– Czy powinniśmy biec na sąsiedni żagiel, a potem na następny? – zapytała.

John pokręcił głową.

– Nie sądzę, żebyśmy mogli pokonać ich pieszo.

Miał rację. Na otwartej przestrzeni mógł ich trafić strzał z rozrywacza, a pochyła powierzchnia żagla zadziała na ich niekorzyść, odbijając iskry w twarze, gdy będą biegli.

– Musimy szybko się wspiąć – powiedziała Quin – a potem, skoro tylko znajdziemy się nad mostem, znowu przetniemy żagiel i przez szczelinę przedostaniemy się do wewnątrz.

John przytaknął.

Za nimi pojawiły się podskakujące głowy prześladowców, którzy szybko wspinali się z doliny pierwszego żagla. Quin i John wchodzili na ukos, trawersując płócienny stok. Niemniej jednak powierzchnia stawała się coraz bardziej stroma, więc z każdym krokiem ślizgali się do tyłu.

– Noże! – krzyknął zdyszany John, wyciągając dwa zza paska.

Quin wyjęła swoje noże i użyli ich jak karabińczyków, wbijając je w płótno i podciągając się wyżej.

Im wyżej wchodzili, tym bardziej wzmagał się wiatr. Dziewczyna zerknęła w dół pod swoją prawą ręką – aby uniknąć spojrzenia dokładnie przez ramię, gdyż wówczas

mogłaby ujrzeć przerażający widok stoku opadającego ku zatoce – i zobaczyła jakiś kształt szybujący nad krawędzią żagla. To Nott z liną zwisającą z klatki piersiowej leciał przez powietrze niczym orzeł z rozpostartymi skrzydłami. Uderzył w płótno, po czym lina, którą był ciasno obwiązany, szarpnęła go i zatrzymała. Chłopiec ściśnięty nią dyszał, łapiąc powietrze, i te zduszone dźwięki dobiegły do Quin, niesione wiatrem.

– Możecie skakać! – krzyknął Nott, gdy odzyskał głos. – Ona jest tutaj!

Quin znajdowała się już na tak stromym odcinku żagla, że niemal wisiała na nożach wbitych w płótno.

– Tu jest jakiś dźwigar! – zawołała do Johna.

– Wyczuwam go! – odkrzyknął.

– Tnijmy tutaj! – rozkazała.

Przechyliła się przez lewe ramię i prawą ręką wyjęła morfer z pochwy u paska. Trzasnęła nim i lekko obróciła nadgarstek, sprawiając, że oleiście czarna substancja okręciła się płynnie wokół siebie. Morfer przekształcił się w nóż o długim i szerokim ostrzu. Wykonała nadgarstkiem kolejną serię skomplikowanych ruchów i po obu stronach ostrza pojawiły się ostre zęby jak w brzeszczocie piły.

– Uczyń swój miecz krótkim i z zębatym ostrzem – poleciła Johnowi.

Ale John już ją naśladował, robiąc ze swoim morferem to samo co ona. Potem oboje zaatakowali płótno, piłując zapamiętale.

„Nie patrz w dół", pomyślała Quin, przywierając mocno do powierzchni żagla.

Gdyby straciła równowagę, ześliznęłaby się szybko na dno żagla, a chłopcy w ciągu kilku sekund otworzyliby do niej ogień z rozrywaczy. Dotarli już na nowy żagiel i wspinali się w kierunku niej i Johna. Pokonają jeszcze dwadzieścia czy trzydzieści metrów i znajdą się w odległości umożliwiającej skuteczny ostrzał.

Quin i John piłowali żagiel, póki nie wycięli odcinka wielkości człowieka, ale rżnęli nierówno i płachta w kilku miejscach nadal trzymała się na postrzępionych pasmach płótna.

– Możemy rozerwać resztę! – zdecydował John, przekrzykując wycie wiatru.

Quin kiwnęła głową i schowała morfer; potem razem oderwali od dźwigara resztki płótna. Wielki płat materiału oddzielił się gwałtownie od żagla i w Quin uderzył podmuch ciepłego powietrza spod baldachimu. Wśliznęła się pod tę płócienną klapę, a John tuż za nią.

Jej wzrok dopiero po chwili przywykł do słabszego światła i wtedy zobaczyła sieć krzyżujących się kratownic, rozciągającą się w górę i na boki od dźwigara, na którym przycupnęli. Gdzieś niżej leżał górny poziom mostu, ale kratownice tutaj były tak gęste, że nie dałoby się przecisnąć między nimi na dół.

Quin i John znaleźli się w potrzasku.

Usłyszała dobiegające spoza płóciennej klapy wycie rozrywaczy. Czując narastającą rozpacz, zerknęła poza klapę i zobaczyła chłopców w odległości zaledwie dwudziestu metrów pod nimi. Spoglądała prosto w lufę rozrywacza; z setek jej otworów już śmigały iskry.

– Cofnij się! – krzyknęła, popychając Johna.

Wcisnęła się pod płótno, w niewielką pustą przestrzeń pomiędzy stalową

kratownicą a baldachimem.

Wokół brzegów klapy z sykiem i skwierczeniem wybuchło światło. Kilkanaście iskier przedostało się przez poszarpane rozcięcie i gwałtownie odbiło się rykoszetem między kratownicami, zaledwie kilka centymetrów od twarzy Quin, zanim wypaliły się w tęczowych świetlnych eksplozjach.

Dziewczyna nie czekała, by się przekonać, czy została zakłócona. Mocno uchwyciła ostrze swego noża i uniosła klapę. Cała piątka napastników znajdowała się poniżej, rozproszona. Quin bez wahania wybrała cel i cisnęła nóż. Wbił się w ramię chłopaka w fokalu i z rozrywaczem. Krzyknął z bólu, ale nie upadł. Tych chłopców trudno było zatrzymać.

Obok niej John cisnął szybko kolejno dwoma nożami. Jeden drasnął ramię któregoś chłopca, a drugi trafiłby innego w oko, gdyby ten nie uchylił się w ostatniej chwili.

Nott rzucił się w kierunku Quin, w jego ręku błysnęło ostrze.

– Oddaj mi mój hełm, ty durna złodziejko! – wrzasnął.

Uchwyciła się kratownicy za sobą, uniosła nogi i kopnęła chłopca w klatkę piersiową, odrzucając go do tyłu.

Wystrzelił drugi rozrywacz. Quin i John wcisnęli się w bok, gdy w płótno uderzył nowy grad iskier.

– Nie mam już więcej noży – oznajmił John.

– Ja mam jeszcze jeden! – odrzekła. – Postaram się go nie zmarnować!

Zaczynała ją ogarniać desperacka bitewna furia i dziewczyna nie dopuszczała do siebie myśli, że są osaczeni i niemal bezbronni.

Szarpnięciem otworzyli płócienną klapę. Quin rzuciła ostatnim nożem i zobaczyła z przerażeniem, że jeden z czarnoskórych napastników uniósł rozrywacz niczym tarczę i nóż z brzękiem odbił się od broni, nie czyniąc chłopakowi żadnej szkody.

Obydwa rozrywacze znowu zawyły przenikliwie. Ale zanim można było ponownie z nich wystrzelić, wszystkie spojrzenia zwróciły się gdzie indziej. Poniżej na żaglu pojawiła się jakaś niewyraźna ruchoma sylwetka na tle szarego płótna baldachimu. Ktoś wbiegał tak szybko po stromiźnie, że zdawał się na poły niesiony przez wiatr. To Młoda Sędzia, tak lekka i zwinna, że nie potrzebowała przy wspinaczce pomagać sobie nożami wbijanymi w płótno.

Rzuciła czymś. Owalny, płaski przedmiot, wirując, śmignął z jej dłoni rozmazaną czarną smugą i prześliznął się w górę powierzchni żagla.

John zatrzymał go pod butem. To była tarcza – metalowa tarcza z tak ostrą krawędzią, że wycięła w płótnie wąską szczelinę, gdy wirując mknęła ku nim. John uniósł tarczę, chwycił Quin i oboje zanurkowali pod nią, gdy spadał na nich deszcz iskier.

Przykucnęli nisko na dźwigarze. Płócienna klapa załopotała głośno na wietrze, gdy nowy grad iskier uderzył ze skwierczeniem i sykiem o tarczę.

Garść iskier dostała się pod brzeg tarczy i gwałtownie rąbnęła w dźwigar, otaczając kostkę Quin. Dziewczyna wierzgnęła nogą wzdłuż stalowej belki, by je strzepnąć; miała nadzieję, że żadna iskra nie dotarła do jej głowy. Zanim zdołała rozeznać się w swoim stanie, rozrywacze znów wystrzeliły.

A potem, całkiem nagle, kanonada rozrywaczy ustała i Quin słyszała tylko szum

wiatru oraz odgłosy odległych pojazdów powietrznych.

Rozdział 41
Shinobu

Shinobu wrócił na most Tranzytowy i zobaczył, że na głównej ulicy panuje gorączkowe zamieszanie. Przechodnie uciekali z mostu albo kłębili się nerwowo i zbijali w grupki, spoglądając w górę na baldachim nad nimi, którym wstrząsały przetaczające się falowania materiału.

Od razu pojął, że gdzieś tam wysoko jest Quin. Zostawił ją samą i podczas tej nieobecności zdarzyło się coś złego. Popatrzył na baldachim mostu i zaklął. Potem dał nura w pogrążone w cieniu przejście pomiędzy dwoma budynkami i wyjął athamen. Przez kilka chwil przyglądał się uważnie temu kamiennemu sztyletowi, po czym nerwowo ustawił pokrętła, polegając na swojej ograniczonej znajomości współrzędnych – i mając nadzieję, że zdoła jakoś wyciąć anomalię prowadzącą na szczyt baldachimu. W przypadku athamenu Sędziów to powinno być możliwe.

Rzucił spojrzenie w górę, gdy przez dach mostu przechodziła wyjątkowo wielka fala; tłum na głównej arterii jęknął cicho.

Znów popatrzył z rozpaczą na pierścienie athamenu.

„Cholera, za mało wiem, żeby udało mi się tego dokonać!".

Gwałtownie ściągnął z ramion plecak, wyjął z niego kask i wcisnął na głowę. Jego umysł niemal natychmiast złączył się z fokalem, co wyniosło Shinobu na wyższy poziom percepcji. Chłopak obracał w dłoniach athamen, a jednocześnie odprężył umysł i pozwolił, by fokal głębiej zanurzył się w jego myśli. Po zaledwie kilku chwilach zrozumiał, jak trzeba ustawić pokrętła, by wykonać tego rodzaju niewielki manewr, jaki teraz zamierzał. Przesunął palcami po pierścieniach sztyletu, a potem obrócił je kolejno, aż trafiły w odpowiednie miejsca, umożliwiając pierwszy skok Tam.

Uderzył athamenem o wąskie krzesiwo.

W ciemności tamtego miejsca *pomiędzy* ponownie ustawił pokrętła, a potem wyciął w przestrzeni nową anomalię. Za kotłującym się przejściem widniał szczyt baldachimu. Shinobu dokonał tego albo uczynił to fokal. Spoglądał na stalowy pręt sterczący pionowo jak wierzchołek masztu z górnej części jednego z olbrzymich żagli.

Shinobu przeskoczył przez środek anomalii i uchwycił się kurczowo stalowego pręta. Tutaj wysoko wiatr był gwałtowny, porywisty, szarpał peleryną chłopca, która łopotała jak sztandar. Anomalia się zamknęła i Shinobu zlustrował wzrokiem płócienną powierzchnię pod sobą.

Serce mu zamarło. Wybrał niewłaściwy żagiel. Daleko w dole zobaczył pięciu Obserwatorów na innej części baldachimu, wbiegających szaleńczo w górę. Ze swojego miejsca nie mógł dostrzec Quin, ale musiała być tuż poza polem jego widzenia. W rękach wspinających się Obserwatorów błyszczały noże.

Wokoło krążyły pojazdy powietrzne, z ich głośników rozbrzmiewały polecenia skierowane do walczących, by natychmiast zeszli na dół.

– Cholera, cholera! – klął Shinobu.

Śmiertelnie bał się o Quin. Udało mu się jakoś uspokoić myśli, pozwolić, by fokal myślał za niego, podczas gdy on przyglądał się athamenowi. Niemal od razu pojął, jakie

współrzędne ma wybrać.

Ustawił pokrętła i uderzył athamenem o krzesiwo. Kolejny skok Tam, kolejny zestaw współrzędnych – i udało się. Wyłonił się na szczycie żagla Quin, stojąc na nim okrakiem.

Pod Shinobu falowała na wietrze połać wyciętego płótna. Quin była tam uwięziona, kryjąc się pod czymś w rodzaju tarczy. Chłopcy raz za razem strzelali do niej z rozrywaczy i niemal nieustannie rozbłyskiwały iskry odbijające się od tarczy.

„Zamierzają ją zakłócić albo zabić", pomyślał, walcząc z narastającą paniką.

Jak mógł zostawić ją samą na tak długo?

Druga połowa jego umysłu podsunęła mu całkiem odmienną myśl:

„Dlaczego się tym przejmujesz?".

„Przejmuję się, bo to Quin!".

„A kim jest Quin? Tylko jeszcze jedną Poszukiwaczką. Może być przydatna jedynie jako narzędzie użyte przeciwko innym Poszukiwaczom".

„Ja tak nie myślę".

„W przyszłości, jaką zaplanowaliśmy, nie potrzebujemy jej", powiedziała ta nowa połowa jego umysłu.

„My niczego nie zaplanowaliśmy", pomyślał gniewnie chłopak.

Te myśli nie należały do niego. Żyły wewnątrz fokala i udawały, że przemawiają głosem Shinobu.

„Wiem, kim jesteś. Jesteś zabójcą. Poszukiwaczy i szczurów. Nie będę cię słuchać".

„Jesteś mną – upierała się połowa jego umysłu – a ta dziewczyna nie ma znaczenia".

Shinobu wrzasnął najgłośniej, jak zdołał, by wygnać z głowy ten drugi głos.

Wszystko, co fokal mu ukazał, wszystko, czego Shinobu dowiedział się od Briaca, miało teraz pomóc Quin. Skierował ku niej wszystkie myśli.

„Ona ma znaczenie, jest ważna".

Mógł tylko mieć nadzieję, że Briac powiedział mu prawdę i że będzie w stanie pokierować tymi chłopcami i odesłać ich stąd, tak aby Quin nie ucierpiała. Sięgnął do kieszeni i dotknął palcami gładkiego owalnego kamienia, który tak doskonale wpasowywał się w jego dłoń. Potem na poły ślizgając się, na poły biegnąc, rzucił się w dół żagla, w kierunku rozgrywającej się walki.

Rozdział 42
Maud

Młoda Sędzia cisnęła tarczą i obserwowała, jak wirując, poszybowała wysoko w górę płóciennego żagla do rąk Johna. W chwili gdy on i Quin znaleźli się bezpieczni za tarczą, wyciągnęła z plecaka łuk i wypuściła strzałę.

Jej grot przeszył bark młodego czarnoskórego mężczyzny uzbrojonego w rozrywacz i sprawił, że runął do przodu na żagiel. Napastnik zjechał w dół, młócąc rękami i nogami w poszukiwaniu oparcia.

Maud była świadoma tego, że angażuje się w tę sytuację, aby uratować Johna i Quin. Wprawdzie Sędzia musi trzymać się z dala od spraw zwykłych ludzi i Poszukiwaczy, ale John był teraz jej uczniem i brał udział w walce, która nie dotyczyła tylko jego. On i Quin zostali zaatakowani przez chłopców wyszkolonych przez Średniego Sędziego, którzy jak się zdaje, siali spustoszenie w jego imieniu. Sędzia musi trzymać się na uboczu, aby zachować czysty umysł i móc ferować sprawiedliwe wyroki, ale umysł Maud przecież był czysty. Tych chłopców ukształtował Sędzia i nie miała żadnych skrupułów wobec ich powstrzymania.

Natychmiast nałożyła na cięciwę następną strzałę, ale chłopcy przerwali ostrzał i przystanęli. Wpatrywali się w górę w coś znajdującego się wyżej na baldachimie. Ktoś tam zjeżdżał z wierzchołka żagla w kierunku napastników.

Maud posłała swój wzrok w dal i rozpoznała Shinobu, który używał ostrza swojego morfera jako hamulca, szorując nim po płótnie, by uchronić się przed utratą równowagi i niekontrolowanym runięciem w dół. Płaszcz Poszukiwacza wydymał się na jego barkach na silnym wietrze wiejącym w górę znad zatoki.

Shinobu krzyczał coś do chłopców. Młoda Sędzia wysłała swoje słyszenie i pochwyciła dwa słowa:

– Obserwatorzy! Odejdźcie!

Napastnicy ruszyli ku niemu, mierząc w jego kierunku z jedynego pozostałego im rozrywacza.

Maud znów uniosła łuk, ale chłopcy się zatrzymali, podobnie jak Shinobu. Nie widziała go teraz, gdyż ci chłopcy – „Obserwatorzy?" – zasłaniali go. Gdy ruszyła trawersem przez powierzchnię żagla, by zyskać lepszy widok, usłyszała, jak Shinobu powiedział do nich:

– Nie chcę was tutaj. Odejdźcie. Odejdźcie!

Kiedy znów go zobaczyła, wskazywał ręką w dół żagla i od siebie.

A Obserwatorzy się oddalali. Nawet ten z barkiem przebitym strzałą Maud podźwignął się chwiejnie na nogi i z grymasem bólu wycofywał się za pozostałymi.

„Dlaczego mieliby zrejterować nagle na widok Shinobu?" – zastanawiała się Młoda Sędzia.

John i Quin unieśli tarczę i przyglądali się ucieczce napastników. Maud zdała sobie sprawę, że poczuła ulgę, gdy John natychmiast odszukał ją wzrokiem. Potem on i Quin wymienili krótkie spojrzenia, bezsłowne pożegnanie, zanim Quin ruszyła w kierunku Shinobu, a John pobiegł ku Maud.

– Usłyszałaś mnie – powiedział, gdy stanął przy niej. Wyglądał na wstrząśniętego i masował dłonią ranę pod barkiem, widocznie bolącą go po walce, ale miał też na twarzy wyraz triumfu. – Usłyszałaś mnie w umyśle.

– Tak, usłyszałam – przyznała Młoda Sędzia.

Zauważyła odmianę we wzroku Johna. Nie spoglądał przez ramię, by zobaczyć, dokąd pójdzie Quin ani co robią pomagierzy Średniego Sędziego. Wrócił do Maud i skupiał na niej całą uwagę.

– Dokonałem wyboru – oznajmił.

Nie potrzebował mówić więcej; było całkiem jasne, że wybrał zapanowanie nad sobą i szkolenie z Maud.

Położyła dłoń na jego ramieniu i powiedziała:

– To dobrze. Teraz udamy się do następnej groty wspomnianej w dzienniku twojej matki.

Wciąż był zdyszany po walce i biegu w dół baldachimu.

– Bez żadnego odpoczynku? – spytał z przelotnym półuśmiechem.

– Odpoczynku? – powtórzyła. – Teraz, tuż po ogniu bitwy, jest najlepsza pora, by wytrenować twój umysł.

Rozdział 43

Quin

Quin przywarła do powierzchni żagla i przesunęła się powoli w kierunku Shinobu przez wąską krawędź dźwigara sterczącego pod płótnem. Chłopak też zmierzał ostrożnie ku niej. Miał na głowie fokal, a w jego oczach widniało coś jakby przerażenie. Kiedy znaleźli się wystarczająco blisko siebie, chwycił dziewczynę za ramiona.

– Quin, przepraszam. Zostawiłem cię samą. Kiedy zobaczyłem te strzelające rozrywacze, to… to…

Sprawiał wrażenie wstrząśniętego do głębi i Quin przypuszczała, że ona musi wyglądać tak samo. Kanonada z rozrywaczy przekroczyła granicę jej wytrzymałości. Teraz Shinobu podniósł ją i była mu za to wdzięczna, gdyż uginały się pod nią nogi.

– Jak się ich pozbyłeś? – spytała.

– Och, Boże… mam ci tyle do opowiedzenia. – Spojrzał daleko w dół na chłopców, którzy w pośpiechu zeskakiwali już z powrotem na pierwszy żagiel. Nad mostem krążyły pojazdy powietrzne, przez głośniki nakazywano wszystkim zejść z baldachimu. – Musimy zniknąć z widoku.

Ostrożnie wrócili do klapy w płótnie, którą niedawno wycięła, i razem dali nura pod nią.

– Muszę zdjąć fokal – oświadczył Shinobu.

Ujął kask z obu boków i – jak się zdawało, z olbrzymią trudnością – powoli ściągnął z głowy. Upuścił fokal na dźwigar, jakby go parzył, i zatrzymał stopą, żeby nie spadł w przepaść. Potem oburącz ścisnął głowę i osunął się na skrzyżowane stalowe kratownice.

– Kiedy go nosiłem, zobaczyłem dwie strony wszystkiego – wymamrotał. – Dwie strony wszystkiego, jedna jest bardzo zła…

Mięśnie nóg Quin drżały. Opadła na kolana i pociągnęła Shinobu za sobą, tuląc go mocno. Jej ciałem wstrząsały dreszcze szoku po walce. Przez rozdarcie w płótnie dostrzegła przelotnie, jak John i Maud daleko w dole znikają w cieniu sąsiedniego żagla, zmierzając w kierunku przeciwnym niż rejterujący chłopcy. Odwróciła wzrok od stromej płóciennej ściany.

– Quin – szepnął Shinobu, zaczynając dochodzić do siebie.

Ujął jej twarz w dłonie i spojrzał, jakby zdumiony tym, że widzi ją zdrową i całą. Dziewczyna dygotała, wciąż krążyła w niej adrenalina, ale pod wpływem intensywnego spojrzenia Shinobu poczuła w całym ciele ciepło. Chłopiec całował ją delikatnie w usta, policzki i szyję.

– Tak mi przykro, że cię zostawiłem – powiedział. – Nie powinienem był wychodzić. Jak mogłem tak postąpić?

– Przestraszyłeś mnie – wyszeptała, tuląc się do niego, żeby nie mógł wypuścić jej z objęć. – Pomyślałam, że nie dość starannie ukryłam fokal i on uczynił z tobą coś nieodwracalnego.

– Nic mi nie jest. Teraz to rozumiem. A czy ty dobrze się czujesz?

Skinęła głową. Czuła się dobrze, chociaż wciąż dygotała spazmatycznie. Teraz baldachim też drżał – nikła wibracja athamenu dotarła do nich poprzez żagiel. Chłopcy

opuszczali to miejsce – a może to byli John i Maud. Shinobu odwrócił wzrok od Quin i wyjrzał przez rozdarcie w płótnie, jakby pomyślał o tym samym.

– Był tu John – powiedział. – Dlaczego? Czy cię skrzywdził?

Przecząco pokręciła głową. Miała wrażenie, jakby spotkanie z Johnem zdarzyło się przed kilkoma dniami, chociaż prawdopodobnie minęła od niego najwyżej godzina.

– Nie. Zdaje się, pomyślał, że mogłabym odejść stąd i mu pomóc. Jakby między nami nadal coś było – wyszeptała. – Ale w rzeczywistości on mi pomógł, Shinobu. Tamci dorwaliby mnie, gdyby nie on.

Jej mięśnie zaczęły drżeć jeszcze gwałtowniej. Shinobu przyciągnął ją bliżej do siebie.

– Wiele się dowiedziałem – rzekł do niej. – Mieliśmy rację co do Średniego Sędziego. On uczynił tyle… Musisz mi pomóc wszystko przemyśleć. – Wyjął zza paska athamen Sędziów i zaczął ustawiać pokrętła. – Ale najpierw zabiorę cię do domu.

Rozdział 44
Catherine

18 LAT WCZEŚNIEJ

Była późna noc albo może wczesny ranek, zależnie od punktu widzenia. Catherine siedziała ze skrzyżowanymi nogami na podłodze na środku salonu w mieszkaniu Archiego, które stało się też jej mieszkaniem. Archie zasnął przed kilkoma godzinami, ale ona nie była znużona.

Leżał przed nią na podłodze arkusik papieru z tekstem nakreślonym ścisłym, obcym charakterem pisma:

1. Miej mocne, zdrowe ciało.

2. Oczyść swoje myśli, poczynając od uspokojenia umysłu.

3. Skoncentruj się na aktualnej kwestii.

4. Włóż kask na głowę.

5. Przestrzegaj ściśle tych reguł, aby fokal cię nie spustoszył.

Tę instrukcję napisała Mariko i przysłała jej. Tych pięć punktów stanowiło wskazówki używania przedmiotu leżącego przed Catherine – fokala, który znalazła w szafie Archiego.

Podniosła kask i poczuła w dłoniach chłód metalu. Przez kilka dni trzymała fokal na słońcu, żeby wchłonął energię, tak jak się robi z ładującym się rozrywaczem. Teraz, gdy go poruszyła, zaskwierczał cicho, zaświadczając o zawartej w sobie mocy.

Delikatnie umieściła fokal na szczycie swojego brzucha w szóstym miesiącu ciąży i po raz setny przyjrzała się detalom urządzenia. Albo może po raz tysięczny. Jednak jeszcze nigdy go nie nosiła, nigdy nie wciągnęła kasku całkowicie na głowę, chociaż od kilku miesięcy miała instrukcję otrzymaną od Mariko.

Dziecko się poruszyło i Catherine przyłożyła dłoń do brzucha. Zawsze na nowo doświadczała zdumienia, gdy wyczuwała je i myślała: „Tam naprawdę jest dziecko".

Wcześniej nie miała zamiaru być matką. Tak wiele chciała dokonać jako Poszukiwaczka, a poza tym nurtowała ją też inna idea: marzyła o tym, kim pewnego dnia mogłaby zostać, gdyby udało się zwrócić Starego Sędziego przeciwko Średniemu. Macierzyństwo nie pasowało do tego planu.

Archie odmienił jej perspektywę. Całkowicie zaskoczył Catherine wielką radością na wieść o tym, że zaszła w ciążę. Kiedy zasugerowała, że to może nie najlepsza pora na dziecko, skoro ona ma dopiero siedemnaście lat i nie są małżeństwem, zarzucił jej żartobliwie, że ma staroświeckie poglądy. „Pobierzemy się, gdy będziemy mieli ochotę, kiedykolwiek – powiedział. – To ceremonia ważna dla naszych rodziców, nie dla nas".

Catherine powoli zaakceptowała tę odmianę w swoim życiu. Chociaż miała teraz

zaledwie osiemnaście lat, urodzi dziecko, będzie z Archiem i wspólnie poszukają prawdy o losach Poszukiwaczy.

Siedząc na podłodze w salonie, ponownie odczytała pierwszą linijkę instrukcji Mariko:

„Miej mocne, zdrowe ciało".

Właśnie w tym tkwił sęk, powód, dla którego nie użyła fokala. Powód tego, że od dłuższego czasu nie zrobiła niczego jako Poszukiwaczka.

Czuła się idealnie zdrowa, jednak sytuacja nie przedstawiała się tak prosto. W trzecim miesiącu ciąży zaczęła krwawić i lekarze nie dawali wielkiej nadziei, że utrzyma dziecko. Położyła się do łóżka i odtąd prawie z niego nie wstawała – a jej krwawienia ustały przed paroma miesiącami. Chyba teraz nic już jej nie groziło?

Wlokące się tygodnie odpoczynku były torturą. Namówiła Archiego, żeby usunął z salonu większość mebli i wstawił manekin treningowy, i odtąd spędzała tam mnóstwo czasu, leżąc na sofie przysuniętej do ściany i ucząc Archiego posługiwania się morferem oraz wieloma innymi rodzajami broni (nawet przystosowała morfer, żeby działał dla Archiego tak samo jak dla niej, co jak go zapewniła, było najbardziej romantycznym gestem, jaki może uczynić osoba będąca Poszukiwaczem). Manekin był teraz okropnie poobijany, lecz i tak wyglądał lepiej niż ściany salonu pokryte śladami po cięciach i sporymi dziurami.

Nauczyła też Archiego bardzo dużo o Poszukiwaczach. Chociaż nie powiedziała mu wszystkiego, rozumiał, że Catherine dysponuje jakimś niezwykłym sposobem przenoszenia się z miejsca na miejsce i że ten sposób podróżowania jest niebezpieczny – w jego trakcie można się zagubić, jeśli nie zachowa się ostrożności i panowania nad umysłem. Catherine natychmiast pożałowała swojej szczerości, kiedy Archie wymógł na niej przyrzeczenie, że nie odbędzie takiej podróży, dopóki jest w ciąży, że nie podejmie żadnego ryzyka, póki dziecko nie znajdzie się bezpieczne w ich ramionach.

Następna wskazówka w instrukcji Mariko brzmiała:

„Oczyść swoje myśli, poczynając od uspokojenia umysłu".

Catherine to uczyniła. Usunęła z umysłu wszystko oprócz świadomości tego, że siedzi na podłodze salonu z metalowym kaskiem w rękach.

„Skoncentruj się na aktualnej kwestii".

Przez długi czas sądziła, że rozumie, co się stało z Poszukiwaczami. Uciekli w szaleńczym pośpiechu, ponieważ Średni był niedbały i niezbyt się przejmował swoimi obowiązkami Sędziego. Istniał zwyczaj, by w obrębie klanu athamen był w rękach tego, do kogo powinien należeć. Ale ponieważ Średni Sędzia nie wydawał sprawiedliwych wyroków, Poszukiwacze zaczęli atakować inne rody i kraść athameny, do których jawnie nie mieli żadnych praw.

Catherine nie była pewna, czy sytuacja obecnie jest tak prosta. List, który znalazła ukryty w fokalu, skierował jej rozważania w nowym kierunku. A jeśli Poszukiwacze zniknęli nie tylko z powodu chciwości swoich towarzyszy i niesprawiedliwości Średniego Sędziego?

Zawsze miała nadzieję, że odnajdzie Emila, lecz zamiar odszukania go tkwił gdzieś z tyłu jej umysłu i nie stanowił głównego celu. Teraz jednak czuła, że odkrycie, co się

z nim stało, mogłoby doprowadzić ją do sedna sprawy. Być może Emil już nie żył, jak sugerował mężczyzna, który napadł na nią w Hongkongu. Ale jeśli tak, chciała się dowiedzieć, jak do tego doszło, dlaczego i kiedy.

Ponownie odczytała trzeci punkt instrukcji: „Skoncentruj się na aktualnej kwestii".

„Emil Pernet, klan dzika", pomyślała.

Przeczytała następny punkt:

„Włóż kask na głowę".

Uniosła fokal i trzymała go jakiś czas tuż nad włosami, kilka centymetrów od skóry głowy. Wcześniej kilkanaście razy dochodziła już do tego etapu, jednak nigdy nie włożyła kasku. „Przyrzekłam Archiemu, że nie zrobię niczego ryzykownego – pomyślała. – Ale dziecku nic tu nie zagraża, nie jestem ranna ani chora, czy więc nie powinnam wykorzystać tego czasu, by się czegoś nauczyć, tak abym po porodzie była już gotowa?".

Poczuła przyciąganie fokala, jakby chciał, żeby całkiem włożyła go na głowę. Ostrożnie opuściła kask trochę niżej i powiodła spojrzeniem po ostatniej linijce instrukcji Mariko:

„Przestrzegaj ściśle tych reguł, aby fokal cię nie spustoszył".

Co to znaczyło?

– Wiem, że nie przywiązujesz wielkiej wagi do swojego życia – powiedział jej Archie, kiedy próbowała wstać i wyjść na spacer już w pierwszym tygodniu po tym, jak zalecono jej leżenie w łóżku. – Chcę jednak, żebyś postawiła teraz na pierwszym miejscu dobro naszego dziecka i swoje.

– Ale… – zaczęła.

– Żadnego ale – rzekł stanowczo. Rzucił jej szelmowskie spojrzenie i dodał: – Jestem twoim mężem i musisz być mi posłuszna.

– Nie jesteś moim mężem! – zaprzeczyła z oburzeniem, leżąc w łóżku, gdy zakrywał ją kołdrą aż po szyję.

– Jestem kimś więcej niż twoim mężem – odparł i pocałował ją w czoło. – Jestem chłopakiem, który zrobił ci dziecko i nawet jeszcze nie raczył cię poślubić.

Roześmiała się na to i Archie też, ale potem spoważniał, ujął jej twarz w dłonie, przytknął głowę do jej głowy i rzekł zachrypniętym głosem:

– Przyrzeknij mi, że zadbasz o siebie i ochronisz nasze dziecko.

Łzy trysnęły z oczu Catherine wzruszonej jego czułością. Nie przywykła, by ktoś się o nią troszczył. Nawet rodzice – pomimo całej troski o jej wychowanie i bezpieczeństwo – traktowali ją jak cenne narzędzie do realizacji własnych celów, a nie osobę, którą pragną ochronić przed krzywdą – dla jej własnego dobra. Skinęła głową przy głowie Archiego.

– Przyrzekam – powiedziała.

Jednak siedząc teraz na podłodze w salonie, opuściła ręce, aż boczne brzegi fokala musnęły jej skronie. Przeniknął ją elektryczny dreszcz, gdy metalowe krawędzie dotknęły jej skóry.

„Czy naprawdę coś mi szkodzi spróbować?", zastanowiła się.

Zanim się zorientowała, co robi, włożyła kask na głowę.

Catherine leżała na sofie, zwinięta w kłębek przy swoim dzienniku; jej mała nocna

lampka rzucała światło na sfatygowane stronice pokryte wpisami nakreślonymi rozmaitymi rodzajami atramentu, w tym także jej notkami. Fokal na głowie dziewczyny brzęczał, rozszerzając jej umysł, tak że odnosiła wrażenie, jakby jej świadomość wypełniała całe mieszkanie i nawet wylewała się poza nie, na nocny Londyn. Studiowała notki pod rysunkiem dzika, godła klanu Emila. W dzienniku było wiele stron dotyczących tej rodziny, na których wymieniono wszystkie daty i miejsca, gdzie widziano członków klanu dzika lub ich athameny. Lista kończyła się przed kilkoma laty. Catherine własnoręcznie dokonała ostatniego wpisu:

Emil Pernet widziany w szkockiej posiadłości.

Zamieściła datę dnia, kiedy go tam ostatni raz widziała. Odtąd nikt nie doniósł, że spotkał Emila czy jego rodziców.

Matka Emila pochodziła z innego rodu. Urodziła się w klanie konia, nad czym Catherine dotychczas nigdy zbyt wiele się nie zastanawiała. Teraz jednak, mając na głowie fokal, jasno uświadomiła sobie związek między tymi faktami. Wertowała stronice dziennika tam i z powrotem, pomiędzy zawierającymi informacje o klanie dzika a informacjami o klanie konia, porównując jedne z drugimi. Znalazła powtarzającą się wspólną lokalizację.

„Tak", pomyślała.

Zdjęła fokal. Ogarnęło ją niemiłe wrażenie, jakby kask i jej umysł rozłączane rozciągały się nawzajem. Będąc bez kasku, poczuła gwałtowne zawroty głowy i musiała położyć się z zamkniętymi oczami na poduszkach sofy. Potem naszły ją mdłości trwające kilka minut i już zaczynała się bać, ale w końcu wszystkie te niemiłe sensacje ustąpiły. Po pewnym czasie, kiedy była już w stanie podnieść się z łóżka, umieściła kask i dziennik z powrotem w sejfie, który zainstalowali pod szafką w łazience. Następnie ostrożnie wpełzła do łóżka.

Archie spał mocno po wyjątkowo wyczerpującej sesji treningowej tego popołudnia.

– Archie – szepnęła i lekko potrząsnęła go za ramię.

Natychmiast się obudził. Dotknął dłonią brzucha Catherine i zajrzał jej w oczy.

– Co się dzieje? Dobrze się czujesz? Czy coś się stało? – zapytał.

Pokręciła głową.

– Nic mi nie jest.

– Na pewno?

Jak na zawołanie dziecko poruszyło się pod ciepłą dłonią Archiego. Uspokojony, opadł z powrotem na poduszkę, a Catherine ułożyła się przy nim.

– Być może wiem, gdzie są rodzice Emila – oświadczyła.

– Kogo? – spytał Archie, już znowu zasypiając.

– Emila, ucznia, który zniknął z posiadłości.

Archie z wysiłkiem otworzył oczy.

– Racja, on. Z posiadłości.

– Jego rodzice też zniknęli, ale może tylko się ukrywają. – Catherine oparła podbródek na ramieniu Archiego i wyszeptała: – Może gdzieś w pobliżu jest jeszcze wielu Poszukiwaczy ukrywających się i czekających na właściwą osobę, która ich odnajdzie.

Była świadoma swojego dziwnie intensywnego podekscytowania tym tematem, jakby jej naturalną reakcję wzmacniało niedawne użycie przez nią fokala.

– Nie możemy nigdzie pojechać przed narodzinami dziecka… – wymamrotał Archie.

– Od dwóch miesięcy nie krwawiłam. Z dzieckiem wszystko jest w porządku. Ze mną też.

– Catherine…

– To niedaleko. Nie powinniśmy czekać. A co, jeśli mam rację, a oni nie zostaną długo w tym miejscu? Mogłabym później już ich nie odnaleźć.

Usłyszała obok siebie westchnienie Archiego, wyraźnie znużone. Powiódł dłonią po jej brzuchu i przysunął się bliżej.

– Przypuśćmy, że ich odnajdziesz – wymamrotał. – Jak sobie wyobrażasz zakończenie tych twoich poszukiwań?

– Dowiem się, co spotkało Emila. A to mogłoby powiedzieć mi, co się stało ze wszystkimi innymi.

– I co zrobisz, jeśli to odkryjesz?

Catherine wzięła powolny wdech. Nie chciała wyjawić na głos swoich najbardziej osobistych myśli – miała wrażenie, że samo wypowiedzenie ich mogłoby zwrócić czyjąś uwagę na to, co robi, lub przynieść pecha jej poszukiwaniom. Albo ściślej: miała wrażenie, że jeśli ubierze w słowa swoje najskrytsze pragnienia, przyciągnie tym wprost do siebie tego jakiegoś Poszukiwacza, z którego zbrodniczym umysłem weszła mimowolnie w kontakt, kiedy w Mont Saint-Michel znalazła ukryty athamen. Wspomnienie tego osobliwego mentalnego zetknięcia zawsze przyprawiało ją o dreszcz. Czyj to był umysł, pełen takich zimnych, wrogich, bezlitosnych myśli?

Ale tu chodziło o Archiego i chciała mu powiedzieć, nawet jeśli wydawało się to ryzykowne.

– Poszukiwacze mordują się nawzajem, ale Średni Sędzia na to pozwala – wyjaśniła cicho. – A dawno temu popełnił wiele niegodziwych czynów. Uśmiercił nawet Młodego Sędziego.

– Więc po zakończeniu swoich poszukiwań zamierzasz go zabić?

– Nie – odparła Catherine.

O dziwo, uświadomiła sobie, że ta myśl nigdy nawet nie przyszła jej do głowy. Średni bez względu na swoje winy jest Sędzią, a ona jest Poszukiwaczką. Idea zamordowania go była sprzeczna z fundamentalnymi zasadami wyznawanymi przez Catherine.

– Zatem co zamierzasz zrobić? – naciskał Archie.

Jego głos nadal brzmiał na wpół sennie, jednak Catherine wyczuwała, że skupia na niej całą uwagę.

– Nie chcę o tym mówić – wyszeptała.

– Dlaczego?

– To zbyt osobiste.

Roześmiał się z głową przy jej ramieniu.

– A więc dobrze.

– Wyśmiewasz się ze mnie, jak dawniej moi rodzice.

– Czy kiedykolwiek się z ciebie wyśmiewałem?

Przyciągnęła jego ramię, tak aby mocniej ją obejmowało, i leżeli tak przez jakiś czas, zapadając w drzemkę. W tym stanie zawieszenia pomiędzy jawą a snem, z umysłem żeglującym swobodnie, Catherine wyszeptała:

– Zawsze czułam, że jest mi przeznaczone zostać podróżniczką po naszej przeszłości jako Poszukiwaczy i w naszą przyszłość. Wyobrażałam sobie, że odszukam Starego Sędziego. Że jakoś go odnajdę i powiem mu, co Średni zrobił przed wiekami Młodemu Sędziemu. Opowiem też o innych występkach i zaniechaniach Średniego Sędziego… A wtedy… wtedy Stary Sędzia pozbędzie się Średniego i uczyni *mnie* Sędzią. Wyszkoli mnie. Zostanę nową Młodą Sędzią. A aktualna Młoda Sędzia stanie się Średnią – myślę bowiem, że jest uczciwa i dobra. I przywrócimy ład w naszym świecie.

Archie nie od razu się odezwał. Wreszcie zapytał:

– Chcesz się stać tym dziwacznym stworzeniem, które żyje setki lat i wymierza sprawiedliwość?

– Sędziowie nie są dziwacznymi stworzeniami, Archie. Są ludźmi. I nie żyją setek lat. Spędzają długie okresy Tam w stanie rozciągnięcia, więc tylko wydają się żyć przez wieki. Ich rzeczywisty czas przebywania na jawie w świecie odpowiada normalnej długości życia – albo przynajmniej w przybliżeniu.

– Hm – mruknął mężczyzna.

– Teraz naprawdę stroisz sobie ze mnie żarty.

– Przepraszam – szepnął. – Ale czy nie wolałabyś być po prostu Catherine?

Dziewczyna wciąż miała zamknięte oczy. Wyczuwała miarowy oddech Archiego. Mężczyzna dotykał czołem tyłu jej głowy i czuła na brzuchu jego ciepłą dłoń.

– Zawsze chciałam być Młodą Sędzią – wyszeptała. – Ale teraz mam ciebie i będziemy mieli naszego syna. Jednak z czasem on dorośnie i pewnego dnia, może za wiele lat… a co, gdybyśmy oboje, ty i ja, zostali wyszkoleni przez Starego Sędziego? Gdybyśmy jednocześnie stali się Sędziami? Może moglibyśmy być razem, wspólnie podróżować przez czas, być sprawiedliwymi, uczciwymi, pomocnymi. Przez stulecia. Jaki lepszy cel moglibyśmy znaleźć w życiu…?

Mówiąc to, już zasypiała, jakby fokal wyssał z niej całą energię. Zaczęła już śnić, widziała siebie i Archiego wkraczających razem w tę dziwną przyszłość. Zanim usnęła, usłyszała jego szept:

– Jesteś taką romantyczką, Catherine. Większość dziewcząt marzy tylko o pięknej biżuterii…

Rozdział 45
Nott

Nott pozbył się z oczu przepaski, trąc twarzą o skalną ścianę. Zadrapał sobie przy tym lewy policzek, lecz ledwie zwrócił na to uwagę. Był pochłonięty rozglądaniem się z furią po zlodowaciałym otoczeniu i przeklinaniem swoich towarzyszy Obserwatorów.

„Zostawili mnie w mojej pieczarze!".

Sama tylko myśl o tym przyprawiła go o szaleńcze bicie serca ze strachu. Właśnie tym mistrz zawsze im groził – i wielokrotnie spełnił tę groźbę. Nott wiedział o tym, gdyż czasami mistrz budził całą grupę swoich Obserwatorów naraz i zmuszał, by szkolili się razem, a to nie zawsze kończyło się dla nich dobrze. Teraz przyszła kolej na Notta, żeby zostać porzuconym na śmierć w swojej pieczarze – najgorszy los, jaki mógł go spotkać.

Ściśle biorąc, to nie była pieczara (i nie całkiem wiedział, dlaczego to j e g o pieczara); był to raczej tunel w skale i lodzie. Większość tego lodu znajdowała się nad głową Notta; miejscami warstwa była tak gruba, że stawała się ciemna jak ziemia, ale w innych miejscach przepuszczała światło niczym wielka, nieregularna tafla szkła. Gdzieś nad tą lodową pokrywą świeciło słońce, jednak zbyt daleko, by ogrzać Notta.

Skalne podłoże pieczary nigdy się nie ocieplało. Emitowało fale zimna, które przeszywały mięśnie Notta i wnikały w kości. Ujrzał z ulgą, że nie skrępowano mu nóg, lecz to prawdopodobnie oznaczało, że nie miał tutaj dokąd pójść.

Spojrzał w górę i w głąb tunelu. W słabym świetle dochodzącym z odległego nieba nie mógł się zorientować, w którym kierunku jest droga wyjścia. Wilkin i pozostali przyprowadzili go tutaj z przewiązanymi oczami i przez jakiś czas wlekli ze sobą. Na koniec obrócili go kilkakrotnie, potem pchnęli na ścianę, a odbiegając, obrzucili kamykami. Te kamyki odbijały się wszędzie, a wywołane tym echo zagłuszyło kroki Obserwatorów i uniemożliwiło Nottowi ustalenie, w którą stronę odbiegli.

Wybrał kierunek na chybił trafił i ruszył chwiejnie, mając ręce nadal związane za plecami. Palce dłoni mu zdrętwiały – stracił w nich czucie, jeszcze zanim tamci się oddalili. Będzie musiał przeciąć więzy na przegubach, żeby całkiem nie odmrozić rąk, ale nie dostrzegł jeszcze niczego wystarczająco ostrego.

Coś poruszyło się w kieszeni jego koszuli.

„Mój szczur", pomyślał.

Złapał go w pobliżu martwego jelenia w Dun Tarm. Świadomość, że ma przy sobie tego gryzonia, podniosła go trochę na duchu; nie był całkiem sam. Gdyby zdołał oswobodzić ręce, zanim zamarzną, miałby coś, czym mógłby się zająć. Zabicie zdrowego szczura mogłoby potrwać nawet godzinę. Ta myśl go pocieszyła.

Nie odnosił wrażenia, że schodzi w dół, lecz mimo to zaczął się zastanawiać, czy nie zmierza raczej w głąb pieczary niż w kierunku wyjścia. Przystanął i obrócił się powoli wokoło, jednak nie zobaczył żadnego śladu wskazującego drogę na zewnątrz.

– Głupi Wilkin, głupi Obserwatorzy – powiedział głośno, zmuszając się do truchtu. – Obwiniają mnie za utratę hełmu i zakłócenie tego dzieciucha Jacoba.

Dobrze było usłyszeć własny głos. Odbił się lekkim echem i po ułamku sekundy powrócił do Notta. To prawie jak rozmawianie z drugą osobą albo ze szczurem

w kieszeni.

Po starciu na baldachimie mostu Obserwatorzy wrócili jak niepyszni do fortecy Dun Tarm, wyczerpani i paskudnie poranieni. Rozpoczęli gwałtowną kłótnię. Przeraziło ich pojawienie się na baldachimie tego wysokiego, rudowłosego wojownika – nazywał się Shinobu – trzymającego w ręce medalion ich mistrza. Medalion zdawał się dowodem, że mistrz rzeczywiście nie żyje, i mógł też oznaczać, że nowym mistrzem jest Shinobu. Obserwatorzy zastanawiali się w panice, co się z nimi stanie.

Wszyscy byli źli wzajemnie na siebie, ale Geb wściekał się szczególnie na Notta za to, że spadając na baldachimie mostu, podciął pozostałych. A później wstał Wilkin i obwinił Notta najpierw o utratę hełmu, a potem o wskoczenie w anomalię podczas ich walki z Quin i Shinobu, co skończyło się źle dla nich wszystkich.

Reszta Obserwatorów zgodziła się, że niemal wszystko to wina Notta i najlepiej będzie się go pozbyć, a potem zastanowić się, co zrobić w związku z Shinobu i medalionem ich mistrza.

– Więc wtrącili mnie do mojej pieczary – powiedział Nott do szczura. – Jakby o n i nigdy nie popełnili błędu!

Zwierzę na moment znieruchomiało i Nott pomyślał, że przestało się wiercić, gdyż go słucha. Że tak jak każdy więzień ten gryzoń chce, by jego strażnik nadal mówił.

Wyobraził sobie, że szczur powiedział: „To nie w porządku”.

– Tak, to nie w porządku! – zgodził się. – Wskoczyłem do anomalii, żeby odzyskać hełm. Każdy by tak zrobił. Oni podążyli za mną z własnej woli.

„Jesteś mały – rzekł szczur. – Tamtym nie podoba się, że im dorównujesz”.

– Ty chyba dobrze wiesz, jak to jest być małym – zauważył Nott.

– Wszyscy stale patrzą na ciebie z góry – przyznał szczur, tym razem głośno.

Jego głos brzmiał identycznie jak Notta, lecz chłopcu to nie przeszkadzało. Może po prostu on i szczur pochodzili z tego samego rejonu Anglii.

– Jestem od nich bystrzejszy – oznajmił szczurowi. – Chyba powinienem być zadowolony, że nie będę musiał zadawać się z tymi głupcami. Czy wiesz…

Urwał i się zatrzymał. Właśnie pokonał zakręt i stanął przed stertą kamieni sięgającą do połowy wysokości tunelu. Aby pójść dalej, musiałby przeleźć przez tę przegrodę. Ponieważ kiedy był prowadzony do pieczary, nie zmuszono go, żeby przez cokolwiek przełaził, wywnioskował, że zmierzał teraz przez cały czas w złym kierunku. Dochodzące z zewnątrz światło ściemniało; zachodziło słońce i wkrótce miał znaleźć się w całkowitej ciemności.

– Wybrałem złą drogę.

– Czy ty płaczesz? – dopytywał się szczur.

– Jasne, że nie – odparł Nott, chociaż do oczu rzeczywiście napłynęły mu łzy. – Nie jestem dzieckiem.

Kilka z głazów miało przynajmniej ostre krawędzie. Potknął się o któryś i upadł na kolana.

– Auć – jęknął szczur.

– Przepraszam – powiedział Nott.

To słowo napłynęło do niego nagle z odległego wspomnienia. „Przepraszam”.

Matka mawiała tak do niego i Odgera: „Powiedzcie, że przepraszacie, że żałujecie. Żałujecie, prawda? Sprawię, że obaj pożałujecie!”. Co to właściwie znaczyło?

Odwrócił się tak, że więzy znalazły się przy ostrej krawędzi głazu. Trudno było znaleźć odpowiednie miejsce do tarcia, gdyż palce miał zdrętwiałe, ale w końcu się udało. Tarcie wywołało ciepło tak przyjemne, że Nott zapomniał na moment o wszystkim innym. Dlatego kompletnie go zaskoczyło, gdy sznur nagle pękł.

– Spójrz, ręce – powiedział, podsuwając je sobie pod oczy i poruszając palcami; miał wrażenie, że są dwa razy większe niż zwykle.

– Uwielbiam niektóre ręce – oznajmił mu szczur. – Ja mam tylko nogi.

– Ale aż cztery – zauważył Nott. Potem po namyśle dodał: – Chociaż może już niedługo.

Zacierał dłonie, aż zaczęły go mrowić, a potem piec, gdy powróciło w nich krążenie. Miał wrażenie, jakby Wilkin i pozostali kłuli je bez końca rozpalonymi igłami.

– On prawdopodobnie rzeczywiście wbiłby w ciebie igły, gdyby przyszło mu to do głowy– rozważał na głos szczur.

– Ja pokłułem go raz igłą, kiedy spał – przyznał się Nott. – Całą nogę. Powiedziałem mu rano, że pogryzł go pająk.

– I uwierzył ci? – spytał z rozbawieniem szczur.

– Uwierzył. W to i mnóstwo innych rzeczy. Wilkin uwierzyłby we wszystko.

Gdy Nott w końcu niemal całkiem odzyskał czucie w palcach, podźwignął się na nogi. Odwrócił się z powrotem w kierunku, z którego przyszedł – i stanął jak wryty.

W odległości zaledwie kilku metrów ktoś leżał na podłodze tunelu pod przeciwległą ścianą.

– Spójrz – szepnął Nott do szczura.

Przyjrzał się uważniej i zorientował się, że to martwy nastolatek, może w wieku Wilkina. Miał na sobie ciepłe ubranie i grubą pelerynę, ale był zamarznięty na kamień. Prawdopodobnie leżał tu od długiego czasu. Z jego odzieży, czystości i lśniących białych zębów, które Nott odsłonił, gdy podważył mu wargi, wywnioskował, że zmarły nie był Obserwatorem.

Spojrzenie Notta przykuł błysk metalu. Spod koszuli trupa wyciągnął srebrny naszyjnik. W gasnącym świetle zdołał dostrzec małą srebrną figurkę dzika.

Na naszyjniku była zaschnięta krew i po chwili Nott odkrył śmiertelną ranę w okolicy serca trupa. Krew przesiąkła przez ubranie, a potem zamarzła, pozostawiając na koszuli plamę czarnego lodu. Plamy krwi były też na rękach martwego chłopca. Wyglądało to tak, jakby zanurzył palec prawej ręki we własnej wypływającej krwi i napisał nim coś na wnętrzu lewej dłoni:

EMIL

– E-mil – przesylabizował Nott. – Emil?

Chłopak chyba napisał jakieś imię.

– To imię dziewczyny – zauważył gryzoń.

– Owszem – przyznał Nott. Dawno temu miał kuzynkę o imieniu Emily. Umiała napisać swoje imię. Właśnie dlatego Nott potrafił je przeczytać. – Co to takiego?

Coś wyryto na płaskim fragmencie ściany jaskini, tuż nad miejscem, gdzie leżały zwłoki. W półmroku Nott rozróżnił szereg liczb wyciętych tak gładko, że wydawały się wtopione w skałę. Były tam też litery.

Nott znał większość swoich liczb, ale tylko kilka swoich liter. Skupił uwagę na liczbach i po dokładnych oględzinach ustalił, że to 63, 48 i 89.

– Ile to jest w sumie? – zapytał szczura. – I dlaczego są na tej ścianie?

Stworzenie poruszyło się w jego kieszeni, ale nie odpowiedziało.

– Jasne, że nie wiesz – rzekł Nott. – Nie masz się czego wstydzić. Pewnie trudno nauczyć się liczyć, kiedy nie ma się rąk i palców. Ale chyba zdołam je dodać.

Wpatrzył się w liczby i usiłował je zsumować. Po kilku minutach musiał jednak przyznać, że to zadanie go przerasta.

Wkrótce zrobiło się tak ciemno, że nie widział dobrze podłoża, a wyryte znaki pochłonął mrok. Nott stał tak długo, że miał wrażenie, jakby jego nogi zmieniły się w bloki lodu. Nie mógł już dalej iść, żeby przywrócić w nich krążenie – nie zamierzał wędrować w tej smolistej ciemności.

Osunął się na kolana. Z wielkim trudem zdarł pelerynę i resztę odzieży ze sztywnego ciała chłopca o imieniu Emil. Wciągnął to ubranie na swoje, a potem owinął się peleryną swoją i trupa. Skulił się na skalnym podłożu pieczary, naciągnął na głowę kaptur najgłębiej, jak zdołał, i zwinął się w ciasny kłębek, żeby jego ciało zatrzymało ciepło. To odrobinę pomogło.

Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl.

– Założę się, że sumują się do dwustu! – wyszeptał.

– Chyba masz rację – odrzekł szeptem szczur.

– A więc… to inne dwieście niż to, którym posługujemy się my, Obserwatorzy. Ale dlaczego jest tutaj, w mojej pieczarze? – Nott przesunął językiem po zębach, wyczuwając wyryte na nich rowki i tłustą sadzę, którą wypełniono te wyżłobienia. – Dwieście, które ja znam, dotyczy tego, jak mamy znaleźć innych Obserwatorów śpiących w ciemnym miejscu – wyjaśnił szczurowi. – Nasz mistrz kazał nam wszystkim nauczyć się tego na pamięć. Używamy athamenu, żeby dotrzeć Tam – do naszego specjalnego miejsca – a potem robimy pięćdziesiąt trzy kroki w przód, pięćdziesiąt dziewięć w prawo, pięćdziesiąt cztery w lewo i na koniec trzydzieści cztery w prawo. Właśnie tak odnaleźliśmy Geba, Balila i te dzieciuchy.

– Zbudzenie ich mogło być błędem – zauważył szczur.

– To prawda – przyznał Nott. – Myślisz, że to wyryte tutaj inne dwieście to instrukcje dla tego martwego chłopca?

Trup miał na szyi łańcuszek z figurką dzika, a na rękojeści athamenu Wilkina i Notta był wyryty dzik. Być może ta pieczara miała związek z dzikami.

– Nie znam połowy słów, jakich używasz – oświadczył gryzoń.

– Jesteś tylko szczurem – szepnął Nott. Potem w przebłysku zrozumienia powiedział: – Chyba mam zamarznąć na śmierć tutaj, właśnie tutaj. Może dlatego zostawia się nas w naszych pieczarach – żeby moja głowa i liczby na ścianie były w jednym miejscu. Ciekawe, co bym znalazł, gdybym mógł podążyć za wskazówkami ze ściany.

Szczur szamotał się w kieszeni. W nowej pozycji, w jakiej leżał teraz Nott, jego koszula napinała się zbyt ciasno i stworzeniu było niewygodnie. Wyciągnął szczura i trzymał w ręku. Zwierzę nie próbowało go ugryźć. Było na to wciąż zbyt oszołomione.

Pomyślał, by położyć szczura na ziemi i kamiennym odłamkiem odrąbać mu nogi, jedną po drugiej. Szczury naprawdę głośno piszczą, kiedy im się to robi. I zawsze próbują uciec, nawet gdy już nie mają nóg.

Ale było zbyt ciemno, by dostrzec szczura czy kamienie. Poza tym trzymanie gryzonia w ręku wydawało się jakoś miłe. Nawet niewielka ilość ciepła wydzielana przez zwierzę sprawiała, że Nott czuł się, jakby miał towarzystwo.

Wetknął szczura pod pelerynę przy klatce piersiowej i pozwolił sobie na zamknięcie oczu, gdy w ciemności tulił to stworzenie do siebie.

Rozdział 46
Quin

Quin spodziewała się, że Shinobu odwiezie ją z powrotem do jej domu na moście. Zamiast tego wyłonili się w szkockiej posiadłości, nieopodal niewielkiej kamiennej obory stojącej nad urwiskiem przy rzece. Za ich plecami anomalia wycięta przez Shinobu straciła swój miarowy rytm pulsowania, zaczęła wibrować gwałtowniej i wreszcie zapadła się w siebie.

Kiedy zniknęła, zostali sami w cichym lesie. Jedynymi dźwiękami były szum rzeki daleko w dole i śpiew ptaków na drzewach za nimi.

– Sprowadziłeś nas… do naszego prawdziwego domu – powiedziała Quin.

Jej mięśnie ciągle jeszcze drżały po walce na baldachimie mostu. Czuła się, jakby lada moment miała zasłabnąć i osunąć się bezwładnie na ziemię. Shinobu wyglądał niewiele lepiej, ale objął ją delikatnie ramieniem i poprowadził w kierunku obory nad urwiskiem.

– Wydało mi się to bezpieczniejsze niż powrót do twojego domu – wyjaśnił. Wspierająca się na nim Quin poczuła na włosach jego ciepły oddech. – Na moście panował zamęt, a poza tym chłopcy wiedzą już teraz, jak nas tam znaleźć.

– Czy masz na sobie pelerynę mojego ojca? – zapytała, gdyż w wyglądzie Shinobu było coś, co jej przypominało Briaca.

Skinął głową tuż przy jej głowie.

– Kiedy wyszedłem od ciebie, widziałem się z twoim ojcem. Właśnie do niego się wtedy udałem. Nakłoniłem go, żeby odpowiedział na moje pytania.

– Rozmawiał z tobą?

– Posłużyłem się fokalem, aby zmusić go do rozmowy. Ale słuchaj… ty drżysz. Chcę, żebyś usiadła. Zresztą ja też muszę usiąść.

Skierował ją ku otwartym drzwiom obory.

– Sprowadziłeś nas dokładnie do tej szopy. Skąd znałeś te współrzędne?

– Szczerze? Pomógł mi w tym czas, jaki spędziłem w fokalu. Noszenie go jest zwykle czymś okropnym, ale fokal ma swoje zalety i będziemy go potrzebować.

Weszli do obory. Quin wdychała zapach starej słomy, wilgoci i kurzu. Ostatnim razem była tu z Johnem. Rozmawiali i walczyli ze sobą na dachu budynku i wtedy w końcu ujrzała Johna takiego, jakim naprawdę jest – chłopca, który został całkowicie i nieodwracalnie wypaczony przez swoją matkę. W gruncie rzeczy wcale nie Poszukiwacza, gdyż nie poszukiwał lepszej drogi, właściwej ścieżki życiowej. Niedawno na moście doświadczyła przez moment ukłucia tego, co niegdyś do niego czuła. Ale odegnała od siebie to zdradzieckie uczucie. Ten John, którego kiedyś kochała, nigdy naprawdę nie istniał. Grał tylko rolę, by zdobyć to, czego pragnął.

Minęli puste boksy, w których dawniej trzymano zwierzęta, i podeszli do stóp drabiny prowadzącej na stryszek.

– Dasz radę wejść? – zapytał łagodnie Shinobu. – Chcę, żebyśmy znaleźli się tam, skąd będziemy mieć widok na dwór. Na wypadek gdyby ktoś nadszedł.

– Myślisz, że chłopcy się tu zjawią?

– Nie wiem. Mam nadzieję, że nie – odparł. – Rozkazałem im wrócić do ich fortecy.

– *Rozkazałeś* im?

– Wyjaśnię ci, ale najpierw muszę usiąść. Jestem na nogach, odkąd wyszedłem od ciebie.

Quin dygotała tak mocno, że z trudem wchodziła po drabinie, ale Shinobu podtrzymywał ją za pasek, żeby nie straciła równowagi.

Wyszli z półmroku i dotarli na stryszek. Na każdym krańcu obory znajdowało się wielkie owalne okno bez szyby – jedno nad stryszkiem, drugie w przeciwległej ścianie budynku. Opuścili Hongkong po południu, natomiast tutaj, w Szkocji, był wczesny ranek. Przez warstwę chmur przeświecał blady krąg wschodzącego słońca, które rzucało widmowy blask na stryszek i krokwie łupkowego dachu. Z okien rozciągał się widok w górę i dół rzeki, aż do wzgórz za posiadłością. Shinobu wychylił się i popatrzył wstecz, w stronę lasu.

– Nadal jesteśmy tu sami – mruknął i westchnął z ulgą, jakby dopiero teraz mógł pozwolić sobie na odprężenie.

Przy jednej ze ścian znajdowała się osadzona na legarach drewniana platforma, rodzaj antresoli z podściółką ze słomy. Quin spędziła tu kiedyś noc po swoim pierwszym zadaniu jako Poszukiwaczki – gdy wbrew swej woli pomogła ojcu popełnić morderstwo. Przyniosła wtedy do obory belę słomy i spała tu samotnie, śniąc o ucieczce. Teraz Shinobu ułożył ją na tym prowizorycznym posłaniu, a Quin była wdzięczna, że może wreszcie spocząć. Położył się przy Quin i objął, żeby ją ogrzać. W końcu przestała dygotać.

– Mam ci tyle do opowiedzenia – wyszeptał. – Chyba już rozumiem działanie fokala… ale nadal czuję się w nim dziwnie. Nie pozwól mi go znowu włożyć, chyba że będziesz przy mnie, dobrze? I musisz mi powiedzieć, jeśli będę się dziwacznie zachowywał. Włożyłem szczura do kieszeni…

– Szczura? – powtórzyła Quin, próbując sobie wyobrazić, dlaczego, u licha, miałby to zrobić.

Shinobu roześmiał się ze znużeniem.

– Już go wypuściłem.

Poczuła, że chłopiec usiadł, i otworzyła oczy na tyle, by zobaczyć, jak zdejmuje pelerynę. Przykrył nią ich oboje, a potem znowu się położył i przygarnął Quin do siebie.

Jej serce odzyskiwało miarowy rytm. Stopniowo opuszczały ją napięcie walki i przerażenie, jakie czuła, gdy rozrywacze strzelały raz za razem. Shinobu ją obejmował, czuła ciepło jego ramion. Przez chwilę byli bezpieczni, w spokojnym miejscu, z dala od zagrożeń.

Czując bicie serca chłopca przy swoich plecach, Quin zapadła w sen.

Musieli spać bardzo długo. Kiedy się ocknęła, światło w oborze było zupełnie inne. Nadciągnęły ciemniejsze chmury, a o dach dudniły ciężkie krople deszczu. Nie chciała otwierać oczu. Obróciła się na bok, wtuliła głowę w ciepłą szyję Shinobu i przyciągnęła jego ręce, tak że znów ją objęły.

Deszcz padał miarowo, zagłuszając szum rzeki i lasu, izolując ich od świata. Quin przesunęła się tylko na tyle, by odszukać usta Shinobu i je pocałować. Poruszył się

i odwzajemnił pocałunek. I wtedy obydwoje byli już wystarczająco obudzeni. Chłopiec zdołał jakoś zdjąć z niej ubranie, jakby było tylko zwiewną halką, którą podciągnął, i całował jej wargi, szyję, miękkie zagłębienie obojczyka, a ona szepnęła do niego:

– Ja jestem… ja nigdy…

Shinobu przerwał na chwilę pocałunki, spojrzał na nią i na jego zaspanej twarzy powoli wykwitł uśmiech. Odrzekł szeptem:

– Tak się cieszę, że ty jeszcze nigdy.

A potem było ciepło i nareszcie byli razem, i jeszcze długo żadne z nich nie zasnęło.

Rozdział 47
Catherine

18 LAT WCZEŚNIEJ

Chociaż porcelanowa filiżanka w ręce Catherine była tak cienka i delikatna, że przeświecało przez nią światło słońca, zdobił ją wizerunek dzika z kapiącymi z kłów kroplami namalowanej krwi, która rzucała czerwone cienie na ciemną powierzchnię herbaty. Herbata była dobra – mocna, wonna i o odpowiedniej temperaturze. Dziewczyna wypiła następny łyk, spoglądając na plecy monsieur Perneta.

Mężczyzna stał przy kuchennym zlewie, nie chcąc na nią patrzeć. Wyglądał przez okno, ściskając w wielkiej dłoni filiżankę, i Catherine domyślała się, że bacznie obserwuje Archiego, którego ostatnio widziała kopiącego kamyki w pobliżu frontowych drzwi. Archie nie chciał, żeby przyjechała do tej ustronnej osady, i nie był zachwycony długim marszem pod górę do chaty Pernetów, ukrytej pośród ruin piętnastowiecznego klasztoru.

Catherine uzyskała wstęp do środka tylko dzięki temu, że pokazała Pernetom bliznę w kształcie athamenu na wewnętrznej stronie nadgarstka. Wówczas oni oboje z pewnym ociąganiem pokazali jej swoje identyczne blizny. Archie nie miał jeszcze takiego znamienia – chociaż Catherine już niemal ukończyła szkolenie go i zamierzała pewnego dnia nakłonić Młodą Sędzię, żeby uczyniła z niego pełnoprawnego Poszukiwacza – toteż czekał na zewnątrz.

Catherine żywiła w duchu nadzieję, że odnajdzie Emila w domu jego rodziców i okaże się, że przez cały czas był zdrowy i bezpieczny. Ale nie – w chacie mieszkali tylko jego ojciec i matka. Madame Pernet siedziała w fotelu naprzeciw Catherine, rzucając spojrzenia na jej ciążowy brzuch. Przez kuchenne okno wpadał blask słońca, rozświetlając ciepłymi odcieniami stare kamienne ściany.

– Zawsze lubiłam Emila – odważyła się odezwać Catherine. – Bardzo dobrze radził sobie z treningiem. My, uczniowie, byliśmy zaskoczeni, kiedy nie wrócił do posiadłości. Instruktorzy powiedzieli nam, że zrezygnował ze szkolenia.

Barczysty monsieur Pernet poruszył się, a jego żona nerwowo kaszlnęła.

– Sądziliście, że zabraniamy mu powrotu do posiadłości – powiedziała – a my myśleliśmy, że ludzie z posiadłości nie pozwalają mu przyjechać do nas. W rzeczywistości Emil odszedł, nie mówiąc nam dokąd.

Jej mąż znów się poruszył.

– Kochanie, proszę, usiądź – zwróciła się do niego po francusku.

Mężczyzna zajął miejsce w fotelu. Spod gęstych brwi zerknął na Catherine, po czym szybko odwrócił wzrok.

– Przepraszam, że zjawiłam się bez uprzedzenia – rzekła do nich dziewczyna. Obróciła nadgarstek tak, że znów mogli widzieć piętno athamenu, aby przypomnieć im obojgu o zobowiązaniach łączących się z ich przysięgą Poszukiwaczy. – Mam nadzieję, że uszanujecie kodeks Poszukiwaczy i odpowiecie na moje pytania. Jego reguły wymagają od wszystkich Poszukiwaczy ducha braterstwa i współpracy.

Mężczyzna przytaknął szorstkim chrząknięciem. Jego żona wyjęła papieros z pudełka na niskim stoliku, przypaliła go nieco zaśniedziałą metalową zapalniczką i zaciągnęła się głęboko, wyglądając przez kuchenne okno. Zdawała się przypatrywać długiemu, wąskiemu cieniowi Archiego na dróżce prowadzącej do osady.

– W młodości mój mąż i ja wyszkoliliśmy się w posiadłości – powiedziała i rzuciła szybkie spojrzenie na Catherine, a potem odwróciła wzrok. Mówiła z nieznacznym francuskim akcentem. – Nigdy nie zaliczaliśmy się do najbardziej aktywnych Poszukiwaczy, ale wnieśliśmy swój skromny wkład. Przez kilka lat odszukiwaliśmy i likwidowaliśmy obozy, w których robiono z dzieci żołnierzy. Wykonywaliśmy też pomniejsze zadania, bliżej naszego miejsca zamieszkania… chociaż już od długiego czasu trzymamy się na uboczu. Kiedy Emil osiągnął odpowiedni wiek, by odbyć szkolenie, pojechał do posiadłości. Przez pewien czas był tam szczęśliwy. Ale w zeszłym roku stał się… zamknięty w sobie. Może zaczął powątpiewać w sens bycia Poszukiwaczem? Uważałam to za naturalne. Szkolenie stawało się cięższe, pobyt w posiadłości mniej przypominał zabawę, a bardziej pracę. Emil miał tam niewielu przyjaciół. Wolał towarzystwo swoich kuzynów, którzy szkolili się w domu, a nie w Szkocji.

Kobieta zamilkła na chwilę, po czym podjęła:

– W zeszłoroczną Gwiazdkę mój mąż przyłapał Emila, który znalazł athamen naszej rodziny, chociaż przyrząd był bardzo dobrze schowany na strychu. Emil… – kobieta poruszyła dłońmi, naśladując gest ustawiania pierścieni athamenu – przygotowywał się, by go użyć.

Mężczyzna lekko skinął głową, lecz nadal się nie odezwał.

– Ale… czy nie był wtedy za młody, by wiedzieć, czym jest athamen? – zapytała Catherine.

Ostatni raz widziała Emila w szkockiej posiadłości, gdy miał czternaście lat, kilka miesięcy wcześniej, zanim byłby szkolony w posługiwaniu się athamenem.

– Tak, oczywiście – przyznała jego matka. – Jednak zachowywał się, jakby wiedział, jak go użyć. Przypuściłam, że przyspieszono jego szkolenie w posiadłości. – Zaciągnęła się głęboko dymem z papierosa, jej spojrzenie wciąż błądziło niespokojnie po kuchni i widoku za oknem. – Między mężem i synem doszło do kłótni. Kiedy Emil zniknął – z naszym athamenem – pomyśleliśmy, że zabrał go i wrócił do posiadłości, żeby znaleźć się z dala od ojca. Ale oczywiście nie było go tam. Nie udało się go nigdzie znaleźć.

– A nasi instruktorzy w posiadłości powiedzieli, że zabroniliście mu wrócić.

– Może nie chcieli was przestraszyć – odrzekła kobieta.

Dopaliła papierosa i zdusiła niedopałek w popielniczce z wytłoczonym godłem dzika. Catherine zdała sobie sprawę, że matka Emila nie jest bardzo stara i niegdyś musiała być w świetnej kondycji fizycznej, ale teraz sprawia wrażenie wyczerpanej i kruchej, jakby lęk i utrata syna postarzyły ją o dekady.

Dziewczyna zapytała:

– Czy ma pani jakiś pomysł, gdzie on…

Kobieta stanowczo pokręciła głową, przerywając Catherine. Wstała i wzięła z gzymsu kominka fotografię w ramce.

– Emil to nasze jedyne dziecko, ale moja kuzynka ma synów będących jego najbliższymi przyjaciółmi.

Znowu usiadła i podała zdjęcie Catherine. Dziewczynie zaparło dech w piersi, gdy je zobaczyła. Przedstawiało Emila i czterech innych chłopców. Na lewo od Emila stał młodzieniec o ciemnobrązowych włosach, ze swobodnym uśmiechem igrającym na ustach. Widziała już ten uśmiech. Twarz mężczyzny pokrywała wtedy ciemnoniebieska farba, ale Catherine widziała te wargi wykrzywione szyderczym grymasem. „Gdzie jest athamen? – zapytał, siedząc na niej okrakiem na podłodze toalety klubu w Hongkongu. – Emil też był taki tępy i kiepsko się to dla niego skończyło".

Catherine puknęła palcem w twarz młodzieńca na zdjęciu.

– To… to kuzyn Emila?

Kobieta przytaknęła.

– Dalszy kuzyn. Jest ich czterech braci. To Anthony. Poradziłabym ci, żebyś zapytała go, dokąd pojechał Emil. Ale Anthony też zaginął.

„Ściśle biorąc, nie zaginął", pomyślała Catherine.

Wypełzła spod niego, gdy wykrwawiał się na śmierć na podłodze toalety w Hongkongu. Przełknęła nerwowo, usiłując wypchnąć z umysłu to wspomnienie.

– Ten… Anthony nigdy nie był w posiadłości – powiedziała cicho, starając się zachować opanowany ton głosu. – Ale szkolił się na Poszukiwacza?

Kobieta z roztargnieniem skinęła głową.

– Uczył go jego ojciec, a także jego braci – chociaż nie wiem dlaczego. Przed trzema pokoleniami utracili swój rodzinny athamen – athamen klanu konia. Anthony zniknął tak jak Emil, jak zniknęło wielu Poszukiwaczy. A jeden z jego braci został niedawno zaatakowany i zraniony…

„To musiał być zabójca Anny", pomyślała Catherine.

Monsieur Pernet wydawał się zakłopotany. Poruszył się niespokojnie w fotelu i wbił wzrok w podłogę.

Catherine spytała z wahaniem:

– To tylko… Czy uważa pani za możliwe, że ten kuzyn miał coś wspólnego ze zniknięciem Emila? Skoro jego rodzina nie ma już athamenu… czy nie mógł chcieć zdobyć athamen Emila?

– Oni są naszymi krewnymi – odparła kobieta ostrym szeptem, jakby nie mogła znieść nawet myśli o tym, co sugerowała Catherine. – Oczywiście, że to niemożliwe. Byli najlepszymi przyjaciółmi Emila.

Ojciec chłopca podniósł wzrok i uważnie przyjrzał się Catherine. Twarz mu poczerwieniała od jakiejś tłumionej emocji i dziewczyna nie była pewna, czy mężczyzna jest bliski wyrzucenia jej z domu, czy zaraz się rozpłacze. W końcu uderzył pięścią w otwartą dłoń i wyrzucił z siebie:

– On nie może osobiście zabijać Poszukiwaczy.

Żona z przestraszoną miną rzuciła na niego szybkie spojrzenie.

– Kto? – spytała Catherine.

– Z pewnością musisz już wiedzieć kto.

Natychmiast zrozumiała. Ten mężczyzna usiłował jej powiedzieć coś bardzo

podobnego do tego, co wcześniej mgliście zasugerował Briac.

– Mówi pan o Średnim Sędzi – rzekła spokojnie.

Mężczyzna powoli kiwnął głową.

– Ale… – ciągnęła Catherine – oczywiście żaden Sędzia nie może zabić Poszukiwacza… chyba że Poszukiwacz popełni zbrodnię i…

– Źle mnie zrozumiałaś – przerwał jej mężczyzna, po czym powiedział ostro, z naciskiem, świadom wagi swoich słów: – On *chce* ich śmierci. *Pragnie* osobiście ich zabijać. Ale nie może.

– Dlaczego miałby… Przecież Sędzia też składa przysięgę. On nigdy nie zrobiłby…

Przerwał jej dudniący dźwięk wydobywający się z piersi mężczyzny, w którym po chwili rozpoznała wzgardliwy śmiech.

– Przysięgę? Nie. Nie możesz myśleć o nim jako Sędzi. On jest… kimś jedynym w swoim rodzaju. Mającym własne plany. Pragnie zabijać Poszukiwaczy, lecz nie może czynić tego własnoręcznie.

Catherine powstrzymała się przed odezwaniem się; usiłowała ogarnąć umysłem to, co mówił monsieur Pernet.

W końcu zapytała:

– Dlaczego on nie może zabijać Poszukiwaczy?

– To dość zagadkowa sprawa – odrzekł z powagą mężczyzna. – Dotyczy czegoś między Średnim Sędzią a Starym. Mam na ten temat własną teorię. Catherine, czy potrafisz czytać w myślach innych ludzi?

Dziewczynę zaskoczyło to nieoczekiwane pytanie.

– Nie… nie świadomie – odparła. Przypomniała sobie dotknięcie czyjegoś zimnego umysłu wtedy, zanim udała się do Mont Saint-Michel. – Ale kilka razy mi się zdarzyło.

– Więc wiesz, że to możliwe.

Przytaknęła z lekkim wahaniem; był to aspekt bycia Poszukiwaczką, który niewiele ją obchodził.

– Uważam, że Stary Sędzia ma wgląd w myśli Średniego – powiedział ojciec Emila poważnym tonem. – Gdyby Średni Sędzia osobiście zabił Poszukiwaczy, Stary Sędzia dowiedziałby się o tym i ukarał go, ponieważ jest sprawiedliwy i nie tolerowałby takich niegodziwych czynów. Ale jeżeli Średni nakłania innych, by popełniali te zbrodnie zamiast niego, być może Stary Sędzia o tym nie wie.

– Przestań! – syknęła jego żona i zakryła mu dłonią usta, jak robi małe dziecko uciszające drugie, większe.

Odsunął ją i mówił dalej:

– Więc on nie morduje ich własnoręcznie. Zamiast tego sprawia, że zabijają się nawzajem.

– Bądź cicho! – rzuciła z rozpaczą kobieta. – On się dowie!

– Jak miałby się dowiedzieć? – zapytał monsieur Pernet, podnosząc głos. – Nie zagląda do *mojego* umysłu.

Żona powiedziała cichym, przestraszonym głosem:

– Usłyszy od kogoś, co zrobiliśmy…

– Straciliśmy nasz athamen. Straciliśmy naszego syna. Nie jesteśmy już Poszukiwaczami. On się nami nie przejmuje.

– Uzgodniliśmy, że nic nie powiemy – rzekła kobieta błagalnym szeptem.

– Powiem jej, co wiemy – oświadczył stanowczo monsieur Pernet. Żona szamotała się w jego uścisku, ale nadal obejmował ją cierpliwie, niczym lew trzymający w łapach niesforne młode. Rzekł łagodniejszym tonem: – Jeżeli nie powiemy prawdy uczciwej Poszukiwaczce, okażemy się całkiem bezużyteczni.

Madame Pernet odwróciła głowę i Catherine przypuszczała, że kobieta rozpłakałaby się, gdyby miała na to dość siły.

– Czyli on nie może osobiście zabijać Poszukiwaczy, gdyż Stary Sędzia by się o tym dowiedział. Tak więc nakłania Poszukiwaczy, by mordowali się nawzajem – powtórzyła dziewczyna.

Uświadomiła sobie, że poniekąd właśnie to Briac próbował jej powiedzieć wtedy w metrze. Przez kilka chwil siedziała nieruchomo, rozważając konsekwencje tej nowej informacji. Jakże była głupia i naiwna! Przez cały czas myślała tylko o tym, że Średni jest okropnie nieudolnym Sędzią i nie potrafi sprawić, by Poszukiwacze postępowali uczciwie. Teraz jednak sytuacja nabrała dla niej o wiele więcej sensu. To właśnie Średni Sędzia *nakłaniał* Poszukiwaczy do niegodziwych czynów. Właśnie dlatego popełniono tyle strasznych zbrodni. Zapytała:

– W jaki sposób skłania ich, by zabijali się nawzajem? – Ale po chwili uświadomiła sobie, że już wie. – On… obiecuje im athameny innych klanów?

– Tak, czasami – odrzekł mężczyzna. – A kiedy indziej zachęca, żeby zemścili się za przeszłe krzywdy.

– Jak pan się o tym dowiedział? – spytała.

– Średni dobrze zaciera ślady. Większość Poszukiwaczy, którzy stali się jego ofiarami, nie miała pojęcia o jego szerzej zakrojonym planie – powiedział. – Ale nie zaciera ich doskonale. W okresie, gdy szkoliłem się w posiadłości, pewien przyjaciel zwierzył mi się, że zawarł układ ze Średnim Sędzią. Kazał mi przysiąc, że nigdy nikomu o tym nie powiem. Oznajmił, że dzięki temu układowi ze Średnim zdobędzie dla swojej rodziny athamen – należący do innego klanu. Jeśli pochodzi się z rodziny wystarczająco zdeterminowanej, by dostać w ręce jakikolwiek athamen, chętnie zawrze się taki pakt.

– I on rzeczywiście dostał athamen?

Mężczyzna powoli pokręcił przecząco głową.

– Nigdy więcej go nie widziałem. Zniknął, ale przypuszczam, że wcześniej kogoś zabił. – Monsieur Pernet przerwał i Catherine uświadomiła sobie, jak długo ten człowiek zachowywał milczenie, jak trudno i dziwnie mu było teraz mówić o tym, ale też jak wielką ulgę mu to przyniosło. Po chwili podjął: – Widzisz, w trakcie mojego kolejnego roku w posiadłości innego przyjaciela opanowała obsesja zemsty na niegdyś zaprzyjaźnionej rodzinie. Skłócano jedne rody z drugimi.

– Ale dlaczego? – spytała Catherine. – Dlaczego Średni Sędzia chce naszej śmierci?

Mężczyzna ze znużeniem wzruszył ramionami.

– On jest kimś jedynym w swoim rodzaju i ma własne plany. W ten sposób musisz o nim myśleć. Jednym z tych planów – być może jedynym – jest pozbycie się

Poszukiwaczy.

– A jak pan myśli, co stało się z Emilem? – zapytała go Catherine. – Średni Sędzia namówił kogoś, żeby napadł na niego dla jego athamenu?

Ojciec chłopca odpowiedział po chwili namysłu:

– Sądzę, że ktoś przyszedł do Emila i zasiał w nim wątpliwości. Ktoś blisko z nim związany… – monsieur Pernet zawiesił na moment głos i Catherine pojęła natychmiast, że on *wie*, iż tym kimś był kuzyn Emila, Anthony, ale nie wyjawił żonie tej szokującej prawdy – zaproponował, że wyjawi mu fakty dotyczące Poszukiwaczy, o których nie dowie się w posiadłości, fakty prawdziwe, nie te, które podają instruktorzy. Ten ktoś namówił mojego syna, żeby odszedł razem z nim. A potem, tak, zabił Emila, by posiąść jego athamen.

„W takim razie dlaczego Anthony potrzebował *mojego* athamenu? – zastanawiała się Catherine. – Czyż w tym czasie nie miał już athamenu Emila?”.

Matka chłopca nachyliła się do niej i wyszeptała:

– Czy chcesz, żeby cała nasza rodzina zniknęła? – Wskazała ciążę dziewczyny. – I twoja?

Catherine nadal spoglądała na monsieur Perneta.

– Czy pan wie, dokąd Emil ostatecznie się udał? Dokąd zabrał go jego zabójca? – zapytała, wyczuwając, że padnie teraz inna odpowiedź.

Mężczyzna puścił żonę, a ona skuliła się, jakby chciała wycofać się z tej rozmowy.

– Przypuszczam, że udał się do groty – miejsca należącego do naszej rodziny, klanu dzika – odrzekł.

Dziewczynie oddech uwiązł w gardle. Zatoczyła pełne koło i dotarła znowu do kwestii ukrytych grot, w których, w co nie wątpiła, muszą znajdować się ślady wskazujące, dokąd odeszli zaginieni Poszukiwacze.

Monsieur Pernet wziął pióro i kartkę i starannie wypisał szeregi symboli. Pod nimi pewną ręką naszkicował widok krajobrazu z grotą w centrum.

– Czy kiedykolwiek odwiedziłeś Norwegię? – zapytała Catherine, kiedy wyszła z domu i dołączyła do Archiego.

Dzień był ładny i ciepły, a lekki wietrzyk przynosił woń kwiatów i zapach odległego oceanu. Stojąc przy domu Pernetów, spojrzeli w dół stromej brukowanej drogi wiodącej do osady, która rozpościerała się pod nimi, oraz do winnic i pól za nią.

– Dlaczego mam przeczucie, że to, jak odpowiem na pytanie, nie ma znaczenia? – rzekł Archie, gdy ruszyli drogą.

– Spójrz na to – powiedziała Catherine i uniosła kartkę ze współrzędnymi wypisanymi przez ojca Emila oraz rysunkiem groty.

– Wiesz, że nie umiem rozszyfrować tych wymyślnych hieroglifów – odparł Archie.

Droczył się z nią, bowiem w istocie trochę już potrafił je odczytywać; Catherine uczyła go tego.

– Musimy udać się do Norwegii – oznajmiła.

Wetknęła kartkę do kieszeni i ujęła jego dłoń.

– Nie możesz teraz jechać do Norwegii – zaoponował.

– Wszystko będzie dobrze, Archie. Przecież dałam radę przyjechać tutaj, prawda? Czuję się świetnie.

Umilkł, nie wyraziwszy zgody, a Catherine myślała już o polach lodowych i ciepłych butach. Gdyby zdołała zdobyć dowód tego, że Średni przyczynia się do śmierci Poszukiwaczy, Stary Sędzia i Młoda Sędzia będą musieli jej wysłuchać.

Kiedy dotarli do dolnego końca drogi i weszli na główny plac średniowiecznej osady, Catherine zatoczyła się do przodu, upadła na kolana i krzyknęła.

– Co się stało? – spytał przestraszony Archie; objął Catherine i delikatnie pomógł jej wstać.

Nie wiedziała, jak mu odpowiedzieć. Poczuła ciepłą wilgoć i zorientowała się, że znowu zaczęła krwawić. Ale było coś jeszcze, trudniejsze do wytłumaczenia: w chwili gdy weszli na plac, doznała przedziwnej wizji. Zobaczyła siebie i Archiego z daleka, jakby przyglądała się sobie z drugiego końca placu. Tej wizji towarzyszył tak gwałtowny przypływ nienawiści i furii, że pod Catherine ugięły się nogi.

– Catherine? – ponaglił ją Archie.

– Widzę… On tu jest…

Patrzyła w umysł innej osoby. Był to ten sam umysł, którego już raz wcześniej dotknęła, tamtego ranka, gdy w jej myśli wpadła nazwa „Mont Saint-Michel". Wtedy ten kontakt z cudzym umysłem ją zaniepokoił, ale teraz… teraz zrozumiała, czyj to umysł, i ogarnęło ją przerażenie.

Archie ją podtrzymał.

– Jakiś mężczyzna nas obserwuje – powiedział, spoglądając na drugi koniec placu.

– Gdzie? – spytała Catherine. Usiłowała podążyć wzrokiem za jego spojrzeniem. Było lato i na chodnikach kłębiło się mnóstwo miejscowych i turystów. – Gdzie? – powtórzyła.

– Tam, ale już zniknął.

– Archie, jak wyglądał? Czy nosił pelerynę? Był wysoki?

– Pelerynę? Jak ktoś z dawnych czasów? Oczywiście, że nie. Miał na sobie podkoszulek.

– Czy był wysoki?

Archie wzruszył ramionami.

– W każdym razie potężnie zbudowany. Zwalisty jak byk.

Nie potrzebowała dalszego opisu. Tym razem, kiedy ich umysły się zetknęły, rozpoznała tego człowieka. Nie usłyszała, jak wcześniej sądziła, myśli jakiegoś Poszukiwacza zamierzającego ją zabić; natknęła się na umysł samego Średniego Sędziego.

Chociaż od dawna poszukiwała dowodu przeciwko Średniemu, czuła się zawsze bezpieczna ze względu na jego pozycję Sędziego. Uważała go za fatalnego sędziego Poszukiwaczy, niemniej jednak za sędziego – a nie kogoś, kto obierze ją za cel ataku. Po rozmowie z monsieur Pernetem nie żywiła już tego rodzaju iluzji.

Minione incydenty ukazały się jej w nowym świetle. Kiedy w Hongkongu napadł na nią Anthony, nie działał z własnej woli, lecz z poduszczenia Średniego Sędziego. Widocznie zrujnowała plany Średniego, zabierając athamen z wyrytym lisem z groty pod

Mont Saint-Michel. Wówczas Średni wysłał Anthony'ego do Hongkongu, żeby odszukał ten athamen, a być może także zlikwidował ją, ale kolejny raz udaremniła jego zamysły.

A teraz Średni Sędzia wyśledził ją tutaj. Skoro zajrzała do jego umysłu, to czy on też widział jej myśli? Czyżby tropienie przez lata jego występków wytworzyło jakąś więź między ich umysłami?

– Musimy ruszać – powiedziała.

– Chcesz pojechać do Norwegii *natychmiast*? – spytał z niedowierzaniem Archie.

– Nie… proszę, zabierz mnie do domu. – Wsparła się na nim, przyciskając dłonią brzuch. – Muszę pójść do lekarza…

Na twarzy Archiego odbił się niepokój. Nie mówiąc nic więcej, mężczyzna otoczył ramieniem plecy Catherine i szybko wyprowadził ją z placu osady.

Rozdział 48
John

John z trudem powstrzymywał się, by nie zamknąć oczu przed ostrym blaskiem słońca. Podobnie jak Młoda Sędzia miał narzucone na ubranie jelenie skóry dla ochrony przed przenikliwym zimnem i ich ciężar i ciepło wydawały mu się czymś naturalnym. Wokół nich rozciągało się pole lodowe; jednostajność jego płaskiej białej powierzchni zakłócały gdzieniegdzie wysokie słupy czarnych głazów. Podłoże było zdradliwe; dostrzegał głębokie szczeliny w lodzie w ostatniej chwili, gdy już miał postawić tam nogę. Mimo to wbiegał wielkimi susami w górę pochyłego pola. Pomagał mu fokal, przyspieszając myśli i rozszerzając percepcję, co pozwalało Johnowi dostrzegać kilkanaście rzeczy naraz, podczas gdy kiedyś mógłby zauważyć tylko jedną.

– Szybciej! – ponagliła go Młoda Sędzia.

W oddali znajdowało się ośnieżone zbocze wysokiego szczytu, trudne do dostrzeżenia, gdyż trzeba by patrzeć prosto w słońce. U jego podnóża była kolejna grota, tym razem należąca do klanu dzika.

Młoda Sędzia miała rację, doprowadzając do spotkania Johna z Quin na moście. Teraz Quin, Catherine, Maggie – wszystkie one zatarły się w jego pamięci i były tylko niewyraźnymi, odległymi sylwetkami. Znowu biegł w fokalu, wyczuwając lód, niebo, jaskinię przed sobą i oddalony o wiele kilometrów ocean uderzający falami o zamarznięty brzeg. Skoncentrował myśli na tym, czego pragnął się dowiedzieć: „Jeżeli moja matka przybyła do tej groty, co w niej znalazła? A jeśli tu nie dotarła, co miała nadzieję odkryć?".

Maud biegła równolegle do niego, szybkim, lekkim krokiem. Ostrzegła go, że ten bieg przez lodowe pole nie będzie łatwy; zamierzała wypróbować Johna do granic jego możliwości.

– Przygotuj się! – krzyknęła.

Miała przymocowany na pasach rozrywacz, a już wcześniej dała chłopcu metalową tarczę chroniącą przed jego iskrami.

John dostrzegł wąską lodową szczelinę, niemal niewidoczną w cieniu skalnego słupa. Gdy przez nią przeskakiwał, rozrywacz zaczął wyć. Dźwięk przejął chłopca trwogą, jednak po raz pierwszy ten strach nie zakłócił jego koncentracji.

Kilka chwil później Młoda Sędzia wystrzeliła z rozrywacza. Z otworów lufy wyleciała chmara iskier, które skwiercząc w zimnym powietrzu, pomknęły w kierunku Johna. Chłopiec obrócił się, machnąwszy tarczą, by przyspieszyć swój ruch. Potem zasłonił się nią, a iskry odbiły się i rozprysnęły w nicość ulewą tęczowego światła.

Maud niemal natychmiast strzeliła ponownie.

John skoczył przed siebie i skręcił za kolejny lodowy słup, a gdy rój iskier go minął, ruszył dalej biegiem.

„Nadlecą następne iskry – pomyślał. – Niech lecą. Będę gotowy".

Zanim Młoda Sędzia zdążyła po raz trzeci wystrzelić z rozrywacza, ściągnął z głowy fokal i cisnął do niej.

– Łap! – krzyknął.

Niemal się potknął, gdy zalała go fala dezorientacji, lecz po kilku krokach to wrażenie ustąpiło.

„Sam się koncentruję – pomyślał. – Ten kask to tylko podpórka".

Pozbawiony fokala poczuł bolesne pulsowanie rany w okolicy barku, ale to nie wpłynęło na jego myślenie.

„To tylko ból".

Młoda Sędzia znów wystrzeliła z rozrywacza. John skręcił w bok, zręcznie omijając szereg głębokich, połączonych ze sobą szczelin w lodzie. Niemal instynktownie uniósł tarczę i odbił iskry.

– Ostrożnie, uczniu – powiedziała Maud w swój powolny, opanowany sposób; nawet nie była zdyszana. – Gdy zanadto ufasz swoim umiejętnościom, właśnie wtedy cię zawiodą. Umysł twojej matki był zmącony, lecz mimo to miała o sobie wysokie mniemanie. I właśnie wówczas została zaatakowana i zakłócona strzałem z rozrywacza. Zasłużyła sobie na to, John.

Młoda Sędzia okrutnie się z nim drażniła, ale…

„To tylko słowa. Dźwięki rozbrzmiewające w powietrzu. Moja koncentracja jest od nich silniejsza".

Rzucił spojrzenie na tarczę na lewym ramieniu i pojął jej prawdziwe zastosowanie. Namacał palcami dźwigienkę po jej wewnętrznej stronie. Przekręcił ją i tarcza ożyła. Zabrzęczała na jego ramieniu, a jej koncentryczne kręgi zaczęły się obracać – niektóre zgodnie z ruchem wskazówek zegara, pozostałe w przeciwnym kierunku – tworząc zawrotny wir.

Młoda Sędzia strzeliła z rozrywacza. John odwrócił tarczę i potok iskier wpadł na nią z brzękiem i trzaskiem. I wtedy ten dźwięk się zmienił. Kręgi tarczy zawirowały szybciej i elektryczne skwierczenie się nasiliło. Tarcza naparła na ramię chłopca, poruszając się z impetem żyroskopu. Iskry rozrywacza odbiły się od niej niczym eksplodujące sztuczne ognie z koła Catherine i pomknęły ulewą z powrotem ku Młodej Sędzi. Maud rzuciła się na lód i przeturlała, gdy chmara iskier przelatywała nad nią. John poczuł satysfakcję – tym razem to on zaskoczył Maud, a nie odwrotnie.

Grota była już na tyle blisko, że pomimo ostrego blasku słońca dało się ją dokładniej zobaczyć. Kiedy Młoda Sędzia wstała zwinnie, John rzucił jej tarczę. Fascynujące urządzenie, ale spełniało także prozaiczną rolę kolejnej podpórki.

Maud jedną ręką złapała tarczę, a drugą strzeliła do Johna. Nie zamierzała mu pobłażać tylko dlatego, że zrezygnował z ochrony.

Bez fokala i tarczy chłopiec był całkowicie odsłonięty, gdy śmignęły ku niemu iskry. Dopuścił do siebie lęk, który jednak nie zakłócił jego koncentracji. Wskoczył na wzgórek potrzaskanego lodu i przeskakiwał z odłamka na odłamek, kierując się w górę. Iskry uderzyły w lodowe zbocze sporo poniżej jego nóg, odbiły się i rozproszyły nieszkodliwie. Wtedy John zeskoczył i pobiegł pędem w stronę groty.

Dotarł do niej przed Młodą Sędzią; po raz pierwszy wyprzedził ją w biegu. Stanął w skutym lodem wnętrzu groty, czekając na Maud z nikłym uczuciem triumfu. Kiedy po kilku chwilach się zjawiła, w jej zachowaniu było coś odmiennego. Nie uśmiechnęła się do Johna, nie poklepała go po plecach ani nie uczyniła niczego równie u niej niezwykłego.

Ale gdy się odezwała, John miał wrażenie, że usłyszał największą pochwałę, jaką jedna osoba może obdarzyć drugą.

– John – powiedziała – to było bardzo dobre.

Rozdział 49
Maud

Zamarznięta grota wyglądała jak z bajki, jak miejsce, które niania Maud mogłaby opisać jej w opowiastce do poduszki dawno temu, kiedy Młoda Sędzia była jeszcze zwykłym dzieckiem. Miała wysoki skalny strop z rozgałęziającymi się na nim grubymi pasmami lodu, z których zwisały olbrzymie, wymyślnie poskręcane sople, niczym wydmuchane ze szkła żyrandole albo maleńkie zaczarowane miasta. W tylnej części groty widniał wylot tunelu prowadzącego głębiej do wnętrza góry, lecz słońce już zaszło i zbadanie tunelu musiało zaczekać do rana.

Nie było tu żadnego drewna, ale Młoda Sędzia rozpaliła ognisko z węgla drzewnego wyjętego z plecaka Johna. Rozniecanie ognia i gotowanie dla nich należało do obowiązków Johna, jednak dzisiejszego wieczoru Maud chętnie pozwoliła mu, by jeszcze przez kilka minut w gęstniejącym półmroku obszedł wnętrze jaskini.

Gdy przyglądała się Johnowi wpatrującemu się w zwisające sople, poczuła wzbierającą w niej satysfakcję. Kiedy rozpoczynała szkolenie chłopca, mierzyła czynione przez niego postępy intensywnością własnej irytacji – jeżeli po sesji treningowej była odrobinę mniej rozdrażniona niż poprzednio, poczytywała to za sukces. Ale duma z Johna była całkowicie nowym doznaniem. Przebiegł przez pole lodowe w imponującym stylu i Młoda Sędzia widziała, że euforia tego biegu spowija go nadal niczym zwiewna opończa.

Jednak gdy podszedł i usiadł przy ognisku, jego zachowanie całkowicie się zmieniło, a euforia się rozwiała. Ogień płonął już mocno i John wpatrzył się weń w zamyśleniu, podpiekając paski suszonego króliczego mięsa na ich kolację.

– Byłaś tu już kiedyś? – zapytał i jego cichy głos odbił się echem w olbrzymiej grocie.

– Tak – odrzekła Maud. – Raz, gdy Poszukiwacze z klanu dzika odbywali ceremonię przyjmowania do swojej rodziny dwojga nowych dzieci. To było bardzo dawno temu, kiedy jeszcze używano tych grot.

John kiwnął głową, ale zdawało się, że nie słucha uważnie. Gdy podawał Maud jedzenie, myślami błądził gdzie indziej.

Kiedy zjedli, Młoda Sędzia, próbując odgadnąć przyczynę obecnego nastroju chłopaka, zwróciła się do niego:

– John, w trakcie treningu prowokuję cię, starając się zakłócić twoją koncentrację. Ale w rzeczywistości nie myślę tego, co mówię wtedy o twojej matce.

Podniósł na nią wzrok i Maud przypomniała sobie, jak wyglądał jako dziecko tamtej nocy w mieszkaniu Catherine, mały i zagubiony.

– Właśnie o to chodzi – odrzekł. – A jeśli ona rzeczywiście była szalona?

Zdawał się zmagać z jakąś myślą. Maud zachowała milczenie, gdy znów spojrzał w ogień, jakby miał nadzieję znaleźć tam odpowiedź na nurtującą go wątpliwość.

– Sam już nie wiem – odezwał się po kilku chwilach i w jego głosie zabrzmiał ból. – Zanim tu dotarliśmy, byłem *pewien*. Moja matka tropiła rodziny, które nas skrzywdziły. Przybyła tutaj – albo zamierzała przybyć – aby odnaleźć Poszukiwaczy z klanu dzika

i zemścić się na nich. A ja robiłem teraz to samo. Ale… już nie jestem pewien.

Odszukał wzrokiem spojrzenie Maud i dostrzegła na jego twarzy niepokój. Wyszeptał:

– Na polu lodowym strzeliłaś do mnie z rozrywacza, a ja biegłem ile sił. Bałem się rozrywacza, lecz w istocie nie odczuwałem strachu, tylko coś innego. I wciąż to czuję. Czuję nadzieję mojej matki. Czuję jej ciekawość. – Umilkł, a potem podjął: – Wiem, że nienawidziła innych rodzin. Byłem z nią do siódmego roku życia i widziałem, że przepełnia ją nienawiść. Ale… nie taki obraz Catherine dostrzegam w jej dzienniku. I teraz nie taką Catherine widzę w moich myślach. Wyczuwam inną Catherine. Tę prawdziwą.

Młodą Sędzię ogarnęła silna emocja, której nie potrafiła dokładnie określić, chociaż może było to poczucie *wspólnoty*. Biegnąc dziś przez lód, doświadczyła takich samych myśli o Catherine; być może ona i John dzielili je ze sobą. Maud w przeszłości widziała, kim naprawdę była Catherine i co zamierzała – zanim ta dziewczyna się zmieniła, zanim stała się okrutna, brutalna i owładnięta obsesją zemsty.

– Ja też ją wyczuwam – rzekła do Johna. – Nie była szalona… nie na początku i jeszcze przez długi czas.

Przypomniała sobie Catherine jako uczennicę w posiadłości, a potem późniejszą. Ze wszystkich Poszukiwaczy, jakich Młoda Sędzia poznała ostatnimi czasy, Catherine być może była *najmniej* szalona – w każdym razie początkowo.

„Gdyby skierować cały ten wysiłek do innego celu – rzekła Catherine tamtej nocy, kiedy ostatni raz była naprawdę żywa – wyobraź sobie, jak inaczej mogłyby potoczyć się sprawy”.

– Twoja matka była Poszukiwaczką w najszlachetniejszym sensie tego słowa – powiedziała Johnowi.

– Tak myślę – szepnął.

Spuścił głowę, oparł ją na rękach i jego ramiona zaczęły drgać. Było to tak nieoczekiwane, że Maud dopiero po pewnym czasie pojęła, że on płacze. Potem żal nadciągnął jak burza i chłopiec zaszlochał bezradnie.

W końcu, gdy nawałnica emocji ucichła, odezwał się, z twarzą wciąż ukrytą w dłoniach:

– Wyrządziłem tyle zła… Alistairowi, Shinobu… ale przede wszystkim Quin. – Uniósł głowę i z bezbronnym wyrazem twarzy popatrzył nad ogniem na Młodą Sędzię. – Ona powinna mnie *znienawidzić*. Zapracowałem na jej nienawiść. Myślałem w taki ograniczony i błędny sposób…

Młoda Sędzia długo nie przerywała ciszy, która zapadła między nimi. Wreszcie powiedziała:

– Wszyscy popełniamy czyny, których później żałujemy, Johnie. Problem w tym, jak je odwrócić.

– Czy mogę je odwrócić? – zapytał.

Młoda Sędzia przez chwilę wpatrywała się w rozżarzone węgle, obserwując pulsowanie i taniec płomieni. Bieg ich obojga do groty odmienił umysł nie tylko Johna, lecz także jej. Kiedy się odezwała, mówiła w swój zwykły opanowany sposób, jednak

wyczuwała słowa głębiej niż większość, jakie wcześniej wypowiedziała:

– Dziś zrozumiałam coś dotyczącego twojej matki. Przed wieloma laty zapytała mnie o Sędziów, o Średniego Sędziego. Chciała go usunąć – aby pomóc innym Poszukiwaczom, a także mnie, chociaż zignorowałam ją i kazałam jej odejść. Chciała go usunąć i zostać Sędzią.

Z oczu Johna przestały płynąć łzy. Przyjrzał się Maud.

– Zostać Sędzią? – powtórzył zaskoczony.

Maud zważyła słowa, zanim znów się odezwała:

– Nie chcę, by nazywano mnie Średnią Sędzią. To miano zostało zbezczeszczone. A jednak nie mogę być jedyną Sędzią na świecie. My, Sędziowie, musimy kolejno poruszać się przez czas; często jedno z nas pozostaje w stanie rozciągnięcia, podczas gdy drugie jest obudzone i działa. Aby to było możliwe, muszę wyszkolić kolejnego Sędziego, tak jak wyszkolono mnie. I muszę nauczyć tego kogoś przeznaczenia i sposobu użycia wszystkich narzędzi mojego mistrza. Kogokolwiek wyszkolę, ten ktoś musi pomóc mi dowiedzieć się wszystkiego, co powinnam wiedzieć.

Spoglądał na nią niemal jak w transie.

– John – powiedziała. – Mogę nauczyć cię dość, abyś został zaprzysiężony jako Poszukiwacz. Jestem pewna, że potrafisz tego dokonać. Ale uważam, że mógłbyś stać się kimś więcej niż Poszukiwaczem.

Chłopiec zapytał ledwie głośniej niż szeptem:

– Masz na myśli mnie? Wyszkolenie mnie na Sędziego?

– Nie mówię, że na pewno by się udało. Ale to możliwe.

Maud przyglądała się, jak John rozważa tę myśl. Po paru sekundach zapytał:

– Moja matka… chciała tego?

– Wierzę, że tak.

Milczał, a Maud obserwowała pomarańczowe odblaski ognia tańczące na jego twarzy. Nie wyglądał już na zasmuconego; sprawiał wrażenie kogoś, kto stoi na skraju urwiska i zastanawia się, czy skoczyć, czy nie.

Wreszcie spytał:

– Czy ty czujesz się… człowiekiem? Po spędzeniu tak długiego czasu Tam? Czy może utraciłaś swoje człowieczeństwo?

Niemal identyczne pytanie zadała jej przed laty Catherine w lesie posiadłości: „Czy to byłoby trudne dla kogoś takiego jak ja? Życie takie jak twoje?”. Pytanie Catherine zapadło w pamięć Młodej Sędzi, która wiedziała, że nie potrafi na nie odpowiedzieć. Czy utraciła swoje człowieczeństwo? Jeżeli stałaś się inna od wszystkich ludzi żyjących na świecie, czy nadal jesteś jedną z nich? Czy może jesteś już kimś innym?

W końcu powiedziała:

– Odczuwam radość i nienawiść. I współczucie, Johnie – współczułam tobie, twojej matce i innym ludziom. Ale Sędziowie muszą trzymać się na uboczu.

– Czy… czy kiedykolwiek byłbym zdolny pokochać dziewczynę? Albo zostać ojcem?

– My, Sędziowie, nie… nie nawiązujemy intymnych związków – odparła.

Usłyszała w swoim głosie opanowanie i zastanawiała się, czy to nie odwiedzie

Johna od zostania Sędzią. Z tego, co zdołała zrozumieć o mężczyznach i kobietach czy chłopcach i dziewczynach, wiedziała, że nie oczekują od siebie nawzajem doskonałego opanowania, lecz namiętności. Pojmowała sens owego słowa, lecz nigdy nie doświadczyła tego, co oznacza.

– Ale kim są ci „my”? – zapytał John. – Skoro jesteś jedyną aktywną Sędzią, czy nie możesz sama decydować, co oznacza bycie Sędzią?

Przez ułamek sekundy Maud poczuła się urażona bezceremonialnością tego pytania. Ale dlaczego nie miałby o to zapytać? Sugerowała przecież, że John jest kimś daleko więcej niż tylko jej uczniem. Sugerowała, że fundamentalnie się zmienił.

W nagłym olśnieniu ujrzała w inny sposób Johna, a także siebie, jakby patrzyła jego oczami. Spojrzała na swoje ręce i wyciągnęła je przed siebie, zdumiewając się tym, jak bardzo są zwyczajne, podobne do rąk wszystkich ludzi.

– Czy ten rodzaj uczucia… ten rodzaj miłości… jest aż tak bardzo ważny? – zapytała Johna.

Niemal usłyszała siebie mówiącą: „To tylko miłość”, podobnie jak często mawiała: „To tylko ból”.

– Nie wiem – odrzekł szeptem John. – Być może. Ja…

Ale Młoda Sędzia przerwała mu, wstając nagle. Z ciemnego tunelu w głębi groty dobiegł jakiś odgłos.

– Rozszerz swoje słyszenie – poleciła cicho chłopcu.

John wciąż był w wielkiej mierze nowicjuszem, ale w tej umiejętności stawał się coraz lepszy.

– Ktoś nadchodzi tunelem – powiedział po chwili.

Maud potwierdziła skinieniem głowy. Ona też to usłyszała.

Czekali kilka chwil, a ten wlokący się nieznajomy coraz bardziej się zbliżał, przystając często i znów ruszając nieregularnymi zrywami. Słyszeli odgłos stąpania kogoś, kto zmuszał swoje ciało do wysiłku, a ono się sprzeciwiało. I był to ktoś drobny, pomyślała Maud, sądząc z lekkości kroku. Położyła dłonie na broniach przy pasku.

W końcu kroki dobiegały z odległości już zaledwie kilku metrów, a potem zza ostatniego zakrętu oblodzonego korytarza wyłoniła się powłócząca nogami postać i stanęła w słabym blasku ich ognia z węgla drzewnego. Nieznajomy uniósł rękę i osłonił oczy przed tym światłem, jakby było zbyt jaskrawe i go oślepiało. Miał na sobie dwie peleryny, a pod spodem tyle ubrań, że jego ciało w nich tonęło, lecz mimo to sprawiał wrażenie na wpół zamarzniętego.

Maud rozpoznała przybysza. Był to najmłodszy z Obserwatorów, ten wyglądający na jakieś dwanaście lat. Gdy jego wzrok przywykł do światła w jaskini, chłopiec opuścił rękę, odsłaniając brudną, opuchniętą piegowatą twarz. Przeniósł spojrzenie z Maud na Johna, a potem znów na nią. Nawet jeśli rozpoznał ich z wcześniejszych spotkań, nie dał tego po sobie poznać.

Długo stał nieruchomo u wylotu tunelu, a potem nagle wsadził rękę pod warstwy odzieży. Wyjął jakiś mały, czarny kształt i cisnął gwałtownie na ziemię u stóp Maud.

To był szczur, zamarznięty na kamień.

– Jaki to ma sens?! – wykrzyknął chłopiec. – On zamarzł na śmierć! Ja też miałem

umrzeć razem z nim w mojej pieczarze.

Omiótł wzrokiem wnętrze skalnej komory i oczy mu się rozszerzyły, gdy spostrzegł coś za plecami Młodej Sędzi. Bez ostrzeżenia puścił się biegiem przez grotę, potrącając Maud, gdy ją mijał. Rzucił się na stertę ich ekwipunku jak szakal na świeżą padlinę.

Młoda Sędzia w dwóch szybkich susach znalazła się przy nim. Chwyciła w garść fałd jego ubrania i uniosła go całkiem wysoko nad ziemię. Brudnymi palcami sięgnął do fokala, ale odkopnęła kask stopą.

– Potrzebuję go! – wrzasnął chłopiec. – Potrzebuję tego hełmu! Proszę! Proszę!

A potem, trzymany w górze przez Maud, nie mogąc dosięgnąć fokala leżącego na ziemi, wybuchnął płaczem.

Rozdział 50
Shinobu

Kiedy Shinobu znowu się obudził, zapadł już prawie wieczór. Deszcz ustał i zachodzące słońce oświetlało od spodu ciężkie chmury, dzieląc świat na szare niebiosa i promienną krainę podziemi, rozjarzoną barwami różu, oranżu i błękitu. W ramionach Shinobu spoczywała Quin, a oboje leżeli na posłaniu ze słomy, owinięci w jego pelerynę. Chłopiec pomyślał, że byłby szczęśliwy, mogąc już zawsze spać w taki sposób.

– Quin… – szepnął.

Poczuł, że mocniej zacisnęła dłoń na jego ramieniu, lecz poza tym się nie poruszyła. Gdy trzymał ją tak w objęciach, wydawała się naprawdę drobna. A jednak chciała odmienić los wszystkich Poszukiwaczy. Shinobu też tego chciał, chociaż wiedział, że pozostawiony samemu sobie, prawdopodobnie wybrałby mniej szlachetne sposoby spędzenia swojego życia. To Quin wzbudziła w nim chęć bycia lepszym. Zawsze tak się działo.

Oparł się na łokciu i popatrzył na nią śpiącą z głową na jego zwiniętym swetrze zamiast poduszki. Zachwycające światło z nieba muskało jej skórę i chłopiec pomyślał, że to bardzo stosowne. W tej drobnej dziewczynie, Quin Kincaid, było coś tak stanowczego i nieustraszonego, że była dla niego kimś z innego, wyższego świata. Poprzysiągł w duchu: „Stanę się godny niej. I ją ochronię".

Niepokoiło go, że nawet w tej chwili wciąż myślał o fokalu. Był świadomy tego, w jakiej dokładnie odległości od niego znajduje się ten kask (pod drewnianą pryczą, na której leżeli, mniej więcej trzydzieści centymetrów od krawędzi), a gdyby pozwolił sobie na dłuższe rozmyślanie o nim, poczułby instynktowną chęć, by go podnieść i włożyć na głowę.

Nie zrobi tego, chyba że Quin będzie przy nim, aby go wesprzeć. Wiedział już, że potrzebują fokala, ale posłużą się nim razem, tylko razem, ponieważ tak jest bezpiecznie. Kiedy używał go sam, fokal odłamywał część jego umysłu i Shinobu musiał dokonywać nieustannego wysiłku, by ignorować myśli płynące z tej części i kierować całego siebie na chronienie Quin.

Przytulił ją mocniej i pocałował w policzek. Otworzyła oczy, uśmiechnęła się do niego sennie, a potem się przeciągnęła.

– Jesteś bardzo przystojny, wiesz? – szepnęła.

– Czyżby? – W głębi duszy te słowa sprawiły mu wielką przyjemność. Odgarnął jej za ucho pasmo włosów. – Chcę ci opowiedzieć, co stało się z twoim ojcem. I wszystko inne.

– Mów – rzekła.

Usiadła na wysłanej słomą pryczy i szczelniej otuliła się kurtką przed chłodem.

– Znalazłem go w szpitalu na przedmieściu Londynu – oznajmił, opierając się na łokciu. – To okropne miejsce, Quin. Ale włożyłem mu na głowę fokal i zaczął mówić z sensem.

Powtórzył dziewczynie wszystko, co Briac powiedział mu o Średnim Sędzi i jego Obserwatorach, o podburzaniu jednych Poszukiwaczy przeciw drugim, o zabijaniu ich,

o tym, jak Briac po śmierci Średniego próbował przejąć po nim władzę, lecz był zbyt obłąkany, by móc zrealizować ten zamysł.

Obserwował, jaki wpływ jego relacja wywiera na Quin. Dziewczyna mu nie przerywała, ale kiedy umilkł, rzekła w zamyśleniu:

– To wyjaśnia, dlaczego z każdym kolejnym pokoleniem było coraz mniej Poszukiwaczy. I dlaczego mój ojciec starał się trzymać blisko Średniego Sędziego, by pozyskać jego przychylność.

– Poza nakłanianiem Poszukiwaczy do mordowania się nawzajem Średni Sędzia robił coś jeszcze – dodał Shinobu. – Najważniejsze, co powiedział mi Briac, to że Średni wykorzystywał inne lokalizacje Tam, aby… aby przechowywać w nich cenne rzeczy.

– Co masz na myśli przez inne lokalizacje Tam? – spytała zdziwiona Quin.

Shinobu pojmował jej dezorientację. Sam poczuł podobną, kiedy Briac wyjaśnił mu, o co chodzi. Chociaż w wielowymiarowym Tam było mnóstwo miejsca, Briac i Alistair nauczyli Shinobu i Quin wybierania zawsze dokładnie tych samych współrzędnych, ilekroć dokonywali skoku ze świata do tej mrocznej przestrzeni *pomiędzy*. Tak łatwo było zagubić się w tej ciemności, w której Poszukiwacze nie powinni nigdy długo pozostawać – i dlatego nie istniał żaden powód, by zastanawiali się zbyt wiele nad innymi możliwymi lokalizacjami Tam.

Odpowiedział Quin:

– Mamy jedno miejsce Tam, do którego docieramy dzięki athamenowi. Stale używamy tego samego miejsca. Właśnie dlatego mogłaś odnaleźć swojego ojca, kiedy zaginął Tam – zagubił się w tym samym miejscu, do którego zawsze się udajemy. Ale Średni wykorzystywał inne rejony Tam, by gromadzić w nich… to, co jak przypuszczam, chciał zachować w tajemnicy. Na przykład swoich Obserwatorów. Trzymał ich w ukryciu w miejscach, których nie używał nikt z nas.

Zaskoczona Quin uniosła brwi.

– Przechowywał Tam *ludzi*? – spytała; widocznie ta możliwość nigdy nie przyszła jej do głowy.

Shinobu przytaknął.

– Co jeszcze trzymał Tam? – pytała dalej Quin. – I gdzie… gdzie znajdują się te ukryte miejsca?

– Nie wiem, co jeszcze przechowywał Tam, a Briac nie znał położenia tych ukrytych miejsc – odrzekł Shinobu. – Wiedział tylko, że istnieją gdzieś w tamtej ciemności *pomiędzy*. Ale Quin, posłuchaj… – dodał, czując powracającą ekscytację. – Chyba wiem, jak je znaleźć.

– Jak? – spytała. Gdy nie odpowiedział od razu, chwyciła go błagalnie za ręce, jakby dręczył ją, odwlekając wyjaśnienie. – Jak, Shinobu?!

Pozwolił sobie na dramatyczną pauzę, a potem powiedział:

– Ty masz wskazówkę.

– *Ja* mam wskazówkę?

Poszperał w kieszeniach swojej peleryny i wyjął athamen Sędziów. Trzymając ten kamienny sztylet przed Quin, powiódł palcami po tępej klindze, a potem po pierścieniach rękojeści.

– Czy potrafisz sobie przypomnieć, na jakie współrzędne były ustawione pokrętła tego athamenu, kiedy Młoda Sędzia wróciła po nas na Obieżyświata?

Quin dopiero po chwili zrozumiała, o co Shinobu ją pyta.

– Po starciu na statku powietrznym? Po katastrofie?

Chłopiec skinął głową.

– Tak, właśnie wtedy.

– Dlaczego pytasz o te współrzędne? – chciała wiedzieć. – Czyż nie były współrzędnymi tego statku?

Przecząco pokręcił głową.

– Nie, nie sądzę. Pamiętasz, co się zdarzyło? Młoda Sędzia zabiła Średniego, a potem ona i Stary Sędzia wywlekli ciało z miejsca walki do dużego pomieszczenia na Obieżyświacie. Chwilę później wróciła sama.

– Wiemy, że zabrała Starego Sędziego Tam – rzekła Quin. – Zabrała go Tam, a potem wróciła, żeby nam pomóc.

– Owszem – zgodził się Shinobu. – Ale nie było jej przez ile… zaledwie jedną czy dwie minuty? Nie sądzę, by udała się Tam razem z nim. Myślę, że wykreśliła w przestrzeni anomalię, Stary Sędzia przeszedł przez nią, a Młoda została na statku.

– Czyli współrzędne na jej athamenie doprowadziłyby nas do miejsca, w którym przebywa Stary Sędzia? – spytała Quin, podążając za tokiem rozumowania Shinobu. – Ale… dlaczego mamy chcieć akurat teraz odnaleźć Starego Sędziego?

– Nie chcemy – odparł chłopiec.

Zobaczył, jak w oczach Quin świta zrozumienie.

– Myślisz, że razem z nim jest tam ciało Średniego?

– Tak.

Dziewczyna w skupieniu zamknęła oczy, lecz po chwili przecząco pokręciła głową.

– Widziałam athamen w rękach Młodej Sędzi, ale tylko przez moment.

– Użyjemy fokala – rzekł Shinobu. – Wiem, że tego nie lubisz – ja też nie – ale on pomoże ci sobie przypomnieć.

Rozdział 51
Quin

Stryszek obory zdawał się jarzyć światłem rozszerzonej świadomości Quin. Dziewczyna oczyściła umysł, po czym włożyła na głowę kask. Tym razem jej dezorientacja minęła szybciej i Quin osiągnęła ten osobliwy stan koncentracji umożliwiany przez fokal. Stała się świadoma dziesięciu tysięcy pyłków kurzu unoszących się w snopie słabego, gasnącego słonecznego światła, lekkich powiewów powietrza wpadających przez okno obory, nawet licznych rozmaitych prądów rzeki płynącej daleko w dole. I jeszcze więcej. Zobaczyła wszystkie swoje poprzednie wizyty w oborze, wszystkie swoje kroki podczas każdej z tych bytności.

Shinobu trzymał ręce na ramionach dziewczyny, podczas gdy fokal brzęczał i oplatał się wokół jej myśli. Ten dotyk chłopca ją uspokajał.

– Te współrzędne – powiedział Shinobu. – Potrafisz je sobie przypomnieć.

Rzuciła swój umysł w tamten moment przeszłości, gdy leżała we wnętrzu rozbitego statku powietrznego. Młoda Sędzia zdejmowała z niej i Shinobu wielką szklaną taflę. Kiedy Quin spod niej wypełzła, podniosła wzrok i zobaczyła, że Młoda trzyma w dłoniach athamen.

Tamto miejsce. Pomiędzy palcami Młodej Sędzi widać było pierścienie ustawione na układ współrzędnych. Ten obraz, idealnie nieruchomy, unosił się w pamięci Quin.

Jej umysł powrócił do teraźniejszości. Wzięła od Shinobu athamen i szybko obróciła każdy pierścień, aż powtórzyły układ, jaki ujrzała w tamtej przeszłej chwili.

– Masz – powiedziała, oddając Shinobu starodawny sztylet. – Właśnie tam Młoda Sędzia wysłała Starego, zanim wróciła po nas.

Zdjęła fokal i zacisnęła zęby, gdy natychmiast usłyszała w uszach przenikliwy dźwięk, poczuła ból głowy i mdłości. Osunęła się ciężko na pryczę i zamknęła oczy.

Shinobu usiadł przy niej i objął ją ramieniem.

– Przepraszam. Wiem, jakie to okropne uczucie po rozłączeniu. Staje się tym gorsze, im częściej nosi się fokal.

– Zaraz mi przejdzie.

Quin oddychała powoli, głęboko, póki nie poczuła się lepiej. Kiedy doszła do siebie, uniosła głowę i zobaczyła, że Shinobu położył kask na podłodze i odsunął go na pewną odległość.

– Zabierz mnie tam – poprosiła, wskazując na athamen.

Chłopiec skinął głową. Powiódł kciukiem wzdłuż ostrza sztyletu, wysuwając krzesiwo z jego schowka. Kiedy uderzył jednym o drugie, cała kamienna obora zaczęła drżeć. Shinobu wykreślił w powietrzu anomalię. Długie pasma oderwały się od swojego obrzeża, skręciły się i utworzyły huczące przejście.

Ten próg pulsował wpływającą energią, a w ciemności za nim ujrzeli zgarbioną postać obrysowaną światłem wpadającym przez okno obory.

Shinobu wziął Quin za rękę.

– Idź za mną – powiedział.

Przeszli przez kłębiącą się granicę i w kilku krokach dotarli do postaci.

– To on – szepnęła dziewczyna.

Spoglądali na Starego Sędziego. Stał w całkowitym bezruchu, z pochylonymi ramionami tam, gdzie Młoda Sędzia rozstała się z nim podczas walki na Obieżyświacie.

Quin pamiętała, że kiedy widziała go ostatnio, miał gładko wygoloną twarz – a teraz jego policzki i podbródek pokrywał nikły cień zarostu, co w pewien sposób nadawało mu dość współczesny wygląd. Oczy miał zamknięte, a dłonie splecione przed sobą. Jego szata dziwnie na nim wisiała; wydawała się niewłaściwego rozmiaru i nie sięgała mu nawet do kostek. Quin uświadomiła sobie, że oddał Młodej Sędzi swoją pelerynę.

„Co jeszcze jej dał?", zastanawiała się.

– Weź go za nogi, Quin – polecił Shinobu.

Podniosła wzrok i zorientowała się, że nie mówił o Starym Sędzi. Pochylał się nad inną postacią leżącą u stóp Starego. Quin przykucnęła, pomacała na oślep i złapała ją za obie nogi. Wydały się jej sztywne jak u marmurowego posągu, chociaż w dotknięciu były nadal miękkie. Quin i Shinobu razem dźwignęli w górę bezwładne martwe ciało, które zaciążyło im na rękach. Wycofali się przez anomalię, starając się, by zwłoki nie przechyliły się na bok i nie spadły. Kiedy stali już twardo na podłodze stryszku, położyli trupa z głuchym łupnięciem.

Quin wiedziała, kogo niosą, jednak widok otwartych szarych oczu mężczyzny, które zdawały się w nią wpatrywać, przyprawił ją o niemiły wstrząs. W ciemniejącym świetle sztywno i bez ruchu, z wielką plamą krwi na piersi w miejscu, gdzie Młoda Sędzia dźgnęła go w serce, leżał Średni.

Shinobu spojrzał na niego tyleż z fascynacją, co ze wstrętem.

– A teraz – rzekł do Quin – dowiedzmy się, gdzie umieścił te rzeczy.

Rozdział 52
Quin

Wiem, że on jest martwy, ale mogłabym przysiąc, że zaraz się poruszy – wyszeptała Quin.

Ona i Shinobu klęczeli na podłodze i ściągali pelerynę z ciała Średniego Sędziego. Gdyby żył, mógłby się już obudzić, wstępując w strumień zwykłego czasu. Ale był martwy. Tylko krew na jego piersi ożyła, wyciekała powoli gęstą strużką ze śmiertelnej rany, napełniając powietrze metaliczną wonią. Reszta jego ciała była szara i nieruchoma.

– Sprawdź każdą kieszeń – polecił Shinobu.

– Czego szukamy?

Zdjęli pelerynę ze sztywnych zwłok Średniego i szperali w niej; wydobyli noże, niewielkie przyrządy i broń. Shinobu obejrzał uważnie coś przypominającego kamienne dłuto, a potem odrzucił na bok.

– Skoro trzymał Tam ludzi i przedmioty, musi mieć przy sobie jakąś wskazówkę pomagającą mu zapamiętać dokładne położenie tych miejsc.

– A jeśli po prostu nauczył się tych lokalizacji na pamięć? – podsunęła Quin.

– To możliwe – przyznał Shinobu. – Ale Sędziowie przebywają Tam przez lata, nawet dekady w stanie rozciągnięcia. Czy to nie wpływa jakoś na ich umysły? Nie mąci ich? Myślę, że Średni powierzyłby te lokalizacje czemuś pewniejszemu niż swojej pamięci.

To wydało się dziewczynie sensowne. Jednak przeszukiwanie peleryny Średniego Sędziego nie przyniosło nic, co mogłoby im pomóc. Shinobu westchnął i obrzucił zwłoki Średniego spojrzeniem pełnym obrzydzenia. Potem bez entuzjazmu sięgnął do kieszeni jego spodni.

– Musimy gruntownie go obszukać – wyjaśnił.

W Quin widok zwłok zazwyczaj nie budził lęku, ale ten trup przyprawiał ją o mdłości. Obcowanie ze Średnim za życia nie było przyjemne. Śmierć uczyniła jego obecność nieco znośniejszą, lecz tylko w niewielkim stopniu. Niemniej dziewczyna ostrożnie obmacała nogawki spodni Średniego Sędziego, a potem ściągnęła mu z nóg dziwne skórzane buty. Jednak nic w nich nie znalazła.

Kiedy przeszukanie przez Shinobu kieszeni spodni martwego mężczyzny nie dało żadnych rezultatów, chłopiec nożem rozciął mu koszulę od pasa do szyi. Szarpnięciem odsunął na boki obydwie jej części, odsłaniając niewielki czarny tatuaż na brzuchu.

Quin westchnęła, zaskoczona.

– Podejdź tu i spójrz z tej strony – rzekł do niej Shinobu podekscytowanym głosem.

Stanęła obok niego w pobliżu głowy Średniego Sędziego. Gdy popatrzyła z tego miejsca, stało się dla niej jasne, że tatuaż umieszczono tak, aby sam Średni mógł go z łatwością odczytać. Na skórze miał symbole, litery i liczby usytuowane dogodnie dla jego wzroku. Być może sam je sobie wytatuował.

Spośród nich wyróżniała się jedna grupa symboli, zestaw współrzędnych – ale nie żadnego miejsca w świecie, tylko lokalizacji Tam.

Patrząc na te współrzędne, Quin odniosła nieodparte wrażenie, że ostatnio

kilkakrotnie je widziała, chociaż nie potrafiła sobie przypomnieć gdzie.

– I spójrz tutaj – powiedziała, wskazując słowa nakreślone pod tymi symbolami ozdobnym pismem:

Protenus 53

Dextrorsum 59

Sinistrorsum 54

Dextrorsum 34

– „Protenus" to po łacinie „naprzód" – wyjaśniła, wdzięczna matce za udzielane jej lekcje języków obcych w okresie, kiedy Quin kształciła się w posiadłości, by zostać Poszukiwaczką. – Zaś „dextrorsum" oznacza „w prawo", a „sinistrorsum" – „w lewo".

W oczach Shinobu błysnęło zrozumienie.

– To nasze P, S i D z groty, którą znaleźliśmy w lesie.

Quin szybko zsumowała liczby znajdujące się obok tych słów.

– Ich suma wynosi dwieście – podobnie jak liczb w znalezionej przez nas grocie i tych w dzienniku. Ale dwieście *czego*? Wciąż tego nie wiemy.

– Może jednak wiemy – odrzekł Shinobu.

Wstał i przeszedł przez stryszek, ściskając oburącz głowę, jakby starał się, aby kłębiący się w niej wir myśli nie rozsadził mu czaszki. Zatrzymał się przed owalnym oknem, a potem odwrócił się do Quin.

– Tamten wpis w dzienniku o Średnim Sędzi szkolącym dwóch chłopców, o odliczaniu liczb…

– Tak, do dwustu – potwierdziła dziewczyna. – Ale…

– To *kroki*, Quin! – Podszedł z powrotem do niej, z malującym się na twarzy wyrazem triumfalnego odkrycia. – Twój ojciec wyjaśnił mi tę kwestię… ale było to takie zagmatwane, że dopiero teraz zrozumiałem. Chodzi o to, ile kroków trzeba zrobić, żeby dostać się do jakiegoś miejsca *pomiędzy*. Wykorzystamy te współrzędne, one doprowadzą nas do określonego punktu Tam, a stamtąd pójdziemy, stosując się ściśle do tych instrukcji wskazujących kierunki i liczbę kroków.

Quin zmarszczyła czoło.

– Skąd Briac mógł o tym wiedzieć?

– Twój ojciec przyznał, że przez wiele lat usiłował zrozumieć Średniego Sędziego – aby utrzymać się przy życiu. Kiedyś ukrył się w pobliżu fortecy Obserwatorów i *zobaczył*, jak Średni szkoli swoich chłopców. Widział, jak oni wciąż na nowo ćwiczą „odliczanie swoich kroków". Ćwiczyli według tego wzoru. – Wskazał tatuaż na skórze Średniego. – Ale Briac nie znał tych współrzędnych. Nie wiedział, skąd rozpocząć.

Quin zastanowiła się nad tym, ale gdy rozważyła praktyczny aspekt, przecząco pokręciła głową.

– Dwieście kroków Tam? Nigdy nie udałoby ci się tego zrobić. Zgubiłbyś się.

– Nie rozumiesz? Właśnie o to chodzi. Każdy by się zgubił. – Wyraz twarzy

Shinobu świadczył, że chłopiec bardzo szybko układa sobie w głowie w całość wiele elementów tej sprawy. – Te dwieście kroków stanowi gwarancję, że nikt nie zdoła wykorzystać tych wskazówek, o ile Średni nie nauczy go, jak to zrobić. – Nieświadomie, w gorączce rozumowania, Shinobu targał się za włosy, tak że stanęły mu dęba. – To był prawdziwy sekret, Quin, najważniejsza rzecz, jaką Briac mi powiedział. To dlatego Średni Sędzia gromadził wszystkie te fokale. – Podniósł z podłogi metalowy kask i podsunął dziewczynie pod oczy. – Nie zgubisz się Tam, jeśli nosisz fokal.

Spojrzała na Shinobu.

– Nie zgubisz się Tam, jeśli nosisz fokal – powtórzyła, rozważając sens tych słów. „Oczywiście". Teraz, gdy chłopak to powiedział, wydawało się to zarówno oczywiste, jak i logiczne. – Właśnie dlatego, ilekroć widzimy Obserwatorów, zawsze jeden z nich ma na głowie kask – uświadomiła sobie z rosnącym podnieceniem. – Żeby się uchronić przed zagubieniem się Tam.

– Aby zdobyć to, co ukrywał Średni, trzeba mieć współrzędne, wskazówki – te dwieście kroków – oraz fokal.

Quin poczuła, że też zaczyna pojmować elementy tej zagadki.

– Dlatego mój ojciec tak bardzo chciał dostać w ręce fokal Obserwatorów.

– Briac zamierzał odnaleźć to, co ukrył Średni Sędzia, i podjąć realizację planu w punkcie przerwanym przez śmierć Średniego.

– Ale co to oznacza? Co znajdziemy, jeśli zastosujemy się do tych instrukcji? Poza tym w tamtej grocie w Szkocji były inne wskazówki – także dwieście kroków, lecz w innym układzie. Dlaczego?

Shinobu wybrał spośród leżących bezładnie rzeczy Średniego Sędziego niewielki nóż i wydrapał nim okrąg na podłodze stryszku.

– Załóżmy, że ten okrąg to cała przestrzeń Tam– powiedział – a to… – dźgnął czubkiem ostrza podłogę wewnątrz okręgu, pozostawiając na niej punkt – jest miejsce, do którego dotrzemy, jeśli użyjemy współrzędnych zapisanych na skórze Średniego Sędziego. W takim razie z tego punktu można pójść w różnych kierunkach i znaleźć rozmaite rzeczy.

Quin nadążała już za tokiem jego myśli. Wzięła od chłopca nóż i wyrysowała nim na podłodze łamaną linię odwzorowującą sekwencję kroków wytatuowaną na ciele Średniego. Powiedziała:

– Ta sekwencja kroków z jego tatuażu prowadzi tutaj. –Wydrapała znak X na końcu narysowanej przez siebie linii. Potem wykreśliła drugą ścieżkę, wiodącą od punktu wyjścia w innym kierunku. – Ta sekwencja kroków wyryta na ścianie groty w Szkocji może doprowadzić tutaj – rzekła i wycięła X na końcu tej drugiej linii.

Te dwa znaki X znajdowały się dość daleko od siebie, chociaż prowadziły do nich ścieżki wychodzące z tego samego punktu.

– Właśnie – przytaknął Shinobu. – Wszystko to są jakby mapy piratów kierujące do skarbów ukrytych Tam.

– Więc którą ścieżką powinniśmy podążyć?

– Powinniśmy wykorzystać wszystkie sekwencje kroków, jakie zdołamy znaleźć – odpowiedział. – Jednak tę… Średni wytatuował sobie na ciele. Musi więc być

najważniejsza.

– Ale… co mogłoby tam być? – wyszeptała Quin.

Przejął ją lęk na myśl o podążeniu śladami Średniego Sędziego. Jak dotąd pakowało ich to w najrozmaitsze tarapaty.

– Nie wiem – odrzekł z powagą Shinobu. – Być może znajdziemy coś, czego zamierzał użyć do pozbycia się Poszukiwaczy.

Dziewczyna przygryzła usta. Popatrzyła na tatuaż Średniego Sędziego, na jego narzędzia i broń. W głowie miała zamęt. Ten człowiek planował tyle posunięć i wyrządził tak wiele krzywd.

– Nie chcesz się przekonać, co takiego ukrył? – zapytał łagodnie Shinobu, wskazując ruchem głowy instrukcje na ciele Średniego.

Quin zebrała myśli. Nadal bardzo wielu rzeczy nie wiedzieli; Średni celowo pozostawił pogmatwany trop. Ale wydawało się, że oboje są u progu zrozumienia sytuacji. Quin poczuła ekscytację, chociaż zabarwioną lękiem.

– Oczywiście, że chcę – odrzekła, akceptując to doznanie. – Musimy to zobaczyć.

Shinobu dotknął policzka dziewczyny i uśmiechnął się do niej.

– Jeżeli wyruszymy, jedno z nas będzie musiało mieć na głowie fokal, żebyśmy nie zagubili się w trakcie przemierzania tych dwustu kroków – powiedział łagodnym tonem.

Quin zobaczyła, jak przez jego twarz przebiegł dziwny wyraz.

– Nie chcesz go nosić? – spytała.

– Nie. – Zawahał się. – Ale nie chcę też, żebyś ty go nosiła. – Podniósł z podłogi kask i obracał go w dłoniach, przyglądając mu się tak, jak żołnierz mógłby przyglądać się granatowi, który lada moment może wybuchnąć. – On zrobił coś z moimi myślami i… nie chcę, żeby to samo uczynił tobie. Wcześniej namówiłem cię, żebyś włożyła fokal, ale miałaś go na głowie krótko. Teraz byłoby o wiele dłużej.

– Być może lepiej od ciebie potrafię oczyścić umysł przed użyciem fokala – zauważyła, wzruszona niepokojem Shinobu o nią. – Może na mnie nie podziała tak źle.

– Rzeczywiście jesteś w tym lepsza ode mnie. Między innymi właśnie to mam na myśli. Umiesz zachowywać czystość umysłu nawet bez fokala. W trakcie naszego starcia Tam z Obserwatorami nie spowolniłaś. Utrzymałaś koncentrację. A kiedy pracujesz jako uzdrowicielka, widzę, jak intensywnie się koncentrujesz. Dlatego uważam, że nie powinnaś użyć fokala. Nie chcę ryzykować, że on uszkodzi twój umysł.

Quin zastanowiła się nad tym. Istotnie, zdołała zachować opanowanie, kiedy walczyli wewnątrz anomalii z chłopcami, chociaż uważała, że w tamtym przypadku zawdzięczała to raczej szczęściu niż umiejętnościom. Niemniej słowa Shinobu mogły zawierać pewną dozę prawdy. W końcu skinęła głową.

Na twarzy chłopca odbiła się ulga.

– Dobrze – powiedział. – W trakcie tych dwustu kroków ja użyję kasku, a ty będziesz mieć na mnie oko. Dopilnujesz, żebym nie zrobił niczego dziwacznego.

Rozdział 53
Maud

Łzy wyschły na policzkach najmłodszego Obserwatora, pozostawiając różowe ścieżki wyżłobione w warstwie brudu. Siedział na podłodze, trzymając fokal nad głową; mocno ściskał brzegi kasku, żeby nikt mu go nie odebrał.

Młoda Sędzia i John upewnili się, że ma na imię Nott, lecz niewiele więcej z niego wyciągnęli. Przykucnęli w pobliżu i przyglądali mu się uważnie. Maud próbowała wcześniej pomóc chłopcu w oczyszczeniu umysłu, zanim włoży kask, ale Nott był tak zdesperowany, że w ogóle jej nie słuchał. Prawdopodobnie to nie miało wielkiego znaczenia; jeżeli fokal wyrządzał umysłowi jakieś szkody, tego chłopca już to spotkało.

Nott jęczał, kiwał się w przód i w tył. W oczach znów stanęły mu łzy, a potem pociekły po policzkach. Bez ostrzeżenia, gwałtownym ruchem odsunął kask od głowy i cisnął go brutalnie. John dzięki swemu świeżo zyskanemu błyskawicznemu refleksowi złapał fokal, zanim uderzyłby o ziemię. Nott przeniósł spojrzenie z Johna na Młodą Sędzię; twarz wykrzywiał mu grymas bezmiernej rozpaczy. Zaszlochał i jednocześnie zamierzył się obiema pięściami na Maud.

– On nie działa, jak trzeba! – wrzasnął. – Nie tak jak mój!

Młoda Sędzia z łatwością zablokowała jego ciosy, złapała go za nadgarstek i wykręciła mu rękę do tyłu. Chłopiec krzyknął i spojrzał na nią z urazą.

– Nie czuję go na głowie – powiedział do niej, niemal plując tymi słowami. – Coś z nim jest nie w porządku!

Zamachnął się na nią wolną ręką, ale Maud ją też złapała i ścisnęła mocno.

– Przestań! – rzekł błagalnym tonem.

Puściła go, a on obrzucił ją wrogim spojrzeniem, ale już nie próbował jej uderzyć.

– To nie ten sam fokal, którego wcześniej używałeś – wyjaśniła cierpliwie Młoda Sędzia. – Ten miał innych właścicieli.

– Staję się w nim znów małym chłopcem – oznajmił Nott tak, jakby to był najgorszy los, jaki potrafił sobie wyobrazić. – Byłem Obserwatorem. Doprowadzałem świat do porządku. Teraz jestem dzieciakiem. Tęsknię za Odgerem i naszą śmierdzącą chatą.

– Zawsze byłeś chłopcem – powiedziała mu. – Fokal cię zwodził.

Gwałtownie pokręcił głową, rozpryskując w powietrzu kilka kropel łez. Młoda Sędzia przyglądała się, jak tupiąc nogami, przeszedł po nierównym podłożu jaskini.

– Nie – odparł. – Byłem kimś innym.

Podniósł zamarzniętego szczura leżącego na kamieniach przy jego nogach. Ujął go delikatnie w dłoń i podsunął Maud pod oczy, gładząc kciukiem brzuch martwego gryzonia.

– Chciałem go pokroić. Fajnie jest sprawiać ból. Ale teraz… – Wzruszył ramionami i drugą ręką otarł oczy.

– Nie można używać fokala bez odpowiedniej pomocy – powiedziała Młoda Sędzia. – On zmienia tych, którzy go noszą.

– Zmienia na lepsze! – krzyknął.

– Nie – odparła stanowczo, dobitnie. – Jeśli fokal był często używany przez kogoś innego, zachowuje myśli tej osoby. Nott, jeśli najpierw nie nastroisz odpowiednio swojego umysłu, nie będziesz w stanie odróżnić tych myśli od własnych.

– To były *moje* myśli – upierał się chłopiec. – Widziałem, że przewyższam wszystkich innych.

– To nie były twoje myśli. I domyślam się czyje – odpowiedziała spokojnie Młoda Sędzia. Chociaż Nott nadal nie chciał słuchać, w jego oczach błysnęło zaciekawienie. – Dobrze znałam twojego mistrza. Używałeś jednego z jego fokali. Przez wiele lat widywałam go w wielu rozmaitych kaskach. Niegdyś często nosił zwłaszcza jeden, kiedy jego mistrza nie było w pobliżu. Widziałam, jak Średni Sędzia robił straszne rzeczy małym zwierzętom. Uwielbiał to. A kask przekazał to upodobanie tobie.

Widywała Średniego, jak przy obozowym ognisku powoli wypruwał wnętrzności żywym wiewiórkom i szczurom, czerpiąc ohydną rozkosz z ich męki. Raz przechwalał się przed Maud, że potrafi godzinami utrzymać przy życiu torturowanego szczura.

Chłopiec spojrzał na trzymanego na dłoni martwego gryzonia i pogładził go delikatnie, niewątpliwie rozważając słowa Młodej Sędzi.

– Jeżeli nie jestem taki jak on, jeżeli wszystkie te myśli były jego, jaki ze mnie pożytek? – zapytał. Ostrożnie zamknął dłoń i przytulił szczura do piersi. Popatrzył na jego drobne ciało i wparł się plecami w ścianę groty, jakby miał nadzieję w niej zniknąć. – Oni mieli rację, że zostawili mnie na śmierć w mojej pieczarze.

– Usłyszałem już dwa razy, że nazywasz tę grotę swoją – odezwał się John. – Dlaczego tak uważasz?

– To moja pieczara. M o j a pieczara! – rzekł chłopiec wyzywająco, jakby John kwestionował jego prawo do tego miejsca.

– Ale dlaczego? – spytał John łagodnie, lecz z naglącą nutą w głosie.

– Bo… bo ja w jakiś sposób do niej należę. Mam wyrytego na athamenie dzika. No, to znaczy już nie mam tego athamenu. Ma go Wilkin. Ale przedtem go miałem. I był na nim dzik. A tam z tyłu leży martwy chłopiec o imieniu Emil, który ma na szyi łańcuszek z dzikiem. On ma dzika, ja mam dzika – to moja pieczara.

John i Maud wymienili spojrzenia.

– W tym tunelu jest martwy chłopiec? – spytał John.

– Tak – potwierdził Nott. – Mam na sobie jego ubranie.

Rozdział 54
John

Nazajutrz rano znaleźli zwłoki w głębi skutego lodem tunelu. Blask słońca przenikał przez lodowy strop niebieską poświatą, w której ciało sprawiało wrażenie posiniaczonego. Trup miał na sobie tylko bieliznę; śmiertelna rana w klatce piersiowej wyglądała paskudnie i wydawała się niemal czarna na tle zamarzniętej skóry.

Nott towarzyszył im obojgu i stał obok Johna, dygocąc w swoich dwóch pelerynach i podwójnym ubraniu.

– Spójrzcie tam – powiedział, wskazując ręką. – Wczorajszej nocy tego nie zobaczyłem.

Wysoko na ścianie tunelu, częściowo zasłonięty przez lód, znajdował się jakiś wyryty kształt. John oderwał od skały płat lodu i cisnął na ziemię, odsłaniając cały wizerunek. Był to dzik z wielkimi kłami i wściekłymi oczami.

– Mówiłem mu, że ta pieczara jest dla dzików – mruknął Nott.

– Komu mówiłeś?

– Nikomu – odparł chłopiec szybko, rzucając na Johna podejrzliwe spojrzenie.

Zanurzył jedną rękę w głębokiej kieszeni wierzchniej peleryny i ścisnął w dłoni – jak domyślił się John – martwego szczura, którego uparł się nadal nosić przy sobie.

John uklęknął przy trupie na zimnym skalnym podłożu. Uniósł jego lewą rękę i zobaczył imię chłopca nakreślone krwią na wnętrzu dłoni. Emil.

– Emil Pernet, klan dzika – wyszeptał. – Moja matka chciała go odszukać.

Dotychczas sądził, że pragnęła zemsty, ale teraz widział to inaczej. Emil nigdy nie był ich wrogiem. Był chłopcem, którego wykorzystano, który nigdy nie znalazł sprawiedliwości, podobnie jak nie znaleźli jej John i Catherine.

– Czy Emil i moja matka się przyjaźnili? – zapytał Młodą Sędzię.

– Tak – odpowiedziała.

Nisko na ścianie groty, w pobliżu ciała Emila, były wyrzeźbione niewielkie symbole.

PRO 63

SIN 48

DEX 89

– Napisy w tej grocie zawierają więcej liter – zauważył John. – I mniej liczb. Jednak… – wykonał w myśli szybkie dodawanie – ich suma też wynosi dwieście.

– Te litery mają sens – powiedziała Młoda Sędzia – jeżeli są skrótami łacińskich słów oznaczających „naprzód", „w lewo" i „w prawo". Wskazują jakieś kierunki.

Nott ściągnął wargi w uśmiechu, odsłaniając zęby, i mruknął lekceważąco:

– Jasne, łacińskie.

Do umysłu Johna wniknęła myśl Maud: „Jego zęby!".

Młoda Sędzia płynnym ruchem wysunęła się do przodu i zanim chłopiec zdołał

zareagować, chwyciła go i podwinęła jego górną wargę. Zęby Notta na pierwszy rzut oka wyglądały na zepsute, ale John zorientował się, że w istocie wyryto na nich delikatne wzory, w które potem wtarto gęsty, czarny smar.

– Przyjrzyj się bliżej – poleciła mu Maud.

Pochylił się nad chłopcem razem z nią i wtedy zrozumiał. Wzory na zębach Notta nie były przypadkowe. Stanowiły symbole odnoszące się do athamenu. Wszystkie łącznie tworzyły zestaw współrzędnych.

– One zaprowadzą nas dokądś w *tamtym miejscu* – rzekła w zamyśleniu Maud. Potem zwróciła się do Notta: – Co znajdziemy, jeśli wykorzystamy współrzędne wyryte na twoich zębach?

Na twarzy Notta pojawił się wyraz podejrzliwości, jakby chłopiec nie zamierzał nigdy zaufać im na tyle, by odpowiedzieć na jakiekolwiek ich pytanie. Lecz po chwili, być może przypomniawszy sobie o fokalu oraz o możliwości, że John i Maud go nakarmią, przybrał bardziej przyjazną minę.

– Te symbole na moich zębach – i na zębach Wilkina! – dotyczą tego, jak mamy odnaleźć Obserwatorów, którzy śpią Tam. Docieramy do tego miejsca… – postukał się w zęby – a potem idziemy.

Młoda Sędzia spytała:

– Jak to „idziecie”?

– On zabiłby mnie za wyjawienie wam tego, ale już nie żyje, a ja też powinienem być martwy, więc przypuszczam, że to nie ma znaczenia. – Nott wyjął z kieszeni zamarzniętego szczura i znowu go pogłaskał. – Kiedy mówię „idziemy”, to znaczy „idziemy”. Dwieście kroków, a ci inni Obserwatorzy są dokładnie na końcu tej drogi.

Maud wskazała ręką liczby na ścianie:

– Te dwieście kroków?

Chłopiec sprawiał wrażenie oburzonego.

– Nie! Mamy własne.

– Więc czym są te liczby? – spytał John.

Nott wzruszył ramionami i kopnął stopą w ziemię.

– Nie wiem wszystkiego o wszystkim.

Maud przez jakiś czas stała w całkowitym bezruchu, chociaż John widział, że jej spojrzenie śmiga pomiędzy zębami chłopca a liczbami wyrzeźbionymi w skalnej ścianie.

– Te groty… – powiedziała wreszcie tyleż do nich obydwu, co do siebie. – Każdy klan miał swoją. Odwiedziłam kilka z nich – na zaproszenie Poszukiwaczy, do których należały. Ta grota należała do klanu dzika, tamta w Afryce do klanu niedźwiedzia. Ale przestały być używane przez rodziny Poszukiwaczy… może dlatego, że Średni Sędzia zaczął wykorzystywać je do własnych celów. – John usłyszał, że Maud mówi z rosnącą pewnością. – Cokolwiek robiono tutaj, w tej grocie, cokolwiek tu zostawiono – miało wyglądać tak, jakby uczynili to sami Poszukiwacze z klanu dzika, gdyż to ich miejsce. Rozumiecie? Ponieważ zwłoki Emila leżą tutaj, wydaje się, że zabiła go własna rodzina. A Obserwator pozostawiony tu, żeby zamarzł na śmierć, także wyglądałby na członka tej rodziny. To kolejny sposób, w jaki Średni zacierał swoje ślady.

Gdy Maud mówiła, jej myśli zaczęły mieszać się w głowie Johna z jego myślami

i nagle zrozumiał coś jeszcze.

– Jest w tym coś więcej: zęby Notta – rzekł do niej. W tej pełnej napięcia chwili wydawało się niemal, jakby on i Maud byli jednym umysłem przemawiającym dwoma głosami. – Gdyby chłopiec zamarzł tutaj na śmierć, współrzędne wyryte na jego zębach pozostałyby bezpieczne w pobliżu tych instrukcji dotyczących kroków. Pełen zestaw wskazówek.

Młoda Sędzia zaczęła ustawiać symbole na pierścieniach ich athamenu według koordynat z zębów Notta.

– Skoro tamta sekwencja dwustu kroków Notta doprowadzała go do innych Obserwatorów… rozważała na głos – …co będzie, jeśli ta sekwencja kroków zaprowadzi nas gdzie indziej?

Wskazała na godło dzika wyciosane w ścianie tunelu i z jej umysłu popłynął do głowy Johna nowy rwący potok myśli.

– Klan dzika? – wyszeptał. – Ci zaginieni Poszukiwacze…

– A jeśli oni zaginęli, ale nie zginęli? – podsunęła Młoda Sędzia.

– Uważasz, że moglibyśmy odnaleźć to, co z nich zostało – rzekł John, wypowiadając na głos jej myśli.

Maud uniosła athamen i pokazała Johnowi pokrętła rękojeści ustawione według wzoru na zębach Notta.

– Uważam, że musimy przekonać się na własne oczy, co uczynił z nimi Średni Sędzia.

Sięgnęła po krzesiwo przy pasku.

Rozdział 55
Catherine

18 LAT WCZEŚNIEJ

Catherine przed chwilą zamknęła na klucz drzwi łazienki, ale nie została w niej. Siedziała na podłodze maleńkiego pomieszczenia – w istocie niewiele większego od wnęki – przeznaczonego na pokój dziecięcy. Przylegało do łazienki i ich sypialni, wciśnięte w najdalszy kąt mieszkania.

Nie chciała, żeby Archie zaniepokoił się, zauważywszy zaryglowane drzwi łazienki, ale nie chciała też, by ją przyłapał. Znowu miał na głowie fokal i za każdym razem ukrywała to przed nim.

Siedziała między na wpół zmontowaną kołyską a stertą rzeczy dla niemowlęcia, które przysłała jej matka. Podarunki od matki przestały nagle nadchodzić przed tygodniem i od tego czasu Catherine nie udało się skontaktować z żadnym z rodziców. Teraz gdy wiedziała, że Średni Sędzia podążył za nią do Francji, obawiała się, że mógł też wytropić jej rodzinę. Nadal miała zakaz wstawania z łóżka – jeszcze bardziej rygorystyczny niż poprzednio – więc nie mogła wybrać się na poszukiwanie rodziców, a nie chciała wysyłać Archiego samego, by nie narazić go na niebezpieczeństwo. Starała się nie ulec histerii.

Stopniowo zaczęła sobie uświadamiać odgłosy głuchych łomotów dobiegające z salonu. Od ich powrotu z Francji przed trzema tygodniami Archie niemal nieustannie ćwiczył się we władaniu różnymi odmianami broni, po tym jak ufortyfikowała ich mieszkanie wszelkiego rodzaju zamkami do drzwi i okien (jakby zamki mogły powstrzymać jakiegokolwiek Poszukiwacza czy Sędziego).

„Widocznie Archie daje teraz niezły wycisk manekinowi treningowemu", pomyślała.

Umysł Catherine pracował razem z fokalem na najwyższych obrotach, gdy studiowała dziennik i usiłowała dostrzec w zawartych w nim dawnych wpisach nowe mentalne związki – zrozumieć, kim manipulowano i kiedy. Dodała do dziennika współrzędne groty w Norwegii, do której udał się Emil, oraz szkic jego ojca. Zamierzała pojechać tam możliwie jak najwcześniej – spróbować jak najszybciej odnaleźć wszystkie te jaskinie – ale zastanawiała się, czego jeszcze mogłaby się dowiedzieć teraz, czekając na urodzenie dziecka.

Po upływie nieokreślonej ilości czasu – w fokalu trudno zachować jego rachubę – zauważyła zmianę w dźwiękach dochodzących z salonu. Nie były to już odgłosy walenia przez Archiego w manekina, lecz jakiś inny, cięższy – łomot ciała uderzającego o ścianę. Zdarzało się to niekiedy w trakcie treningu Archiego, lecz po chwili usłyszała ten dźwięk ponownie. I jeszcze raz. A tuż potem dobiegł ją inny odgłos – brzęk szkła roztrzaskującego się na podłodze.

Catherine wstała i wśliznęła się do sypialni. Wyjęła z kryjówki w szafie swój morfer, a potem wsadziła nóż do kieszeni luźnej sukienki.

Z salonu nadal dobiegały łomoty, a teraz usłyszała też trzy męskie głosy. Nie

potrafiła rozróżnić słów, ale głosy brzmiały gniewnie, porywczo i żaden z nich nie należał do Archiego. Wbiegła do łazienki, a stamtąd przez kolejne wewnętrzne drzwi do maleńkiej spiżarni, później do kuchni. Rozbrzmiał pojedynczy ogłuszający strzał z rewolweru, a potem broń z trzaskiem upadła na podłogę.

Catherine przez otwarte drzwi kuchni zobaczyła napastników i Archiego. Trzymał w lewej ręce zwykły miecz, a prawą ręką, teraz pustą, przed chwilą niewątpliwie wystrzelił z rewolweru. Wyciągnął nią zza pasa długi treningowy nóż.

Osaczający go trzej intruzi byli młodzi. Poruszali się jak wyszkoleni Poszukiwacze i Catherine natychmiast ich rozpoznała. Byli to trzej młodsi kuzyni ze zdjęcia, jakie widziała w domu Pernetów, bracia Anthony'ego, najlepszego przyjaciela Emila – i prawdopodobnie jego zabójcy, który napadł na nią w Hongkongu. „On nie może osobiście zabijać Poszukiwaczy – powiedział ojciec Emila. – Tak więc nakłania ich, by mordowali się nawzajem". A ci tutaj zjawili się, aby dokończyć to, co nie udało się Anthony'emu w Hongkongu. Jaka będzie ich nagroda? Jej athamen? Jej fokal? Czy coś innego?

– Gdzie ta dziewczyna i jej książka? – zapytał jeden z nich.

Ach, książka, jej dziennik. Może to był prawdziwy powód, dla którego Średni Sędzia ją ścigał. Briac także pragnął zdobyć jej dziennik. „Masz swój dziennik – powiedział jej. – To lepsza broń niż jakakolwiek innego Poszukiwacza… Pokażę ci, jak jej użyć".

W błysku olśnienia – wspomaganego przez fokal – Catherine w końcu zrozumiała w pełni zagrożenie, jakie stanowił dziennik. Zawierał przede wszystkim rejestr niegodziwych czynów, jakie Średni Sędzia popełnił, do jakich dopuścił albo jakich zażądał od innych. Podczas gdy Catherine zamierzała użyć dziennika w tym celu, aby Stary Sędzia wygnał Średniego z braterstwa Sędziów, Średni niewątpliwie widział w dzienniku jeszcze poważniejsze zagrożenie – zagrożenie dla własnego życia, jeśli ta książka zostania pokazana Staremu Sędziemu. Uświadomiła sobie teraz, że Briac usiłował jej to powiedzieć, lecz ona obstawała uparcie przy swoim wyobrażeniu, że Średni Sędzia w głębi serca jest uczciwy, i nie pojmowała, jak wielkie niebezpieczeństwo Średni widzi dla siebie w tym, że Catherine posiada rejestr jego występków. Oczywiście Średni Sędzia nie wiedział dokładnie, co jest zapisane w dzienniku. Mógł się tylko domyślać – i zapewne przypuszczał, że Catherine wie więcej, niż rzeczywiście wiedziała. Postrzegał dziennik jako większe zagrożenie, niż istotnie było. Zagrożenie, dla którego odsunięcia warto zabić.

A Briac niewątpliwie sądził, że mając dostęp do dziennika Catherine, zyska skuteczny środek nacisku na Średniego, co pozwoli mu zachować życie.

Wszystkie te myśli przebiegły jej przez głowę w trakcie jednego oddechu. Potem Catherine powróciła świadomością do kuchni w ich mieszkaniu i spojrzała na napastników.

– Gdzie ona jest? – powtórzył ten stojący najbliżej Archiego.

Trzasnął morferem w kierunku nadgarstka Archiego, próbując wytrącić mu nóż z ręki, ale Archie szybko odstąpił na bok; błysnęła stal, gdy ciął napastnika w ramię.

– Nie ma jej tu – odparł. – Już od kilku tygodni.

Żaden z intruzów jeszcze nie spostrzegł Catherine. Stojąc w drzwiach kuchni, bezszelestnie wyjęła swój morfer. Z przyjemnością poczuła go w ręce po tak długim nieużywaniu tej broni. – Kłamiesz – rzucił główny napastnik.

– Ona wyjechała! – krzyknął Archie.

Catherine mocniej ścisnęła morfer. Większość minionych trzech miesięcy spędziła w łóżku i jej mięśnie osłabły, ale miała za sobą lata treningów. W dobrej kondycji była świetną wojowniczką. Nawet teraz doskonale poradzi sobie z napastnikami. Skoczyła przez otwarte drzwi do salonu, by włączyć się do walki, lecz w tym momencie poczuła ciepłą strużkę ściekającą po udzie. Otarła nogę ręką i zobaczyła rozmazaną na dłoni jaskrawoczerwoną krew.

Jak to możliwe, że krwawi? Przecież tylko przebiegła z łazienki do kuchni. Ale kiedy wróciła z Francji, lekarze powiedzieli jej, że ciąża jest zagrożona.

– Cholera! – szepnęła.

Archie na widok Catherine i krwi na jej ręce rzucił się na jednego z napastników i mocował się z nim. Wzrok miał dziki, ale oboje zrozumieli się w jednej chwili.

„Uciekaj! – wymówił do niej bezgłośnie, samymi wargami. – Natychmiast!".

Wycofała się przez spiżarnię do jadalni, usiłując zdecydować, jak ma postąpić. Archie potrafił dobrze walczyć, ale będzie potrzebował jej pomocy. Catherine mocno ścisnęła rękojeść morfera. Instynktownie wyczuwała, jakie ruchy ma wykonać, żeby wskoczyć w wir walki.

Po jej nodze popłynął strumień krwi.

W tym momencie jeden z napastników walczących z Archiem przeleciał przez drzwi salonu i rąbnął w stół w jadalni. Krew tryskała ze śmiertelnej rany na jego szyi.

Jeden mniej. Czy to możliwe, że Archie zdoła pokonać wszystkich trzech – zastanawiała się Catherine. Możliwe, uznała, jednak w żadnym razie nie pewne.

Gdyby przyszła mu z odsieczą, czy dziecko przeżyłoby? A ona? „Przyrzeknij mi, Catherine", powiedział niedawno Archie. I ona przyrzekła.

– Cholera! – wyszeptała znowu.

Wciąż ściskając w jednej ręce morfer, zabrała z pokoju dziecięcego dziennik, a z sejfu wyjęła athamen i krzesiwo, po czym wróciła do spiżarni.

– Gdzie ona jest? – zapytał kolejny raz jeden z napastników.

– Powiedziałem wam, wyjechała! – rzucił z furią Archie. Ból w jego głosie sprawił, że Catherine się zatrzymała. – Tylko ktoś kompletnie głupi zostałby tutaj ze mną.

Te ostatnie słowa były skierowane do niej; błagał ją, żeby uciekła. Potem Catherine usłyszała, że wydał wściekły okrzyk, jak czynił, kiedy zadawał mieczem pchnięcie podczas ćwiczeń. Rozległ się łomot ciała uderzającego o podłogę salonu.

– Zamierzasz tak tańczyć wokół mnie czy walczyć? – zapytał Archie, prowokując któregoś z napastników.

W sercu Catherine wzrosła nadzieja. Czy Archie nadal trzymał się na nogach? Czy nadal zwyciężał?

Podniosła klapę w podłodze spiżarni, odsłaniając ciąg wąskich, stromych schodów. Dom był stary, należał do rodziny Archiego, która zawsze dbała o zapewnienie sobie

awaryjnych dróg ucieczki.

Catherine w niemal całkowitej ciemności zeszła po niewielkich stopniach. Przejście było tak ciasne, że musiała schodzić obrócona bokiem, uważając, by nie urazić ciążowego brzucha.

Schody kończyły się rodzajem korytarza. Wąski, ciemny i niski przypominał jej tunel pod Mont Saint-Michel. Słyszała swój ciężki oddech niczym rytmiczne sapanie lokomotywy parowej. Odwykła od chodzenia. Już czuła się zmęczona. Przechodząc pod salonem, zawadziła brzuchem o ścianę korytarza. Ujrzała nad sobą szczelinę światła w szparze między dwiema deskami podłogowymi w salonie. Wyraźnie dobiegły do niej odgłosy walki.

Usłyszała też coś jeszcze. Jakiś szelest za plecami, od strony schodów ze spiżarni. Zbliżające się kroki. Podążał za nią jeden z napastników.

– Gdzie się podział twój kamrat?

To był głos Archiego mówiącego niemal dokładnie nad Catherine.

– Mój brat poszedł ją odszukać – odpowiedział inny głos. – Znajdzie ją na pewno! Ale do tego czasu ty już będziesz trupem!

Archie ryknął wściekle i rozległ się odgłos ciał zderzających się ze sobą, a potem upadających na podłogę.

Catherine szamotała się, usiłując obrócić się tak, aby móc skierować rękę z mieczem do tyłu, w kierunku ścigającego ją napastnika.

– Słyszę cię – dobiegł ją cichy głos z odległości zaledwie kilku metrów. – Zatrzymaj się. On chce, żebyśmy cię zabili. Ale ja nie muszę tego zrobić. Daj mi dziennik i swój athamen, a będziesz mogła odejść.

W tej odrobinie światła wpadającego przez szparę w podłodze salonu zobaczyła błysk broni. Upuściła na ziemię dziennik, athamen i krzesiwo. Trzasnęła morferem, a potem machnęła nim w górę. Zderzył się z morferem napastnika.

Jakiś cień zasłonił światło i ujrzała nad sobą twarz Archiego. Leżał wciśnięty w podłogę i szamotał się z przeciwnikiem.

– Archie! – zawołała Catherine.

Otworzył oczy i dostrzegł ją w ciemności. Mocno zaciskał zęby.

– Uciekaj! – syknął. – Uciekaj!

Jej przeciwnik znowu zadał cios mieczem. Sparowała cięcie, ale jej ręką zadrżała od impetu natarcia. Catherine była słaba. Po jej nodze wciąż spływała krew. Pomyślała, że umrze i umrą też jej dziecko i Archie.

Usłyszała tuż przy uszach elektryczne skwierczenie i zarejestrowała w umyśle wysoki, przenikliwy brzęk. Fokal. Zapomniała, że ma go na głowie. Musiała zawierzyć mu się, pozwolić, by jej pomógł, gdyż inaczej zginie.

Natychmiast poczuła, że jej umysł się rozszerzył.

Napastnik uderzył ponownie. Tym razem łatwiej zablokowała cios, odpychając jego oręż w ścianę korytarza. Na górze nad nią Archie, jęcząc, siłował się ze swoim przeciwnikiem. Przez szparę w deskach podłogi widziała tylko jego potylicę. Dostrzegała wyraźnie każdy oddzielny rudawobrązowy włos, czuła woń potu i strachu, była świadoma pozycji rąk i nóg Archiego, doświadczała ciężaru broni w jego ręce.

Jej przeciwnik zadał cios z góry. Zrobiła trzy szybkie kroki do tyłu, tak że jego morfer rąbnął w podłogę pomiędzy nimi. Potem ruszyła do przodu, trzymając przed sobą swój morfer – długi, wąski i śmiercionośny. Napastnik zorientował się w jej zamiarze i obrócił w ostatniej chwili, a jej miecz przebił mu bok i wśliznął się między żebra.

Chłopak jęknął.

Catherine zobaczyła na swoich rękach krew, ale to nie była jej krew ani jego. Kapała na jej skórę z góry.

W szparze podłogi ujrzała twarz Archiego zwróconą ku niej. Już się nie szamotał.

– Archie! – krzyknęła. – Już do ciebie idę. Zaczekaj na mnie!

Jej przeciwnik był ciężko ranny, ale nadal na nią nacierał, rycząc jak osaczony zwierz. Obrócił się i używając teraz drugiej ręki, gwałtownie, szaleńczo wymachiwał mieczem.

– Archie… – wyszeptała.

Krew nadal skapywała na dół. Catherine widziała wyraźnie każdą kroplę oświetloną z góry.

Słyszała w głowie fałszywe brzęczenie fokala. Ten elektryczny dźwięk był teraz bolesny, przeszywający. Jej myśli wpadały jedne na drugie, jakby umysł Catherine podzielił się na dwa walczące ze sobą obozy.

„Potrafię go ocalić. Ocalę go”.

„On już nie żyje”.

„To moja wina. Próbowałam poznać sprawy, o których nie powinnam wiedzieć”.

„Dowiem się wszystkiego. Nic nie zdoła mnie powstrzymać”.

„Oni mnie zabiją”.

„Nikt mnie nie zabije. To ja pierwsza zabiję ich. Sprawię, że zapłacą za to, co zrobili. Zapłacą za wszystko”.

Jej przeciwnik znalazł się znowu w zasięgu broni. Kiedy zaatakował, nie starała się uniknąć ciosu. Jego pięść rąbnęła w kask na jej głowie i impet tego uderzenia wytrącił napastnikowi z ręki morfer.

Catherine przekształciła swój miecz w krótki, gruby i śmiertelnie ostry oręż. Pchnęła i wbiła klingę w serce chłopca.

Zgiął się wpół i runął na podłogę wąskiego korytarza. Catherine oparła się o ścianę, oddychając ciężko. Kiedy chłopiec upadł, światło wpływające przez szczelinę w stropie oświetliło jego twarz. Był młodszy, niż myślała. Wyglądał na jakieś czternaście lat.

„Nie zabijam dzieci. Wierzę w sprawiedliwość”.

„Zabijam je, gdy muszę. Zabiję każdego, jeśli będzie trzeba”.

„Musisz uczynić wszystko, żeby ochronić swoją rodzinę. Wszystko”.

Usłyszała nad sobą jakiś ruch. Ostatni napastnik jeszcze żył. Odgłosy brzmiały, jakby, jęcząc, czołgał się po podłodze. Catherine ciężko przekroczyła ciało leżącego na ziemi chłopca – zapewne najmłodszego z braci – i ruszyła z powrotem w głąb wąskiego korytarza, a potem weszła po schodach.

Wyłoniła się w kuchni i zobaczyła własne ślady krwi, które doprowadziły tamtego chłopca prosto do jej drogi ucieczki. Drugiego z braci znalazła martwego na podłodze w jadalni.

Archie leżał w salonie, z twarzą przy deskach parkietu; wokół niego zbierała się kałuża krwi i ściekała przez szparę w podłodze.

– Archie…

Uklękła i odwróciła go ostrożnie. Twarz miał ziemistą i pozbawioną wyrazu. Skóra już stygła i Catherine nie wyczuła pulsu na szyi. Jeszcze przed godziną Archie leżał obok niej w łóżku i obsypywał jej brzuch pocałunkami. Odgarnęła mu wtedy włosy z twarzy i była na tyle niemądra, by czuć się szczęśliwa.

Teraz też odgarnęła z twarzy Archiego zakrwawione włosy i trzymała jego głowę w dłoniach. W jego oczach już zgasły iskry życia.

Siedziała tak, dopóki z letargu nie wyrwał jej jakiś odgłos. Podniosła wzrok i zobaczyła w przejściu trzeciego napastnika, który czołgał się w kierunku frontowych drzwi, pozostawiając za sobą rozmazany krwawy ślad.

Catherine podpełzła do niego na czworakach. Kiedy zobaczył, że dziewczyna się zbliża, obrócił się na plecy i uniósł swoją ostatnią broń, jeden z kuchennych noży. Miał głęboką ranę w podbrzuszu, z której tryskała ciemna, gęsta krew. Nie pozostało mu wiele życia.

Mógł mieć dwadzieścia lat albo mniej, ale grymas bólu na jego twarzy sprawiał, że wyglądał na starszego. Nosił grube, ciężkie buty i to jeszcze potęgowało jego podobieństwo do Briaca Kincaida – podobieństwo, które dzielił z nim jego brat Anthony. Czy Średni Sędzia uważał wszystkich tych chłopców za swoje wymienne narzędzia? Wyrwała młodzieńcowi z ręki nóż, a on prawie wcale się nie opierał – wiedział, że już z nim koniec. Catherine przystawiła mu do gardła swój morfer.

– Czy to ty zabiłeś Annę? – zapytała. – Czy zamordowałeś moją siostrę?

Zamknął oczy i powoli skinął głową. Catherine mocniej przycisnęła czubek miecza, aż skóra na szyi napastnika się napięła.

– Dlaczego? – spytała. – Co obiecał ci za to Średni Sędzia?

– Powiedział… powiedział, że nie zostało już wiele rodów Poszukiwaczy. Że zbliżamy się do końca… Powiedział Anthony'emu, że będziemy mogli zatrzymać dla siebie dwa athameny… jeżeli zlikwidujemy rodziny, do których należą…

– Czy nie pomyślałeś, że on… że zabiłby was, kiedy byłoby już po wszystkim? – spytała. – Albo nakłoniłby kogoś innego, żeby to zrobił?

– Nie. Pomogliśmy mu – wyszeptał młodzieniec. – I zamierzaliśmy uciec. Dwa athameny na czterech braci… moglibyśmy się ukryć, przechytrzyć każdego, kto by nas ścigał.

– Przechytrzyć *jego*? – rzekła cicho.

Ten chłopak nie miał pojęcia o wszystkich ludziach, których Średni oszukał. Poczuła dla niego coś niemal jak litość.

– Anthony uważał, że to było… warte podjęcia ryzyka. Dwa athameny… stalibyśmy się najpotężniejszym klanem Poszukiwaczy w historii. – Zwilżył językiem wargi; wzrok miał utkwiony w Catherine. Oddychał szybko i płytko. – To brzmi głupio teraz… teraz, kiedy zajęłaś się nami…

– Wymordowaliście moją rodzinę z chciwości – rzekła do niego. Po jej policzkach płynęły łzy. – I zabiliście Emila.

– Myślałem tylko o sobie – odparł i znowu oblizał usta.

Catherine poczuła, że w jej głowie uformowała się myśl, niemal jakby wpadła tam już gotowa z samego fokala, jakby ta myśl istniała wewnątrz kasku, czekając na nią.

„Nie zaufam nikomu. Zabiję ich wszystkich, zanim dopadną mnie czy mojego syna. Zabiję każdego, kto wejdzie mi w drogę".

– Jesteś gotowy na śmierć? – wyszeptała.

Młodzieniec zamknął oczy i skinął głową.

Szybkim cięciem morfera zabiła tego rannego chłopaka, ostatniego z czterech braci z klanu konia.

Zataczając się, wróciła do sekretnego przejścia i zabrała athamen, krzesiwo i swój dziennik. Potem wyszła na ulicę, umazana krwią. Zerwała z głowy fokal, tylko dlatego, żeby nie wzbudzić zdziwienia, żeby nie wyglądać na nikogo innego niż ciężarną ofiarę przestępstwa. Wepchnęła dziennik do kasku, który ścisnęła kurczowo w jednej ręce, a drugą równie mocno przycisnęła do brzucha. Athamen i krzesiwo, które wsunęła za podszewkę kieszeni sukienki, obijały się jej o nogi, gdy ruszyła chwiejnym krokiem przez Londyn, wzywając pomocy.

Rozdział 56
Shinobu

Słońce już zaszło, ale chmury się rozstąpiły i niebo rozjaśniała zorza. Shinobu użył współrzędnych z tatuażu na ciele Średniego Sędziego i teraz otwarty huczący krąg anomalii unosił się przed nimi nad stryszkiem obory. Quin stała u boku chłopaka, trzymając dłoń na jego ramieniu. Wcześniej zapalili lampę gazową znalezioną na stryszku i teraz Shinobu uniósł ją i poświecił w mrok poza granicą anomalii.

– Nie przestawaj recytować hymnu – polecił dziewczynie – i nie odrywaj wzroku ode mnie.

– Dobrze – odrzekła.

Ścisnęła mu ramię i razem przeszli przez próg anomalii w ciemność. Shinobu uprzednio zapisał liczby i kierunki na swojej ręce i teraz popatrzył na nie w świetle lampy.

– Pięćdziesiąt trzy kroki prosto przed siebie – powiedział.

Ruszył, odliczając w myśli każdy krok. Podążająca za nim Quin recytowała hymn czasu:

– „Tu jestem ja, tam gniazdo me. Dobrze wiem, gdzie początek mej drogi, gdzie znajdę jej kres. Pęd rzeczy wpośród tych miejsc bezpieczny da mi powrót. Tu jestem ja…".

Shinobu skupił się na stawianych krokach i na dotyku dłoni Quin. Dziewczyna była z nim.

Po przejściu pięćdziesięciu trzech kroków skręcił ostro w prawo. Zerknął na instrukcję na ręce. Teraz pięćdziesiąt dziewięć kroków. Z fokalem na głowie nadzwyczaj łatwo było zachować koncentrację i liczyć. Ale kask szeptał do niego na skraju świadomości Shinobu: „Dlaczego jesteś z nią? Ona cię wykorzystuje… Nigdy nie pozwoli, żeby ci się powiodło…".

Całkowicie ignorował te myśli. Wiedział, że są cudze.

Spojrzał za siebie na Quin. Miała wzrok utkwiony w niego i wciąż recytowała hymn czasu:

– „Tu jestem ja, tam gniazdo me…".

Tu i ówdzie w ciemności wokół nich majaczyły jakieś kształty, po prawej lub po lewej, zbite sterty czegoś, co mogło być ludzkimi sylwetkami – może trupami tych, którzy wcześniej próbowali pokonać tę trasę i nie udało im się. Shinobu chciałby się im lepiej przyjrzeć, ale nie pozwolił swojemu spojrzeniu ani umysłowi zboczyć z drogi, którą oboje podążali. Musiał uważnie odliczać kroki. Doszedł do pięćdziesięciu dziewięciu i odwrócił się w lewo. Quin nadal ściskała mu ramię, ciepły dotyk jej dłoni podnosił go na duchu. Shinobu zatrzymał się, by przysłuchać się jej recytacji, i skonstatował, że dziewczyna mówi coraz wolniej.

– „Dobrze wiem… gdzie początek mej drogi… gdzie znajdę…".

Nie mógł tracić czasu. Quin dobrze potrafiła zachowywać koncentrację, ale nie będzie w stanie utrzymać jej w nieskończoność. Teraz pięćdziesiąt cztery kroki, potem skręt w prawo.

„Kogo obchodzi, czy ona straci koncentrację? – szepnął do niego fokal. – A jeśli ta

dziewczyna nie jest wcale taka ważna, jak myślisz…”.

„Zamknij się!”.

Przeszedł te pięćdziesiąt cztery kroki i skręcił w prawo. Teraz jeszcze tylko trzydzieści cztery. Zaczął iść. Byli już prawie na miejscu.

– „Pęd… rzeczy… wpośród tych… miejsc… bezpieczny… da…”.

Quin ciągle recytowała, ale coraz wolniej.

Przez cały czas światło rzucane przez lampę, którą niósł Shinobu, wisiało przed nim w ciemności jak idealnie okrągła żółta kula. Teraz jednak, gdy pozostało mu ostatnie dwadzieścia kroków, promień lampy natrafił na coś w górze z przodu, dokładnie na ich drodze. Po kilku kolejnych krokach chłopak dostrzegł zarysy stojących postaci; w ich mrugających oczach odbijał się blask lampy. Shinobu poczuł jednocześnie strach i ekscytację. Odkryli sekretną kryjówkę Średniego Sędziego.

Fokal szepnął bardziej natarczywie:

„Moi Obserwatorzy czekają na mnie; wszyscy oni na mnie czekają”.

Shinobu odepchnął od siebie te widmowe myśli i skupił się na dotyku dłoni Quin na swoim ramieniu.

Widać już było teraz wyraźnie cztery postacie – dwie po prawej stronie i dwie po lewej. W migotliwym blasku lampy Shinobu dostrzegł ich wełniane ubiory, peleryny, młode twarze.

„Oni czekają na mnie…”.

Przeszli między dwiema parami Obserwatorów; wokół nich unosił się ciężki odór śmierci. Shinobu nie musiał już liczyć kroków. Promień lampy oświetlił wielką stertę przedmiotów przed nimi. Chłopiec rozpoznał je i pociągnął Quin za sobą do przodu. Były tam długie rzędy rozrywaczy, były morfery, athameny… oraz niezliczona ilość innych rzeczy wyglądających na niebezpieczne i cenne.

„Wszystko to jest dla ciebie. Quin spowalnia. Zostaw ją…”.

„Nie!”.

Podszedł wraz z dziewczyną w sam środek tej kolekcji i uniósł lampę. Na skraju jej blasku dostrzegł niewyraźnie pary Obserwatorów stojące kręgiem wokół tego skarbca.

Zamknął umysł przed fokalem, trzymał jego myśli na dystans. Wyczuwał jednak, że fokal usiłuje wsączyć się z powrotem. Przyszła mu do głowy jedna myśl, tak łagodna i nieodparta, że nie był pewien czy to jego własna, czy nie: „A jeśli ona będzie tutaj bezpieczniejsza?”.

Co się stanie, jeśli on i Quin zbudzą tych Obserwatorów i spróbują wykorzystać ich do własnych celów? Kamienny medalion powinien dać mu władzę nad tymi chłopcami, ale nawet jeśli tak, Shinobu nie sądził, by zdobycie nad nimi kontroli poszło łatwo i gładko. Mając umysł odseparowany od fokala, przebiegł w pamięci wszystkie te przypadki, kiedy widział, jak życie Quin było zagrożone: John ścigający ją konno w posiadłości; John i jego ludzie bijący ją na moście; Briac atakujący ją na Obieżyświacie; Obserwatorzy w pokoju szpitalnym, skaczący przez anomalię, w posiadłości i na baldachimie mostu. Za każdym razem śmiertelnie się o nią bał, o wiele bardziej niż o własne życie.

Każdy, kto postępował zgodnie z wolą Średniego Sędziego – Obserwatorzy, Briac

czy Poszukiwacze skłonni mordować się nawzajem – stanowili zagrożenie dla Quin. A jednak była tu z Shinobu, kroczyła śladami Średniego. Otaczali ich Obserwatorzy śpiący w ciemności, czekający, by się zbudzić. Co jeszcze mogło kryć się tutaj, w tym miejscu *pomiędzy*, gotowe zaatakować ich oboje?

„Czy ona jest tu bezpieczniejsza?", naszła go znowu myśl, tym razem silniejsza, niemal jak fizyczny cios.

Nieświadomym gestem wsunął rękę do kieszeni peleryny i ujął schowany tam kamienny medalion. Poczuł w dłoni chłodny owal i ścisnął kciukiem oraz czubkami pozostałych palców jego gładkie krawędzie.

Gdyby mógł zająć miejsce Średniego Sędziego, gdyby zdołał zgromadzić wszystkie narzędzia, jakie Średni odnalazł, zdobyć wszystkie plany, jakie ten człowiek obmyślił, gdyby potrafił je zrozumieć i wykorzystać do swoich celów – do celów Q u i n – mógłby ochronić ich oboje. Mógłby naprawić wszelkie zło, jakie wyrządzono w imieniu Poszukiwaczy; mógłby odmienić ich przyszłość. On i Quin już nigdy nie staliby się bezwolnymi ofiarami.

Ale dopóki nie zdobędzie kontroli nad tym wszystkim, ile razy jeszcze będzie musiał patrzeć, jak Quin jest atakowana? A co, jeśli za którymś razem nie uda mu się jej uratować?

Medalion w jego kieszeni zaczął wibrować, ale Shinobu już cofnął rękę i poczuł tylko nieznaczne drżenie przy nodze. Patrzył na Quin.

Znowu naszła go ta myśl: „Ona jest tutaj bezpieczniejsza".

Czy to prawda? Czy ta myśl należała do niego, pochodziła z jego umysłu? Czy może to był podstęp? A jeśli nie istnieje żaden sposób rozstrzygnięcia tej wątpliwości? Shinobu odwrócił się do dziewczyny.

– Quin, Quin! – powiedział, ujmując ją za ramiona, podczas gdy medalion wibrował w kieszeni peleryny.

Powoli przeniosła spojrzenie na niego, jednocześnie wypowiadając z trudem kilka następnych słów hymnu:

– …mi… powrót…".

– Zdejmij ze mnie fokal – rzucił naglącym tonem. – Ściągnij mi go z głowy!

Ujął jej ręce i przytknął do brzegów kasku.

– Zdejmij go! – powtórzył.

Sam nie mógł tego zrobić. Nie potrafił zdjąć kasku własnymi rękami. Sama myśl o tym była zbyt bolesna.

Quin go usłyszała, ale powoli pokręciła przecząco głową.

– Nie tutaj… – wyszeptała. – Dopiero gdy… stąd… wrócimy…

– Teraz! Trzeba to zrobić teraz!

Jej ręce odpadły od kasku i zwisły bezwładnie przy bokach.

Przysunął swoje dłonie do fokala.

„Zdejmij go! – rozkazał sobie. – Po prostu go ściągnij!".

Ale nie mógł tego zrobić. Jego serce waliło w coraz szybszym, panicznym rytmie.

„Czy ona jest tu bezpieczniejsza? Chcę, żeby była bezpieczna".

Rozdział 57
Quin

Zdawało się, że idą już kilka lat. Quin nadal recytowała hymn, ale czas płynął powoli, czuła dotyk jego chłodnych palców na ciele, na głowie, niczym pochłaniające ją ciemne wody jeziora.

Widziała kształty wyłaniające się z ciemności. A potem usłyszała, jak Shinobu błaga, by zdjęła mu z głowy fokal. Ale jak mogłaby go usłuchać? Gdyby to zrobiła, oboje zagubiliby się tutaj na zawsze.

Już nie szli. Czuła na ramieniu dotyk jego ręki, mocnej i ciepłej. Shinobu był realny. Ale sam czas się odmienił i Quin zgubiła słowa hymnu.

„Jak długo stoję tutaj, patrząc w ciemność?".

– „Tu jestem ja – zaczęła od nowa, wyduszając z siebie słowa, chociaż jej gardło wydawało się nieskończenie odległe – tam gniazdo me. Dobrze wiem…".

Ostatnie słowo wypowiedziała na długim wydechu, a potem już nie wciągnęła znowu powietrza w płuca. To nie wydawało się konieczne.

Usłyszała, jak Shinobu powiedział:

– Chcę, żebyś była bezpieczna.

Jego słowa zabrzmiały tak szybko – widocznie ona spowalniała niemal do bezruchu. Przysunęła obie ręce do peleryny Shinobu i uchwyciła się go kurczowo, usiłując wciągnąć się z powrotem w teraźniejszość.

– Gubię czas… – wymamrotała, wyduszając z siebie słowa, jakby jej płuca wypełniała lepka żywica.

Dotknął dłonią jej twarzy. W blasku lampy jego oczy były błyszczące i bystre. Samo spojrzenie na niego sprawiło, że Quin odrobinę powróciła do siebie.

– Quin, nie potrzebujesz hymnu – szepnął.

Na jego czole pod krawędzią fokala pełzały palce elektrycznych prądów.

Quin znowu oddychała, ale miała wrażenie, że pomiędzy każdym wdechem i wydechem mija rok. Poczuła twarz Shinobu przy swojej, poczuła, jak ją objął, i usłyszała brzęczenie fokala na jego głowie, gdy przycisnął ją do jej głowy.

– Gubię się – wyszeptała w ostatnim wysiłku, by zachować świadomość. – Zabierz mnie stąd. Wytnij anomalię.

Rozdział 58
Shinobu

Shinobu trzymał Quin w ramionach, czuł ciepło jej ciała przy swoim. Kamienny krążek w kieszeni peleryny znieruchomiał.

– Kocham cię, Quin – szepnął chłopiec.

Był absolutnie pewien, że to prawda.

– Co…? – zaczęła dziewczyna, ale jej głos zaraz ucichł, zanim dokończyła, a to słowo stało się wiecznym pytaniem, które wysyłała w ciemność tego miejsca.

Naprawdę spowalniała. Czuł, że przy wydechu jej klatka piersiowa niemal wcale się nie porusza.

Palce Quin przy jego piersi drgnęły nieznacznie, jakby próbowała się go uchwycić, żeby się obudzić. Ale już wpadała w pojedynczą chwilę, która dla niej będzie trwała wieczność.

– Kocham cię – powtórzył Shinobu; wiedział, że nie ma sensu jej tego mówić, gdyż ona już go nie słyszy, lecz czuł, że musi to powiedzieć.

– Zapewnię ci bezpieczeństwo, a potem wrócę do świata – rzekł zdławionym głosem.

„Jak możesz zostawić ją tutaj, w ciemności?", zapytał siebie.

„Chronię ją", odpowiedział.

„Nie zostawiaj jej! – krzyknął jego umysł. – Jak możesz ją zostawić? Tylko ona się liczy. To bez sensu".

„Nie zostawiam jej. Zapewniam jej bezpieczeństwo".

Zmusił się, by puścić Quin. Cofnął się i spojrzał na nią w ciepłym świetle lampy. Jej czarne włosy okalały uroczą twarz, czarne oczy patrzyły na niego pustym wzrokiem.

– Wrócę po ciebie, Quin – szepnął. – Najszybciej, jak zdołam.

Mówił serio, nieprawdaż? Nieprawdaż? Nie umiał sobie wyobrazić życia bez niej.

Odwrócił się od Quin i ogarnął uważnym spojrzeniem sterty broni Poszukiwaczy wokół siebie oraz liczne pary Obserwatorów stojących równo w wielkim kręgu, ledwie widocznych na skraju światła lampy, a jednak rzeczywistych, cielesnych i gotowych się obudzić.

Wszystko to należało niegdyś do Średniego Sędziego.

Ale już nie należy.

Podziękowania

Kristo Marino! Dziękuję Ci za to, że podobnie jak ja całym sercem kochasz ten powieściowy świat. Nie mogłabym sobie wymarzyć lepszej redaktorki.

Jodi Reamer! Dziękuję Ci za to, że jesteś najbardziej rzetelną i uczciwą czytelniczką, jaką kiedykolwiek spotkałam, a także najlepszą agentką we wszechświecie (sprawdziłam). Ty nazywasz to instynktem, ja – geniuszem. Obie mamy na myśli to samo.

Barbaro Marcus, inspirujesz mnie. Jeśli kiedykolwiek dorosnę, chciałabym być Tobą, chociaż zdaję sobie sprawę, że to mogłoby spowodować niejakie zamieszanie. Później możemy rozważyć szczegóły.

Beverly Horowitz, lwico, nadzwyczajna redaktorko. Dziękuję za twoje wsparcie i zachętę przy powstawaniu *Poszukiwaczki* i *Podróżniczki*.

Judi Haut, dziękuję Ci za pokierowanie tą serią!

Dziękuję również Alison Impey za zachwycającą okładkę oraz Stephanie Moss za piękne rozplanowanie graficzne tekstu.

Dziękuję Kathy Dunn i Dominique Cimina za zagnanie *Poszukiwaczki, Podróżniczki* (i mnie) do krainy czytelników.

Dziękuję Ci, Felicio Frazier, za twoją szeroką wizję, serce i mobilizującego ducha.

Dziękuję Johnowi Adamo, Kim Lauber, Stephanie O'Cain i Rachel Feld za inteligentne i troskliwe wprowadzenie *Poszukiwaczki* i *Podróżniczki* w świat.

Tamaro Schwartz, dziękuję Ci za tak zręczne zawiadywanie wszystkim, i Tobie, Monico Jean, za wszystkie wielkie i małe rzeczy, jakich codziennie dokonujesz.

Dziękuję moim adiustatorkom Barze MacNeill i Colleen Fellingham za wszystkie cenne pomysły i za uczynienie tekstu jasnym i przejrzystym.

Dziękuję Samowi Imowi za wprowadzenie w przyszłość tej serii powieściowej traktującej o przyszłości.

Dziękuję Sky Morfopoulos za bycie wspaniałą, krytyczną czytelniczką moich powieści i jeszcze lepszą przyjaciółką.

Dziękuję moim dzieciom za to, że od czasu do czasu odwiedzały mnie, przybywając z Mudgistanu, Emeryki i Krainy Finów.

I oczywiście dziękuję Tobie, Mrb. Wiesz, o kim mówię.

O autorce

Arwen Elys Dayton jest autorką *Poszukiwaczki* i *Podróżniczki*, pierwszych dwóch tomów cyklu powieściowego o Poszukiwaczach, a także opublikowanej w internecie noweli *The Young Dread* (Młoda Sędzia). Miesiącami zbiera materiały do swoich książek. Te poszukiwania zaprowadziły ją do rozmaitych miejsc na całym świecie, takich jak Egipt, Hongkong, Szkocja i Islandia.

Arwen mieszka z mężem i trójką dzieci na Zachodnim Wybrzeżu Stanów Zjednoczonych. Możecie ją odwiedzić i dowiedzieć się więcej o cyklu powieściowym o Poszukiwaczach na stronie internetowej arwendayton.com oraz śledzić pod adresem @arwenelysdayton na Twitterze i Instagramie.